

KWARTALNIK NAUKOWEGO INSTYTUTU EMIGRACYJNEGO

Redaktor: Doc. Uniw. Dr. GUSTAW ZAŁĘCKI

Adres Redakcji: WARSZAWA, ul. Bracka 13.

**NAKŁADEM NAUK. INSTYTUTU EMIGRACYJNEGO
WARSZAWA Październik — Grudzień 1927**

KWARTALNIK
NAUKOWEGO INSTYTUTU
EMIGRACYJNEGO

ROK II

KWARTALNIK

NAUKOWEGO INSTYTUTU
EMIGRACYJNEGO

TOM IV
(ZA KWARTAŁ CZWARTY)
1927 R.

Redaktor: Doc. Uniw. Dr. GUSTAW ZAŁĘCKI

WARSZAWA
NAKŁADEM NAUKOWEGO INSTYTUTU EMIGRACYJNEGO
1927



035

Metamorfozy polskie

SZKICE DEMOGRAFICZNE.

I. *Polska w nowej postaci.*

Burzliwe losy Polski budziły od dawna zdumienie osobliwą kolejnością świetnych powodzeń i niezwykłego poniżenia. Złośliwą ironją historyczną były zwłaszcza rozbiory, poprzedzone o 90 lat odsieczą wiedeńską i potwierdzone przez kongres europejski po okazałym udziale Polaków w epopei napoleońskiej. Większy podziw w świecie wywołuje obecnie szybkie odbudowanie Polski w dawnej świetności i wprost z niedowierzaniem patrzano na improwizację aparatu państwowego, odbywającą się przy akompaniamencie muzyki armatniej najpierw wśród kampanji wojennej, potem wśród katastrof finansowych i innych przewrotów.

Rzeczywistość obaliła złowieszcze przepowiednie, które do niedawna jeszcze rozsiewano zagranicą, a szerzono je również między Polakami. Aparat państwowy stał się zdolny do bieżącej administracji, a nawet podejmuje z powodzeniem inicjatywę ku zdobyciu warunków dla samodzielnego gospodarstwa narodowego. Nawet po linii największego oporu uczyniła Polska wyraźny krok naprzód. Wobec stanowczej woli Rządu naginają się metody przemysłowe i kierunki wielkiego handlu, choć do niedawna trzymały się one konjunktury, opartej na granicach rozbiorowych.

Na zachodzie, na północy i w środku Europy wszystkie niemal kraje są w fazie zastoju, który występuje równocześnie w zmniejszonej pracowitości i w osłabionej żywej sile narodów. Choć produkcja zmniejszyła się tylko w niektórych gałęziach, w innych zaś nawet wzrosła, mimo to nigdzie niemal dochód narodowy nie odpowiada zwiększonym wymaganiom, które wy-

wołują powszechne uczucie biedy. Co gorzej, niedostatek nie jest już bodźcem do mocniejszego wysiłku. Obecnie osłabia on odwagę do życia, co jest widoczne zarówno w naturalnym ruchu ludności, w zniechęceniu do wędrowki za chlebem, w powszechnym upadku kredytu.

We wszystkich niemal krajach świata ustalił się m. in. na tem tle rocznik urodzeń na nieruchomym poziomie, np. we Włoszech od 30 lat na 1.100.000 dzieci, nie licząc przerwy wojennej; w Małopolsce wraz z Wielkopolską od 6 lat na 400.000 (w całej Polsce stanął prawdopodobnie równo na 1 milionie), natomiast w Anglii, w całych Niemczech i w południowej Francji obniża się on nieustannie nietylko procentowo, ale i absolutnie. Jakkolwiek ogólne zjawisko obejmuje także Polskę, zachodzi jednak między nami a Zachodem duża różnica. Obok Japonji i Brazylii jest Polska trzecim narodem wolnym, gdzie skala urodzeń w całej rdzennej ludności trzyma się powyżej 3%, to jest na normalnym poziomie, podczas gdy jest ona widocznie niższa we Włoszech, zaś w Niemczech, we Francji i w Anglii spadła niżej 2% i opada w dalszym ciągu. To też przez młodzież swoją liczy się Polska do pierwszych potęg Europy, jak widać z następującego zestawienia:

w Niemczech . . .	22	miljonów
we Włoszech . . .	17½	„
w W. Brytanji . . .	16	„
w Polsce . . .	14½	„
na Ukrainie . . .	14½	„
w Anglii . . .	14	„
we Francji . . .	12	„

Jest to wykaz dzieci i młodzieży płci obojga do 21 roku życia, który obliczyłem na podstawie spisów ludności z r. 1921, z roku 1919 i 1925 przyrostu dzieci za ostatnie 6 lat do jesieni 1927 r., oraz śmiertelności dzieci. Nie brałem w rachubę migracji, która nie zaważy w żadnym kraju na sile młodego pokolenia. Błąd, wynikający z nierównomierności lub nieścisłości spisów, może wynieść parę set tysięcy głów, więc nie osłabi on użyteczności obrazu.

Przedstawia on nietylko kierunek rozwoju demograficznego, ale istniejący już dzisiaj stosunek żywej siły czterech mocarstw

i dwu krajów odmiennego typu, Anglii i Ukrainy, które w ciągu wieku XIX doszły do ogromnego rozrostu głównie dzięki rozwojowi demograficznemu. Jak widzimy, już obecnie, pod koniec r. 1927, jest młodzież polska liczniejsza i od francuskiej i od angielskiej, to znaczy, że za lat kilkanaście będzie także dorosłe pokolenie liczniejsze w Polsce, która co do wzrostu i sił fizycznych znajdzie się *w środku* pierwszych narodów Europy. Pierwsze miejsce będzie zajmowała Rosja, drugie Niemcy, trzecie Włochy, czwarte Polska tuż obok W. Brytanji i Ukrainy.

Liczba Anglików siedzących na ojczystej wyspie nie odgrywa roli. W. Brytania była pierwszą potęgą świata przy mniejszem zaludnieniu metropolji, do czego obecnie dochodzi siła Kanady i Australji. Natomiast równowaga sił fizycznych między Niemcami, Francją a Polską jest rozstrzygająca o pokoju na kontynencie i dalszych losach wielu innych narodów Europy.

Z naszego zestawienia wynika, że ciężar utrzymania pokoju będzie coraz więcej przechylał się na Polskę i coraz większa odpowiedzialność będzie przypadała Włochom. Młodzież włoska stanowi obecnie siłę około 18 milionów, przyrasta rocznie o milion głów, tak samo, jak w Niemczech, nadto siły materialne tych dwu najludniejszych państw równoważą się pod wielu innymi względami.

Potrzebne jest jeszcze dalsze, szczegółowe zestawienie, jak w ciągu najbliższych lat będzie się układał kolejno stosunek sił do naszych sąsiadów i kiedy minie okres krytyczny. Odkładając na dalsze miejsce ten obrachunek, który wypadnie poprzedzić dokładniejszym wywodem demograficznym, zatrzymajmy się obecnie na spostrzeżeniu, że Polska znalazła się w rzędzie pierwszych potęg Europy przez ogromny przyrost sił i wolę do życia. Jest to stanowisko nie tylko zaszczytne, ale przede wszystkim brzemiennie w obowiązki i wymagające tak wielkiego i tak trwałego wysiłku, na jakie nie były narażone dawniejsze pokolenia. Losem naszym stało się życie wytężone i niebezpieczne. *Vivre dangereusement* — te słowa Bossueta są widocznym przeznaczeniem nowej Polski.

Czy nasze pokolenie przygotowane jest do tej roli i czy wytrzyma na takiej pozycji?

Zadaniem niniejszej pracy jest zestawienie faktów, któreby ułatwiły odpowiedź jasną i stanowczą. Rysztunek Rzeczypo-

spolitej jest nowożytny. Wyróżnia się ona od dawnej Rzplitej tak dalece, jak nasza armja dzisiejsza od wojsk kwarcianych i pospolitego ruszenia. Jednak o wytrzymaniu na pozycji niebezpiecznej rozstrzygają siły moralne jeszcze więcej, niż jakość oręża. Dla pokazania ich nie wystarczy przypomnienie znanych z historii faktów i wypadnie nawet cofnąć się w pomrokę, której unika historjografja. Może zato w tym badaniu znajdziemy odpowiedź na drugie pytanie: jakie są nasze zdolności do dalszej ekspansji, do czego, jak wiadomo, nie wszystkie narody są zdolne i nie w każdym czasie.

Wielka metamorfoza polska, przebyta w ciągu 60 lat: 1848 — 1918, nie jest pierwszym zjawiskiem tych rozmiarów. Zdarzały się równie gruntowne przeobrażenia i w dawnych wiekach i nie wszystkie były jednako dobroczynne. Odbływały się one na tle odmiennego krążenia krwi w organizmie narodowym i dlatego charakter ich jest mało znany historii pragmatycznej, która badała tylko związek między zdarzeniami w ich chronologicznym następstwie, oraz starała się wyjaśnić stosunek instytucyj publicznych do tych wypadków. Nie jest wprawdzie nową idea, że życie narodu, jako sumy ciał żyjących, jest procesem biologicznym, demografja zaś i antropologja mogłyby już obchodzić jubileusz ze względu na swój wiek, ale zdobycze tych nauk są ciągle jeszcze zbyt szczupłe, żeby w nich znaleźć na nasze pytania gotową odpowiedź. Dotyczy to zwłaszcza Polski, gdzie dopiero od niedawna prowadzi się badania nad składem etnograficznym narodu, n.b. w znaczeniu przyrodniczym, nie językowym. Ponieważ jednak historja pragmatyczna daje często tylko wymijające odpowiedzi na najważniejsze zagadnienia i to takie, na które najmocniej skupiona jest uwaga historyków, wypada szukać nowej drogi.

Jakim cudem mogło się zdarzyć, że uderzający upadek kulturalny schodzi się w pierwszej połowie XVII wieku z rozmachem gospodarczym i wojskowym, a wkrótce potem bije w oczy już tylko rozstrój i dekadencja? Dlaczego późniejsze wysiłki ku wydobyciu się z topieli kończą się wszystkie przyspieszeniem katastrofy?

Te zdarzenia byłyby zrozumiałe, gdyby potem nadeszła ostateczna zguba i śmierć narodu. W rzeczywistości jednak mimo ogromu strat materialnych i wszystkie kolejne ruiny zdarzyły się

w naszych oczach cudowna metamorfoza: Feniks urodzony z popiołów okazuje mocniejsze niż kiedykolwiek objawy życia. Ponieważ myśl polska wyszła od dawna ze świata czarów i cudów, nie zadowolimy się spostrzeżeniem, że znany mit grecki pojawił się w polskim życiu i starajmy się wytłomaczyć go po polsku, choćby hipotetycznie, w nadziei, że tem szybciej odnajdzie się droga do pełniejszego poznania.

II. *Oblicza Światowida.*

Okolo r. 966 z rozkazu książęcego obalili nasi ojcowie posągi Światowida, który czterem stronom świata okazywał różne oblicza. Ukrywają się one na dnie rzek lub bagien, które powstały na miejscu dawnych jezior. Wraz z wizerunkami starych bogów utonęło i przepadło dawne podanie narodowe i dotąd nie zastąpiła go tradycja nowego stylu. Arka przymierza między dawnymi a nowymi laty jest w Polsce nieznana i nawet na potężne zaklęcia wieszczów nie wynurzyła się z wód Świtezi. Kościół narodowych pamiątek i to nie tylko najdawniejszych, jest dla nas niedostępny.

Ubolewał nad tem wielki historyk Długosz. Mimo ogromnej pracy udało mu się zebrać i podać potomności tylko szczątki starych podań; starał się je powiązać i uczynić od biedy zrozumiałymi, ale nie tai on niezadowolenia z wyniku tej pracy i przypisuje złośliwemu niedbalstwu Polaków niedostatek wiadomości o początkach narodu. Za późno zjawiły się w gronie kapituły krakowskiej umysły tak dużej miary, jak Długosz i jego biskup, który złożywszy zbroję wślawioną pod Grunwaldem, umiał zdobyć posłuch dla swej woli zarówno u trzech z rządu królów polskich, jak i ościennych panujących i pierwszy z Polaków uzyskał niestałe zresztą miejsca dla episkopatu w kolegium kardynalskim, a dla Polski na ówczesnych kongresach (już wtedy zbierały się one nad jeziorami szwajcarskimi).

Na miarę polityki Oleśnickiego jest zakrojone dzieło historyczne Długosza, ale i on za późno przyszedł na świat, żeby dojrzeć i zachować wszystkie pomniki dawnych wieków, jakie jeszcze wtedy wychodziły na światło dzienne. Spisując skrzętnie nawet niezrozumiałe dla siebie wiadomości, gdy przypuszczał, że mogą mieć znaczenie, wspomina, że w Nochowiu pod Śremem,

oraz w Kozielsku pod Łęknem występują same z pod ziemi cudowne postacie gliniane, które w oczach twardniały, przybierając wygląd podobny do narzędzi ludzkich, nikt jednak nie wiedział, jakim cudem rodzą się takie dziwa. Archeologja nie była znana w wieku XV, nic z dawnymi czasami była zerwana, więc wykopaliska uchodziły za cuda (*res prodigiosae*) nie tylko w oczach ludu, ale i w oczach historyka.

Znajdą się jeszcze w Historji Długosza inne ustępy, bardziej pouczające, które jak tamte cudowne figury po wydobyciu nabierają twardości i także robią wrażenie zagadkowe. Oto charakterystyka Polaków:

„Szlachta polska ambitna i chciwa, gloriae appetens et in rapinas prona, dla niebezpieczeństw i śmierci okazuje pogardę, obietnice swoje niewiele ceni, dla poddanych i niższych ciężka (*gravis*), w języku porywczą, zwykła żyć nad stan, królowi wierna, z zamiłowaniem oddana zasiewom i hodowli, dla przybyszów i gości ludzka i życzliwa, góruje gościnnością nad wszystkimi narodami. Lud wiejski skłonny do pijatyki, bójek, wymyślań i zabójstw (*calumnias, caedes*) i nie łatwo znajdziesz drugi lud, gdzieby było tylu zabójców i wichrzycieli, *nec facile aliam gentem reperies tot domesticis homicidiis et cladibus contaminatam*. Lud nie leni się od żadnej pracy, wytrzymały na zimno i głód, zabobonny, i on także skłonny do rozboju, w nieprzyjaźni zawzięty, na nowości łakomy, łapczywy na cudze dobro, domów budować nie lubi, zażowała się nędznymi chałupami, zuchwały i odważny, porywczy i kapryśny, pyszny i strojny, odznacza się niepospolitą siłą, *wzrostem wysokim i smukłym, krzepkim ciałem, gębkością członków, cera bywa biała lub ciemna*”.

Uważając tę charakterystykę za dość dosadną, historyk nie łagodząc jej, tłumaczy srogością zimnego klimatu surową naturę ludu: *Ferox aura, influenza cruda, gelida sidera, inclementes venti, longae nives, perpetuo rigentes Alpes naturam Polonis causant et ingenia*.

Porównajmy ten jaskrawy wizerunek narodu z opisem obyczajów polskich, które napisał Marcin Kromer w r. 1573 dla wprowadzenia ówczesnego elekta w stosunki krajowe, ale wydał go nieco później.

Zgodnie z Długoszem pisze i on o piniactwie, kłótności, zabójstwach, przeniewierstwach, pijaństwie, rozrzutności, nie do-

patrując się zresztą w tem jakiejś wady narodowej, a tylko zepsucia nowych czasów, owszem, przeciwstawia te przywary dawniejszym cnotom. Szerzej rozpisuje się o pobudkach do studjowania, podróżowania, o powierzchowności tego ruchu. W świetle paru zdań Kromera staje się zrozumiała krótkotrwałość „złotego wieku” i słabość prądów ówczesnych. Za właściwość polską uważa on zamiłowanie do rzeczy obcych i powierzchowną ciekawość.

„Umysły są giętkie i pojętne do wszystkiego, czego się jeno tkną. Wolą dowiadywać się o wynalazkach obcych, niż sami coś zgłębiać, bo pragną wiedzieć wiele, choćby mniej gruntownie, a przez właściwe temu narodowi niedbalstwo, lekceważenie i unikanie ciężkiej pracy we wszystkim, co się tyczy przemysłu i rzemiosł, lada czem zadowoleni, o staranne wykończenie rzeczy nie dbają. Zresztą Polacy zdolniejsi są do nauk, niż do kunsztów mechanicznych. Do nauk z usilnością biorą się ci, którzy za ich pomocą pragną wydobyć się z nędzy domowej”.

Następujący ustęp miał widocznie na celu uprzedzić Henryka Wależjusza, jak łatwe jest rządzenie Polakami:

„Umysły Polaków są otwarte i łacne, zdolniejsze do ulegania oszustwu, niż do oszukiwania innych, raczej pojednawcze niż drażliwe, owszem, gdy się na nie zręcznie i łagodnie działa, dające się łatwo powodować, jako mamy przykład na uległości królom i urzędnikom. Polak jest towarzyski, greczny, uprzejmy, skory do gościnności oraz do przejmowania i naśladowania obyczajów tych, z którymi żyje, zwłaszcza cudzoziemców. Wychowanie młodzieży jest swobodne i nieco zaniedbane, czego źródło leży w przyrodzonej *dobroci* narodu”.

W porównaniu z Długoszem robią obyczaje polskie w relacji Kromera, poza paroma szczegółami, tak odmienne wrażenie, jak gdyby dotyczyły innego narodu, lub co najmniej innego gatunku ludzi. Żeby nie było żadnej w tem wątpliwości, oto charakterystyka fizyczna wedle Kromera:

„Cera ludzi w Polsce jest niemal biała, włos płowy, bardziej światły, wzrost mierny lub mało co wyższy. Siła i zręczność ciała niepospolita. Wyjąwszy niewiasty, a mianowicie panny u szlachty i w miastach, lud niewiele się troska o swe przyzობienie”.

Kromer miał widocznie przed oczyma znany typ słowiański, rozpowszechniony obecnie w całej Polsce, który od wieków we

wszystkich ziemiach ruskich tworzy główną masę ludności, a w czystej, klasycznej formie zachowany jest na Polesiu. Ludu wiejskiego Kromer nie znał, uwagi jego o „pospółstwie wiejskiem” pochodzą widocznie z drugiej ręki. Mimo to wynika z dalszej części jego opisu, że na wsi za Zygmunta Augusta panował dobrobyt, a w każdym razie w zakresie jedzenia nie było niedostatku. Niepospolita siła i zręczność była charakterystyczną właściwością Polaków i wedle Kromera i wedle Długosza. Zbieżenie i zmarnienie ludu zaczęło się widocznie dopiero w wieku XVII.

Na pierwszy rzut oka wydaje się opis Kromera banalnym i bladym i nawet po dokładniejszym rozważeniu dochodzimy do wniosku, że niema tam żadnego męskiego rysu, któryby świadczył o indywidualności narodu. Na tem tle odbija tem silniej obraz urodziwego, ambitnego i gwałtownego gatunku ludzi, który po pięciu wiekach opisu Długosza jest jeszcze dziś łatwy do rozpoznania. Długosz opisuje pierwotny szczep polski, Kromer zaś obracał się widocznie przeważnie między tymi, co przyłgnęli do Polaków i właśnie za jego czasów wysunęli się na front. Ojcowie ich siedzieli także za czasów Długosza, ale byli jeszcze wtedy na zewnątrz narodu.

Sąd Długosza uderza stanowczością przez swą formę lapidarną i brak wszelkiego eufemizmu, to też daje nam wyraźne zwierciadło, w którym dość łatwo może się przejrzeć pokolenie dzisiejsze, oczywiście nie ogół Polaków, ale wybitna część narodu. Może lustro jest nieco wklęsłe i niepochlebne, ale zato tem wyraźniej odbijają w nim rysy charakterystyczne. Zwłaszcza jego pospółstwo wiejskie, plebs rusticana, nie trudno rozpoznać wedle tego opisu i odróżnić od drugiego szczepu, u którego nie widać właściwości, podchwyconych i opisanych przez Długosza. Na pierwszy rzut oka razi w tym opisie wzrost wyniosły i smukły, statura ardua et procerca. W naszej epoce nie odznacza się lud polski wyniosłością wzrostu od żadnego z ludów sąsiednich, co potwierdza wynik poborów wojskowych. W najbliższej okolicy Krakowa, wedle statystyki poborowej austriackiej i rosyjskiej, dochodziła liczba rekrutów dużego wzrostu (wyżej 169 cm.), ledwie do $\frac{1}{5}$ wszystkich poborowych. Najwidoczniej od XV wieku obniżył się wzrost ludu. Dziś na podstawie $\frac{1}{5}$ lub choćby nawet $\frac{1}{4}$ ludzi roślących nie powie nikt, że Krakowiacy odznaczają się

wyniosłością i smukłością wzrostu. Dalej ku Wschodowi w dzisiejszych województwach Krakowskim, Lwowskim, Kieleckim i w części Lubelskiego wzrost ludu jest niższy, niż w okolicy Krakowa, a na mapach antropologicznych rosyjskich i austriackich widniała ta ziemia, jako obszar najniższego wzrostu w obu państwach. Stwierdzamy zatem w rozwoju rasy wyraźne przeobrażenie, które nie przez przypadek zaszło w ciągu 4 wieków po śmierci Kazimierza Jagiellończyka, przemiana typowa, wróćmy do niej w dalszym rozdziale, bo tam sprawa należy¹⁾.

Łatwy do sprawdzenia jest drugi rys antropologiczny o dwu cerach twarzy obok siebie występujących: *colore albo et nigro permiscua*. Za czasów austriackich stwierdzono u dzieci szkolnych okolicy Krakowa $\frac{1}{5}$ czystych blondynów, $\frac{1}{5}$ czystych brunetów, reszta przypadała na typy mieszane: oczy niebieskie i włosy ciemne, lub naodwrot. Inne uwagi Długosza o budowie ciała, dzielności fizycznej i różnych objawach temperamentu, łatwo rozpoznać dziś jeszcze wśród ludu krakowskiego, bo ten lud miał Długosz przed oczyma. Niektóre z tych rysów wydają się niepochlebne i one właśnie są potwierdzone w sto lat później przez Kromera, kronika zaś sądowa i codzienne spostrzeżenia świadczą o wyraźnej ciągłości aż do wieku XX, przyczem niektóre przywary (pijaństwo) stały się mniej popularne.

Postać fizyczna i temperament, które Długosz uważa za typ rasowy polski, właściwie są nietylko ziemi Krakowskiej. Znając je dokładnie z bliskiej obserwacji, mogłem z tem mocniejszym przekonaniem powołać wielkiego historyka na świadectwo. Sądzę, że na północ od Krakowa i to daleko na północ, potwierdzą inni obecność tego samego szczepu lackiego i wyznaczą jego rozsiadlenie na szerokiej pości kraju i w zwartych masach.

Na wschód od Krakowa, w miarę odległości, występuje nie tyle wyraźnie co tłumnie inny szczep, który Czekanowski nazywa prasłowiańskim, Deniker wschodnim, inni antropologowie słowiańskim lub alpejsko-karpackim. Jest to najbardziej popularny gatunek ludzi na naszym kontynencie i rozlewa się on szeroko od Wołgi do Apeninów i znajduje się nawet w Anglii. W Niemczech stanowi on prawdopodobnie znacniejszą masę niż w Polsce, ale nazywa się najczęściej słowiańskim, bo podobno w Rosji siedzi tyle ludzi tego szczepu, co w reszcie Europy. Jest to główny węzeł fizycznego pokrewieństwa między ludami europejskimi.

Mimo to nie cieszy się rasa słowiańska sympatją wśród antropologów, którzy skłaniają się do eugenizmu rasowego. Np. antropologja angielska stwierdziła, że w wiekach XVIII i XIX wskaźnik główny czaszki, uważany za ważną właściwość rasową, podniósł się w Londynie z 77 na 79 „wskutek stopniowego napływu Słowian”, jak mówi A. E. Haddon w swoim podręczniku antropologii (*Races humaines*, wyd. francuskie, str. 159). Przez tych Słowian nie należy w tym wypadku rozumieć Żydów rosyjskich, lecz krajowców, którzy jeśli nie są Anglikami z krwi i kości, to w każdym razie Bretonami (*british*) bardzo starej daty, bo osiedli w W. Brytanji wcześniej od Anglików i Sasów.

Pochodzenie plemienne Polaków nie jest dotąd zbadane. Niema zgody w charakterystyce i klasyfikacji typów fizycznych, to też bezcelowy byłby spór o ich rozsiedlenie. Wprawdzie panująca obecnie w nauce klasyfikacja ras uznaje odrębność szczepu polskiego od rasy słowiańskiej wschodniej i od innych, stwierdza jego obecność już w Saksonji, a zasięg główny tego szczepu (*sous-race vistulienne*) obejmowały prócz Polski dzisiejszej także cały Śląsk i prawie całe Pomorze²). W świetle tej teorii należałaby Polska do tych niewielu w świecie narodów, jak Szwecja lub Estonia, gdzie masa ludu wyszła rzeczywiście z jednego pnia, a resztę łączy bliższe lub dalsze pokrewieństwo z głównym szczepem.

Za tą teorią stoi nie tylko imię jej autora, znakomitego antropologa francuskiego J. Denikera, oraz uznanie w nauce prawie powszechne, jest to pierwsza i jedyna dotąd nauka o pochodzeniu Polaków, do której nie trzeba dociągać i nakręcać znanych wiadomości historycznych. Na podstawie tej nauki dostępniejsze jest zrozumienie wyjątkowego przebiegu historii polskiej, przestaje być cudem trwałość narodu mimo burzliwych losów, które dotąd były splotem zagadek i zachęcały historyków do najśmielszych fantazji.

Pamiętając jednak o doświadczeniach naszych sąsiadów, gdzie uczeni uniesieni pychą i nienawiścią, snuli na tle modnych teorii fantastyczne historie i przez swą mitologję rasową fałszowali świadomość swego narodu, nie będziemy odrębności rasowej Polski uznawali za rzecz z góry dowiedzioną i w tych szkicach demograficznych zajmujemy się narodem polskim w jego rozwoju historycznym, w szczególności szczepem łańskim, t. j. pierwotną

formacją narodu. W tym samym znaczeniu piszą dawni i nowsi historycy o Lechitach i szczepie lechickim. Otóż w miejsce pretensjonalnego barbaryzmu, ukutego na wzór Kwiryków, Obotryków, Husytów, odpowiedniejsza jest nazwa, używana w żywym języku i tym samym powszechnie zrozumiała. Ta starożytna nazwa jest tem więcej na miejscu, że oznaczała również odrębność, która w świadomości ruskiej wyróżniała Polaków od Rusi, a pozatem jest imię laskie pomnikiem historycznym wielkiej wagi.

Znane jest spostrzeżenie, że zwarte siedziby polskie urywają się na Wschodzie na między klimatycznej wraz z zasięgiem buku, bluszczu i cisu, dalej że najdalsza ekspansja Polaków dochodziła tylko do zewnętrznej i ostatecznej granicy klimatu polskiego, to jest do okresu zasięgu grabiny. Przechodzi on znaną z map historycznych linią od Raskowa i Bałty do Jekaterynowostawia, stamtąd na Połtawę do Czernichowa. Granica klimatyczna jest identycznie z granicą Korony Polskiej w wieku XVII od strony Moskwy i Tatarów.

Granica W. ks. Litewskiego w tamtych stronach szła teoretycznie dalej i dochodziła do morza. Pod koniec XVI wieku tylko granica na Dniestrze była wiadoma, pozatem była nieustalona i sporna. Jakkolwiek była to linja najslabszego oporu, nie zdobyła się Rzeczpospolita na żaden wysiłek, żeby utrzymać dawną granicę litewską, która opierała się o morze.

Magnaci, którzy kolonizowali te obszary pod osłoną własnej siły wojskowej, nie wychodzili również z zasięgu grabiny poza ostatnie kresy klimatu polskiego, bo tu kończyły się pomyślnie warunki dla gospodarstwa folwarcznego, które Polacy wyprowadzili wówczas na Ukrainie. Jeżeli władza Rzplitej mogła zatrzymać się na Jahorliku i Samarze pod wpływem motywów wojskowych, politycznych lub gospodarskich, jeśli nawet progi Dniepru zatrzymywały ją skuteczniej od klimatu, to granica klimatyczna wewnętrzna nie przedstawiała od wieku XVI żadnej zawady. Była to tylko naturalna mieczka, poza którą słońce przygrzewało w lecie mocniej i przez cały rok przyświecało dłużej, ale suche powietrze ułatwiało gwałtowne zmiany temperatury, nadto wiatry wschodnie hulały swobodnie, wreszcie kolejność odwilży i ostrych mrozów była dokuczliwsza niż w starej Polsce. Taki charakter ma klimat także obecnie na naszych dzisiejszych

kresach, natomiast różnica z środkiem Polski była niegdyś widoczniejsza, dopóki lasy tworzyły u nas dobrą osłonę przed wiatrami. W każdym razie buk, bluszcz i cis i inne jeszcze rośliny są po staremu wrażliwe na to przejście do klimatu ukraińskiego i zasięg ich jest prawie tak nieruchomy, jak zwarta masa osad polskich³⁾. Cis został w Polsce wytrzebiony, bo był najbardziej poszukiwany w handlu, ale zasięg bluszczu, nadaje jeszcze obecnie charakter polskiemu krajobrazowi. Bluszcz dziko rosnący marnieje i znika na linii idącej od Szawel na Troki i Wołkowysk w stronę Brześcia, następnie zasięg bluszczu omija granice Wołynia, dalej zaś na południu obejmuje jeszcze część Podola. Zasięg cisu urywał się na linii idącej prawie tym samym szlakiem.

W sławistyce, w rozprawach nad ojczyzną prasłowiańską odgrywa buk dużą rolę. Nazwa jego jest przyjęta od Germanów, w językach słowiańskich nie ma to drzewo nazwy rodzinnej, stąd wniosek, że matecznik słowiański leżał na Wschodzie poza zasięgiem buka, prawdopodobnie na Polesiu, w każdym zaś razie do języka polskiego wszedł wyraz buk w tej postaci wraz z całym gotowym słownictwem. Obecność naszych pradziadów w zasięgu bukowym i ciągłość tego samego osadnictwa w dzisiejszych siedzibach polskich jest dowiedziona innymi argumentami, które są bardziej przekonujące od słownictwa i wniosków stąd snutych. Tem więcej obojętna jest w tym szkicu demograficznym ojczyzna prasłowian i troski o jej losy.

Zastanawiający jest jednak fakt, że zabytki przedhistorycznych osad polskich znajdują się tylko na obszarze, gdzie panują wszystkie właściwości typowego klimatu polskiego, że także Polska Piastowska nie wychodziła poza wewnętrzną międzę tego klimatu. W wieku X kończyła się Polska tam, gdzie zaczynały zanikać zachodnie drzewa i krzewy, charakterystyczne dla naszego krajobrazu: buk, cis, bluszcz, dąb bezszypułkowy. W Mazowszu położonym na między klimatycznej ustanowili Piastowie pogranicze wojskowe, którego lud dostał się w najpomyślniejsze warunki rozwoju, gdy ziemia kresowa znalazła się nagle w środku Państwa. To też na tym odcinku ogarnął lud mazowiecki całą szerokość między aż do Grodna i Białowieży. Dalej na południu po Dniestr była międza klimatyczna na całej szerokości od Zamościa po Kamieniec ziemią sporną między

Koroną Polską a Rusią kijowską, dziś jest typową szachownicą etnograficzną, jednak poza wschodni kres tej między nie wychodzili Piastowie i mimo wszystko nie zdołał jej przekroczyć później żywioł polski. Kazimierz Wielki prowadził uciążliwą i zawziętą wojnę o Ruś Czerwoną i uznał ją za zwycięską, gdy utrzymał się na całej szerokości między.

Gdy w wieku XVI zmieniło się oblicze Polski i na front wysunęła się Ruś Czerwona, nabrały pustkowiec ukraińskie nowej atrakcji. Kolonizacja Rusi szła tak szykimi krokami i punkt ciężkości Państwa szedł tak wyraźnie od Wisły w stronę Dniepru, że zanosiło się już nie na zmianę postaci i oblicza, ale na stworzenie nowego narodu. Obecnie po przebyciu katastrof ostatnich wieków zatrzymał się znowu naród polski na między klimatycznej, a dzisiejsza granica wojskowa idzie zgodnie z topografią niewiele dalej środkiem bagien poleskich.

Losy osadnictwa polskiego na Rusi są w naszym studjum nad przyszłością narodu poważniejszym zagadnieniem niż dla historyków, to też nie zadowolimy się odrazu takim wyjaśnieniem, jak różnica klimatu. Na razie porównajmy z naszymi losami ekspansję sąsiadów i zobaczymy, o ile była ona skuteczniejsza. Zaczniemy od najdawniejszych dziejów, streszczając hipotezę, przyjętą obecnie w nauce ⁴⁾.

Przed wiekami opuścił stopy sarmackie lud długogłowy, który był już wtedy prawdopodobnie rosły, jasnowłosy i jasnooki, bo takie cechy ma jego rozgałęzione potomstwo. Antropologowie nazywają go pierwotną rasą północną (protonordique). Jeden jego szczep przyjął najwcześniej język aryjski, od którego pochodzą dzisiejsze języki litewskie, drugi poszedł dalej na północ i osiadł naokoło Morza Bałtyckiego. Tu doszło do nowego rozszczepienia. Gałąź skandynawska w warunkach dotąd nieznanach przyjęła język aryjski w nowszej postaci, germańskiej, której najdawniejszym pomnikiem jest język Gotów, druga gałąź osiadła nad Zatoką Fińską i zachowała po dziś dzień język fiński. Zarówno Szwedzi, jak Estowie są uważani za klasycznych przedstawicieli tej rasy północnej czyli skandynawskiej. Wciągu epoki historycznej od III wieku przed Nar. Chr. do X wieku naszej ery wychodziły ze Skandynawji kolejno roje ludów wędrownych w poszukiwaniu siedzib cieplejszych. Przez długie wieki były wybrzeża dwu mórz północnych zajęte naokoło przez

ludy tejsze rasy, która słusznie uważa je za swą ojczyznę. I-historja stara i nowa przepełniona jest podbojami i tryumfami tej rasy. Litwa okazywała taki sam rozmach, jak Gotowie, Normanowie lub Frankowie. Po wielu z tych podbojów nie zostało nic prócz paru nazw geograficznych. Dwa z nich, frankoński i saski, rozszerzyły daleko na południe granice języka niemieckiego. Jednak prawie nigdzie nie zdołali zdobywcy przekazać swoim prawnukom zdobytej ziemi, na której po staremu siedzi i panuje ludność pierwotna; Austryę, Bawaryę, kraje nadreńskie, Westfalję, Holandję zajmują obecnie potomkowie tych ludów, które w Germanie zostali tam w czasie podboju. Brandenburgja jest podbojem skutecznym i tam szczep laski został przetrzebiony ogniem i mieczem i zalany napływem kolonizacji saskiej, co udało się tem łatwiej, że Polska, spustoszona przez Tatarów, także ulegała wówczas inwazji niemieckiej. W sąsiedniej Saksonji i na Śląsku utrzymał się nadal szczep laski w głównej masie ludności, choć obecność szczepu saskiego w życiu narodowym i w typie fizycznym jest także widoczna. W granicach dzisiejszej Polski spotykamy również ślady obcego żywiołu i to wśród masy ludowej; możemy nawet stwierdzić metodą demograficzną ich rozwój lub zamieranie.

Dziś w warunkach nowożytnego życia odbywają się takie przemiany znacznie szybciej i niemal w oczach odbywa się eliminowanie obcego żywiołu przez rasę bardziej żywotną.

III. Łużyce, ługi, łachy i Lachy.

Szczep polski jest doskonałym przeciwieństwem germańskiej rozlewności. Podobnie jak inne ludy, wrosnięte w ziemię głębokimi korzeniami, trzyma się od tysięcy lat tychsamych siedzib w granicach polskiego klimatu i krajobrazu i to nawet w ścisłych granicach. Niektóre ziemie (Śląsk, Pomorze, Podgórze beskidowe), położone na rozstajnych drogach, którymi szły wędrówki ludów, były tracone i odbierane w ciągu wieków. Tem więcej odbija i zadziwia stateczność szczepu laskiego w porównaniu z wszystkimi ludami sąsiednimi, zwłaszcza że naród dawał dowody wielkiej energii. Archeologia i etnografja doszły w końcu do wyjaśnienia tej zagadki, a w świetle tych nauk stała się również dla historji użyteczna filologia porównawcza, w której

jeszcze do niedawna grzęzły wszelkie wysiłki ku zbadaniu indywidualności Polski i jej prawdziwego gniazda.

Niema w historii żadnego śladu, żeby nasi pradziadowie przybyli do Polski z innego kraju, natomiast stwierdzone jest, że od wielu wieków siedzieli na tej samej ziemi. Z epoki brązu, przed rozpowszechnieniem żelaza są ślady osad polskich na wszystkich ziemiach, z których później stworzył Królestwo Polskie Bolesław Chrobry, niema zaś takich śladów archeologicznych poza granicami, wyznaczonymi przez Bolesława Chrobrego. Od epoki narzędzi kamiennych, od neolitu aż do rozpowszechnienia żelaza znajdujemy w Polsce nieprzerwaną ciągłość tej samej kultury: w formie narzędzi najpierw kamiennych, następnie miedzianych, potem brązowych, w grobach i w obrzędach pogrzebowych, w sztuce garncarskiej i zdobnictwie, w budowie chat. Archeologia nazywa tę kulturę łużycką, bo wyszła z Łużyc i rozszerzyła się na inne łużyce i ługi. Zbadanie zabytków tej kultury, ich historyczne i geograficzne rozmieszczenie jest wielką zdobyczą archeologii, to też obecnie dawne dzieje narodu i początki Państwa są jaśniejsze, elementarne zaś wiadomości o historii pierwszych Piastów stały się dostępne dla umysłu.

Mapy archeologiczne, wykreślone przez p. Ludwika Kozłowskiego wedle miejsca odkrytych dotąd zabytków kultury łużyckiej¹⁾, czynią zrozumiałymi granice historycznej Polski z czasów Mieszka I, Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego. Okazuje się, że Polska Mieszka I obejmowała wschodnie zasięgi tej kultury, zaś Bolesław Chrobry posunął granice Państwa tak daleko, jak sięgały osady naszych pradziadów w epoce pełnego rozwoju, t. j. pod koniec epoki brązu. I tak w epoce podboju Grecji przez Achajów, w IV okresie brązu wedle chronologii archeologów, cztery zasięgi kultury łużyckiej: wielkopolski, pomorski, kujawski i śląski obejmowały prawie że ten sam obszar między Odrą i Wisłą, w którym w dwa tysiące lat później panuje Mieszko I. Syn jego zdobywa Czechy i Łużyce, t. j. zachodnie połacie tego starożytnego osadnictwa łużyckiego, równocześnie na Wschodzie zatrzymuje się w granicach odwiecznego zasięgu tejże kultury, jaki obejmowała ona w epoce halsztackiej. Jeszcze w tej ostatniej epoce znane jest osadnictwo Europy środkowej tylko z archeologii i etnologii, przypada ona chronologicznie na czas wojen perskich i świetności Aten.

Nieruchomość granic narodowych w ciągu tysięcy lat wywołuje zdumienie wobec tylu wędrówek germańskich, celtyckich i jeszcze innych, które przewalały się przez Polskę. Jednak taki sam obraz przedstawia rozsiedlenie Polaków w epoce historycznej, kiedy mimo najzmienniejsze koleje losu pozostał szczep laski w granicach X wieku; a choć równocześnie przechylił się ku Wschodowi język polski, to w porównaniu z wędrówkami innych języków może polszczyzna uchodzić za typ języka od wieków zrównoważonego na tym samym obszarze.

W świetle starożytnych dziejów, odkopanych przez archeologów zrozumiała jest 15-letnia walka, pozornie nierówna, a jednak zwycięska, którą król Bolesław prowadził z największą potęgą Europy, żeby po linii największego oporu odzyskać odwieczne granice narodowe. Obecnie wiemy dokładniej na jakich fundamentach stanęło Królestwo Polskie i z jakiego powstało materiału, a w każdym razie widoczne jest, że nie przez zbieg wypadków politycznych i wojennych powstało Państwo Polskie na łąkach i łęgach między Odrą a Wisłą.

Odkrycia archeologiczne znalazły skuteczne poparcie w etnografii. „Wstęp do historii Słowian” Jana Czekanowskiego, niedawno ogłoszony, jest jeśli nie pierwszym to w każdym razie świetnym i okazałym dowodem, jak wiele zawdzięcza historia naukom antropologicznym. Od dawna nie było dzieła, któreby jednym rzutem pchnęło tak mocno naprzód naszą wiedzę o starożytnej Polsce, jak starożytna historia Słowian, napisana przez antropologa. W niniejszej pracy, którąby była daleko trudniejsza bez dzieła Czekanowskiego, streszczone są zwięźle jego wyniki w tym zakresie, jakiego wymaga wywód demograficzny. W szczegóły historyczne, wdają się wówczas, gdy materiał, znany zresztą prof. Czekanowskiemu, nasuwa inne wnioski.

Przez najnowsze postępy archeologii i etnografii wyjaśniona jest daleko lepiej starożytność i odporność narodu, niż jego zdolność do czynu. W zapowiedzianej przez Czekanowskiego Antropologii Polski będzie wiedza o Polsce wzbogacona jeszcze więcej niż przez ogłoszoną już Historją Słowian, a może nawet znajdziemy tam całkiem stanowczą odpowiedź na to pytanie, bo antropologia, zajmując się badaniem najdawniejszych i najtrwalszych właściwości ludów, dochodzi do znajomości czynników, które niewątpliwie będą działały także w przyszłości. Dla hi-

storyka dawnej Polski nie było obojętne spostrzeżenie, że Polacy odróżniają się fizycznie i psychicznie od sąsiadów do tego stopnia, że indywidualność narodu tłumaczył on odrębnością klimatu polskiego. Nowi historycy nie przywiązywali wagi do tej sprawy, bo w ostatnich paru wiekach zacierają się widocznie rysy fizyczne i psychiczne, a nawet pojawiła się opinia o braku naturalnej indywidualności u Polaków.

Później odkrywano u Polaków rysy wspólne z innymi Słowianami i niezależnie od religii, jak dobroduszość, inaczej łagodność charakteru, brak samodzielności i twórczości samodzielnej; w końcu „improductivé slave” znalazła duży rozgłos nawet w literaturze polskiej. W ostatnich latach okazało się jednak, że Rosja nie jest tak odrębnym i obcym w Europie światem, jak myślano, a dzisiejsza ruina Rosji nie jest dla wszystkich odstraszającym przykładem.

Nie jest rzeczą nową związek między pochodzeniem plemiennym a demograficznymi objawami żywotności, które statystyka ujmuje w liczby łatwe do porównania i sprawdzenia. Włosi nie mieli powodu zachowywać wstydlivej dyskrecji wobec tego zjawiska, to też podkreślała je od dawna nauka włoska. Utrzymywali je Niemcy w dokładnej ewidencji ze względu na Polaków i już Bismarck odwoływał się do demografji na usprawiedliwienie swej polityki. Nowa polityka nacjonalistyczna amerykańska nadała wielki rozgłos nierównej żywotności narodów i uczyniła z niej hasło bojowe przeciw imigracji ludów żywotnych. Zrozumiałe jest, że głośne w Ameryce zagadnienie demograficzne znalazło w Polsce pierwsze echo w Kwartalniku emigracyjnym. Choć ciągle jeszcze w statystyce ruchu ludności dużą lukę tworzą Chiny i wielka część Afryki, to wnioski ogólne są już możliwe, dla Europy zaś na podstawie bogatego materiału można wykreślić dokładną mapę etnograficzną, nie zwracając uwagi na granice polityczne i językowe, a tylko na pomiary antropologiczne, oraz na skale urodzeń, śmierci, przyczyn śmierci, samobójstw, przestępstw. Wobec obfitości tego materiału występuje wyraźnie nietylko znana już dawniej prawda, że pod wpływem kultury nowożytnej odstępują narody od naczelnego prawa życia, którego treść znajduje się nie bez racji na czele Instytucji oraz Pandektów prawa rzymskiego²⁾). Okazuje się, że stopień naruszenia tego prawa idzie na całym świecie równo-

legle z pokrewieństwem plemiennym, że ludy żyjące w takich samych lub podobnych warunkach zewnętrznych, ustawione wedle odległości, jaka je dzieli od prawa naturalnego, stoją tak blisko siebie, jak na drzewie genealogicznym, rysowanym przez etnografów i antropologów.

Demografia podkreśla daleko mocniej odrębność Polaków od innych narodów, niż zdarzenia zauważone i opisywane przez historyków i na tle demograficznym wygląda indywidualność polska miejscami na świetne odosobnienie. Choć organizm polski jest widocznie wrażliwy na niszczące warunki współczesnej walki o byt, to jednak odporność Polaków jest zjawiskiem bodaj że wyjątkowym wśród białych ludzi. Skala urodzeń w województwie Śląskim trzymała się u ludności katolickiej do r. 1925 powyżej 3%, t. j. 30⁰/₀₀, jeszcze obecnie (w r. 1927) niewiele jest niższa, zjawisko jedyne wśród krajów górniczych całego świata. Podobną odporność na warunki życia najbardziej zabójcze znajdujemy tylko na Śląsku Opolskim u tego samego ludu.

W r. 1925 wynosiła skala urodzeń 29⁰/₀₀ w rejencji Opolskiej, tyleż w rejencji Olsztyńskiej (na Mazurach); była to skala w Niemczech wyjątkowa, bo dopiero na drugim końcu Rzeszy, w rej. Trewirskiej pod Renem, dochodziła ona do 27⁰/₀₀. wszędzie indziej była niższa, przeciętna zaś skala w całych Niemczech dochodziła do 21⁰/₀₀. Kiedy w dwu latach następnych spadły urodzenia w całych Niemczech procentowo i absolutnie, wynosi ona 26⁰/₀₀ na Śląsku Opolskim, ale jeszcze góruje nad innymi krajami przemysłowymi Niemiec, gdzie waha się około 2%, lub nawet nie dochodzi do tej skali, np. w Brandenburgji bez Berlina wynosi 17⁰/₀₀, w Saksonji południowej 16, wreszcie w Schlezwigu - Holsztynie, który nie jest przeludniony ani przemysłowy, schodzi skala urodzeń do 17⁰/₀₀.

Skala 27 na Górnym Śląsku i 17 w Schlezwigu jest dość wyraźną, choć jeszcze niedostateczną miarą żywotności dwu ludów, Sasów i Polaków z następującymi poprawkami: na przemysłowym Górnym Śląsku żyją robotnicy w niesłychanej nędzy, która wywołała rozgłos nawet w prasie berlińskiej, zaś w Schlezwig jest krajem rolniczym i proletarjat miejski jest tam nieliczny; nadto skala górnośląska jest obniżona przez Niemców i wypadłaby niewątpliwie wyżej, gdyby ją obliczono dla Polaków lub dla katolików.

Porównywanie żywej siły w granicach Niemiec jest szczególnie pouczające, bo daje ono miarę odporności różnych szczepów, należących do Rzeszy, a wystawionych od kilku wieków na wpływy tej samej kultury, bo dzisiejsze warunki życia są tam podobne, wreszcie technika statystyczna jest tam jednakowa. Skoro jednak żywa siła wśród Polaków i Niemców wykazuje tak duże różnice i to od dziesiątków lat, jedynym ich wytłumaczeniem jest odmienna rasa ludności, to jest te właściwości, które wytworzyły się osobno wśród Polaków, osobno wśród Niemców w ciągu tysięcy lat odrębnego życia w warunkach odmiennych.

Starożytność osadnictwa polskiego, której ślady archeologiczne sięgają 3 a może 4 tysięcy lat wstecz, a ciągłość jego potwierdzona jest przez etnografię, ta starożytność narodowa wyjaśnia zjawisko na pozór zdumiewające, że sześć wieków wpływów niemieckich nie wystarczyło na zniweczenie na Górnym Śląsku indywidualności narodowej, skryształizowanej z dawien dawna i że utrzymał się jej charakter przynajmniej w rzeczach elementarnych. Równocześnie potwierdza się spostrzeżenie, że lud starożytny, to jest takie społeczeństwo, które od wielu wieków nie zmieniło ani krwi, ani ojczyzny, jest znacznie odporniejsze na zmianę warunków życia, natomiast w nowych lub odmłodzonych narodach łatwiej wydobywają się na front jednostki przedsiębiorcze i zdobywcze. Wiadomo, że naród niemiecki i jego dzisiejsze szczepy są kreacją wieków średnich, że w ciągu tej epoki zmieniło się wszystko, zaczynając od religji i sposobu życia, kończąc na języku i składzie plemiennym krajów niemieckich, gdzie statystyka nowożytna stwierdza niezwykłą ruchliwość ludności, która wygląda na prawdziwą wędrówkę ludów w porównaniu ze spokojniejszymi krajami.

Na tle życia niemieckiego, które w złem i dobrem są tak często naszym przeciwieństwem, występuje wyraźniej odrębność polska, której istotnym źródłem jest mocne wrosnięcie w ziemię. W czasie wojny światowej wystąpiło ono w całej rozciągłości. W ciągu 10 miesięcy masa ludności wszystkich niemal warstw trzymała się mocno swoich siedzib, mimo kolejnych pochodów i odwrotów obu armji, jakby niewrażliwa na grozę wojny. Chłop tarnowski, orzący swą ziemię na linii ostrzeliwanej przez artylerję i przekazany pamięci piórem Żeromskiego, świadczyłby o tem, że rasa nerwowa, jaką jest lud tamtejszy, nie na wszystkie

podniety jest jednakowo wrażliwa i nie odrodziła się bardzo od swoich pradziadów, których opisuje Długosz na początku swej Historji. Nadeszła sławna ewakuacja w czerwcu r. 1915, kiedy dowództwo rosyjskie postanowiło przy okazji odwrotu wyludnić Polskę i ułatwić zadanie dyplomacji. I okazało się, że ewakuacja ogarnęła na wschód od Bugu $1\frac{1}{2}$ miliona z górą ludzi, zaś z tej strony Bugu dochodziła do pół miliona osób wszelkiego stanu, w czym masowy udział wzięła tylko jedna warstwa: Rusini z Chełmszczyzny i Podlasia. Owoce długotrwałej rusyfikacji zostały zniweczone, bo nie udało się wziąć w jasyr dużej masy Polaków, a posłuszny żywioł ruski opuścił ojczyznę. Nie był również bez znaczenia fakt, że wysiedleni Polacy wrócili w dużej liczbie już w r. 1918, Rusini zaś zjawili się masowo w r. 1921 po odbudowaniu Polski.

Nowoczesna metoda historyczna polega na wyjaśnieniu zdarzeń odległych i niewiele znanych przez analogję z wypadkami nowszymi i lepiej znanymi. Otóż ewakuacja r. 1915 jest nie tylko sama przez się doniosłym zdarzeniem historycznym, wyjaśnia nam ona zagadnienie dziejów starożytnych, jak mógł szczep lacki ostać się w tych samych siedzibach, gdy przez nasz kraj wędrowało tyle ludów i potem znikало z oblicza ziemi.

Niemcy są ruchliwsi od Rusinów i nie trzeba grozy wojennej, ani nawet rozkazu władzy, żeby ich zachęcić do ewakuacji cudzego kraju. Masowe opuszczanie Poznańskiego i Pomorza nietylko bezpośrednio po wykonaniu Traktatu, ale i w następnych latach, przypomina starą prawdę, że nie ziemia, lecz szczep (Sippschaft) jest ojczyzną ludów wędrownych. Sądząc po ilości małżeństw ewangelickich, dochodzą obecnie Niemcy w Poznańskim i na Pomorzu ledwie do $\frac{1}{10}$ ludności, nadto wymiera tam w rodzinach niemieckich bez mała taka ilość osób, ile na świat przychodzi. Po upływie siedmiu lat nowego życia jest żywioł niemiecki w podobnym stanie wymierania, w jakim był żywioł lacki w Brandenburgji po paru wiekach ucisku.

Oto głęboka różnica narodowa, która nas dzieli od sąsiadów wschodnich, a jeszcze więcej od zachodnich, gdzie niewątpliwie występuje przeciwieństwo nie tylko dwu narodów, ale dwu ras, dwu instynktów odziedziczonych z dawien dawna.

Te rasowe różnice działają czasem także na niekorzyść Polaków.

Znana jest zdawna niepospolita żywotność ruska. Pragnąc na razie wyjaśnić stosunek szczepu laskiego wśród ludów ościenych, zauważymy, że lud ruski nie jest jednolitą rasą i już temsamem jego żywotność występuje z nierówną siłą w różnych stronach kraju, przyczem język dzisiejszego pokolenia nie odgrywa oczywiście żadnej roli, choć w wielu wypadkach schodzi się z językiem ruskim wielką żywotność, która potrafiła wchłaniać liczne pokolenia kolonistów i zachować nadal siłę asymilacyjną. Widać z dawniejszej ewidencji ruchu ludności, że po uwłaszczeniu chłopów w wszystkich ziemiach dawnej Polski przekraczała skala urodzeń 4% i dochodziła nawet do 5% w stosunku do całej ludności swego kraju, to samo zjawisko zauważono w innych krajach języka słowiańskiego i umocniło ono w świecie przekonanie o rasowej jedności wszystkich ludów mówiących po słowiańsku. Wprawdzie to zjawisko, trwające przez kilkadziesiąt lat, a nie spotykane w tych rozmiarach u innych narodów białych, przemawiało wyraźnie za pokrewieństwem rasowym, ale na tej zasadzie należałoby wyłączyć z rodziny Czechów, którzy pod tym względem nie różnili się od wielu Niemców. W granicach Austrii była skala urodzeń niższa od przeciętnej i w Czechach i na Morawach. Po wojnie jest przeciętna czesko-słowacka skala urodzeń ($24^0/00$) dalej od polskiej niż od niemieckiej. Skala przeciętna jest prawdopodobnie bliska narodowej czeskiej, którą podwyższają Słowacy, Ślązacy i Rusini, obniżają zaś Niemcy i tak neutralizują się przy oznaczeniu przeciętnej liczby. Odrębność czeska nie jest niespodzianką dla antropologów, którzy uważają Czechy za dziedzinę tych samych ras, które w sąsiednich Alpach mieszkają obok siebie i tam również wykazują średnią żywotność.

Przystąpiliśmy do głównego zagadnienia niniejszej pracy i przekonamy się, jaki jest stosunek między pochodzeniem plemiennym a demografią ludów Rzeczypospolitej. Przedewszystkiem ludność rdzenna góruje żywotnością nad kolonjami obcymi starszej i nowszej daty, zjawisko naturalne, bo zarówno Żydzi jak Niemcy są znani z powolnego rozwoju naturalnego, natomiast dwa szczepy rodowite, osiadłe w Polsce od wieków, zajmują pierwsze miejsce w świecie przez swą żywotność i odporność na wszelkie warunki życia, wreszcie jeden z nich góruje nawet rozrodczością, prawie że nad wszystkimi narodami. Nie tak

jaskrawe, ale jednak widoczne są różnice między rodowitymi szczepami.

Polacy i Rusini należą do tych niewielu narodów, u których przez długie lata dochodziła skala urodzeń do 5%; wyrażając się jeszcze dokładniej, wypada wspomnieć, że tylko w dużej części Polski i na znacznie większym obszarze ziem ruskich stwierdzono ponad wszelką wątpliwość i w ciągu długich lat tak wyjątkowo szybki rozwój naturalny. Utrzymywał się on przed wielką wojną powyżej 4%, choć nie na całym obszarze kraju. Najwcześniej i najmocniej obniżała się skala urodzeń w ziemiach litewskich i łotewskich i to na całym ich dawnym obszarze etnograficznym, m. in. tam, gdzie już nikt nie zna języka litewskiego. Spadła po r. 1900 do 3% w ziemi Wileńskiej, jeszcze niżej na Żmudzi, na Łotwie zaś i w Estonji obniżyła się nawet do 2%. Ten sam kierunek rozwoju trwa nadal w warunkach politycznych nowych i korzystniejszych. W r. 1926 wynosiła skala urodzeń na Litwie kowieńskiej $28^0/_{00}$, na Łotwie i Finlandji 22, tyleż co w Norwegji i Danji, w Estonji spadła skala poniżej $17^0/_{00}$, tak samo jak w Szwecji, co wszystko jest w najzupełniejszej zgodzie ze znaną nam zasadą i z powolnym rozwojem wszystkich ludów rasy północnej, przyczem występuje także dobitnie odrębność Litwy wśród narodów północnych.

Powszechne spisy ludności stanowią cenną kontrolę wywiadów o ruchu naturalnym. Na obszarze dawnego zaboru rosyjskiego przeprowadzono dwa szczegółowe spisy i oba wykazują takie same różnice etnograficzne w żywotności jak dawny i nowy nadzór nad liczbą urodzeń i zgonów. Gdzie skala urodzeń była wysoka, tam pokolenie młodzieży stanowi wysoki procent, który zniża się wszędzie w miarę obniżania dawniejszej skali urodzeń.

Zacniemy od spisu polskiego z r. 1921 i ograniczymy się tu do porównania tylko rdzennej ludności. Ludność wiejska katolicka i prawosławna może uchodzić za przedstawicielkę tego typu. W imię tej zasady nie wciągamy do tego rachunku ludu polskiego tam, gdzie rozsypany on jest w kolonjach wśród masy ruskiej, zależy bowiem na przejrzystym obrazie starodawnego osadnictwa. Młodzież wiejska do lat 19 tworzyła w Polsce prawie połowę ludu; w r. 1921 wynosiła $496^0/_{00}$ ludności wiejskiej całego Państwa. Odchylenie od tej przeciętnej krajowej skali nie są znaczne na obszarach tak dużych jak województwa. Naj-

niższa była ona na Śląsku, skąd brak dokładnego obliczenia, następnie w krakowskim (476⁰/₀₀), najwyższa w woj. Łódzkim; 519. Liczba młodzieży przekraczała połowę ludu w całej Wielkopolsce wraz z Pomorzem, oraz w wszystkich ziemiach o charakterze ruskim. Na kontury tego obrazu mogły wpłynąć straty wojenne, które nie były równomierne w wszystkich stronach kraju. Prawdziwszy obraz siły młodzieży da nam stosunek ilości dziewcząt do całej płci żeńskiej. Jakkolwiek nieletnie dziewczęta także padały ofiarą wojny wskutek głodu i epidemji, mimo to obraz żywotności będzie trafny i cyfry statystyczne będą użyteczną wskazówką etnograficzną. Zestawienie nasze obejmuje pokolenie dziewcząt, urodzonych w pięciu latach 1907—11, które w czasie wojny wyszły już z niebezpiecznego wieku niemowlęctwa. To pokolenie było jeszcze narażone na pomory wojenne więcej od starszych dziewcząt, dlatego też wciągamy do rachunku tylko wieś, gdzie ciężkie warunki życia były jednostajniejsze na całym obszarze kraju. Nadto liczba tego pokolenia nadaje się najlepiej do porównania, zarówno w poszczególnych ziemiach polskich, jak i do porównania całej Polski z innymi krajami. To też równie dobitnie jak zrozumiale występuje w tym demograficznym oświetleniu indywidualność Rzeczypospolitej i jej ludów.

I. Na 1.000 kobiet przypadało dziewcząt dorastających:

Rok spisu		✓	Rok spisu	
1921	na wsi polskiej . . .	133	1924	na Ukrainie . . .
1919	na Górnym Śląsku . .	102	1923	„ Litwie . . .
„	na Mazurach pruskich	99	1925	„ Łotwie . . .
„	w Państwie Pruskiem	82		

Młodzieńczy charakter wsi polskiej i ukraińskiej występuje prawdopodobnie także w Rosji i Rumunii, pozatem jest odosobniony między sąsiadami i w reszcie Europy. Dopiero w Japonji i w równie żywotnych krajach Ameryki łaćwińskiej spotyka się podobną siłę młodzieży. U ludu polskiego, który został pod panowaniem pruskim, młodzież jest liczniejsza niż na tem zestawieniu, gdzie Niemcy obniżają skalę przeciętną, jednak mniej liczna niż po tej stronie granicy. Wśród rdzennych szczepów narodu polskiego niema takich różnic w sile młodzieży. Mimo to odbijają wyraźnie w drugim zestawieniu dwa odrębne obszary żywej siły od strefy środkowej, gdzie rozwój naturalny ludu

odbywa się w wolniejszym tempie. Ogniskiem jednego obszaru są brzegi Warty, ognisko drugiego znajduje się nad Dnieprem poza naszymi granicami.

Zgodnie z historją i etnografją obejmuje obszar wielkopolski Polskę pierwotną w granicach X i XI wieku. Charakterystyczna żywność ludu występuje równie mocno na Pomorzu, jak w Poznańskim, Kaliskiem i Sieradzkim; typ wielkopolski zlewa się stopniowo z warszawskim, który panuje nad Wisłą. Na południu obraz prawdziwy jest zatarty, bo z etnografją nie liczą się granice województw, ani dzisiejsze ani dawne. W Beskidzie jest ognisko odmiennego typu fizycznego, który odbija od żywiołu lackiego budową ciała i wolniejszym biegiem rozwoju. Sprawa jest dość zawiła, więc jeszcze do niej wrócimy. Zupełnie wyraźne i zgodne z pochodzeniem plemiennym ludności jest opadanie siły młodzieży na wschód od Warszawy.

II. Dwa ogniska siły młodzieży.

Na 1.000 kobiet wiejskich, rzymsko - kat., grecko - kat., prawosławnych przypadało dziewcząt od 10 do 14 lat tego samego wyznania:

Rzymsko - katol.:		Prawosławne:	
Woj. Pomorskie	139	Woj. Białostockie	140
„ Poznańskie	137	„ Nowogródzkie	} 144
„ Łódzkie	138	„ Poleskie	
„ Warszawskie	133	„ Wołyńskie	} 142
„ Kieleckie	134	„ Grecko - katol.	
„ Lubelskie	130	„ Lwowskie	
„ Nowogródzkie	131	„ Stanisławowskie	
„ Białostockie	124		
„ Krakowskie	129		
„ Lwowskie	137		

Jednostajny w całym niemal kraju jest obraz żywiołu ruskiego. Skala 142 jest miarą młodzieńczego wyglądu wsi ruskiej i panuje na całym Wschodzie od Beskidu do Niemna. Wieś wielkopolska jest tak samo jednolita od źródeł Warty aż do morza. Na tem tle wyraźnie odbija woj. Białostockie, gdzie ślady litewskiego pochodzenia obniżają siłę młodzieży widoczniej u katolików niż u prawosławnych, bo żywioł litewski był katolickim, a tylko w mniejszej części wchodził tam do społeczeństwa białoruskiego. Przeciętna skala dla dziewcząt całego kraju wynosi 133; występuje ona w licznych powiatach po obu brzegach

Wisły i opada w kierunku Niemna i Buga. Nasuwa się zatem pytanie, czy może spotkanie i skojarzenie żywiołów dużej i słabej żywotności doprowadziło do starcia różnic rozwoju. Odpowiedź na to pytanie ułatwia nam wynik poprzedniego spisu z r. 1897, z epoki szybkiego ruchu naturalnego.

III. Na 1.000 osób wszelkiego stanu przypadało dzieci do lat 9:

w Królestwie Polskiem:	w gub. Liwońskiej	207
na zachód od Wisły	„ Kurlandzkiej	222
na wschód od Wisły	„ Kowieńskiej	252
na Wołyniu	„ Suwalskiej	260
na Ukrainie	„ Wileńskiej	272
w gub. Mińskiej	„ Grodzieńskiej	275
„ Mohylowskiej		306

To zestawienie obejmuje całą ludność kraju, a także ludność żydowską, która obniża skalę na Rusi, a podwyższa na Litwie. Mimo to obraz etnograficzny jest dość pouczający. Skala wieku jest wszędzie zgodna z skalą ruchu naturalnego według wywiadów ogłoszonych przed r. 1897. Gdzie skala urodzeń wynosiła od 44 do 50⁰/₀₀, tam na wiek dziecięcy przypada więcej niż 280⁰/₀₀. Gdzie zaś w latach 1887—97 skala urodzeń obniżała się ku 3%, tam skala wieku młodocianego jest niższa i to w każdej prowincji odpowiednio do zmniejszenia urodzeń. Taki sam obraz porównawczy daje zestawienie skali wieku w naszych województwach w późniejszym pokoleniu wedle spisu z r. 1921. Jednak obraz pełniejszy mamy za r. 1897 i w nim występuje zarówno rozsiedlenie jak żywotność szczepu laskiego w starszych ziemiach Korony Polskiej, mniejsza rozrodczość i niższa od ruskiej śmiertelność dają rodzinę równie liczną. Napięcia żywotności tak samo nierówne stwierdzała demografia rosyjska w tych ziemiach od r. 1880 do wybuchu wojny i te różnice są najwierniej potwierdzone przez najpoważniejsze źródło statystyczne, jakie zostało z minionej epoki. Ciągłość rozwoju widoczna jest także ze statystyki polskiej za lata ostatnie; notuje ona szereg zmian lokalnych i trwałość tych samych różnic etnograficznych³⁾.

Dwa obszary wielkiej żywotności nie są w bliskim sąsiedztwie i teoretycznie byłoby trudne do pomyślenia długoletnie sąsiedztwo

dwu żywiołów o wysokiej prężności. Na początku historii Polski Piastowskiej i Rusi kijowskiej był szczerp lacki oddzielony od wschodniego Litwą i ludem południowym rasy odrjatyckiej, który siedział w Beskidzie i dotąd go zajmuje. W epoce wcześniejszej obejmowała Litwa rozległe ziemie od Dźwiny do Wisły i dochodziła do tych obydwu rzek nie tylko u ich ujścia. O losach i rozwoju ludu górskiego nie mamy wiadomości poza tem, że stamtąd wyszli na wędrówkę Chorwaci, która zawiódła ich do dzisiejszej ojczyzny. Zarówno Polacy jak Rusini, górując żywotnością nad tymi pośrednimi ludami, rozszerzyli ich kosztem swe osady i dziś stykają się z sobą na długości stu mil. Przytem okazuje się, że ludy litewskie, wchłonięte przez kolonizację polską, pozostawiły ślady nie tylko w języku i w typie fizycznym, ale i w instynktach, przebijających się w sposobie życia. Im bliżej dzisiejszej Litwy, im nowszej daty jest osadnictwo polskie, tem widoczniej zbliża się wzrost, postać i rozwój naturalny do typu żmudzkiego. Analogiczne objawy spotykamy na Podgórzu. Tu również widzimy ślady krwi ludów górskich, zarówno w krakowskiem wśród Polaków, jak w Beskidzie wschodnim wśród Rusinów, ale zjawisko jest bardziej zawile bo najmniej dwie różne rasy zmieszały się tam z rasą wschodnią i z szczerpem lackim. Następnie kolonizacja nowożytna zatarała rysy, wykształcone w wiekach średnich, wskutek czego Podgórze robi na pierwszy rzut oka wrażenie porozrywanej szachownicy etnograficznej, gdzie w powiatach niezawsze sąsiednich występują obok żywiołu lackiego smugi rasy wschodniej, odrjatyckiej i zdaje się innego jeszcze szczepu obcego.

Rozsiedlenie żywiołu polskiego, rozpierając się szeroko na wielkich dolinach od dolnej Warty do Niemna, zwięża się nagle zarówno w kierunku gór, jak w stronę morza i robi dziwne wrażenie na mapie dzisiejszej Europy. Jednostajna dziś równina, zjednoczona w jedną organiczną całość przez bieg Wisły wydaje się jakby stworzona na zwarty blok jednego narodu, zwłaszcza tak żywotnego.

Geografia przedhistoryczna wyświelta nam tę zagadkę. Świeżej daty jest dzisiejszy kierunek wód polskich, postać morza i oblicze ziemi. Osadnictwo naszych pradziadów rozwijało się na tle sieci wodnej, pozostałej po poprzedniej epoce geologicznej i to jest bodaj najbardziej przekonywującym dowodem jego sta-

rożytności. Na mapie dzisiejszej zdaje się, jakby wisało w powietrzu, bo nie widać żadnej podstawy naturalnej, a miało ono potężną i skuteczną ostoję w starożytności, gdy z gniazda łużyckiego posuwały się placówki w stronę Brześcia Kujawskiego i Brześcia Litewskiego. Niegdyś rzeka równie potężna jak Dunaj, zwana Prawisłą przez geografów, zbierała wody z całej Polski i Litwy i zlewała się z Łabą poniżej Magdeburga. Wody Prawisły tworzyły tak potężną osłonę na zewnątrz i tak doskonałą sieć dróg wewnętrznych, jaką można było znaleźć jeszcze tylko na ówczesnym Dunaju. Łożysko Prawisły i jego późniejsze łęgi były istotnym warunkiem, dzięki któremu posuwało się osadnictwo łużyckie w tym właśnie kierunku i zachowało się tam na obszarze, dziś z wszystkich stron otwartym, dlatego trudno zbyt mocno podkreślić doniosłość dawniejszego oblicza naszej ziemi, które nie od razu lecz stopniowo z roku na rok doszło do dzisiejszego wyglądu. Ta sama metamorfoza odbywa się zresztą nadal w tym samym kierunku. Dziś wysokość bez względu łożyska Prawisły wynosi 65 m. między Bydgoszczą a Nakłem, tyle co wysokość brzegów dzisiejszej Wisły poniżej Modlina. To też rozlewała się ona szerokimi łachami, a niegdyś płynęła Prawisła przez jeziora, z których największe ciągnęło się od Bydgoszczy do Brześcia kujawskiego i zalewało całą dzisiejszą równinę kujawską. Kontury tych zagłębień, wypełnionych przez jeziora, gdy poziom wód był o 30 metrów wyższy od dzisiejszego, są widoczne na mapach Romera, zaś na mapach wojskowych i oczywiście na samym terenie występują wyraźniej brzegi starożytnych jezior, choć stopniowo zaciera je erozja. Wiek nowego ujścia Wisły na Chełmno i Grudziądz nie jest dokładnie znany i być może jest dawniejszy od osadnictwa starożytnego, które rozwijało się pod osłoną tych jezior i z nich żyło. Dla naszego tematu jest ważniejsze, że łęgi Prawisły trwały nadal po przerwaniu krótszej drogi do morza i pozostały w martwych ramionach rzecznych, w jeziorach powoli spływających w miarę pogłębiania nowego koryta Wisły, następnie w bagnach i mokradłach, których resztki pozostały do dziś dnia, jako zabytki wyższego poziomu Wisły i jej dopływów. Jeszcze na początku epoki historycznej była Polska na około osłonięta bagnami trudnymi do przebycia: wzdłuż Odry, Noteci i środkowej Wisły. Drugą osłoną nie mniej skuteczną był klimat polski: znacznie surowszy wilgotniejszy

i chłodniejszy niż nad Dunajem, sprzyjał on więcej gęstwinie drzew liściastych niż uprawie zboża. Był on słabą atrakcją dla ludów rolniczych, które nie tylko na Zachodzie i Południu, ale także na Wschód od Polski znajdowały lepsze warunki, nie interesował ludów pasterskich, które szukały pól otwartych, nie pociągał obfitości łąpów ludów północnych, które nie poprzestając na doraźnej grabieży, osiadały chętnie między skrzętnymi rolnikami. Na tle niegościnnego wejrzenia ziemi, osłoniętej smugą wód prawisłanych, zrozumiałe jest, że wzdłuż jezior ówczesnych ciągnęły się długim pasem osady tej samej kultury, że przez tysiące lat rozwijały się tam jednakowo zarówno upodobania, jak i wymagania życiowe.

Niektóre przyzwyczajenia nabyte w ciągu tysięcy lat jednostajnego życia, dotrwały do naszych czasów. Do niedawna dziwowali się obcy goście okazałości kościołów polskich, wyszukanyim strojom i bogatej sztuce ludowej, co tem mocniej odbijało od prostoty i ubóstwa zagrody wiejskiej. Ten sam rys uderza archeologów w starożytnych zabytkach po osadnictwie łużyckim, gdzie również widać wielką dbałość o upiększenie życia i skromne wymagania do wyglądu domu lub do podobnych życiowych dogodności. Osady naszych pradziadów szukały sąsiedztwa wody i gąszczy leśnej; jedna i druga była źródłem życia, a przytem osłoną lub schronieniem na wypadek najazdu. Osady tej kultury urywają się w górach i na Wschodzie, gdzie znikwały drzewa liściaste i w miejsce knieji gęsto podszytej zjawia się bardziej przejrzysty, suchy i dostępny bór sosnowy lub świerczyna. To też ojcowie nasi nie posuwali się w góry, które jeszcze pod koniec wieków średnich były dla nich obcym żywiołem. Ludzi żyjący z myśliwstwa i łowiectwa tak samo jak z hodowli i rolnictwa i nie przywiązany staranną uprawą do ojczystego zagona, nie wysiłał się na budownictwo. Nędzną lepiankę, opartą na słupach, można było opuścić bez żalu i w ciągu paru dni postawić taką samą osadę w bezpieczniejszym ustroniu. To też przez długie wieki stawiano chaty z takiego samego materiału, z jakiego dziś grodzi się plecione płoty, mimo że dobry materiał był pod ręką w ilości nieprzebranej. Nastąpiła prawdziwa metamorfoza, gdy przyszła z południa chałupa, budowana z okrągłaków i oparta na węglach; w narzeczu góralskim zachowała się nawet jej nazwa w czystym greckim brzmieniu: koliba. Schronienie domowego ogniska w po-

staci chałupy wystarczyło znowu na długie wieki, a na szerokich dworach spotykało się w rozmiarach powiększonych rysy tej samej architektury. Dopiero pod koniec wieków średnich nie kontentują się już wielcy panowie grodami i grodzonym częstokołem, lecz na sposób włoski murują, a z czasem w wieku XIX dostał się włoski komin murowany do starożytnej chałupy i to była druga wielka metamorfoza naszego wiejskiego domostwa w ciągu tysięcy lat ⁴). Za czasów Długosza odbijały widocznie wsie czeskie i niemieckie od polskich, bo wygląd wsi polskich uważa on za oryginalność swojską, godną uwagi.

Oto zabytek z czasów, gdy bagnista knieja dawała schronienie tak bezpieczne, że lud był gotów do ucieczki w każdej potrzebie i nie myślał krępować swej swobody przez budownictwo mozolne i kosztowne.

Znany jest niewątpliwie historykom piękny wstęp o osadnictwie i obyczaju rosyjskim, od którego zaczyna Kluczewski swą Historję Rosji. Jest to barwny i godny zapamiętania obraz zawziętej walki, którą rusczy ludzie wiedli z lasem, nie mieli oni zresztą więcej miłości do stepu niż do lasu i odetchnęli pełną piersią dopiero wówczas, gdy wydobyli się na jasne wody matki Wołgi. W kilkunastu kartach tego wstępu historycznego zawarta jest głęboka i odwieczna indywidualność narodowa Rosji w porównaniu z sąsiednimi narodami: Litwą, Ukrainą i Polską i nie bez powodu znalazł się ten opis na czele klasycznej historii rosyjskiej; jest to istotne jej ujęcie ze strony najświetniejszej. Od początku swoich dziejów szukał naród rosyjski drogi w cieplejsze strony i chociaż jej nie znalazł, ogarnął i posiadał wielką część Starego Świata.

Rzucają się w oczy odmienne koleje losów Polski i przeciwieństwo naszego instynktu narodowego. Dla Polaków i Litwinów las nie był wrogiem, lecz ostoją warowną i matczynikiem. Nie przez przypadek zdarzyło się, że miłością lasu natchniona jest najpiękniejsza księga, napisana w naszym języku.

Pod osłoną knieji mogły żyć ludy lackie i litewskie w szczęśliwym odosobnieniu, nie uznając obcej zwierzchności. Niechęć do wszelkiej władzy centralnej, podniecona przez miłość najbliższej ojczyzny, była zresztą głęboko zakorzeniona u wszystkich ludów, których gniazdem była Europa środkowa. Achajowie zanieśli ją do Grecji. Italikowie do Włoch, gdzie dopiero pod

naciskiem najazdu galijskiego i na wynikłych stąd ruinach stał się możliwy podbój rzymski. Na łągach polskich, na tle starożytnego ich oblicza było możliwe utrzymanie osad ludzkich w takim stroju, jaki panował również dzięki naturalnemu odosobnieniu w Helladzie klasycznej. U Lachów zachodnich, Pomorzan i Prusaków, przetrwał do XIII wieku ten ustrój, gdzie ojcowizna jednego rodu była ojczyzną. Także w Serbji zachował się on mimo godności królewskiej aż do podboju tureckiego, w Czarnogórze nawet do naszych czasów.

Jest to istotny rys, tworzący prawdziwą przepaść między wszystkimi narodami Zachodu a ludami wschodniej rasy; te ostanie wydobyły się nieraz z pod jarzma obcego, chcąc również zakosztować wolności i popadały natychmiast w nową niewolę.

W starożytnej Polsce obwarowanej tysiącem jezior i bagien, każde niemal opole leżało w dobrej pozycji obronnej w stosunku do sąsiadów, przymierze zaś kilku ziem, dobrowolne czy narzucone, polepszało oczywiście tę naturalną warownię. Nie trzeba było dochodzić do gór lub mórz dla zdobycia naturalnego oparcia; leżało ono na ojczystej miedzy, a skuteczność jego była doświadczona tyle razy przez przodków. W warunkach pomyślnych dochodziła Polska do morza, a przez 400 lat opierała się nawet o góry dość szeroko, ale potrzeba szukania granic naturalnych i zdobywania ich była obca umysłowi polskiemu. To też osady kultury łużyckiej w odległej starożytności, tak samo jak osady polskie czasów nowszych ciągną się bardzo długą smugą, około Brześcia rozszczepiają się w dwu kierunkach, a najmniejszy mają rozmiar na wysokości Gdańska, a potem na stokach karpackich. Za Bolesławów były one mimo to otoczone i osłonięte skutecznie przez bagna znacznie dziksze od dzisiejszego Polesia. Gdy pogłębiające się łożyska rzek doprowadziły łęgi do osuszenia, zawisły ziemie polskie w powietrzu i nagłe wtargnięcie do środka Polski nie było dla nieprzyjaciela takim ryzykiem jak w XI wieku.

W świetle tej ilustracji geograficznej zrozumiałe jest, że dawna Polska nie mogła wzrastać szybko w bogactwa i ludzi, że masowe trzebieenie lasów i osuszanie bagien było praktykowane przez Polaków znacznie później niż przez Niemców.

Łabytki wód i bagnistych lasów, pozostałe z poprzedniej epoki geologicznej, odgrywały dużą rolę w rozwoju osadnictwa

nie tylko w czasach przedhistorycznych, gdy brakło mocniejszej organizacji wojskowej, ale i długo później, gdy mimo tej organizacji pozostały szerokie połacie kraju nadal pod grozą najazdów.

Rodzaj gleby był czynnikiem rozstrzygającym zarówno w starożytnej jak w nowszej epoce. Wielkie obszary kraju nie nadawały się wogóle do uprawy ani nawet na łąki w oczach naszych ojców, jako to, piaski, łąki i inne tereny drzew iglastych. Gleba polska jest formacją młodą i na znacznej połaci nie wiele starszej daty od narodu, który z niej żyje. Tem większej wartości nabierały łąki, wyrastające z wody na opuszczonych korytach rzecznych, w miarę stopniowego pogłębiania łożyska rzek i wolnego osuszania kraju. To też osady laskie wyrastały najczęściej na *łęgach* czyli *lachach*, to jest na *połaciach* ziem, świeżo opuszczonych przez wody; tam stopniowo rosła łąka kosztem bagna, a z czasem jej żyzna *rędzina* dawała obfite plony. Gdy na łąki dostał się posiew lasu, wyrastały tam drzewa bujniej niż na wysokim brzegu i gęszcz leśny podnosił skutecznie bezpieczeństwo sąsiedniej wsi. Osady ludzkie, ukryte w ustroniach, które jeszcze niezupełnie wynurzały się z wody, robiły oryginalne wrażenie na sąsiadów, siedzących na suchych stokach, to też kraj i lud nazywali Lachami. Jeszcze do niedawna w niektórych stronach dawali górale tę nazwę sąsiadom swoim, równiakom.

O Lachach, Lechach, Lechitach krążyły niegdyś fantastyczne historie i dziś jeszcze widać ze słowników etymologicznych i z świeżych dzieł historycznych, że pochodzenie nazwy, a tem samem jej znaczenie historyczne nie jest dotąd znane. A ponieważ ta praca jest w dużej części poświęcona osadnictwu laskiemu, więc wypada w szkicu demograficznym zatrzymać się na naszym imieniu narodowym.

Wyrazy: *łęg*, *łąg*, *ług*, *łęk*, *lag*, *lak*, są rozmaitymi sposobami wymawiania tego samego tematu, wspólnego wszystkim językom europejskim; pierwotnie oznaczał on zagłębienie a to zarówno naturalne: koryto rzeki, jeziora, jak sztuczny rów lub wydrążenie w drzewie. W tem podwójnem znaczeniu występuje temat *lag* w językach; greckim, łacińskim i polskim: *lakkos lacus* — *łęg*, *lagon lacuna* — *łacha*, *lagenos*, *lagoena* — *łagiew*. Wyrazy słowiańskie: *łąg*, *ług*, *łuza*, *łuzyca*, *łuka*, *łąka*, *laka* oznaczają tak samo jak w języku polskim: koryto rzeki lub jeziora, brzeg wynurzający się z wody, mokradło. Na północ od

Karpat i Sudetów, gdzie nad krajobrazem panował las, a łąchy nad wodami zamieniały się na łąki pod wpływem ludzkiego gospodarstwa, oznaczają te wyrazy łąkę; takie ma znaczenie litewska *lenka*, łotewska *lanka*, ruskie *ług* i *łużyca*. Na południu są stoki górskie najczęściej puste, a tylko na mokradłach wyrastają gaje, to też łański *lucus*, pśd. słowiańskie *łąg*, *ług*, *lag*, *lagiet* znaczą las, gaj, zarośle.

W ustach Litwina *lenkai* (pluralis) oznacza łąki, a zarazem Polskę, *Lenkas* znaczy Polak, a zarazem łąk, łąk; Polsce przypadłaby nazwa *lenke*, ale oznacza ona dolinę, więc w braku właściwej nazwy istnieje opisanie: *Lenku žmona* — żona Polaka, kobieta polska. Dzięki językowi litewskiemu nie ulega wątpliwości, że nasi sąsiedzi nazywali Polskę w starożytności po prostu łąkami, że dziś jeszcze zachowało się poczucie tego podwójnego znaczenia i że utarta nazwa kraju przeszła następnie na nasz naród. Tak samo *Żmudź*, oznaczająca nizinę, *żeme*, przeszła w języku litewskim na lud tamtejszy (*Žemaitis*). Wyrazy *Lach*, *łacha*, *łachy* nie są niczem innym jak pełnem brzmieniem wyrazów: *łąg*, *łąka*; widoczne zatem jest, że słowiańskie nazwy, *Lachy*, *lacki* oznaczają to samo co litewskie *Lenkai*, *Lenkas*; zresztą nosowe brzmienie *Lengyel*, wzięte od Słowaków, zachowuje się dotąd w języku węgierskim na oznaczenie Polaka.

Nazwę ziemi *lackiej* i rodowód *Lachów* można tem samem uważać za ustalony. *Lachy* oznaczają to samo co *Łużyce*, które stanowiły przedłużenie naszych łągów i łąch u dolnego biegu *Prawy*sy. Nasze starożytne imię narodowe jest interesującym pomnikiem historycznym, okazuje się bowiem, że Litwa miała z naszymi łągami bliską i trwałą znajomość, skoro zachowała nazwę *Polski* w brzmieniu pierwotnem; uderzający jest również topograficzny charakter nazwy, który nie przemawia zatem, żeby w czasie jej tworzenia uważała Litwa nasze łągi za kraj obcy. Brzmienie łąk, oznaczające początkowo zakręt rzeki, przeszło później na inne wygięcie i łąki, naturalne lub sztuczne. W kraju łągów rozwinęło się od tego tematu bogate słownictwo, na drugim miejscu po polskiem idzie słownictwo ruskie, natomiast u Czechów i południowych Słowian znajdujemy tylko okruchy wyrazów, służących na oznaczenie łągów, łączywa i łąków, zjawisko któreby świadczyło raczej o historycznem sąsiedztwie niż o przedhistorycznej wspólnej ojczyźnie. Nie jest również pewne, czy

Lech, Leszka, Lechanska zemla, Lechonkini, czy te starożytne imiona Lachów i lackiej ziemi, wychodzące obecnie z użycia u Serbów i Chorwatów, oznaczają rzeczywiście to samo, co żywe i zrozumiałe nazwy litewskie, tem mniej, że wyrazy o podobnym brzmieniu i innem znaczeniu są rozpowszechnione w Europie od dawna i bardzo szeroko⁵⁾.

Natomiast jasna i wyraźna w językach słowiańskich jest nazwa Polski i Polaków i być może, znaczy ona to samo co Łużyce i Lachy; pierwotna forma językowa Polszcza nie jest dotąd wyjaśniona przez filologów.

Imię lackie przechowują w swoim słownictwie ludy, które w starożytności sąsiadowały z naszymi ojcami, zaś sąsiedzi z nowszej epoki znają nas tylko jako Polaków i Polskę.

Ten obraz rozsiedlenia jest zgodny z panującą obecnie opinią, że w starożytności siedział szczep lacki na swoich dziedzicznych łągach w środku między Litwą a narodami słowiańskimi, które posunęły się w wieku V na południe i na zachód, podczas gdy całe Pomorze bałtyckie od Wisły do Łaby zostało zajęte przez ludy lackie.

Rozwój osadnictwa mazowieckiego na obszarze Prus Wschodnich należy już do epoki historycznej. Ogarnęło ono całe Pojezierze, jego odrębność etnograficzna od Niemców widoczna jest w rejencji Olsztyńskiej w języku i w ruchu naturalnym, zaś w rejencji królewieckiej tylko w demografji. Na Pomorzu wiślanym, oraz na Śląsku Górnym zachowała ludność wiejska typową indywidualność polską zarówno w języku, jak w sposobie życia. Dalej ku zachodowi, gdzie również przez wieki średnie utrzymał się język i obyczaj polski, doszło prawdopodobnie już w czasie podboju kraju przez Lachów do skojarzenia nowego narodu krwi mieszanej. Wiadomo, że na Pomorzu zachodniem, (obecnie pruskim) i Meklemburgji, gdzie nie było władzy niemieckiej, a panowali tam książęta lackiego rodu, że w obu tych krajach była kolonizacja niemiecka znacznie słabsza niż w Poznańskiem, zarówno w wiekach średnich, jak w epoce nowożytnej i ogarniała tam tylko miasta. To też wejrzenie ludu jest polskie i zachowanie zniemczonych Pomorzan robi na Polakach nieraz bardziej rodzime wejrzenie, niż widok niektórych stron w środku Polski.

W demografji odbija się pochodzenie etnograficzne ludu

z przedziwną dokładnością, zwłaszcza gdy bierzemy pod uwagę tylko wieś, gdzie siedzi lud zdawna osiadły. Wedle skali urodzeń widać dokładnie pierwotne siedziby saskie na Schlezwigu i w Hannoverze, saski charakter Brandengurgji w przeciwieństwie nawet do Dolnego Śląska i zachodu Pomorza. Im lud jest mniej saski, tem wyżej wznosi się skala urodzeń, a najwyższa jest oczywiście na Górnym Śląsku. Dwa szlaki, lacki i saski są łatwe do rozróżnienia, nawet w tych prowincjach, gdzie się z sobą splatają.

SKALA URODZEŃ W WSCHODNICH NIEMCZECH.

Szlak lacki E→W	Wieś r. 1925	Kraj r. 1913	Szlak saski: N→S	Wieś r. 1925	Kraj r. 1913
Rejencja Opole	32	36	Rejencja Schlezwig	20	25
„ Wrocław	27	27	„ Stade	22	27
„ Lignica	25		„ Luneburg	19	
„ Merseburg	25	—	„ Hannover	1	
„ Olsztyn	31	31	„ Magdeburg	22	22
„ Królewiec	28		„ Potsdamn	20	
„ Marchja pr.	28	—	„ Frankfurt	23	
„ Piła	27	—	„ Mecklenburg		
„ Koźlin	27	28	„ Schw. (kraj)	22	23
„ Szczecin	25		„ Wieś pruska	25	—
„ Stralsund	28		„ Państwo Pruskie	28	
Mecklemburg Str, 23 kr. 25			„ „ „ r.1927	19	

Jak widzimy, dwie odrębne rasy ludzi zajmują nizinę nadbałtycką. Stoją one ramie przy ramieniu obok siebie na Pomorzu zaodrzańskim (rejencja Stralsund) i tuż obok w Brandenburgji i Meklemburgji. Jedni i drudzy są protestantami, mówili narzeczem dolnoniemieckim, teraz używają już języka górno-niemieckiego, ustrój rolny jest takisam, ale odmienny jest sposób życia w rzeczy elementarnej; na Pomorzu rodzina jest liczna u sąsiednich Sasów wegetująca, bo dwa żywioły różnią się rasą. Z zestawienia tego wynika, że starożytna Polska, która obejmowała te ludy żywotne, dziś zniemczona w dużej części, była innym światem, inną rasą ludzi w porównaniu do sąsiednich ludów, napływających ze Skandynawji. Wśród ludu polskiego niema obecnie germańskiego żywiołu północnej rasy, bo to co z kolonizacją przyszło, wyginęło już dawno w drodze naturalnego doboru,

wobec tak dużej różnicy żywotności. To też daremnieby kto szukał rysów germańskich na którymś obliczu Światowida. Niema ich i nie było nigdy.

Natomiast i z demografji i z typów fizycznych i z wielu innych objawów widzimy, że inny szczep północny, znacznie bliższy wchodził od wieków w skład naszego narodu. Były takie czasy, kiedy Litwa sięgała po Wisłę, a prawdopodobnie jeszcze dalej, bo miedza polsko - litewska była bardzo szeroka i do tego jeszcze ruchoma. Zdarzyło się prawdopodobnie, że Litwa zajmowała na prawym brzegu Wisły osady, gdzie już siedział lud laski, a może słowiański, wschodni, potem po wyparciu Litwy kraj przybierał wejrzenie polskie. Historję Podlasia, przypływ i odpływ języków, wyznań, nawet ras i skojarzenie końcowe nowego mieszanego szczepu, dzieje podlaskie w dosłownym znaczeniu tego słowa, zdarzały się z pewnością także w starożytności na znacznie większym obszarze i to nie jeden raz. Znajomość Litwy z naszymi łęgami była bliska, dowodem tego imie laskie w litewskim brzmieniu. Więc wśród zagadkowych obliczy Światowida jedno z nich, litewskie jest widoczne i niewątpliwie autentyczne. Przekonał się z poprzednich zestawień demograficznych, że znamię litewskie na całej wschodniej połaci Królestwa da się ująć nawet w cyfry statystyczne. Jest ono tak łatwe do rozróżnienia, jak krew laska wśród ludu pomorskiego po drugiej stronie granicy.

Tak doprowadziło nasze studjum demograficzne do rezultatów pozytywnych. Znamy związek między osadnictwem polskim i zmieniającym się obliczem naszej ziemi, zdołaliśmy wyrazić stosunek nasz do dwu sąsiednich ludów północnych: starożytne pokrewieństwo z Litwą i tragiczne powinowactwo z Niemcami wschodnimi. Historycznemu związkowi z Rusią poświęcony jest szkic następny.

IV. *Era Ruska.*

Skład ludności Polski jest znany dość dokładnie z końca XVI wieku. Wedle oszacowanie Pawińskiego i Jabłonowskiego wynosił on 2½ miliona z górą w starych ziemiach polskich (wraz z Podlasiem i Pomorzem), 1½ miliona na Rusi południowej, razem w Koronie Polskiej więcej niż 4 miliony. Gdy doliczymy do tego W. Ks. Litewskie, gdzie ludność nie dochodziła do tej

samej liczby co na Rusi połudn., oraz dwa lenne księstwa Prusy i Kurlandję, otrzymamy sumę większą od $5\frac{1}{2}$ miliona, ale nie dochodzącą do 6 milionów. W tych granicach prawdopodobieństwa mieści się zaludnienie ziem Rzplitej wedle „Źródeł dziejowych”.

Jest to pierwsze obliczenie ludności polskiej na podstawie dokumentów, które wykazują osady, objęte spisami urzędowymi, podają liczbę dymów i warsztatów miejskich, zawierają prawdopodobnie dokładne rejestry posiadłości ziemskich, dość dokładny spis łańów kmiecych, wreszcie mniej dokładne liczby zagrodników, komorników i innych włościan. Sumy w ten sposób uzyskane będą z czasem uzupełnione i sprostowane. Nowe dzieło o osadnictwie polskim, zapowiedziane przez prof. Bujaka, doprowadzi z pewnością do dokładniejszego obliczenia, w każdym razie jednak materiał źródłowy oraz obliczenia Pawińskiego i Jabłonowskiego pozostaną wielką kartą demografji polskiej i mocną podstawą do badania siły narodu nie tylko w ówczesnej epoce.

Okazuje się, że Polska XVI wieku stoi dużo niżej Francji, gdzie ludność szacuje się na 20 milionów, nie mogła się także równać z Niemcami, Włochami i Hiszpanją, ale zajmowała piąte miejsce po tych największych narodach ówczesnej Europy. Rzesza Niemiecka była zresztą luźnym związkiem państw samodzielnych, więc w rachubę wchodziłyby raczej posiadłości Habsburskie, które nie dochodziły wówczas do 6 milionów, licząc nawet część Węgier, która wówczas należała do Habsburgów. To też siłą fizyczną górowała niewątpliwie Rzeczpospolita nad sąsiadami; tylko Porta Otomańska posiadała w trzech kontynentach kraje bardziej ludne i była uważana słusznie za najpotężniejszego sąsiada. Ilustracja demograficzna tłómaczy naszą słabą pozycję i szczególnie niekorzystną granicę od ściany tureckiej, o której wspominaliśmy poprzednio.

Porównanie z innymi krajami opiera się na oszacowaniach, które najczęściej są mniej pewne niż obliczenie ludności polskiej. Daleko więcej możemy polegać na stosunku żywej siły w naszych prowincjach i województwach, bo opuszczenia i niedopatrzienia w spisach urzędowych zdarzały się prawie równomiernie w całym kraju. Ważny wyjątek wymienimy natychmiast. Uderza w tym materiale statystycznym skromna rola ludności żydowskiej. Jest to jego główna luka, która utrzymuje się w późniejszych oblicze-

niach polskich, bo aż do upadku Rzplitej uchylali się Żydzi skutecznie z ewidencji urzędowej. Dokładniejsze były spisy, przeprowadzone przez rządy zaborcze bezpośrednio po rozbiorach i z nich okazuje się, że Żydzi polscy dochodzili do miliona głów po koniec XVIII wieku, że liczba ich w stosunku do ludności chrześcijańskiej nie była dużo mniejsza niż obecnie i że era szczególnie pomyślna dla rozwoju Żydów przypada na wieki XVII i XVIII. Wolno zatem przyjąć, że w tym czasie, kiedy ludność chrześcijańska wzrosła trzykrotnie na całym obszarze Polski, ludność żydowska pomnożyła się cztery lub nawet pięć razy, to znaczy, że na koniec XVI wieku przypadałoby na nią od 200 do 230 tysięcy głów, z czego około dwu trzecich na ziemiach koronne. Wówczas Żydzi byli więcej skupieni na Rusi, na Zachodzie nie stanowili jeszcze masy, więc ludność Rusi, szacowana na 1 milion 510 tysięcy wypadnie powiększyć o jakie osmdziesiąt tysięcy głów i prawie takasama liczba mieściłaby się na Litwie. Ze względu na wielką rolę, jaką odegrali Żydzi w późniejszym rozwoju miast polskich i to nie tylko na Rusi, należy odrazu zanotować tę hipotetyczną pozycję¹⁾.

Drugim żywiołem napływowym byli koloniści niemieccy. Wśród ludności wiejskiej były ich kolonie widoczne jeszcze w dwu ziemiach, w Prusach Królewskich i w Poznańskim, ale poważną część ludności stanowili Niemcy w większych miastach, zaczynając od Rusi Czerwonej. Nie mamy w źródłach materiału żeby móc rozróżnić liczebnie kolonistów od rodzinnego mieszczaństwa i musimy poprzestać na wiadomości, że synowie kolonistów nadawali ton życiu miejskiemu i ich również spotykamy przy przejściu do stanów wyższych. W każdym razie, miljonowa masa, która pod koniec XVI wieku siedziała po miastach, zasługuje na szczególną uwagę. Osobną grupę stanowiły 344 tys. „mieszczan” ukraińskich. Jest to widocznie w części lud wędrowny, jaki zatrzymuje się w miastach na początku kolonizacji, a w przeważnej części ludność uprzywilejowanych wsi, dla których dziedzice postarali się o prawa miejskie. Pozostaje jednak reszta w pokaźnej sile sześciuset tysięcy głów, przypadająca na mieszczan starszej daty bez Gdańska i miast pruskich. Ponieważ do końca XVIII wieku nie powiększyła się, a nawet zmalała liczba mieszczan, nie ulega wątpliwości, że cały przyrost naturalny z tej masy wszedł do innych warstw narodu i to najmniej w tej

sile względnej, jaką miał wśród całej ludności w wieku XVI. Jest to 19% w starych ziemiach koronnych i w tym stosunku złał się ówczesny żywioł miejski z wsią polską. Gdy weźmiemy pod uwagę skład etnograficzny miast, nie język lub uczucie narodowe, lecz pochodzenie plemienne, musimy uznać i zapamiętać, że od XVI wieku zaszła pokaźna zmiana w składzie tych warstw narodu, które uważa się za rdzenne i rodowite. Mieszczanie byli ludźmi wolnymi, mieli dużą swobodę w wyborze nie tylko zawodu, ale nawet stanu, jak zwykle podczas masowej kolonizacji kresów; dzieci miejskie nie ulegały w tym stopniu nędzy i pomorom, które periodycznie przerzedzały ludność wiejską. Więc pod koniec XVIII wieku przyrost tej masy wynosił prawdopodobnie więcej niż 1 milion i to w dzisiejszych granicach Polski²⁾. Przypływ miejski do różnych warstw narodu niewątpliwie powiększył różnorodność typów fizycznych, które obecnie sprawiają antropologom dużo kłopotu. Mamy przed oczyma przykład niewątpliwiej różnicy w dzisiejszym składzie narodu w porównaniu z pierwotnym. Przemiana wynikała z nierównej możności rozwoju, która panowała w kraju przez trzy wieki z górą. Zauważymy więcej tych nierówności, a wszystkie razem wywołały prawdziwą metamorfozę, nie tylko na obliczu Polski, ale nawet w instynktach narodu.

Pod koniec XVI wieku miały stare ziemie widoczną przewagę w masie ludowej nad Rusią. Ta przewaga była głównym i istotnym motywem Unji Lubelskiej i masowej kolonizacji, która potem nastąpiła. Biorąc pod uwagę dzisiejsze granice Rzplitej, było wówczas w Wielkopolsce, Małopolsce i Mazowszu 2.112 tysięcy, na Pomorzu i w Podlasiu dosięgło 400 tys., na Rusi Czerwonej i Wołyniu około 800 tys., z dodaniem Śląska oraz ziem Wileńskiej, Nowogródzkiej i Polesia wynosiło zaludnienie Polski w wieku XVI około 4 miliony. Na Ukrainie wraz z Podolem i wschodnim Wołyniem naliczył Jabłonowski z górą siedemset tysięcy głów. Dochodzi do tego zaludnienie Dzikich Pól oraz ziemi Czernichowskiej, nadto pewne opuszczenia rejestrów polskich i otrzymamy sumę mniejszą od miliona głów, jako całe zaludnienie ówczesnej Ukrainy w jej dzisiejszych granicach.

Od XVI wieku do r. 1927 w ciągu czternastu pokoleń powiększyła się $7\frac{1}{2}$ razy ludność ziem, należących obecnie do

Polski. Rozrost Ukrainy był szybszy i to daleko szybszy. Wy-
nikał on zarówno z rozmiarów kolonizacji polskiej, jak cudownej
żywotności ludu ukraińskiego, która nie ma równej na świecie.

ZALUDNIENIE Z KOŃCEM XVI WIEKU.

	Cała ludność w miastach w tysiącach		Gęstość na 1 klm. ²
Wielkopolska	849	171	15
Małopolska	674	172	12
Mazowsze	589	64	18
Ruś Czerwona	573	125	9
Wołyń	294	45	7
Podole (północne)	98	27	5
Ukraina	545	344	3
Ziemie ruskie	1510	541	
Stare ziemie	2112	407	
Podlasie	197		20
Poznańskie	214	63	13
Kaliskie	227	34	14
Jnowroćławskie	42	11	15
Brzeskie	76	11	23
Z. Dobrzyńska	47	6	16
Łęczyckie	102	15	23
Sieradzkie	141	29	12
Krakowskie	301	91	16
Sandomierskie	296	69	11
Lubelskie	74	12	7
Płockie	106	15	25
Rawskie	107	17	21
Mazowieckie	376	31	16
Z. Chełmska	67	12	7
Z. Bełzka	56	10	6
Ruskie	450	103	10
Braclawskie	311	226	11
Kijowskie na północy	126	49	2
Kijowskie na stepie	108	69	1 ² / ₃

Nie wiele jest krajów, gdzieby przejście od wieków średnich
do nowych odbywało się drogą tak gruntownych przewrotów. Od
chwili otwarcia ujścia Wisły zjawia się w postaci wywozu zboża.

nowe źródło dochodu i nowy cel gospodarstwa rolnego. Rozpowszechniają się folwarki, które nie dbają już o wielkie stada bydła, czy koni, niewiele mają nawet własnego sprzężaju, idzie o obsianie, zebranie i wywiezienie możliwie wielkiej ilości zboża, a robocizny i sprzężaju mają dostarczyć w tym celu poddani kmiecie. To też z nową konjunkturą rozszerza się stopniowo obowiązek pańszczyzny na kmieci, zagrodników, komorników, a przywiązanie do gleby uświęcone jest ustawami sejmowymi. Zależy również na niepodzielności gospodarstw kmiecych, zdolnych do utrzymania znacznego sprzężaju, więc z synów kmiecych tylko jeden osiada na ojcowskim gospodarstwie, reszta spada do rzędu biedoty, o ile dziedzic nie prowadzi karczunku i nie powiększa liczby nowych łańów. Dotąd żyto było najcenniejszym plonem gospodarstwa polskiego; stare nasze ziemie obejmują prawie wyłącznie gleby żytnie. W wieku XVI hasłem gospodarzy jest zdobycie ziemi pszennej, bo pszenica płaci najlepiej na targu gdańskim. Znalazła się ona na Rusi Czerwonej, ale prawdziwą ziemią obiecaną pszenicy były stepy podolskie i ukraińskie. To też Polacy prawują się zawzięcie z Litwą o zwrot Podola i szerzy się dalsza kampanja pod hasłem odebrania ziem, „niesłusznie odjętych od Korony”. W końcu rewindykacja posunęła granice Korony daleko na drugi brzeg Dniepru. Wraz z postępem idzie wzajemna asymilacja zjednoczonych narodów. Życie polityczne szlachty przybiera na Wschodzie formy polskie, a równocześnie na całym niemal obszarze kraju utrwała się ustrój społeczny ruski, który napozór nadawał się znakomicie do powiększenia obsiewów. Dnie pańszczyzny rosną najszybciej nad Wisłą, gdzie spławianie zboża było najdostępniejsze, doraźnie powiększa się tam ilość łańów, kmieci, zagrodników i biedoty, aż pod koniec XVI wieku doszło tam do oczywistego przeludnienia, choć przypadało 20 włościan na 1 klm. kwadratowy.

Obraz demograficzny Polski za króla Stefana wprowadzałby nas w błąd, gdyby go uważać za trwałe i ustalone rozsiedlenie narodu. Wprost przeciwnie, jest to przegląd osadnictwa w szybkim ruchu. Podobnie jak na mapie meteorologicznej szereg ciśnień malejących okazuje kierunek panującego wiatru, tak i tu nierówna gęstość osadnictwa i nierówny ucisk ludu wskazują kierunek żywiołowej emigracji, która w tym właśnie czasie przybrała duże rozmiary. Ziemie najżyźniejsze i najłatwiejsze do uprawy w roz-

miarach większych od całej starej Polski, przeszły właśnie od Litwy do Korony, zostały rozdane między panów, którzy byli nie tylko przejęci ideą ekspansji, ale posiadali środki do sprowadzania osadników i do obrony ich wojskowej własnymi siłami. Co więcej, wojska kwarciane, w tym celu świeżo wystawione, obozują odtąd stale na kresach. Środek ciężkości Państwa przenosi się w stronę Lwowa, a może posunąć się jeszcze dalej. Droga do wybicia się dla młodych lub nowych ludzi idzie odtąd przez dwory magnatów, panujących na Rusi, oraz przez wojska narodowe lub zaciągi obcego autoramentu, stojące w Kamieńcu i na dalszych stanicach. Dla pospólstwa otwierały się tam nie tylko targi, bazary i miasta, wyrastające z szybkością amerykańską, ale szeroka smuga ziemi, ogarniająca już dzikie pola, gdzie różnice między stanami były zatarte, a im dalej w step, tem więcej znaczyła determinacja i inne walory osobiste. Wreszcie najsmielszych i najambitniejszych nie pociągała już ani dawna *lgota*, ani *wola* lub *swoboda*, ograniczona latami, ani duże widoki obrania lepszego stanu w drodze życzliwej kooptacji, czy też zwykłej okupacji, była jeszcze wolna droga na Zaporozże, gdzie czekało wyzwolenie z więzów tradycyjnej hierarchji bez zerwania z Ojczyzną.

Tak piękne widoki otwierała wówczas miłościwa Opatrzność tylko dla narodów wybranych między chrześcijanami: w Starym Świecie dla Rosji, dla Hiszpanji i Portugalji w Indjach świeżo odkrytych na Zachodzie i Wschodzie, dla Anglji i Francji w Ameryce północnej.

Za Oceanem tworzył się prawdziwy Nowy Świat — i tam w większej skali odbyło się przeobrażenie bardzo podobne do metamorfozy, którą na Ukrainie stworzyli lub wywołali Polacy. Gospodarowanie w kolonjach po drugiej stronie Oceanu wymagało ze strony Hiszpanów, Portugalczyków i Anglików zupełnie innego wysiłku, to też musiało przynosić zyski doraźne i poważniejsze, niż nasze osadnictwo ukraińskie. Kolonizacja zamorska tamtych narodów rozwijała się wyłącznie na gruncie, zajmowanym poprzednio przez bardzo słabe rasy, mało żywotne i niedostatecznie przystosowane nawet do pierwotnych warunków życia. To też koloniści zdobyli przewagę tak samo nad Wołgą i na Syberji jak w Ameryce a potem z kolei w Australji. Na Rusi trafili koloniści polscy na najżywotniejszą pod słońcem rasę

ludzi, to też wypadły inaczej końcowe rezultaty. Mimo to znajdziemy dość dużo rysów podobnych.

Wobec klęsk politycznych i katastrof, które się wiążą z naszą ekspansją wschodnią, opinia polska nie patrzy na nią obecnie z uczuciem dumy. Przypisuje się jej nie tylko wojny, najazdy i rozbiory, ale dekadencję ekonomiczną i moralną, z której później już w niewoli obcej został naród wyratowany niby cudem. Rzeczywiście jednak szedł z Polski na step prąd żywiołowy i równie trudny do opanowania, jak powódzie wiślane, które wyłobiły nowe ujście Odry i Wisły i stopniowo doprowadziły do osuszenia Polski. Zajmujemy się jedną siłą popędową tego prądu kolonizacyjnego, która podlega badaniu demograficznemu.

ROZWÓJ LUDNOŚCI W POLSCE I W ZIEMIACH RUSKICH.

Rok	1578	1772	1807	186	1897
Prusy Królewskie		580	650	1283	1517
Wielkopolska zach.	400		780	1537	1848
Wielkopolska wsch.	449		} (2100) $\left. \begin{matrix} \text{dł.} \\ \text{śr.} \end{matrix} \right\}$	5706	} $\left. \begin{matrix} 5693 \\ 3709 \end{matrix} \right\}$
Mazowsze	589				
Z. Kielecka i Lubelska	500		1531		
Podlasie	197		} 2331	4349	6888
Litwa		2000			
2 prow. białoruskie	(1300)	(1000)	(1200)	1837	3176
Wołyń	249		1106	1704	2990
Podole i Braclawskie	409	<small>w całej Koronie po i rozbiorze</small>	1100	1933	3018
Ukraina kijowska	234	5400	1048	2175	3559
Ruś Czerwona	572	} <small>w Galicji:</small>	2628	3574	5207
Z. Krakowska	(250)				
			11608 tys. 15379 tysięcy		

Obliczenie ludności z r. 1578 nie jest dokładne już z tego powodu, że jest to pierwsza próba ku ujęciu Polski w cyfry statystyczne. Nadto opiera się ono w całości na materiałach, zbieranych dla celów podatkowych, które mogą zawierać tylko minimum stanu rzeczywistego. Tę samą wadę mają wszystkie późniejsze obliczenia polskie i rosyjskie aż do uwłaszczenia chłopów i dlatego spisy przeprowadzone po tej dacie są widocznie

i znacznie dokładniejsze od poprzednich. W zaborach, austriackim i pruskim robiono obliczenia niezależnie od zeznań podatkowych, to też gęstość ludności (nb. statystyczna) była w Galicji aż po rok 1870 uderzająco wysoka w porównaniu z sąsiednimi ziemiami zaboru rosyjskiego. Wedle obliczeń austriackich z t. zw. Galicji zachodniej, odstąpionej Księstwu Warszawskiemu w r. 1809, możemy sprostować dotychczasowe spisy ludności Księstwa, a późniejszego Królestwa Polskiego, gdzie widocznie duża część ludności nie jest wciągnięta do rachunku.

Wedle ewidencji austriackiej było 1.531.560 głów na obszarze 961 mil kw., odstąpionych Księstwu. W szczególności wymieniają spisy austriackie 216.403 dymów, 268.198 rodzin chrześcijańskich, 22.221 żydowskich, a zawierają nadto tak szczegółowy wykaz stanów i zawodów w dwunastu obwodach tej prowincji, że dzięki niemu mamy punkt stały dla oceny demografji kraju, zarówno w epoce rozbiorów, jak w poprzedniej i późniejszej.

Oszacowanie ludności Królestwa Kongresowego, drukowane dotąd w dziełach statystycznych i historycznych, podają sumy znacznie niższe od tej, którą znamy dokładnie na podstawie materiałów austriackich. Gdy spis z r. 1897 naliczył w Królestwie sumę $9\frac{1}{2}$ miliona głów, rozpowszechniło się dość lekko nieprawdopodobne wierzenie o potrojeniu ludności w okresie 80 lat, lub nawet jeszcze krótszym. A ponieważ w sąsiednim kraju zabranym i w samej Rosji stwierdził spis na tym samym tle skok równie gwałtowny w porównaniu z dawniejszymi szacunkami, znaleźli się publicyści rosyjscy, gotowi do ataku i posypały się pod adresem szlachty polskiej skargi na straszny ucisk ludu ruskiego, który odżył dopiero po zniesieniu pańszczyzny. Przekonanie o cudownym wzroście ludu pod rządami rosyjskimi górowało także w nauce i dotąd nie zostało sprostowane. Dzięki nowym dokumentom, oraz innym spisom austriackim i pruskim, znanym od dawna, sprowadzają się te cuda do właściwej miary.

W okresie lat 1807/9 do 1897 pomnożyła się ludność Królestwa w czterech prowincjach południowych niespełna $2\frac{1}{2}$ razy, to jest rosła szybciej niż w Galicji, a wolniej niż w Poznańskim. Fakt uznajemy za pewny, bo opiera się na najdokładniejszych i najbardziej szczegółowych obliczeniach, jakie mamy z tych dwu epok. Nie mając powodu do uwierzenia, żeby w granicach Królestwa Polskiego rosła ludność z szybkością daleko większą na

północy niż na południu kraju, uznajemy, że w r. 1807 nie była ona niższa od 2 milionów stu tysięcy w północnej części, to jest na dawnym Mazowszu i Kujawach. Wiadomo, że spis przeprowadzony w Księstwie Warszawskim naliczył wszystkiego 1.742 tysięcy na tym samym obszarze, przyczem około 360 tysięcy ludzi uchyliło się od ewidencji fiskalnej i rekrutacyjnej. Celem ówczesnego spisu było ustanowienie kontyngentu podatku i rekruta. W rzeczywistości na obszarze Księstwa, a późniejszego Królestwa było w granicach kongresu wiedeńskiego od 3.700 do 3.800 tysięcy głów około roku 1807, a zatem widocznie więcej niż w Galicji i to jest znowu nowy rezultat, zgodny z wszystkim, co rzeczywiście wiemy o rozwoju ludności w Królestwie i Galicji. Dotąd podawały podręczniki statystyki za lata 1816—34 niższe cyfry ludności dla Królestwa niż dla Galicji, co było zgodne z niektórymi spisami ludności, mimo to niewiarygodne i nieprawdziwe. W ten sposób otrzymujemy wreszcie zbliżony do prawdy stan ludności całej Polski z epoki trzeciego rozbioru, ale bez ziem wschodnich.

Tam po raz pierwszy policzono ludność dość dokładnie dopiero w r. 1867 i wówczas na Litwie i Białorusi było niespełna 6 milionów, (5.947 tys.) zaś na Rusi póln. o 223 tysiące mniej i podobny stosunek stwierdzono w r. 1897. Więc usprawiedliwiona jest opinja, że podobny, w każdym razie niezbyt różny stosunek trwał dłuższy czas między tymi dwoma prowincjami. Wypada jednak odrazu dodać zastrzeżenie, że oszacowanie dotyczące i Litwy i Rusi aż po r. 1867, a nawet do r. 1897 obejmują tylko minimum ludności, że była ona wyższa niż wygląda na naszym zestawieniu na podstawie dokumentów urzędowych. W każdym razie obraz rozwoju ludności, podany na naszej tablicy, nie jest w żadnym szczególe sprzeczny z pozytywnymi i wiarogodnymi wiadomościami czy o stanie czy o szybkości rozwoju ludności³⁾.

Dopiero na podstawie obrazu tak poprawionego możemy ocenić dokładność oszacowania Korzona za r. 1772, które podajemy pod rubryką r. 1772, poprawiwszy w nim tylko dwa szczegóły. Zapamiętajmy jeszcze ważny fakt, że na Ukrainie niema ciągłości w osadnictwie, na Podolu zaś oraz w woj. Braclawskim była ona zerwana. W czasie ruiny XVII wieku został lud podolski zniweczony i dopiero po odebraniu Kamieńca założono

na nowo wszystkie osady. W r. 1822 naliczono w gub. Podolskiej 1.245 tys. głów, zatem wstawiamy 1.100 tys. na r. 1807. Z nowego osadnictwa z daty XVIII wieku pochodzi najmniej w połowie druga grupa, ludność gub. Kijowskiej, gdzie naliczono 1.048 tys. głów w r. 1795. W tych dwu milionach ludu osiedlonego na Ukrainie należy szukać przyrostu ludności, którego braknie w ziemiach północnych Rzplitej. Po tych uwagach możemy przystąpić do użytecznego porównywania naszego materjału.

W stanie ludności r. 1578 uderza przedewszystkiem ogromna rozpiętość w gęstości zaludnienia i to nie tylko między Zachodem a Wschodem, ale nawet w obrębie starych ziem koronnych. Na Kujawach i w Mazowszu dochodzi gęstość do 20 głów na 1 km², lub nawet przekracza tę skalę, a już w obrębie Małopolski spada znacznie niżej. Nazwijmy skalą laską większe natężenie zaludnienia; znajdziemy ją nie tylko w Wielkopolsce, ale na znacznym obszarze ziemi Krakowskiej. Jest to typowy kraj emigracyjny. Stamtąd wędruje lud nie tylko na kresy, ale także w Góry Świętokrzyskie i na Podgórze beskidowe. Tam najazd szwedzki wyrządzi największe spustoszenia, bo tam najwięcej będzie do grabienia, a zabraknie opiekuńczej ostoji leśnej, to też w r. 1772 będzie na obszarze laskim stan ludności prawie taki sam jak w wieku XVI.

W ciągu siedmiu pokoleń od końca XVI do początku XIX wieku pomnożyła się ludność dwa razy w Wielkopolsce i na Mazowszu, najmniej na Kujawach, natomiast na południu kraju i na wschodzie pomnożyła się trzykrotnie lub jeszcze więcej. Bezpośrednio po Unji Lubelskiej miał żywioł laski jeszcze widoczną przewagę liczby w powiększonych granicach Korony. Pod koniec XVIII wieku siedzi w ziemiach ruskich równo tyle ludzi, co w starych ziemiach laskich: w Wielkopolsce, Mazowszu i Małopolsce, a pozatem wchodziło już w rachubę W. Ks. Litewskie, które na ogromnym obszarze było unickie i ruskie. Zaludnienie i tem samem siła fizyczna ziem laskich wynosi w epoce rozbiorów 39% całej ludności Rzplitej. Mimo ustroju społecznego okazało się podczas wojen domowych, że ten stosunek odgrywał rolę i rozstrzygał o losach kraju.

Do r. 1569 była Wielkopolska nie tylko starszą, ale ważniejszą dzielnicą. Stanowiła ona rdzeń i miazgę narodu, od wschodu zaś i południa otaczały ją prawdziwe p o d l a s z a, gdzie ludy

wschodnie i południowe zlewały się z żywiołem laskim zwolna, ale skutecznie. W miejscu, gdzie kończyły się łęgi Odry i Wisły, a dochodziły zasięgi ludów górskich i południowych, ustanowili Piastowie stolicę i dzięki temu wyrósł na ziemi Krakowskiej lud tak wybitnie laski, że dziś może tylko uczona metodą drogą pomiarów antropologicznych i zestawień demograficznych wyróżnić smugi osadnictwa innego pochodzenia, a etnografja może je podkreślać tem śmieiej, że w życiu narodowym nie odgrywają one żadnej roli. W wieku XVI odbijały rażąco w Krakowskiem dwa odmienne typy osadnictwa. Przedłużeniem Sieradzkiego i Kaliskiego ku południowi były brzegi Warty gęsto zaludnione (powiat Księski), które łączyły się bezpośrednio z powiatem Proszowskim; tu na ostatnich łęgach wiślanych i na wzniesieniach słynnych z urodzajności doprowadziło starożytne osadnictwo do tak gęstego zaludnienia, jakie można było oglądać jeszcze tylko na polach kujawskich i na sąsiedniej połaci Mazowsza. Reszta Krakowskiego wraz z Sandomierskiem nie odróżnia się ustrojem rolnym ani gęstością osad od sąsiedniej Rusi Czerwonej; cały niemal kraj należy do kilkunastu beneficjów kościelnych i tyluż rodzin magnackich, o ile nie jest królewszczyzną jeszcze nierozdarowaną. Widać, że własność nie jest starożytna; tytuły jej pochodzą z nadań królewskich znanej daty, gdzie na ziemi później zajętej i obsiewanej miała szczodrobliwość pańska swobodne pole. Jeszcze późniejszy etap w postępach osadnictwa widzimy w Lubelskiem; tu lustracja szwankuje w dokładności, ale zrobiwszy nawet poprawkę szeroką ręką, w rezultacie musimy uznać, że tam kończyły się w XVI wieku kresy osadnictwa polskiego, jeśli nawet mylą się Źródła dziejowe, które doliczyły się na lewym brzegu Buga mniej ludności, niż na Wołyniu.

Równowaga, trwająca do Unji Lubelskiej, została wywrócona radykalnie w wieku XVII. Małopolska urosła nagle na prawdziwie wieżką, a jeszcze więcej na ruską. Za Stanisława Augusta znalazły lustracje na Kujawach mniej dymów i łąnów, niż za Stefana Batorego, to też w epoce rozbiorów przypadało na Wielkopolskę wraz z Mazowszem niewiele ponad czwartą część ludności Korony Polskiej, a wedle statystyki rządów zaborczych wyrażał się stosunek całej Wielkopolski do Małopolski jak 3 : 8 milionów, w samej zaś Małopolsce przypadało 2½ miliona na ziemię starsze, 5½ miliona głów na ziemię ruskie. Upadek

Rzplitej nastąpił nie z powodu rozrostu Rusi, ale dlatego, że stare gniazdo polskie zbiedniało i zmarniało pod każdym względem. Dla tego jeszcze raz wypada podkreślić tę metamorfozę, do której doszła Polska za ery ruskiej.

Przesilenie między dzielnicami nie było zresztą niespodzianką; Polacy zostawiali ugorem ziemie żytne i przenosili się na pszeniczne, a pragnienie to było tak żywe, że nie odstraszały go klęski i ruiny. Życie na Rusi robiło wrażenie coraz więcej swojskie i przyciągało coraz mocniej w miarę upływu czasu. Od samego początku celem osadnictwa było nie tylko związanie w jedną Ojczyznę ziem, ale i ludów Rzplitej. Takie postanowienie było uroczyście zaprzysiężone w Lublinie i wykonane konsekwentnie. Dzisiejsi politycy i etnografowie, obliczający narodowe zyski i straty, poniesione przez naszą kolonizację na Wschodzie, posługują się niesłusznie miarą, wziętą z polityki eksterminacyjnej niemieckiej, to też wynikają stąd opaczne wnioski. Wypieranie czy gwałtowne poszczenie Rusinów nie było wcale zamierzone. Polacy szli na Ruś z hasłem braterstwa nie tylko na ustach, dążąc do prawdziwego pokrewieństwa, do braterstwa krwi między obu narodami. Ten cel został osiągnięty wedle sił kolonizacji.

Podczas gdy w wiekach średnich różniła się Ruś od Litwy i Polski nie tylko obrządkiem cerkiewnym i językiem obrzędowym (literackim, urzędowym), ale także pochodzeniem plemiennym, dziś na naszych ziemiach wschodnich są te różnice zatarte zarówno w masie ludowej, jak w innych warstwach. Wiadomo, że w XVIII wieku złali się wszyscy ludzie wolni na ziemiach wschodnich w jedno społeczeństwo; było ono katolickie z wyznania, polskie z języka i nowe ze względu na obyczaj i pochodzenie; każda niemal rodzina na Rusi powstała przez skojarzenie dawniejszego ruskiego i nowego polskiego osadnictwa. Jest rzeczą mniej znaną, że również gruntowne przeobrażenie odbyło się w masie ludowej. Demografia określa dość dokładnie szybkość, z jaką Polacy i Rusini zlewają się nieustannie w jeden żywioł.

W czterech województwach południowych waha się w sześciu latach ostatnich liczba małżeństw między sumą 61 a 72 tysięcy rocznie. Jest ona wyższa od stanu galicyjskiego, kiedy przy tem samym zaludnieniu wahał się rocznik małżeństw od 55 do 64 tysięcy, co niewątpliwie świadczy o zwiększonym optymizmie

i zresztą rozumiało jest, że wśród ludu jest zaufanie do życia większe pod rządem polskim, niż było za czasów austriackich. Stosunek małżeństw wśród Polaków i Rusinów jest obecnie zbliżony do stosunku liczebnego dwu szczepów, choć wśród Rusinów kojarzą się małżeństwa widocznie wcześniej i procentowo są liczniejsze. Statystyka dawniejsza, galicyjska, była w tej sprawie mniej dokładna, gdyż stale błogosławiło się więcej małżeństw w cerkwiach, niż w kościołach, co odbijało się bardzo widocznie na danych statystycznych o wyznaniu nowożeńców. Wskutek tego statystyka urzędowa daje nam obraz zlewania się dwu szczepów w rozmiarach zmniejszonych, ale i te rezultaty są dość pouczające.

W ciągu piętnastu lat 1895 — 1909 przystąpiło do ołtarza w całej Galicji okrągło czterysta tysięcy par nowożeńców rzym. kat. wyznania, z czego trzecia część przypada na powiaty o ludności mieszanej, gdzie zwykłym zjawiskiem były małżeństwa polsko - ruskie. W tej trzeciej części, wynoszącej około 130 tysięcy, znalazło się z górą 42 tysiące Polek zaślubionych Rusinom i prawie tylu Polaków ożenionych z Rusinkami; każdego roku wychodzi za mąż za Rusinów od 2½ do 3 tysięcy Polek i tak samo około 3 tysięcy Polaków żeni się rok rocznie z Rusinkami. To znaczy, że w tamtych stronach kraju co czwarty Polak i co czwarta Polka znajdują małżonka w domu ruskim. Suma par małżeńskich ruskich wynosiła wedle tej samej statystyki 424 tysiące w ciągu tych samych 15 lat. Z tej sumy przypada z górą trzysta tysięcy par nowożeńców na obszar zamieszkały gęsto przez Polaków i tu co ósmy Rusin żeni się z Polką, co ósma Rusinka wychodzi za mąż za Polaka. Te małżeństwa, zwane mieszanemi dla tego, że nowożeńcy nie są tego samego obrządku, są obecnie tylko wtedy skojarzeniem dwu różnych szczepów, gdy np. Polak świeżo przybyły z Zachodu bierze Rusinkę za żonę. Związki prawdziwie mieszane są częste na Podgórzu Beskidowem, gdzie osady polskie były i są mniej gęste, gdzie zatem lud ruski zachował swą odrębność etnograficzną. Natomiast w woj. Tarnopolskiem i w całym niemal woj. Lwowskiem (bez paru powiatów górskich) niema zdaje się już ani jednej rodziny z dawną osiadłej, któraby po ojcu lub matce nie pochodziła z małżeństw mieszanych, czy starej, czy nowej daty. Lata 1895 — 1909 nie były oczywiście wyjątkowym okresem wzajemnej atrakcji, to też de-

mografia tych lat oznacza niewątpliwie zwykłą szybkość prądu, trwającego tak dawno, jak osadnictwo polskie na Rusi. Okazuje się, że teoretycznie wystarcza trzy pokolenia, żeby nowa osada polska zlała się z osiadłym społeczeństwem krwi mieszanej, praktycznie zaś i życiowo trzeba czterech lub pięciu pokoleń, żeby w osadzie polskiej wszystkie rodziny były tego samego pochodzenia, co lud dawniej osiadły. Na wsi ruskiej, która zawsze miała przewagę liczby, wymagał ten sam proces dłuższego czasu: od 5 do 10 pokoleń. Zatem nie ulega wątpliwości, że ta nowa formacja etnograficzna jest dokonana we wszystkich wsiach ruskich na północ od Dniestru i w bardzo wielu innych, między górami a rzeką; mija 20 pokoleń, odkąd napływa żywioł polski na Ruś Czerwoną w dużych masach.

Czy można jeszcze obecnie mówić o różnicy etnograficznej między tamtejszym ludem ruskim a polskim?

Owszem, są świeże osady, pochodzące z ziemi krakowskiej, gdzie perjod czterech pokoleń jest dopiero zaczęty; różnią się one nie tylko gwarą, ale i obyczajem i to na pierwszy rzut oka od osad polskich starej daty. Z drugiej strony stoki Beskidu są zajęte przez zwartą formację ludową, dokonaną w wiekach średnich, kiedy rasa wschodnia, idąca od Wołynia, kojarzyła się z rasą południową, adriatycką i zdaje się jeszcze z dwoma obcymi szczepami. Ze związku tych różnych żywiołów powstał typ bardzo podobny do ukraińskiego; na mapach antropologicznych występuje on wyraźnie na Podgórzu, mniej wyraźnie na brzegach Dniestru. Około $\frac{1}{3}$ ludności grecko - katolickiej należy do tego typu, który dopiero w naszej epoce zlewa się stopniowo z żywiołem mieszanym polsko - ruskim, siedzącym na równinach. Ta druga grupa jest najliczniejsza; obejmuje ona około 3 milionów głów w woj. Lwowskim i Tarnopolskim, nadto zasięg jej wkracza na obszar woj. Stanisławowskiego. Jedne osoby tej grupy są zapisane w księgach parafjalnych obrządku łacińskiego, inne zaś w księgach cerkiewnych i to stanowi różnicę istotną i niewątpliwą. W stanie włościańskim bierze górę język i obyczaj ruski w miarę upływu lat, ale świeży przyptyw osadników z Krakowskiego podtrzymuje dawną równowagę. Od 70 lat jest przyrost ludności równomierny w jednym i drugim obrządku: więcej niż 46% stanowią rz. katolicy, więcej niż 42% wyznawcy cerkwi greckiej na obszarze dawnej Galicji. Podobny stosunek widzimy w naj-

młodszemu pokoleniu: 127 tys. urodzeń rz. kat. i 112 tys. urodzeń gr. kat. w r. 1926; podobna proporcja powtarza się w roku 1927 i w latach poprzednich. Wprawdzie statystyka polska i dawniejsza galicyjska wykazuje pewne odcienia, jednak w dużym stopniu trzeba je położyć na karb większej zapobiegliwości cerkwi ruskiej i jej ambicji do powiększania owczarni.

Cerkiew była do niedawna jedyną organizacją narodu ruskiego, dziś jeszcze stanowi ona jedyne widoczne znamię, które pozwala rozróżnić wszystkich Rusinów od Polaków.

Etnografia musi jednak liczyć się z historją ostatnich sześciu wieków, z wzajemnem przenikaniem żywiołu polskiego i ruskiego, oraz z prawdopodobieństwem, że w warunkach nowożytnego życia samo zapisanie do ksiąg cerkiewnych nie wystarczy na podtrzymanie odrębności narodowej. Dotąd trzymała się opinia polska zasady tradycyjnej; szanując samodzielność Cerkwi, uznawaliśmy tem samem odrębność narodową jej wyznawców. To rozróżnienie było dogodne dla polityki austriackiej, to też w Galicji było podkreślane coraz to mocniej. Jednak sąsiedzi nasi zauważyli wcześniej od nas, że na przyszłość nie utrzyma się odrębność narodowa na tej podstawie i pod ich na natchnieniem powstają na Rusi ruchy polityczne, które odwołują się do plemiennych instynktów i tem samem mają lepsze widoki powodzenia, niż tradycja kulturalna i religijna. To też nie tylko w teoretycznym studjum etnografji ważne jest pytanie, gdzie zaczyna się różnica i gdzie może wystąpić przeciwieństwo instynktów. Stwierdziliśmy właśnie, że kolonizacja polska doprowadziła do stworzenia prawdziwej między kulturalnej i etnograficznej, gdzie na szerokości 36 mil cała ludność katolicka bez różnicy obrządku stanowi jednolity żywioł polsko-ruski. Wystarczy zastanowić się nad tem zjawiskiem, żeby zauważyć, że podział na dwie narodowości jest na tej między zabytkiem dawno minionej epoki, oraz że życie coraz bardziej wyężone nie będzie oszczędzało między o takiej szerokości.

Inne wejrzenie zewnętrzne przybrał kraj pod zaborem rosyjskim, gdzie gwałtownymi środkami odbywało się niszczenie narodowości polskiej i śladów naszej kolonizacji. Rezultat odwetu rosyjskiego jest widoczny dość dokładnie w spisie ludności w r. 1897; naliczono wówczas na kresach równo tylu katolików co szlachty i co gorzej, statystyka była zgodna z rzeczywistością.

Pozorny wyjątek stanowią zachowane dotąd wsie polskie na północnym Podolu, oraz osady nieszlacheckie świeżej daty na Wołyniu. Nie zmieniają one ogólnego kierunku rozwoju. Całe osadnictwo, które napłynęło tam do końca XVII wieku, a nie weszło do stanu szlacheckiego, jest ruskie i prawosławne.

Zmiany etnograficzne z tej strony naszej granicy nie są odosobnione w demografji. Zdarzały się one w wielu innych krajach w podobnych warunkach. Fantastycznie i na pozór niewiarygodnie wygląda rozmach ludu ukraińskiego od czasu kolonizacji polskiej, zwłaszcza gdy porównamy niezupełne obliczenie z początku XVII wieku z przesadnym oszacowaniem za r. 1923, ogłoszonym przez władzę sowiecką. Starajmy się zestawzić znane daty statystyczne w ten sposób, żeby w ich świetle stał się rozwój Ukrainy zrozumiałym i zaczniemy od lepiej znanej epoki. Około r. 1795 żyło w dzisiejszych granicach Ukrainy około 5 milionów ludzi, z czego na Podole, ziemię Kijowską i wschodnią część Wołynia przypadało więcej niż połowa. Do r. 1897 pomnożyła się ludność prawie czterokrotnie, a mianowicie wynosiła okrągło 21 milionów na całej Ukrainie, z czego $8\frac{1}{2}$ milionów w dawnych polskich prowincjach między granicą dzisiejszą, a granicą Dnieprówą. Tak szybkiego rozrostu nie spotykamy nigdzie na obszarze Polski, ale jest on zrozumiałym na Ukrainie, gdzie szybki postęp gospodarczy zszedł się z żyznością ziemi i niepospolitą żywotnością ludu. Najdokładniejszą wiadomość o ludności Ukrainy mamy za rok 1797, późniejsze oszacowania urzędowe są dowolne, podobnie jak nowe sowieckie⁴), więc punktem stałym jest suma 21 milionów ludzi za r. 1797 dla całej Ukrainy, w tem $8\frac{1}{2}$ miliona dla Ukrainy prawobrzeżnej. Jednak skok od 800 tysięcy głów z początku XVII wieku do 21 milionów jest pomnożeniem 26-krotnym w ciągu niespełna 9 pokoleń. Tak szybko nie wyrósł do wielkiej liczby żaden naród o własnych siłach, a ten cudowny rozwój zadziwia tem więcej, że przerwała go straszliwa ruina i wstrzymywała w ciągu 50 lat. Wiadomo, że zarówno w pierwszej połowie XVII wieku, jak w ciągu XVIII i jeszcze w początku XIX wieku odbywała się na wielką skalę kolonizacja Ukrainy żywiołem, napływającym z wszystkich krajów sąsiednich, a nawet z Bułgarji i Serbji, a także z odległych Niemiec. Tem się tłumaczy szybkość wzrostu prawdziwie amerykańska.

Źródła dziejowe miały w ewidencji tylko lud osiadły, ży-

jący pod opieką prawa, który Jabłonowski obliczył na sumę 937 tysięcy na całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Biorąc pod uwagę możliwe przeoczenia lustracji urzędowych, a potrącając z rachunku ludność naszego Wołynia, przypadnie około 900 tysięcy głów na ludność osiadłą Ukrainy w jej dzisiejszych granicach. Taka sama liczba mogła uchować się przed pogromem epoki 1648 — 1676, natomiast uległa zniweczeniu prawdopodobnie ilość odpowiadająca przyrostowi z pierwszej połowy XVII wieku. Ocalona reszta schroniła się częścią na Polesiu, częścią na lewym brzegu Dniepru. Potomstwo tych niedobitków nie mogło wyrosnąć do siły 5 milionów w ciągu XVIII wieku. Wiadomo zresztą, że Polacy kolonizowali Podole po odebraniu Kamieńca na nowo świeżym osadnikiem, sprowadzonym z nad Wisły i Sanu i że właściwie w XVIII wieku udało się Rosji zniewolić lud, koczujący dotąd na stepach, do życia osiadłego i rolniczego. Wszystkie te nowe żywioły, w dużej części obce powiększyły tak znacznie skład ludu ukraińskiego, że pod koniec XVIII wieku dochodził on bez mała do takiej liczby, jak lud polski w starych ziemiach koronnych. Obecnie trzeba zliczyć całą ludność Rzplitej, żeby otrzymać sumę większą od ludności Ukrainy.

Ten końcowy rezultat wywołuje oczywiście nastrój pesymistyczny w opinii polskiej w stosunku do całej naszej imprezy kolonizacyjnej. Pod wpływem tego nastroju jest wytknięta dzisiejsza granica. Jednak nawet w ocenie historycznej trzeba rozróżnić czynniki elementarne, które od wieków utrzymują równowagę między Polską a Rosją, od zdarzeń, które nie muszą powtarzać się w każdym wypadku. Okazało się, że w warunkach dla siebie najgorszych potrafiła Ruś kijowska ogarnąć tak okazały obszar stepów, jaki jeszcze nigdy w historii nie był uprawiany i obsiewany, że przy tem góruje nad całą Europą wschodnią gęstością osad, to jest natężeniem życia, co więcej, wchłaniając wielkie masy obcych żywiołów, nie tylko nie zatraciła swej indywidualności, ale właśnie dzięki temu zyskała na odrębności w stosunku do Rosji i Polski. W ciągu paruset lat wyrósł nowy żywioł etnograficzny, który już dorównuje liczbą starożytnym i wielkim narodom Europy. Rozmach tak okazały jest bez przykładu w Starym Świecie i dopiero po drugiej stronie Oceanu trafiamy na podobne wypadki; tam również kolonizatorzy wychowali nowe narody, które nagle postanowiły iść o własnych siłach, przy

czem zjawiała się nowa opieka, co prawda, w zmienionej formie. Obecnie jest Ukraina prawdopodobnie u mety swego rozwoju, bo nie zanosi się na to, żeby w ustroju bolszewickim powiększała się wydajność gospodarstwa i żeby wzrastały środki do życia. Trudno wdawać się w tem miejscu w przewidywania, w jaki sposób przebędzie Ukraina obecną krytyczną epokę, czy wyniknie z niej dalsza konsolidacja, lub inne następstwa. Tyle ze stanowiska demograficznego.

Wśród długiego szeregu klęsk i niespodzianek największe niepowodzenie w tej sprawie spotkało Polskę w r. 1654. Do tego fatalnego roku mogła Ruś kijowska być naszym sprzymierzeńcem, jednak poddała się Moskwie, bo w Polsce nie było już władzy, zdolnej do poświęcenia namacalnych dóbr prywatnych dla widoków politycznych. A ponieważ brakło także solidarności w obronie majątków ukraińskich, więc konsekwencją dalszą było odstąpienie Kijowa; w r. 1686, w trzy lata po sławnym tryumfie wiedeńskim, uznawała Rzplita pierwszeństwo Moskwy na starej Rusi, bo nowe społeczeństwo, tworzące się właśnie na kresach, miało słabą i chwiejną świadomość nawet swoich najbliższych interesów, zarówno politycznych, jak gospodarczych.

Równocześnie rozbijała się kolonizacja polska o ambicje Porty Otomańskiej, która uważała Morze Czarne za jezioro tureckie. Najświetniejszy rozmach naszej ekspansji osadniczej przepadł na epokę najśmielszych podbojów tureckich, aż niszczące wojny doprowadziły obie potęgi do zupełnego wyczerpania. Z drugiej strony była Polska wprawdzie narodem starożytnym, ale gospodarstwo było młode i niedoświadczone. Folwarki ruskie były zakładane celem uprawy pszenicy na wywóz, ale uczyniono bardzo mało, żeby ten wywóz uczynić rentownym. Ładunki zboża grzęzły w błocie na dalekiej drodze do Buga i dopiero stamtąd szły wodą do Gdańska, zaś kanał królewski od Pińska do Brześcia zaczęto kopać u schyłku wieku XVIII, więc elementarny warunek powodzenia kolonizacji, znalazł się dopiero w testamencie Rzplitej. Kolonizacja Rusi mogła być potężnym motorem, ożywiającym handel polski i niewyczerpanym źródłem bogactwa dla brzegów Wisły, przez którą szła droga handlowa. W rzeczywistości ogromne inwestycje kolonialne przepadły na marne nie tylko z powodu klęsk i ruin wojennych, ale dla braku wszelkiej organizacji w gospodarstwie narodowym, bo w tych

warunkach nie było żadnych widoków na zwrot funduszków lub wynagrodzenie wysiłków.

Historycy rozciągają przynębiające obrazy upadku i rozstroju w tej smutnej epoce, dając do zrozumienia, że słabość rządu, która była źródłem złego, wynikała z charakteru narodowego. W rzeczywistości nie było nic oryginalnego w ówczesnych niedolach polskich. Zdarzały się one we wszystkich innych krajach Europy pod panowaniem takiego samego ustroju i sprowadzały wszędzie podobne ruiny. W wieku XV wybiła się Polska wysoko, bo było u nas daleko więcej ładu, niż w feudalnej Europie, gdy następnie pogoń na ziemi pszeniczne przesunęła na Ruś środek Rzplitej, upodobił się stopniowo cały kraj do nowego ogniska życia, poczem pod wpływem tego środowiska zapanował średniowieczny ustrój i obyczaj. Na tem tle zrozumiałe jest, że gwałtowny upadek narodu ambitnego i oświeconego następuje równocześnie z okazałą ekspansją, bo wraz z rozmachem kolonizacyjnym i rozwojem żywiołu ruskiego szło osłabienie dawnej ostoji Rzplitej w starej Polsce i w starej Litwie. Gdy w epoce pierwszego rozbioru dochodziła ludność Rzplitej do 11½ miliona głów, nie była to liczba mała na owe czasy i jeśli czego krajowi brakowało, to napewno nie rąk do pracy. Zmienił się jednak naokoło nas stosunek sił i to wyraźnie na naszą niekorzyść. W wieku XVIII nastąpił nie tylko ogromny rozrost narodów kolonialnych i handlujących, ale także w środkowej Europie odżyła i wzrosła ludność po zniszczeniach poprzedniej epoki. W porównaniu z zachodem i środkiem Europy ludność Polski była najrzadsza, przy tem gospodarstwo najmniej umiejętne, ubóstwo kraju i zbiedzenie ludu rażące. Wraz ze spadkiem obrotów w handlu wiślanym malała ludność Gdańska, którego rozwój był tak wierną miarą gospodarstwa polskiego, jak wodomierze wiślane są miernikiem posuchy i deszczów; około r. 1772 liczono w Gdańsku wszystkiego 20 tys. ludzi, to znaczy 4 razy mniej, niż w wieku XVII. Jest to interesujące uzupełnienie naszego obrazu demograficznego; podwoiła się w ciągu dwustu lat ludność Rzplitej, ale równocześnie kraj zubożał, bo podupadły prowincje, zdolne do czynnej roli w gospodarstwie krajowym, więc wraz z pomnożeniem gąb jedzących zmalała siła rąk pracujących.

Dawniejszy rozmach gospodarstwa folwarcznego odbijał się w sposób nierówny na ludach Rzplitej. Ruś przechodziła od

wieków co parę set lat z jednego podboju pod drugi; surowe poddaństwo, graniczące z niewolnictwem, było tam odwiecznym warunkiem życia, a gdy doszło do kolonizacji stepów, więzy jego musiały łagodnieć, bo słabe były widoki na odebranie zbiegłego chłopca. W starożytnym prawie polskim nie było znane ani wieczyste przykucie do ziemi, ani tem mniej nieograniczona władza dziedziców nad poddanyymi⁵⁾, to też w starych ziemiach laskich nastąpił w wieku XVI prawdziwy przewrót społeczny, gdy masa ludowa popadła w poddaństwo prywatne w stylu ruskim. Niektóre żywiły przystosowały się do nowej sytuacji, a nawet rozmnożyły się i zajęły więcej miejsca za ery ruskiej; inne marniały i przestały się rozwijać. Tak doszło w tej epoce do wyraźnej zmiany etnograficznego składu ludności nie tylko na Wschodzie, ale i w starych ziemiach koronnych. Język polski utrzymał się na dawnym obszarze, nawet rozszerzył się mocno na między litewskiej, w wieku XIX zrobił jeszcze dalsze postępy na tym odcinku, ale skład narodu zmienił się od XVI wieku, naginając się do zmienionego ustroju społecznego. To też występuje na front i rzuca się w oczy inny typ fizyczny niż za czasów Długosza zwłaszcza w Małopolsce, gdzie skład plemienny ludności był najmniej jednolity.

Era ruska w naszej historii wiązała się tak mocno z ustrojem społecznym i politycznym, że wraz z nim przypada jej wschód i zachód. Otrzymała pierwszy cios w dniu 3 Maja 1791, odniosła jednak zwycięstwo w r. 1792; gdy następnie weszły do kraju instytucje francuskie wraz z legjonami polskimi i wojskami Napoleona, a zasady Konstytucji 3 Maja postąpiły o krok dalej, nastąpiła u nas epoka nowożytna, której dziełem jest dzisiejsza Polska. Gdy w końcu rozsypało się stare społeczeństwo, okazało się, że naród jest bardziej zwarty niż kiedykolwiek, nadto zdolniejszy do wytrzymania na pozycji, która stała się znacznie trudniejsza w ciągu ostatnich stu lat.

Patrząc na dzisiejsze oblicze Polski, oglądając postęp, odbywający się w wielu gałęziach życia gospodarczego i duchowego, widząc oczywiste dowody ambicji, wiary w przyszłość, oraz wymagania życiowe, odbijające tak jaskrawo od minionej ery, tracimy wobec niej uczucia żalu i obliczamy spokojnie pozostałą

po niej spuściznę. Zmienił się skutecznie skład etnograficzny narodu dzięki nowym granicom i nowemu ustrojowi społecznemu, choć wszystkie szczepy ludności rdzenne i rodowite są osiadłe na swej ziemi od niepamiętnych czasów.

Takie badanie jest to żmudna praca i zawiła, ale tą drogą dochodzi się do etnografii użytecznej, która stwierdza zarówno prawdziwe pokrewieństwa, jak naturalne i odwieczne przeciwieństwa, tem samem obalając przesady i przestrzegając przed złudzeniami, zmniejszy rozmiary tarcia między ludami Rzplitej i przyczyni się do pokoju wewnętrznego. W świetle takiego studjum okaże się, że sławna żywotność ludu ruskiego jest cennem i ważnem źródłem potęgi Państwa i że doprowadzi nawet do postępu kulturalnego w kraju, gdy będzie słusznie oceniona.

Starożytność osadnictwa jest istotnem źródłem narodowości polskiej. Wspólne życie na dziedzicznych łęgach w ciągu setki pokoleń wykształciło u naszych ojców wspólny charakter narodowy, który od dawna przechodząc w dziedzictwie z ojca na syna, odzywa się w naszych uczuciach i czynach jako wrodzony instynkt. Szczep laski, wrosły w swoją ziemię tak głębokimi korzeniami, że przez ich zgęszczenie stały się kontynentem rozlewne łąchy i ługi, jest tak samo jak las zdolny do posuwania się tylko w zwartym zasięgu i nie zdarzyło się dotąd, żeby w rozprószeniu udało się Lachom zapuścić korzenie w cudzą ziemię. To też w całej Wielkopolsce aż do Wisły nie należy szukać zainteresowania dla ekspansji, kolonizacji lub innych programów egzotycznych. Rola tego bloku narodowego polega na wytrwaniu na stanowisku niebezpiecznym, oraz na utrzymaniu w Polsce stałej równowagi. Ta rola jest spełniona doskonale; tam odbywa się najszybciej zanikanie żywiołu obcego i mimo bliskości granicy niema tam nastroju kresowego. Od stateczności wielkopolskiej odbija wyraźnie ruchliwość ludu na podlaszach, na wschodzie i na południu, wreszcie dwie rozległe miedze etnograficzne na obszarze dawnej Rusi Czerwonej i Litwy będą po staremu rojowiskiem ambicji, energii i ludzi, skąd będą wylatywać coraz nowe roje w poszukiwaniu nowego gniazda. Nie zapominajmy o trzymiljonowej masie żydowskiej, górującej ruchliwością i ambicją nad ludami wędrownymi całego świata. Niegdyś różnorodność etnograficzna, doprowadziwszy w epoce nieopatrznej unifikacji do starcia charakteru i indywidualności, zakończyła się ruiną;

obecnie przez ekspansję zewnętrzną stanie się ona źródłem nowych bogactw, równowaga zaś Państwa i jedność narodu będzie coraz trwalsza w miarę postępu tego ruchu.

Dlatego wyrosły nad stojącymi wodami naród lacki nie powinien odwracać oczu od wód płynących.

PRZYPISKI.

Idea przewodnia tych szkiców jest zawarta w słowach Długosza, które w brzmieniu łacińskim są przytoczone w rodz. II i stanowią motto karty tytułowej. Wybitny charakter północny narodu i jego indywidualność, zachowana mimo różnorodności rasowej, oto zagadnienie, które starałem się wyjaśnić na podstawie geograficznych warunków osadnictwa i jego objawów demograficznych. Choć z przytoczonych faktów okazywało się, że pierwotne osadnictwo polskie odbywało się przy znacznym udziale rasy północnej, choć pochodzenia szczepu lackiego z tego pnia wydawało się najłatwiejszem wytłomaczeniem wielu z przytoczonych wyżej zjawisk, odkładałem konkluzję do rozbioru dzisiejszych zjawisk demograficznych w dalszych szkicach. Będzie on tem łatwiejszy, że profesor Czekanowski był łaskaw pozwolić na wgląd w wyniki badań lwowskiego Instytutu antropologicznego, dzięki czemu dalsze wywody etnograficzne będą opierały się na solidnej podstawie przyrodniczej. Wedle znanej teorii prof. Czekanowskiego zasięg rasy północnej obejmuje przeważający obszar ziem polskich, w najczystszej zaś formie zachował się na starych ziemiach lackich i litewskich, w oświetleniu zaś demograficznym byłaby Polska jedynym krajem świata, gdzie rasa północna okazuje normalną żywotność. Jest to może najbardziej interesujące zagadnienie, jakie nasuwają metamorfozy polskie i badanie ich źródeł.

Zmieniające się oblicze naszej ziemi i zmienny charakter osadnictwa polskiego były tematem ogłoszonego obecnie studjum. Literatura, z której korzystałem będzie wymieniona na końcu rozprawy. Tu powołuje się jeszcze raz na materiał najlepiej u nas znany, na mapy i inne prace geograficzne prof. Romera, wreszcie na żywy język polski, który zawiera dokładniejsze wskazówki etnograficzne, niżby się wydawało wedle rozpraw filologicznych dotąd ogłoszonych.

Do rozdziału I.

Obliczenie dzisiejszego stanu młodzieży wedle spisów z przed kilku laty jest najłatwiejsze we Włoszech, nie przedstawia poważniejszych trudności w W. Brytanji i Francji, podaje zaś cyfry zaokrąglone co do Polski, Ukrainy i Niemiec. Władze sowieckie opierają się w swoich oszacowaniach na Roczniku Statystycznym Rosji, który z dziwną lekkością nie uwzględnił migracji w swoich sumarycznych wykazach; mimo, że ubytek w przyroście naturalnym, zwłaszcza na Ukrainie, dochodził do $\frac{2}{3}$ wskutek emigracji, na tym błędzie z czasów carskich opierają się dzisiejsze twierdzenia sowieckie. Jednak w każdym razie młodzież Ukrainy będzie już obecnie liczniejsza od francuskiej i angielskiej i prawdopodobnie dorównuje liczbie młodzieży naszego kraju. Oszacowanie młodzieży w Polsce i w Niemczech

opiera się na zawitym rachunku, który należy do tematu II części tej rozprawy.

Do rozdziału II.

1. Dane antropologiczne tego ustępu pochodzą z „Charakterystyki fizycznej ludności” prof. L. Krzywickiego i z prac prof. Czekanowskiego.

2. Unikając spornych kwestji antropologicznych, miałem oczywiście w pamięci różnice między klasyfikacją Denikera a Czekanowskiego, zresztą nie była dotąd konieczna rozprawa z temi teorjami. Porównanie ich z pełnym materiałem demograficznym będzie użyteczniejsze.

3. A. C. Haddon wywodzi historyczne ludy rasy północnej z pierwotnego pnia północnego, race protonordique, poczem w miarę rozszczępienia się i kojarzenia się z innymi ludami mogło dojść do odmiennych odieni wśród tej rasy. Największą rozpiętość w żywej sile widzimy obecnie wśród ludów, które antropologja zalicza jednakowo do rasy północnej (np. szczepy łacki i saski). Możliwe jest, że domieszka innej krwi w Polsce, innej w półn. Niemczech daje tak odrębny obraz demograficzny, że robi on wrażenie przeciwieństwa rasowego.

Do rozdziału III.

1. Wiadomości archeologiczne o osadnictwie łużyckiem są streszczone wedle Historji Słowian Czekanowskiego.

2. *Ius naturale est, quod natura omnia animalia docuit. Hinc descendit maris atque feminae coniunctio, hinc liberorum procreatio, hinc educatio.* (Ulpianus Inst. I).

3. Wywiady Urzędu Statystycznego, obejmując obecnie wszystkie ziemie polskie, pozwalają na stwierdzenie ciągłości rozwoju.

4. Wywód o budownictwie chaty i chałupy jest streszczeniem z Czekanowskiego l. c.

5) Rodowód Lachów, jasny dla każdego na tle warunków topograficznych osadnictwa i pierwotnego oblicza Polski, niezgodny jest z Słownikiem etymologicznym Aleksandra Brücknera, wobec czego dodaję dalsze wyjaśnienie. Zagadnienie językowe polega na jednoznaczności łągu i łachy, oraz na wspólnem pochodzeniu od europejskiego pnia *lag*, co nie ulega wątpliwości wobec obfitości we wszystkich językach europejskich słownictwa, wpływającego wyraźnie z tego źródła; wszędzie nazwy brzmiące podobnie, jak: łągiew, lagenos, oraz łąg, łacha, lakkos, mają to samo znaczenie, co w językach greckim i polskim, lub podobne i wyraźnie pochodne. Rzecz oczywistą stwierdza Dr. Emil Boissacq w swoim Słowniku etymol. języka greckiego, jak również wydawcy słowników starosłowiańskich. Również pochodne nazwy: łąk, łąk, kabłąk, łąkowaty na oznaczenie zgięcia występują także w języku litewskim, greckim, łacińskim, oraz we wszystkich słowiańskich: lenkiu, lenkte, lanksmas, lankas, loxos, loxoo, luxus, luxo. W świetle tego starożytnego słownictwa europejskiego widzimy, że wybrzeża prawdziane znane były naszym pradziadom jako łągi, zanim jeszcze doszło do rozszczępienia naszego języka od litewskiego. Nosowa wymowa tego dźwięku jest właściwością narodową polską i litewską. Tylko resztki wymowy nosowej zachowały się u innych Słowian, ale w wieku VIII przez zdobyw-

ców słowiańskich wszedł nasz łęg do języka nowogreckiego, gdzie gaj nazywa się longos wbrew tradycji klasycznej. Dźwięk lachy przeciwny wymowie polskiej jest nazwą południowo-słowiańską i tamtą drogą wszedł do języków: albańskiego, st. cerkiewnego i rumuńskiego, na Rusi zaś był i jest niezrozumiały, bo tam łęgi i łachy nazywają się ługami, zaś dźwięki brzmiące podobnie do lachów mają inne pochodzenie i znaczenie. Bardziej uderzające jest, że na Bałkanach rozpowszechniły się inne, pozornie tylko podobne, nazwy: Leh, Leszka, lehanska zemla, a co więcej w Dalmacji są nadal w obiegu jeszcze inne nazwy: Lah i Vlah, używane naprzemiennie na oznaczenie sąsiadów z suchej ziemi; doszło widocznie do konfuzji dawnych Lachów z łęgów północnych z innym narodem, bardziej ruchliwym. Tu znowu mimo znanej etymologii niemieckiej, powtarzanej dobrodusznie przez Słowian, wypada stwierdzić i to stanowczo, że średniowieczne wyrazy lach, laha, pisane również lagha, laghan, wreszcie nowożytne law, są to znane prawnikom pojęcia prawne, które dosłownie znaczą to samo, co łacińska *lex*, takie zresztą jest ich zwykłe znaczenie w języku starym germańskim i w dzisiejszym angielskim. Średniowieczna laha (*droit d'epaves*) odegrała rolę w rozwoju prawa polskiego; było to prawo ograbiania rozbitek morskich, a Kazimierz Jagiellończyk zrzekł się tego prawa po odzyskaniu Pomorza. Natomiast Lach i Leh oznaczały: granicę, znaki graniczne, czynność wytyczania granic przez nacinanie drzew; stąd od łuzycckiego lacha poszło niemieckie słowo *anlaschen*, używane niegdyś nad Łabą w tem ostatnim znaczeniu. Wreszcie w Bretanii spotykamy nazwy: Leh, Lah, Liach, które wedle dość niejasnego tekstu, przytoczonego w Słowniku du Cange'a, byłyby również znakami granicznymi (*Glossarium infimae latinitatis*, Tom IV, wyrazy: *lachus*, *lagha*, *laha*). Etymologia tych pojęć prawnych nie jest ustalona. Możliwe, że pochodzą one od europejskiego pnia blak, lag, który we wszystkich językach europejskich jest wrażeniem słuchowym na oznaczenie płaczu, żalosego głosu, lub wogóle mowy ludzkiej: greckie *bleche*, *blacha*, *blechaomai*, litewskie *blauti*, *blaukti*, greckie *lasko*, *lekeo*, łacińskie *loquor*, germańskie *klagen*, *lahen*, słowiańskie *blagać*, *blekati*, *płakać* i wiel innych z teje onomatopoi.

Ponieważ studjum tej zagadki językowej i historycznej nie uczyniło ani kroku naprzód od czasu wydania Słownika du Cange'a, choć nie brak w Polsce ludzi, znanych z rozległej wiedzy filologicznej, więc na tem miejscu wspominam tylko szczegóły, wynikające wyraźnie ze słownictwa, w nadziei, że rzecz poruszy kiedyś umysły fachowe.

Ruska i pld. słowiańska *lecha* (= rząd, grzęda, miara powierzchni) nie jest obrazem topograficznym jak łęgi i ługi, lecz pojęciem abstrakcyjnym i znajduje się w widocznym związku językowym, może i historycznym z łotewskimi i szwedzkimi wyrazami: *lahga*, *lag*; pierwszy z nich znaczy: warstwa, ład, skład, drugi ład, prawo, szereg, położenie. Nasuwa się dalsze pytanie, w jakim związku językowym z naszym ładem jest władza, władanie, włość i własność. W każdym razie wynikałoby z tego, że era bóstwa Łady, kiedy lachy i lehy stały się pojęciami prawnymi, które przez ludy bardzo ruchliwe rozniosły się szeroko do brzegów Oceanu, zapadła dlatego

w zamierzchłe czasy, że nie była dotąd badana rzetelnie i umiejętnie. W każdym razie najmniej zagadkowe wydaje się starożytne oblicze Polski, zwrócone na półn. wschód od Warszawy, gdzie łąki litewskie są wyraźnym przedłużeniem naszych łęgów. Niemniej w późniejszej historycznej epoce, kiedy bóstwo Łado miało czcicieli wśród wielu ludów, ogarnął lud tego samego pochodzenia szeroką połać Europy, a ślady tej epoki zachowały się dotąd w szczątkach językowych wielu narodów i nie mają one z krajobrazem żadnego związku; z tej epoki pochodzi lecha (= grzęda), wędrowne nazwy Włochów, Wołochów, i Lechów i bajeczne podanie o braciach Lechu i Czechu. Dodajmy w końcu ostrzeżenie przed nazwami pospolitemi, rozpowszechnionymi od tysięcy lat w całej Europie, które wszędzie przybierają podobne brzmienie, mimo odmiennego pochodzenia. Od indo-europ. pnia mlak (= słabość) pochodzi grecki blax (bladeros), spopularyzowany przez poetę Zuławskiego, dalej ruski lad, ladaszczyj, polskie ladaeo, wyrazy jednoznaczne we wszystkich językach europejskich, z równą pogardą wymawiane w Polsce, na Łużycach i w Rosji. Złośliwe mnichy kijowskie piwały niekiedy przymiotnik lacki: ljadskij, zamiast ljaskij lub ljatskij, to też jeszcze dziś i w Rosji i na Ukrainie Lachy i lacki, są to wyrazy wyraźnie niezyczliwe. Również odrębne i paneuropejskie są znane powszechnie w narzeczu krakowskim lachy, wywodzące się od pnia lake, lek, stąd grecki lakis, łaciński lacer, lacerare i w. in. Snobizm i lęk przed tą podejrzaną parentelą odegrały swoją rolę i opóźniły wywód naszego starożytnego imienia narodowego, zaślaniając jego ojczyznę na łęgach Narwi, Wisły, Warty i Odry.

W świetle starożytności imienia staje się zrozumiałe i jasne dla każdego nowsze imię Polski i Polaków. Ta sama forma językowa istnieje w języku łużyckim, gdzie Łużyce nazywają się także Łużyska, jedna zaś i druga nazwa znaczy dosłownie to samo co Lachy, Polska i Polszcza; w mowie kaszubskiej zachował się jeszcze ślad dawnej końcówki przymiotnikowej: polszczy. Dwie formy: pluralis pólśka i sing. ziemia polszcza zlały się w jeden wyraz, który odmieniamy inaczej niż przymiotnik pólśka. Obie nazwy są topograficzne, podobnie jak rzymska Kampanja, jak Szampanja i starożytne Latium i wszystkie znaczą prawie to samo. Ten ostatni przykład rzuca światło na etnografię Europy środkowej w dwu różnych epokach, gdy ziemię naszą nazywali sąsiedzi poprostu łęgami, lachami, pólskami, pólską. Niema nasza Ojczyzna imienia rodowego, bo jej wiek tak dawny, jak wiek łęgów wiślanych sięga minionej epoki w historii ziemi.

Do rozdziału III.

1, 2, 3. Cyfry statystyczne o Polsce współczesnej i o ludności miejskiej służą tu tylko dla ilustracji. Wróćmy do nich w II części.

4. Zob. uwagę do rozdz. I.

5. T. Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stan. Augusta, Tom I, str. 351 i nast.; tamże przytoczone świadectwo A. Wybickiego, że w Prusiech królewskich „poddanie znane nie było”, oraz spostrzeżenia podróżników, świadczące wyraźnie, skąd szły wzory ówczesnego wężła poddańczego.

Bolesław Bator.

Ostatnia reforma amerykańskiej służby zagranicznej.

Hasło reformy służby zagranicznej Stanów Zjednoczonych datuje się od początków czwartego dziesiątka XIX wieku. Po pierwszych sukcesach dyplomacji amerykańskiej, sięgających czasów walk o niepodległość oraz epoki organizacji młodego państwa w zewnętrznym życiu Stanów Zjednoczonych nastąpił zastój. Okres ten stanowiący zarazem epokę najbardziej aktywnej zagranicznej polityki Stanów, zamyka ostatecznie doktryna prezydenta Monroe'go zawarta w jego orędziu z 2 grudnia 1823 roku. — Będąc rodzajem volteface dotychczasowych kierunków amerykańskiej polityki zagranicznej, kierując ostrza dyplomacji swej raczej w stronę pozostałych części Ameryki niż legitymistycznej Europy, doktryna zalecała tem samem zwrócenie głównej uwagi czynników państwowych na zagadnienia wewnętrzne, a zwłaszcza gospodarczą odbudowę młodego państwa. Formułując stanowisko swe w stosunku do Europy w sposób zdecydowanie negatywny, prezydent Monroe ograniczył i zwęził niesłychanie pole działania swej dyplomacji. Zwężenie to obejmowało nie tylko cele i środki amerykańskiej dyplomacji ale odnosiło się i do całego kompleksu państw. Politycznie ciekawa Europa wykreślona została ze sfery wielkiej polityki Stanów Zjednoczonych. Pozostała jedynie Ameryka południowa oraz nowo tworzące się republiki w rejonie zatoki meksykańskiej, — terytorja przedstawiające mniej ponętny teren działalności dla żądnych sławy dyplomatów amerykańskich — niż ówczesna rozpolitykowana Europa.

Oslabienie tempa dyplomacji amerykańskiej, jakie nastąpiło około 1825 r., odczuć się dało i na innych polach jej działalności. Zainteresowanie się polityką zagraniczną było bardzo silnie rozwinięte wśród Amerykanów pod koniec XVIII i na początku

XIX wieku. W okresie budowy państwa, sprawy związane z jego bezpieczeństwem wysuwały się automatycznie na czoło zagadnień państwowych. „Nie posiadając ani armji ani floty, polegaliśmy jedynie na naszej dyplomacji i oceanie” — stwierdza C. Fish w swem niedawnem studjum o amerykańskiej dyplomacji.

Z pierwszych sześciu prezydentów wszyscy, prócz Washingtona, mieli za sobą dłuższą lub krótszą służbę dyplomatyczną — Monroe zaś zanim został wybrany prezydentem, był sekretarzem Stanu oraz posłem Stanów Zjednoczonych przy pięciu głównych dworach Europy. Pracowało pozatem w dyplomacji w pierwszym jej okresie bardzo wielu wyjątkowo wybitnych ludzi jak Franklin, John Quincy Adams, i inni; zdając sobie sprawę z doniosłości spraw związanych z ich zawodem, mając za sobą poparcie prezydentów, pozatem zaś będąc pewnymi niewzruszalności linii politycznej zapoczątkowanej jeszcze przez Washingtona, obejmowali oni chętnie stanowiska dyplomatyczne. Gdy jednak pierwsze pokolenie dyplomacji amerykańskiej wymarło gdy — co ważniejsze — sprawy wewnętrzne wzięły górę nad polityką zagraniczną, — wybitniejszych kandydatów na stanowiska dyplomatyczne zabrakło. Lepszy woleli siedzieć w domu i zajmować się sprawami wewnętrznymi niż jechać zagranicę, celem objęcia jałowych posterunków. Na ich miejsce poszli inni, gorsi i dlatego też obsada placówek amerykańskich z lat 30-tych, porównana z okresem z pierwszych lat XIX wieku, wygląda słabo.

Nie tu jednak tkwi sedno sprawy. Zjawiska powyższe, najnaturalniejsze w świecie, odnaleźć można w historii każdego państwa. Same w sobie nie spowodowałyby one nigdy załamania się linii amerykańskiej służby zagranicznej, zapoczątkowanej tak pięknie przez Franklina, gdyby nie czynnik inny, który w czwartym dziesiątku XIX w. panoszyć się rozpoczął w tutejszem życiu politycznem, podkopując dotychczasowe zdrowe podstawy tak administracji wewnętrznej jak i zagranicznej a znany pod nazwą systemu łupu „Spoils system”.

Zwyczaj wynagradzania stanowiskami rządowymi ludzi, którzy okazali usługi partji zwycięskiej rozpowszechniony został za czasów prezydentury Andrew Jacksona (1829—1837) i trwał w dziedzinie służby zagranicznej do czasów najnowszych. Ucierpiała na nim służba konsularna w pierwszym rządzie.

Możność spędzenia kilku lat w ładnej miejscowości zagranicznej, z prawem pobierania opłat konsularnych na własny rachunek nie mogła nie przemawiać do wyobraźni różnych „politicians”. Rezultaty też takiego stanu rzeczy były oplakane. W. H. Lincoln, właściciel kilkudziesięciu okrętów oceanicznych z Bostonu, oskarża służbę konsularną z drugiej połowy XIX w. wprost o zaprzeczanie rozwoju amerykańskiej marynarki handlowej, opłaty bowiem które pobierali, były nietylko krzywdzące, ale tak wysokie, że powodowały deficyty przedsiębiorstw. W dyplomacji nie o wiele lepiej się działo. Wprawdzie moment pieniężny, wobec braku opłat konsularnych schodził na drugi plan, personel jednak dyplomatyczny, dobierany drogą niemal wyłącznie partyjną, bez tradycji, ze słabą znajomością zagranicy i jej języków, z trudem konkurować mógł z nierównie sprawniejszą dyplomacją europejską.

Pełno też w prasie amerykańskiej drugiej połowy XIX w. utyskiwań na służbę zagraniczną. Żale te i skargi przeważnie indywidualne, jakby uzasadnionymi nie były, zdawały się jednak zapominać o tem, że nie ludzie ale system był winny, że natura ludzka mało się zmieniła od początków naszej ery i że trudno dziwić się jakiemuś „boss’owi” z arcypolitycznego stanu Indian, iż przyczyniwszy się walnie do wyboru przyjaciela swego na senatora Stanów Zjednoczonych, przyjął później od niego w nagrodę za swe polityczne usługi, stanowisko ministra w Rzymie, czy Konsula Generalnego w Cairo. Skargi te jednak aż do czasów najnowszych poważnego echa wywołać nie zdołały, mimo to, że Stany Zjednoczone są klasycznym krajem opinii publicznej. Przedewszystkiem problemami polityki i administracji spraw zagranicznych interesowało się wówczas względnie małe koło osób, powtórę zagadnienia te, jako czasowo mniej doniosłe, zejść musiały w drugiej połowie XIX w. na drugi plan, wobec tak potężnych kwestji, jak emancypacja murzynów, wojna cywilna i odbudowa zniszczonych terytorjów.

„Reconstruction period” — okres odbudowy, spowodowany długą i wyczerpującą wojną domową, trwa tu niemal po koniec ubiegłego stulecia. Dopiero wszczęta w 1898 r. wojna hiszpańsko - amerykańska zwraca uwagę sfer rządzących i opinii publicznej na doniosłą i zaniedbaną domenę polityki zagranicznej. Dojście do władzy energicznego, a bardzo interesującego się spr-

wami zagranicznymi prezydenta T. Roosevelt'a reformę przyspieszyło, tembardziej, że sekundowali mu w tej pracy ludzie wielkiej miary, jakimi niewątpliwie byli dwaj jego sekretarze stanu J. Hay i Elihu Root. W końcu zapominać nie należy, że dopiero pod sam koniec XIX wieku udało się Stanom Zjednoczonym przeprowadzić ustawę o służbie cywilnej, stanowiącą podstawę reformy służby zagranicznej.

Na pierwszy ogień poszedł dział konsularny. Ustawa z 25 kwietnia 1906 r. wraz z całym szeregiem rozporządzeń (executive orders) stanowi podwalinę organizacji amerykańskiej służby konsularnej. Objęte nią zostało wszystko, poczynawszy od tak zasadniczych postanowień jak obywatelstwo konsula, a skończywszy na drobnych szczegółach dotyczących egzaminów wstępnych. Na przyszłość urzędnikiem konsularnym z pensją roczną \$ 1000 lub więcej mógł zostać zamianowany jedynie obywatel amerykański. Rezultatem tego postanowienia, oczywistego dla Europejczyka, była amerykanizacja ¹⁾ amerykańskiej służby konsularnej.

Następnem nader ważnem postanowieniem ustawy było odebranie prawa pobierania opłat na własny rachunek. Zakazano również Konsulom zajmować się interesami, podnosząc jednocześnie wydatnie pobory. Wejście do służby czyni ustawa za-

1) Doskonałą ilustrację stanu rzeczy z przed 1906 r. dał obecny Konsul Generalny Stanów Zjednoczonych w Londynie p. R. Skinner z okazji dyskusji nad bill'em Regers'a w Komisji spraw zagranicznych Izby, w grudniu 1922 r. Cytuję słowa p. Skinner'a: „Gdy pojechałem jako konsul do Marsylii byłem jedynym Amerykaninem w urzędzie. W Hamburg'u było to samo. W pierwszym dniu pobytu mego w Hamburg'u wszedł do biura jakiś Niemiec, który zachodził tam dość często. Zobaczywszy mnie zajmującego jedno z krzeseł biurowych, pochylił się on do siedzącego przy nim urzędnika Niemca zapytując, co to za człowiek tam siedzi? Urzędnik odpowiedział: „To konsul Generalny”. Na to Niemiec z zdziwionym wyrazem twarzy: „Ależ on wygląda jak Amerykanin!”. „Tak, gdyż jest amerykańskim”, brzmiała odpowiedź urzędnika.

Deputowany Rogers: „W którym roku to było?”

P. Skinner: „W 1908. Gdy poszedłem później do Berlin'a zastałem w Konsulacie jedynie dwu amerykańców. W Londynie trzech, podczas gdy dzisiaj nie znajdziecie Panowie faktycznie na tych stanowiskach innych ludzi jak tylko amerykańców”. (P. Skinner miał niewątpliwie na myśli jedynie swych wyższych urzędników — jak bowiem z późniejszej części jego przemówienia wynika personel Konsulatu Generalnego Stanów Zjednoczonych w Londynie wynosi 55 osób).

leżnem od pomyślnego złożenia egzaminu z przynajmniej jednego obcego języka oraz z ekonomji politycznej, prawa międzynarodowego, handlowego, morskiego, nauki o Stanach Zjednoczonych i handlu międzynarodowym. Uregulowano również dokładnie sprawę awansów zastrzegając wyższe stanowiska dla urzędników niższych, którzy wykażą się odpowiedniemi uzdolnieniami i wydajnością pracy. W ten sposób „system łupu” znalazł w dziale konsularnym swój naturalny koniec.

Nowością było wprowadzenie instytucji inspektorów konsularnych w liczbie 5, rozlokowanych w różnych punktach kuli ziemskiej, a powołanych tak do perlustracji placówek jak i klasyfikowania personelu. Inspektorem mógł zostać tylko doświadczony Konsul Generalny — zaś każdy konsulat musiał — w myśl wyraźnego przepisu ustawy — uległ rewizji przynajmniej raz na każde dwa lata. Celem wreszcie należytego wprowadzenia w życie nowych przepisów oraz zapewnienia służbie jednolitego i troskliwego kierownictwa u góry, stworzono w Departamencie Stanu stanowisko dyrektora służby konsularnej, powierzone w 1907 r. p. W. Carr, które on do dzisiaj zajmuje z rangą „Assistant Secretary of State”.

Tak by się w najogólniejszych zarysach przedstawiała reforma służby konsularnej dokonana przez Prezydenta Roosevelt’a w 1906 roku. Stanowi ona — zdaniem jednych — fundament obecnej organizacji amerykańskiej służby konsularnej — zdaniem innych i jej początek, gdyż jak twierdzą — przed 1906 r. Ameryka miała tylko konsulów a nie miała wogóle służby konsularnej.

Uzupełnieniem postanowień z 1906 r. a raczej ich częściową zmianą była ustawa z 5 lutego 1915 roku. Praktyka wykazała bowiem niezbitcie, że niektóre przepisy bill’u Roosevelt’a nie są odpowiednio giętkie, skutkiem czego racjonalne operowanie personelem stało się bardzo utrudnione, co więcej — literalne stosowanie ustawy mogło być połączone z krzywdą urzędnika. Autorzy bill’u z 1906 r. — idąc za przykładem państw europejskich — związali mechanicznie płace i stanowiska konsulów z wyraźnie oznaczonymi miejscowościami, stanowiąc np. iż konsulaty Generalne I kl., znajdować się będą w Paryżu i Londynie, drugiej w Berlinie, Hawanie, Hongkong’u, Hamburg’u, Rio de Janeiro, Shanghaju, trzeciej w Buenos Aires i t. d. Takich klas Konsu-

latów Generalnych było 7, obejmujących 57 miejscowości, zaś Konsulatów — 9 rozmieszczonych w 251 miastach całej kuli ziemskiej. Skoro więc — zgodnie z przepisami z 1906 r. — konsul Amerykański np. Warszawie należącej wówczas do IX klasy, z poborami 2.000 dol. rocznie, miał zostać zaawansowany na konsula klasy VIII, musiał bezwarunkowo opuścić Warszawę bez względu na to czy pracował dobrze, czy źle oraz czy znał język i kraj do którego wyjeżdżał, czy też nie.

Ponieważ przy istnieniu IX klasy płacy, każdy urzędnik stopniowo posuwał się z klasy niższej do wyższej pozostawanie w jednym szczeblu płacy z reguły nie przekraczało 3 lat, w niższych trwało jeszcze krócej — jest rzeczą jasną, że przeniesienia musiały być zbyt częste, co nie wychodziło ani na dobro służby, ani funduszków państwa. Przypomina mi to tego słynnego attaché konsularnego służby austrijackiej, który w jednym roku został kilkanaście razy przeniesiony, objechał cały świat dookoła i wrócił po roku tam skąd wyjechał t. j. do Wiednia, syt wrażeń i podróży. Aby więc temu zaradzić rozporządzenie z 1915 r. zanulowało system dotychczasowy, polegający na lokalizacji stopni służbowych i poborów, a wprowadziło na to miejsce system indywidualizacji w myśl którego, każdy urzędnik służby zagranicznej z chwilą mianowania zaliczony zostaje do pewnej klasy, poborów i rangi w której pozostaje aż do następnej nominacji bez względu na to czy pełni służbę we Włoszech, Południowej Afryce, czy nawet w Departamencie Stanu w Waszyngtonie.

Wszystkie powyższe reformy odnosiły się jednak głównie do służby konsularnej. Aż do czasów najnowszych dyplomacja amerykańska traktowana była jak kopciuszek, co odbić się musiało na państwie w czasie wielkiej zawieruchy światowej. „Ostatnia wojna — oświadczył w 1919 r. Sekretarz Stanu Lansing — zaskoczyła Stany Zjednoczone głównie dlatego, gdyż Departament Stanu nie posiadając właściwego ekwipunku, nie był w stanie zebrać i wykorzystać informacji, któreby mogły nam odślonić ukryte zamiary rządów przez które wojna została spowodowana”.

Do doskonałą ilustracją słów powyższych jest tabela sporządzona przez Ligę Reformy amerykańskiej służby cywilnej, którą poniżej podaję z uzupełnieniami Konsula Generalnego Tracy H. Lay'a:

	Przedstawiciel dyplomatyczny.	Czas służby na poste- runku do 4.VIII. 1914 r.	Poprzednia służba w dy- plomie
BERLIN.			
	Francja . . . J. Cambon	7 lat	10 lat
	Wiel. Bryt. . . Edw. Goschen	6 „	39 „
	St. Zjedn. . . J. W. Gerard	1 rok 16 dni	0
BERN.			
	Francja . . . J. B. Beau	3 lata 2 miesiące	27 lat
	Wiel. Bryt. . . E. M. G. Duff	1 rok 1 miesiąc	25 „
	St. Zjedn. . . P. A. Stovall	1 rok 2 miesiące	0
BRUKSELA.			
	Francja . . . A. Klobukowski	3 lata 2 miesiące	22 lata
	Wiel. Bryt. . . F. W. Villiers	8 lat 6 miesięcy	21 lat
	St. Zjedn. . . Brand Whitlock	8 miesięcy	0
KONSTATYNOPOL.			
	Francja . . . L. M. Bompard	5 lat	27 lat
	Wiel. Bryt. . . Louis Mallet	10 miesięcy	20 „
	St. Zjedn. . . H. Morgenthau	11 „	0 „
LONDYN.			
	Francja . . . P. Cambon	16 lat	16 lat
	Wiel. Bryt. . . — — — — —	— — — — —	— — — — —
	St. Zjedn. . . W. H. Page	1 rok 4 miesiące	0
PARYŻ.			
	Francja . . . — — — — —	— — — — —	— — — — —
	Wiel. Bryt. . . F. L. Bertie	9 lat	22 lata
	St. Zjedn. . . Wm. G. Sharp	2 miesiące	0
PIOTROGROD.			
	Francja . . . G. M. Paleologue	7 miesięcy	31 lat
	Wiel. Bryt. . . G. W. Buchanan	3 lata 8 miesięcy	35 „
	St. Zjedn. . . G. T. Mayre	1 miesiąc	0
RZYM.			
	Francja . . . P. E. Barrere	16 lat	17 lat
	Wiel. Bryt. . . J. R. Rodd	5 lat	35 „
	St. Zjedn. . . Thos. N. Page	1 rok 2 miesiące	0
TOKIO.			
	Francja . . . A. Gerard	8 lat	26 lat
	Wiel. Bryt. . . W. C. Greene	1 rok 8 miesięcy	35 „
	St. Zjedn. . . G. W. Guthrie	1 rok 3 miesięcy	0
WIEDEŃ.			
	Francja . . . A. I. Dumaine	2 lata 3 miesiące	35 lat
	Wiel. Bryt. . . M. W. Bunsen	9 miesięcy	26 „
	St. Zjedn. . . F. C. Penfield	1 rok 1 miesiąc	12 „
WASZYNGTON.			
	Francja . . . J. Jusserand	12 lat	26 lat
	Wiel. Bryt. . . C. A. Spring - Rice	1 rok 4 miesiące	31 „
	St. Zjedn. . . — — — — —	— — — — —	— — — — —

Nawoływania do reformy amerykańskiej dyplomacji rozpoczęła tuż po wojnie Narodowa Liga Reformy Służby Cywilnej wydając w roku 1919 spory pamflet agitacyjny p. t. „Raport o służbie zagranicznej”. Akcja Ligi poparta została gorąco przez prasę oraz opinię publiczną, wkrótce zaś potem członek Kongresu J. J. Rogers złożył trzy projekty ustaw „w przedmiocie reorganizacji i ulepszenia służby zagranicznej”, które zyskawszy aprobatę prezydentów Harding’a i Coolidge’a stały się podstawą ustawy, która wiosną 1924 n. przeszła w Izbie 134 głosami do 27, a wkrótce potem w Senacie jednogłośnie, wchodząc w życie dn. 1-go lipca 1924 roku.

II.

Centralnym punktem ustawy jest postanowienie o połączeniu służb dyplomatycznej i konsularnej w jedną całość. Idąc za wzorem państw europejskich, z których ostatniem w tej dziedzinie była Wielka Brytania, Stany Zjednoczone zniósły dotychczasowy podział na oddzielną służbę dyplomatyczną i oddzielną konsularną, wprowadzając na to miejsce jednolitą służbę zagraniczną i opierając ją na zasadzie wymienności. Zewnętrznym tego wyrazem jest nowy termin „Foreign service officer”, poraz pierwszy wprowadzony do amerykańskiego języka urzędowego, dla zastąpienia nazw starych, uprzednio używanych „diplomatic officer” i „consular officer”. Głównym jednak celem omawianego postanowienia była dążność do zapewnienia większej koordynacji w pracy handlowej i politycznej służby oraz chęć umożliwienia zdolniejszym konsulom przechodzenia do służby dyplomatycznej co uprzednio w zasadzie było wykluczone.

Dalszym krokiem reformy było radykalne podwyższenie płac amerykańskim dyplomatom niższych stopni dotychczas srodze pokrzywdzonym w porównaniu z ich kolegami ze służby konsularnej. Pobory ambasadorów i posłów zostały utrzymane w wysokości dotychczasowej; ponieważ mogą one interesować czytelnika, przytaczam poniżej następującą tabelę porównawczą:

	Wielka Brytania	Stany Zjednoczone		Wielka Brytania	Stany Zjednoczone
Albania . .	\$ 8.515	\$10.000	Włochy . .	\$38.932 ¹⁾	\$17.500
Argentyna .	43.978	17.500	Japonja . .	29.199	17.500 ¹⁾
Austria . .	21.899 ¹⁾	10.000	Meksyk . .	14.599	17.500 ¹⁾
Belgja . .	26.765	17.500	Holandja .	24.332 ¹⁾	12.500

	Brytania Wielka	Zjednoczone Stany		Wielka Brytania	Stany Zjednoczone
Bolivja . .	14.599	10.000	Norwegja . .	21.899	10.000
Brazylja . .	45.014	17.500	Panama . .	15.572	10.000 ¹⁾
Bułgarja . .	17.032	10.000	Persja . .	24.332	10.000
Chili . .	23.395	17.500 ¹⁾	Peru . .	18.102	17.500
Chiny . .	\$24.332 ¹⁾	\$12.000 ¹⁾	POLSKA . .	27.252	12.000
Kolumbia . .	14.399	10.000	Portugalja . .	19.466	10.000
Kuba . .	19.012	12.000 ¹⁾	Rumunja . .	19.466	10.000
Czechosłow. .	19.466	10.000 ¹⁾	Jugosławja . .	18.979	10.000
Danja . .	21.899	10.000	Siam . .	14.599	10.000 ¹⁾
Egipt . .	58.398 ¹⁾	7.500	Hiszpanja . .	29.199 ¹⁾	17.500
Estonja, Łotwa i Litwa . .	18.006	10.000	Szwecja . .	21.989	10.000
Finlandja . .	18.735	10.000	Szwajcarja . .	18.248 ¹⁾	10.000
Francja . .	80.297 ¹⁾	17.500	Turcja . .	42.581 ¹⁾	17.500 ¹⁾
Niemcy . .	38.932 ¹⁾	17.500	Stan. Zjedn. .	47.330 ¹⁾	—
Wielka Bryt. .	—	17.500	Uruguay . .	20.439	10.000
Grecja . .	19.466	10.000	Wenezuela . .	14.599	10.000

Co się tyczy personelu niższego t. j. służby konsularnej oraz dyplomatycznej do rangi radcy legacyjnego włącznie, ustawa dzieli go w całości na dziewięć następujących klas:

Urzędnik służby zagr. I kl. (radca ambasady, Kons. Generalny) — pobory \$ 9000 — 6% całości personelu.

Urzędnik służby zagr. II kl. (radca leg., Konsul Genre.) — pobory \$ 8000 — 7% całości personelu.

Urzędnik służby zagr. III kl. (Pierwszy Sekret. Konsul.) — pobory \$ 7000 — 8% całości personelu.

Urzędnik służby zagr. IV kl. (Sekret. Konsul.) — pobory \$ 6000 — 9% całości personelu.

Urzędnik służby zagr. V kl. (drugi sekr. konsul.) — pobory \$ 5000 — 10% całości personelu.

Urzędnik służby zagr. VI kl. (sekr. Konsul.) — pobory \$ 4500 — 14% całości personelu.

Urzędnik służby zagr. VII kl. (trzeci sekr. Konsul.) — pobory \$ 4000.

Urzędnik służby zagr. VIII kl. (trzeci sekr. Konsul.) — pobory \$ 3500.

Urzędnik służby zagr. IX kl. (trzeci sekr. Konsul.) — pobory \$ 3000.

1) Mieszkania stanowiące własność rządu i oddawane bezpłatnie:

W dziedzinie płacy ustawa też wyrównała wielką niesprawiedliwość i pokrzywdzenie, jakie istniało uprzednio na niekorzyść służby dyplomatycznej. Gdy bowiem, według przepisów dawniejszych, najwyższa płaca radcy legacyjnego przy Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Londynie, będącego zarazem zastępcą Ambasadora wynosiła \$ 3.000 a potem \$ 4.000 rocznie, w tej samej randze będący Konsul Generalny w Londynie pobierał trzy, względnie cztery razy tyle, gdyż \$ 12.000. Skutkiem tego żaden z lepszych konsulów do służby dyplomatycznej nie chciał przechodzić — z drugiej zaś strony karjera dyplomatyczna otwartą być de facto mogła jedynie dla ludzi posiadających własne, większe zasoby pieniężne.

W związku z tem dnia 1 lipca, 1924 r. nastąpiło przeklasyfikowanie urzędników służby zagranicznej. Część ich zwolniono, pozostali zaś przydzieleni do poszczególnych klas przyczem za podstawę klasyfikacji brano posiadany stopień, wiek oraz uzdolnienie i rezultaty pracy dotychczasowej. Podobnie jak uprzednio nominacja polegała wyłącznie na przydziale do pewnej klasy a nie miejsca, każdy też urzędnik, bez kwestji na to, dokąd zostawał przydzielony, przechodził tam zawsze wraz z swoim stopniem, tytułem i poborami. System ten ma niewątpliwie i swoje strony ujemne, z których główna polega na tem, że przy obecnych wielkich różnicach cen w poszczególnych krajach stwarza on przypadkowe premje dla jednych, a krzywdę dla drugich urzędników. Mówiąc jednak o tem, zapominać nie możemy, że różnice te, w istocie swej nieuzasadnione — zmniejszają się stopniowo wobec tendencji cen światowych osiągnięcia parytetu złota, powtóre celowa polityka osobowa Departamentu Stanu krzywdy te zawsze wynagrodzić może przenosząc urzędnika z kraju drogiego do taniego, po trzecie wreszcie — jakby wielkimi braki te nie były, system ten ma jednak zawsze tą niezaprzeczoną wyższość nad systemem przeciwnym, który, niestety, u nas istnieje, a który nazwać można systemem lokalizacji rang i płac — że jest elastycznym i giętkim. Umożliwia on bowiem prawidłową manipulację personelem, a tem samem stwarza warunki wśród których zdecydowana i świadoma celu polityka osobowa instytucji centralnej, osiągnąć może rezultaty zbliżone do szczytu swych zamierzeń, t. j. — faktyczną stabilizację urzędników na stanowiskach kierowniczych tak dyplomatycznych jak konsular-

nych z jednej strony, z drugiej zaś planowe przenoszenie — w celach pedagogicznych — personelu niższego wśród grupy krajów, w których mu w przyszłości przyjdzie pracować. Przy systemie lokalizacji ani jeden ani drugi cel osiągniętymi być prawie nie mogą.

Sui generis nowością, niespotykaną w praktyce państw europejskich, było jedno z postanowień ustawy, rozciągające istniejącą już instytucję inspektorów służby zagranicznej na urzędy dyplomatyczne. Inspektorowie konsularni pojawiają się w służbie amerykańskiej poraz pierwszy w 1906 roku. Mianowano ich wówczas w liczbie 5 jako t. zw. „Consuls general at large”. Ponieważ liczba ta okazała się za małą, a rezultaty ich pracy prawdziwie dodatnie, zwiększono ich liczbę w roku 1919 do siedmiu. Do każdego z nich należą następujące okręgi inspekcyjne: Europa Wschodnia, Europa Zachodnia, Meksyk i Indje Zachodnie, Południowa Ameryka, Azja Centralna i Afryka, Daleki Wschód, Kanada. Inspektor, któremu podlegają placówki Kanadyjskie ma swą siedzibę w Waszyngtonie, pozostali rozmieszczeni są w całym świecie w centralnych punktach swych okręgów. Inspektorem konsularnym może zostać tylko starszy i doświadczony Konsul Generalny a wyłączny jego obowiązek polega na kontrolowaniu podległych mu placówek, z których każda raz na dwa lata musi być poddana inspekcji. Obowiązki inspektorów są rozliczne. W pierwszym rządzie należy do nich troska o ujednostajnienie praktyki konsularnej, standaryzacja form i metod pracy, kontrola wszelakich agend Konsulatów oraz popieranie spójności służby i esprit de corps. Kapitalnym jednak punktem obowiązków inspektora jest kwalifikowanie podwładnego mu personelu dla potrzeb Departament of State. Aby wykazać jak wielkimi są wymagania tutejsze oraz jak wiele warunków potrzeba posiadać, aby być dobrym amerykańskim dyplomatą czy konsulem, poniżej podaję wzór listy kwalifikacyjnej, którą raz na dwa lata sumiennie i szczegółowo wypełnić musi inspektor i to odnośnie do każdego podległego mu urzędnika etatowego. Dla wyjaśnienia dodaję, że Amerykanie hołdują systemowi liczbowemu, a nie rzeczowemu jak my, dlatego, że przy swej większej rozpiętości jest on bardziej ścisły niż rzeczowy oraz praktyczniejszy dla czynników decydujących w Departamencie Stanu.

Lista kwalifikacyjna

Charakter	Najwyższe otrzymane
1. Uczciwość	100
2. Moralność	100
3. Wstrzemięźliwość	100
4. Pewność decyzji	100
5. Takt	100

Średnia . . . 100

Kwalifikacje intelektualne i towarzyskie:

6. Wykształcenie	100
7. Języki	100
8. Sąd i dyskrecja	100
9. Indywidualność	100
10. Reputacja	100

Średnia . . . 100

Administracja:

11. Znajomość przepisów	100
12. Zdolność w praktyce	100
13. Szybkość	100
14. Energia	100
15. Systematyczność	100

Średnia . . . 100

Funkcje Handlowe:

15. Znajomość miejscowych warunków	100
17. Dokładność i solidność	100
18. Inicjatywa	100
19. Pomoc, okazana handlowi amer.	100
20. Jakość i ilość raportów	100

Średnia . . . 100

Esprit de corps

21. Zainteresowanie się służbą	100
22. Lojalność	100
23. Dyscyplina	100
24. Chęć i umiejętność współpracy	100
25. Gotowość służenia na każdej placówce	100

Średnia 100

Kwalifikowanie:

96 do 100 — celujący	81 do 90 — dobry
91 do 95 — bardzo dobry	76 do 80 — dostateczny
75 i niżej — niedostateczny.	

„Dobre stare czasy — pisze w swem sprawozdaniu P. Hugh Wilson, obecny szef osobowy Departamentu Stanu — kiedy to inspektorowie dyplomatyczni i konsularni badali jedynie rachunkowość, kasę i system biurowy placówek, przeszły bezpowrotnie. Nasi inspektorzy są dziś dobierani wśród najzdolniejszych ludzi w służbie; muszą oni posiadać wybitne zdolności organizacyjne, być wytrawnymi znawcami natury ludzkiej oraz ogólnie szanowanymi i kochanymi przez kolegów”.

Inspektorowie dyplomatyczni w przeciwieństwie do swych kolegów konsularnych nie posiadają instrukcji ogólnych ale szczegółowo określone w każdym konkretnym wypadku przez Sekretarza Stanu. Na ogół obowiązki ich są analogiczne do zadań inspektorów konsularnych.

Dalszem ważnem postanowieniem bill'u Rogers'a jest wprowadzenie systemu emerytalnego. Punkt ten z słuszością uważany być może za kamień węgielny całej ustawy, dotychczasowy bowiem brak emerytur w tutejszej służbie zagranicznej bardzo dotkliwie się dawał odczuwać i był przeszkodą do postawienia jej na zasadach europejskich.

Stan ten był wynikiem stosunków panujących we wszystkich działach służby państwowej, stanowej i miejskiej w Ameryce aż do czasów najnowszych. Rozpoczęta jeszcze po wojnie secesyjnej agitacja za wprowadzeniem zasadniczych reform do tutejszej służby cywilnej tak stanowej jak i federalnej stopniowo osiągała zamierzone rezultaty. Najpierw przyszło wyrzucenie systemu

łupu z całego szeregu działań służby czyli wprowadzenie, jak się to mówi tu t. zw. civil service, co nastąpiło jeszcze pod koniec XIX wieku, potem dopiero wprowadzenie emerytur, przyczem główne reformy w tej dziedzinie przypadają dopiero na czasy powojenne. Ogólne podstawy systemu przyjętego w służbie zagranicznej są analogiczne jak i w służbie cywilnej. Stworzono specjalny fundusz emerytalny, którego główną podstawę stanowią wpłaty emerytalne wszystkich urzędników służby zagranicznej. Brakującą część wpłaca rząd. Prawo do emerytury automatycznej osiąga się po ukończeniu 65 roku życia przyczem urzędnicy, którzy przestężyli 30 lat lub więcej a pod koniec pobierali najwyższą płacę t. j. 9.000 dol. rocznie, mają prawo do 5.400 dol. rocznej emerytury. Rok służby w miejscu uznanem za niezdrowe liczy się za półtora, opłata emerytalna wynosi 5% poborów rzeczywistych.

Przez wprowadzenie systemu emerytalnego osiągnął Departament of State jedno z głównych swych zamierzeń. Była nim chęć zapobieżenia ucieczkom ze służby, praktykowanym dość często przed 1924 r. Stojąc wobec braku emerytury z jednej strony, z drugiej zaś nie mogąc niczego odłożyć na starość ze swych dość skromnych wówczas pensji, opuszczali zwłaszcza ludzie zdolniejsi bardzo często służbę, przyjmując nader lukratywne stanowiska w dużych koncernach bankowych lub handlowo - przemysłowych, płatne nieraz w dziesiątkach tysięcy dolarów. Sekretarz Stanu był bezsilny. Obecnie wystąpienia stały się bardzo rzadkie, co świadczy o wysokiem patryotycznym poczuciu służby amerykańskiej.

Dużo miejsca i wagi poświęca bill Rogers'a oraz rozporządzenie wykonawcze kwestji szkolenia personelu przeznaczanego do służby zagranicznej. W dyskusji nad ustawą stały się dwa prądy. Jeden reprezentowany przez autora bill'u dążył do stworzenia szkoły służby zagranicznej trwającej 3 lata opłacanej przez rząd, przyczem każdy z absolwentów byłby obowiązany pozostać w służbie przynajmniej 5 lat od chwili nominacji. Z powodu sprzeciwu sekretarza stanu Hughes'a projekt ten upadł, wyszedł jednak zwycięsko projekt kompromisowy w myśl którego utworzoną została przy Departamencie Stanu jednoroczna szkoła o charakterze raczej praktycznym przez którą zwycięsko przejść muszą wszyscy początkujący dyplomaci i konsulowie.

O warunkach przyjęcia do służby mówiłem uprzednio; reforma z 1924 r. pozostawiła je w tej samej formie jak to wprowadził Roosevelt. Ze szczegółów wspomnieć należy o tem, że ustawa ani rozporządzenie nigdzie nie mówią o tem, że kandydatem może być jedynie absolwent uniwersytetu lub jakiejś szkoły specjalnej. W praktyce jednak do stanowisk dochodzą jedynie wychowankowie tutejszych zakładów wyższych, którzy poatem złożyć muszą egzamin specjalny złożony z 2 części, pisemnej; składany w styczniu każdego roku w Waszyngtonie lub na prowincji, gdzie należy się zgłosić do miejscowej „Civil Commision” oraz ustny odbywający się w kwietniu tylko w Waszyngtonie.

Po należytem (klasyfikacja od 80—100, poniżej 80 stopień niedostateczny) złożeniu egzaminu kandydat otrzymuje nominację na nieklasyfikowanego t. j. niezaliczonego do żadnej klasy urzędnika służby zagranicznej z pensją \$ 2,500 rocznie i wchodzi do szkoły, stojącej obecnie pod kierownictwem Konsula Generalnego, W. Dawson'a. Szkoła ma zadanie podwójne. Najpierw obserwacja kandydata, czy — mimo złożenia egzaminu — nadaje się do służby zagranicznej, powtórne pogłębienie jego wiedzy przez wykłady, kontakt z poszczególnymi działami służby państwowej i t. d. Kurs właściwy trwa około 9 miesięcy, przyczem rozkład zajęć przedstawia się następująco: g. 9—9:30 konwersacja francuska, 9:30—10:30 wykład, 10:30—1:00 praca biurowa w Departamencie Stanu, 2:15—4:30 wykłady oraz opracowanie zadań. Praca kandydatów w biurach Departamentu jest szczegółowo uregulowana i odbywa się pod dozorem każdego z odnośnych szefów działających w porozumieniu z dyrektorem szkoły. Każdy z elewów przejść musi przez wszystkie 14 ważniejszych wydziałów i biur Departamentu Stanu, pozostając w każdym z nich od jednego do trzech tygodni. Pierwsze dni praktyki poświęca elew studjom raportów, korespondencji, telegramów i t. d., przydzielonych mu przez szefa wydziału, pod koniec sporządza jakieś praktyczne zadanie n.p. opracowanie memorjału, noty lub instrukcji dla urzędu zagranicznego zawsze według wskazówek szefa. Po odejściu elewa były jego zwierzchnik pracę kwalifikuje i ocenę przesyła do dyrektora szkoły. W ten sposób po upływie roku każdy z elewów jest dokładnie zaznajomiony nie tylko z tokiem pracy w Departamencie Stanu ale i z agendami wielu innych Urzędów

Centralnych jak Departamentu Handlu zagranicznego, Biura patentowego, Unji panamerykańskiej i t. d. Poza tem teoretyczna jego wiedza w zakresie stosunków międzynarodowych nabyta uprzednio na uniwersytecie doznaje przez pobyt w szkole, a głównie przez rozwiązywanie szeregu praktycznych zadań i tematów stawianych mu przez fachowców z Departamentu, pewnego uzupełnienia praktycznego i zawodowego, co znakomicie mu musi ułatwić spełnienie różnych funkcyj zwłaszcza na początku służby.

Po wyjściu ze szkoły kandydaci zostają przydzieleni bez żadnych egzaminów do placówek zagranicznych. Ci którzy warunkom szkoły nie odpowiadają nominacji nie dostają i muszą szukać zajęcia na innem polu.

Zapotrzebowanie elewów wynosi w służbie amerykańskiej około 25 rocznie. Zwarunków ogólnych, najbardziej poszukiwanych przy wstąpieniu do szkoły na plan pierwszy wybija się to, co Amerykanie nazywają „personality”, a co może najlepiej w języku naszym oddaje słowo „indywidualność”.

Może najwięcej troski i uwagi poświęca bill Rogers'a i w związku z nim wydane rozporządzenia i okólniki, organizacji spraw personalnych. Rzeczy te były specjalnie trudne do uregulowania z wielu przyczyn. Najpierw t. zw. patronaż polityczny pochodzący od członków Kongresu oraz t. zw. przyjaciół administracji będącej u władzy był tutaj zwłaszcza w dziedzinie nominacji dyplomatycznych, specjalnie silnie rozwinięty. Powtóre radykalne zmiany jakie wprowadził bill Rogers'a we wszystkich dziedzinach służby musiały automatycznie za sobą pociągnąć nową klasyfikację urzędników według stopni płacy, co spowodowało szereg usunięć, zwłaszcza urzędników starszych i innych mniej do służby nadających się. Po trzecie — i w tej dziedzinie Ameryka była prawie że bez przykładów zagranicznych — wraz z wprowadzoną przez bill amalgamacją obydwu działów służby i skoncentrowaniem ich w jednym biurze personalnem, należało tak rzeczy urządzić, by zapewnić w praktyce równorzędność obydwu gałęzi oraz zabezpieczyć je przed wszelkimi niespodziankami z zewnątrz. Zamierzony cel osiągnięty został przez wprowadzenie władz wyłącznie kolektywnych, powołanych do decyzji w sprawach personelu oraz przez zastosowanie systemu „hamulców”, tak tradycyjnych w po-

litycznym życiu Stanów Zjednoczonych. Całokształt spraw personalnych jest skoncentrowany tu — poza osobą Sekretarza Stanu, który decyduje samodzielnie jednak w ramach obowiązujących przepisów — w trzech urzędach: Komisji Kwalifikacyjnej (Board of Review), Wydziale Wykonawczym komisji do spraw osobowych (Executive Committee of the Foreign Service Personnel Board) i Komisji do spraw osobowych służby zagranicznej (Foreign Service Personnel Board).

Do kompetencji Komisji kwalifikacyjnej, która zbiera się raz do roku i obraduje około miesiąca, należą wyłącznie sprawy awansów. Ona to decyduje o tym który z urzędników ma być podniesiony z klasy niższej do wyższej o ile wakans i budżet ¹⁾ na to pozwala. Nie przesądza to bynajmniej sprawy przeniesienia urzędników awansowanych z placówki na placówkę, kwestje te bowiem nie należą do kompetencji Komisji kwalifikacyjnej; powtóre, jak pisałem uprzednio, istniejący tu system wynagrodzeń niezalocalizowanych, umożliwia podobne przesunięcia z klasy do klasy bez potrzeby uciekania się do przeniesienia kandydata na inne miejsce służbowe. Komisja ta obraduje oraz decyduje wyłącznie na podstawie materiałów jakich winien jej dostarczyć szef wydziału wykonawczego t. zw. Foreign Service Personnel Board, które to stanowisko odpowiada nominalnie naszemu naczelnikowi wydziału osobowego, i który jest zarazem przewodniczącym Komisji.

Materiały te składają się a) z rocznych sprawozdań kwalifikacyjnych, sporządzonych przez szefów placówek odnośnie do powierzonego im personelu niższego, b) z raportów inspektorów, c) ze sprawozdań z innych wydziałów Departamentu omawiających specjalne działy służby należące do ich kompetencji, d) z listów otrzymywanych od osób prywatnych oraz firm amerykańskich, które pozostawały w kontakcie z poszczególnymi placówkami, e) z raportów wydziałowych, jeśli idzie o urzędników pracujących w Departamencie Stanu. W tym ostatnim wy-

1) Budżet roczny Departamentu Stanu wynosi obecnie około 15 milionów dol. Z tego na utrzymanie służby zagranicznej t. j. Poselstw i Konsulów przypada około 10 milionów. Liczba Poselstw w r. 1927 wynosi 51, Konsulów 386 przeważnie etatowych. Liczba personelu etatowego na placówkach dochodzi do 700 osób, natomiast Departament Stanu zatrudnia około 600 osób.

padku zwłaszcza co do urzędników konsularnych, komisja otrzymuje całą masę sprawozdań, gdyż wydział handlowy kwalifikuje jego raporty i referaty handlowe, wydział wizowy jego agendy emigracyjne, wydział paszportowy sprawy obywatelstwa, wydział administracyjny sprawy morskie i certyfikaty pochodzenia i t. d.

Po miesiącu studiów Komisja ustala ostatecznie listę nominacyjną i oddaje Szefowi osobowemu celem przedłożenia Komisji osobowej do zatwierdzenia i wykonania. Skład Komisji jest zmienny. Wchodzi do niej czterech wyższych urzędników powołanych specjalnie z zagranicy w tym celu, gdyż urzędnicy pełniący stałą służbę w centrali poza przewodniczącym, z zasady do komisji tej nie wchodzi. W tym roku n. p. komisja składa się z radców ambasad w Londynie i Mexico City oraz konsulów generalnych z Paryża i Rio de Janeiro.

Przy ocenie kandydata komisja największą uwagę kładzie na jego charakter, potem na zdolności i pracowitość w końcu zaś na „personality”. Obok Komisji kwalifikacyjnej, organu o funkcjach ściśle ograniczonych oraz urzędującego czasowo, istnieje w łonie Departamentu Stanu ciało o wiele dostojniejsze, ostatnia niemal wyrocznia w sprawach personelu, a jest nią Komisja do spraw osobowych służby zagranicznej (Foreign Service Personnel Board).

Powołana do życia rozporządzeniem Coolidge'a z 1924 r. komisja ta koncentruje w sobie wszystkie sprawy wchodzące w zakres polityki osobowej całej służby zagranicznej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Składa się ona z przewodniczącego którym jest zawsze Podsekretarz Stanu, odpowiadający naszemu Wiceministrowi, dwóch t. zw. Assistant Secretaries, reprezentujących obydwie działy służby a odpowiadających naszym Dyrektorom Departamentów oraz trzech członków Wydziału wykonawczego. Pozatem głos doradczy w obradach posiadają prezesi Komisji spraw zagranicznych Senatu i Sejmu względnie przez tych ostatnich desygnowani członkowie. Jest też obowiązkiem przewodniczącego komisji na każdej jej posiedzenie zapraszać powyższych przedstawicieli ciał ustawodawczych, którzy jednak w decyzjach komisji udziału nie mają. Kompetencje komisji obejmują całokształt spraw osobowych, a więc zatwierdzenie list nominacyjnych sporządzonych przez komisję kwalifika-

cyjną, awans na ministrów pełnomocnych, którzy nie należą do służby zagranicznej sensu strieto, nie są klasyfikowani i mogą — w zależności od uznania Prezydenta — być powoływani z poza służby, przeniesienia placówkowe, przeniesienia z jednego działu do drugiego oraz sprawy dyscyplinarne. Ostatnie dwie kategorie należą do kompetencji komisji zmniejszonej, t. j. Podsekretarza Stanu i dwu Dyrektorów, z uwagi na momenty karne, częstokroć wchodzące w grę i wymagające tem samem raczej władzy niż rady.

Jak wyżej zaznaczyłem do Komisji tej wchodzi trzech członków Wydziału wykonawczego do spraw osobowych. Został on powołany do życia w 1924 r. z dwóch oddzielnych biur załatwiających uprzednio sprawy personelu dyplomatycznego i konsularnego i jest instytucją czysto amerykańską, nie spotykaną gdzieindziej. Wydział ten odpowiada faktycznie europejskiemu Chef du personnel, wszystkie bowiem agendy należące do szefa osobowego załatwia tu to ciało kolektywnie, w którym obydwie służby mają swych przedstawicieli. Szefem wydziału czyli nominalnym naczelnikiem osobowym bywa naprzemian urzędnik służby dyplomatycznej lub konsularnej, przyczem obecny piastun tej godności P. R. Wilson za główny obowiązek uważa utrzymanie na najwyższym stopniu „morał” urzędników, zwłaszcza tych, którzy pełnią funkcję sami, na oddalonych placówkach i tem samem są równie trudni do kontroli jak i pochoptni do ulegania wpływom ubocznym, a częstokroć szkodliwym.

O ile komisja do spraw osobowych załatwia najważniejsze sprawy personelu o tyle do kompetencji wydziału należą agendy drobniejsze jak urlopy, gromadzenie i przechowywanie materiałów osobowych, sprawy personelu niższego oraz kandydatów do służby, w końcu przygotowanie wniosków we wszystkich kwestjach należących do kompetencji poszczególnych komisji.

Decyzje zapadają wszędzie większością głosów.

Opis niniejszy nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał o pozostałych problemach, którym ostatnia reforma poświęciła wiele uwagi.

O ile płace kwalifikacyjnych urzędników amerykańskich zostały mniej więcej zrównane z poborami ich angielskich kolegów, o tyle tego powiedzieć nie można o pensjach tutejszych

ambasadorów i ministrów pełnomocnych. W czasie debat nad bill'em komisja spraw zagranicznych izby poświęciła sprawie tej wiele czasu i uwagi. Przesłuchani wówczas b. ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie i b. kandydat partji demokratycznej na Prezydenta J. W. Davis oraz znany w Polsce, a uchodzący za jednego z najwybitniejszych dyplomatów amerykańskich obecny ambasador Stanów Zjednoczonych w Brukseli Hugh Gibson, zgodnie oświadczyli, że same place ich nie byłyby niewystarczające gdyby mogli je użyć wyłącznie na utrzymanie siebie i swych rodzin. Ponieważ jednak z obowiązkami ich łączą się dość poważne ciężary reprezentacyjne, a budynki wynajmowane przez Departament na pomieszczenie legacji nie zawsze odpowiadają — jak mówili — godności kraju, wydatki ich automatycznie rosną i przed rokiem 1924 człowiek pozbawiony poważnych własnych zasobów pieniężnych nie mógł sobie pozwolić na przyjęcie ofiarowanej mu często godności posła lub ambasadora. Pan Davis oświadczył wyraźnie, że z własnych zasobów dodawał rocznie około 50.000 dolarów do kosztów utrzymania ambasady londyńskiej, przyczem to samo pisze w swych pamiętnikach W. H. Page nominat Prezydenta Wilson'a na posterunek londyński. Inny Ambasador w Londynie, Whitelaw Reed, miał wydawać pół miljona dolarów rocznie z własnych środków. Ponieważ jednak ani poseł Rogers, autor ustawy, ani Departament of State nie żądał podwyższenia poborów ministrów, zatrzymano je na dotychczasowej wysokości, przyznano natomiast Prezydentowi dość poważny fundusz specjalny, który Sekretarz Stanu rozdziela pomiędzy poszczególne placówki dyplomatyczne i konsularne na cele wyłącznie reprezentacyjne. Pozatem pod przewodnictwem Posła Porter'a, przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Izby, utworzono specjalną komisję dla spraw budowy Poselstw i Konsulatów. Wyznaczono na początek 5.000.000 dol. na ten cel, przyczem tendencją i Rządu i Komisji jest jaknajszystsze zaopatrzenie zwłaszcza posterunków dyplomatycznych w odpowiednie i godności Stanów Zjednoczonych odpowiadające pomieszczenia — Posłowie otrzymują mieszkanie bezpłatnie jako dodatek reprezentacyjny do pensji, przyczem na początek wzięto się do budowy budynków na Wschodzie, gdzie kwestja mieszkaniowa jest specjalnie ostrą.

III.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawiałaby się ostatnia reforma amerykańskiej służby zagranicznej.

Wprawdzie datuje się ona dopiero od dwu lat i sąd ostateczny wypowie o niej historia, niemniej jednak już dzisiaj, opierając się na myślach przewodnich, które przyświecały reformatorom oraz na rezultatach dotychczasowych — przyjść można do przekonania, że cel zasadniczy został osiągnięty. Celem tym jest, silna służba zagraniczna odpowiadająca wielkości i potędze państwa oraz jego światowym interesom. Amerykanie są narodem młodym, posiadającym jednak między innymi jedną wielką zaletę t. j. fenomenalną umiejętność praktycznego rozwiązywania najbardziej skomplikowanych problemów życiowych. Rozmach i młodzieńcza energia stale im sekundują, a brak tradycji zadania z pewnością nie utrudnia. Gdy pod koniec XIX wieku stali się nagle potęgą światową i przekonali się, że cała ich służba cywilna, wypaczona przez „spoils system” nie dorasta do poziomu innych państw, wzięli się do pracy, wyplenili złó, zostosowali wiele metod europejskich, częstokroć trudnych do przeszczepienia na inny zasadniczo grunt, tak że jeden z działów tej służby, dział konsularny stał się w przeciągu 20 lat z jednego z najgorszych, jednym z najlepszych w świecie. Gdy tuż po wojnie światowej eksport amerykański spadł w jednym roku o 50% z ośmiu miliardów dol. na cztery — powołany wtedy na stanowisko Sekretarza Handlu — znany nam w Polsce Herbert Hoover zorganizował w przeciągu 2 lat najlepszą na świecie zagraniczną służbę handlową. Przemysł amerykański postawiony po wojnie wobec zupełnie zmienionych warunków, dziś konkuruje skutecznie z europejskim mimo to, że przeciętny robotnik amerykański zarabia dziennie w złocie więcej 5 do 8 razy od swego rówieśnika europejskiego. Podobne motywy przyświecały też autorom ostatniej reformy. Aby służbę uczynić silną i podnieść ją przynajmniej do poziomu europejskiego, musieli oni usunąć patronaż polityczny panoszący się uprzednio specjalnie w tej gałęzi, zapewnić pełny awans urzędnikom zwłaszcza dyplomatycznym, którego przedtem nie posiadali, oprzeć go na podstawach zasług a nie wpływów i majątku, co było przedtem, w końcu służbę zdemokratyzować. Rezultaty zamierzane osiągnięte zostały w zupełności. Niebezpieczeństwa

patronaży definitywnie usunięte nie zostało, gdyż jest to prawie niemożliwe w republice, gdzie większość urzędów pochodzi z wyborów. Niemniej jednak zostało ono wysoce sparaliżowane przez powołanie przedstawicieli ciał ustawodawczych do obrad nad sprawami personelu wyższego, rzecz nie spotykaną w Europie, gdzie rozdział władz nie jest tak ściśle przeprowadzony jak w Stanach Zjednoczonych. Jak wiadomo, żadna z konstytucji dziś obowiązujących nie hołduje tak silnie teorii bezwzględnego podziału władz, jak amerykańska. Ministrowie tutejsi nie tylko nie mogą przemawiać na plenum Izby, by bronić popieranych przez siebie projektów ustawodawczych, ale nawet nie mają dostępu do obrad komisyjnych, co w praktyce wywołało wiele trudności i tarć zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej, w której uprawnienia Senatu tutejszego są bardzo szerokie. Zmiana odnośnych postanowień aczkolwiek popieraną przez wszystkie najwybitniejsze umysły tutejsze jest w praktyce niesłychanie trudną do przeprowadzenia z powodu, jak to nazwał J. Bryce — „rigidity” — nieelastyczności konstytucji amerykańskiej. Dla tego to wprowadzenie pierwiastka ustawodawczego do obrad czysto wykonawczych, jakimi są sprawy osobowe, jest dowodem i dużej praktyczności amerykańskiej i stwierdzeniem zasady, że ograniczanie czynników ustawodawczych do funkcji czysto legislacyjnych jest nawet w Ameryce dość trudne do przeprowadzenia, o ile maszyna państwowa ma iść naprawdę gładko. Dotychczasowa praktyka wykazała, że system ten okazał się lepszym od poprzedniego. Konflikty Departamentu Stanu z Senatem, mającym tutaj pewne uprawnienia w zakresie nominacji wyższych urzędników zagranicznych, zostały sprowadzone do minimum, ostatnio zaś nominacje na szereg posterunków dyplomatycznych wykazują bezwzględne zwycięstwo ludzi „de carrière” nad ich współzawodnikami z poza służby. Skutkiem tego wypadki przejścia do służby prywatnej stały się bardzo rzadkimi, o ile zaś zdarzy się jakiś — prasa tutejsza, interesująca się — nawiasem mówiąc — polityką o wiele mniej od europejskiej, podnosi takie larum, jak gdyby całe państwo spotkało jakieś nieszczęście. „Morale” urzędników stoi bardzo wysoko, przewinienia zaś są surowo karane. Standartyzacja form ułatwia ogromnie pracę. Wszystkie placówki mają dziś jednakowe systemy biurowe, jednakową ra-

chunkowość, takie same księgi, w jeden też sposób załatwiają wszystkie sprawy drobniejsze, przez co wydajność pracy placówek jest wyższą niż gdzieindziej. Wiedząc jak ważnym czynnikiem w dziedzinie ulepszenia służby jest sprawa kontroli tak personelu jak i urzędów, Departament of State doprowadził ją do poziomu w innych państwach niespotykanego. Skoro zaś do tego dodamy ogromny prestige państwa, jego niezmiernie zasoby materialne, 120 milionowa ludność nader pracowita, młodą doskonale zorganizowaną, bardzo patriotyczną i dumną ze swej ojczyzny, fenomenalne położenie geograficzne, w końcu niewyczerpane zapasy energii tego najmłodszego państwa na świecie, dziwić się nie należy, iż Stany Zjednoczone będące już dziś potęgą pierwszej wielkości wkrótce stać się mogą naprawdę największym mocarstwem świata. Do tego też zdecydowanie dąży patriotyczna opinia amerykańska, przygotowując się szczegółowo do roli jaką jej prędkiej czy później losy przeznaczą.

„Potrzebujemy bardzo silnej służby zagranicznej, powiedział niedawno jeden z wybitnych amerykańców, omawiając skutki bill'u Rogers'a — i za lat dwadzieścia będziemy ją mieli”.

Nowy York w kwietniu, 1927 r.

Dr S. Gruszką
Konsul Jeneralny.

Sprawa biskupów polskich i polskich majątków parafjalnych w Stanach Zjednoczonych.

Kwestja majątków kościelnych, należących do parafji polskich w Stanach Zjednoczonych, jest obecnie najważniejszą sprawą naszego wychodźstwa za oceanem, — i jak długo polskie organizacje kościelne nie otrzymają odpowiedniej ilości Biskupów polskiego pochodzenia, tak długo nietylko fundusze parafjalne, ale i sama polskość tych parafji, pozostanie problematyczną.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych nie ustanawia religji państwowej, wskutek czego każda organizacja kościelna posiada nieograniczone prawo autonomji wewnętrznej.

A jednak parafje polskie, które powstały i są utrzymywane wyłącznie przez ofiarność ludu polskiego na wychodźstwie, nie są własnością ofiarodawców, — ponieważ tytuł własności, t. zw. „deed”, na dany grunt i powstałe na nim zabudowania, zapisany jest na imię biskupa, tak, jakby stanowiły jego własność osobistą.

Bliższe szczegóły, wyjaśniające stosunek biskupów do własności parafjalnej, są podane w rozdziale VIII p. t. „Organizacja Kościoła” pracy D-ra M. Szawleskiego p. t. „Wychodźstwo Polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki”.

Ponieważ na stanowiskach biskupów są niemal wyłącznie obconarodowcy, często wrogo lub nieprzychylnie usposobieni dla Polaków, robią oni użytek z tytułu własności w sposób (jak dotąd) dwojaki:

1. W razie zaburzeń lub niezadowolenia na parafji mogą uzyskać od sądu na podstawie tytułu własności t. zw. „injunction” (nakaz sądowy) i przy pomocy policji wprowadzać kandydatów na proboszczów dla nich dogodnych — z pominięciem nawet księży polskich.

2. Mogą wyznaczać fundusze danej parafji na cele, których parafjanie nie uznają — w przekonaniu, że ofiary przez nich złożone mają iść tylko na rozbudowę własnej parafji, nie zaś na popieranie instytucyj obconarodowych. I tak np.: w sprawozdaniu finansowem za r. 1926 parafji św. Wojciecha w m. Milwaukee, figuruje pozycja następująca:

„Podatek na Irlandzką wyższą szkołę — 1.500 dolarów”.

Ponieważ w m. Milwaukee jest 15 polskich kościołów parafjalnych, które są obłożone tym podatkiem (większym lub mniejszym — zależnie od wielkości parafji), ogólna suma, wpłacona w r. 1926 przez Polaków na budowę „Irlandzkiej wyższej szkoły”, wyniesie z górą 20.000 dolarów. W danym razie biskup na podstawie tytułu własności nakłada na parafję podatek i używa funduszu zebranego przez parafjan na cele dla nich niesympatyczne. Jeżeli parafjanie sprzeciwia się i ofiary nie złożą — suma wyznaczona pozostaje długiem parafji, od którego Djecezja każe sobie płacić 5% rocznie.

Stosunki powyższe wynikają ze stanowiska prawa Amerykańskiego, które nie uznaje fikcyjnej osoby prawnej i uważa, że tytuł własności parafjalnej ma należeć do biskupa, jako przedstawiciela danej korporacji kościelnej.

Prawa korporacyjne nie są jednolite w poszczególnych Stanach Unji, lecz w każdym razie tendencja ich sprzyja stanowisku biskupa, jako osobie prawnej. Np. w Stanie Pensylwania, korporacje i stowarzyszenia religijne uprawnione są do rządzenia się swymi statutami w granicach ustaw stanowych, a ponieważ na czele korporacyj religijnych stoją biskupi, mogą oni wywierać prawie że nieograniczoną władzę nad własnością parafjalną.

Prawo jednakże zastrzega, że biskup nie może dysponować majątkiem parafjalnym, jako swoją własnością prywatną — bez porozumienia się z komitetem parafjalnym, do którego wchodzi ksiądz proboszcz i kilku radnych czyli trustysów (trustee — opiekun) i na odwrót, proboszcz, za zgodą trustysów, lecz bez wiedzy i aprobaty biskupa, nie może rozporządzać majątkiem parafjalnym. W praktyce zastrzeżenie to nie jest decydujące, gdyż w niektórych parafjach komitet trustysów nie istnieje, w innych znów małą odgrywa rolę.

Ponieważ jednak biskup wyznacza proboszczów i ma wła-

dżę usunąć opornych, a na ich miejsce postawić takich, którzy dla pozyskania względów biskupa zgodzą się na wszystko dla kariery, — przewaga zdąży stanowczym krokiem do włączenia majątków parafjalnych do posiadłości djecezjalnych, czyli biskupich.

Wielu biskupów obconarodowych w środkach nie przebiera, a proboszczowie oporni lub niedogodni albo są usuwani z całą bezwzględnością, albo też przenoszeni na parafje mniejsze, nie mające głosu — szczególnie jeśli chodzi o sprawę polską.

Pismo, zamieszczone w „Dzienniku Zjednoczenia” z dnia 29 września 1927 r., wychodzącym w m. Chicago, rzuca światło na tendencje biskupów obconarodowych.

Ksiądz Apolonjusz Tyszka, znany proboszcz parafji św. Jacentego w Pittsburgh'u (adres parafji: Craft place, Pittsburgh, Pa.), gorący patriota i pisarz, przesyła list treści następującej:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Otrzymałszy przed rokiem pozwolenie od władzy na odpoczynek dłuższy i wyjazd z parafji dla nabrania sił i zdrowia, byłem pewny, że po roku wrócę na swą parafję, gdzie swą pracą i poświęceniem założyłem parafję i wybudowałem szkołę.

Tymczasem otrzymałem list od zwierzchnika, że daje mi pozwolenie na poszukanie parafji w innej diecezji.

Przyczyna: broniłem nasz lud *przed drwem na szkoły wyższe*¹⁾, broniłem naszych praw i mowy naszej.

Trzydzieści pięć lat mej pracy na parafjach w Ameryce były zawsze przeplatane prześladowaniem, poniewieraniem dla mej duszy polskiej. Meją duszą zmienić nie mogę, bo taką sam Bóg mi dał, a umierając — umrę z modlitwą polską na ustach. Nigdy się nie zaprę swych ideałów i nigdy nie sprzedam pierworodztwa polskiego za miskę soczewicy.

Po trzydziestu pięciu latach w diecezji, gdzieżem zużył swe

1) Drive (wym. — drajw) jest to akcja zbiórkowa, nakazana parafjom przez biskupa. Nowy więc przykład nakładania przez biskupa tytułem własności podatku na parafjan polskich, którzy potrzebują rozbudować szkołę parafjalną dla własnych dzieci — zamiast składać ofiary na budowę szkoły wyższej, do której będą uczęszczać obconarodowcy. Ponieważ ks. proboszcz A. Tyszka temu się sprzeciwiał, biskup djecezji pittsburgh'skiej, Hugh C. Boyle — usunął go z probostwa.

najlepsze lata, mam szukać ucieczki, opieki i chleba — np. w Kanadzie, Alasce etc. Za późno!

Narody nie są w rękę świata, ale są w rękę Boga. I wychodźstwo nasze nie jest w rękę Ajryszów lub Niemców, — ale w rękę Tego, który stworzył narodowości. Jak Polska nie zginęła, tak i my w Ameryce nie zginiemy przez złość, zazdrość i samolubstwo wroga”.

Podpisano: *Ks. A. Tyszką.*

List powyższy jest charakterystyczny, pisany jednak ogólnie, bez podawania nazwisk.

„Dziennik Zjednoczenia” dodaje następujące uwagi redakcyjne:

„Wprost wierzyć się nie chce, aby kapłan po 35 latach ciężkiej pracy nad rozwojem parafji, miał szukać innego biskupa. Bolesć księdza A. Tyszki, wyrażona w powyższym liście, jest zupełnie słuszna i usprawiedliwiona. I nie powinien głos ten przebrzmieć bez echa.

Spółeczeństwo katolickie winno zainteresować się nim dla samej słuszności.

I Ojciec Święty musi się o tem dowiedzieć!

Przykro o tem pisać, ale trzeba. Poniżani, pomiatani, wyrzucani, bezsilni — przynajmniej krzyknąć boleśnie niech mają prawo”.

Tyle redakcja „Dziennika Zjednoczenia”.

Oczywiście, że w sprawie tak żywej może zabrać głos Poselstwo Polskie przy Stolicy Apostolskiej, a przyznać trzeba, że wychodźstwo nasze — pozbawione wszelkiej opieki kraju macierzystego w okresie zaborów — ma niepłoną nadzieję, że uprawnione jest do takiej opieki przez rząd niepodległego Państwa Polskiego.

Rozumie wychodźstwo, że trudności początkowe przy budowie Państwa Polskiego stały na przeszkodzie rozwinięciu szerszej akcji w sprawie biskupów polskich i polskich majątków parafjalnych — powstałych z tytułu ofiarności emigranta polskiego. Lecz po utrwaleniu się stosunków w Polsce — wychodźstwo już kołacze i będzie kołatać w przyszłości, ażeby sprawa ta została poruszona przed Stolicą Apostolską przez Rząd Polski.

Jednak Poselstwo polskie przy Watykanie będzie mogło działać skutecznie pod warunkiem, gdy akcja ta będzie popartą przez duchowieństwo i społeczeństwo polskie w porozumieniu z duchowieństwem polsko - amerykańskim, a społeczeństwo nasze może wydać opinię miarodajną tylko wtedy, jeżeli zapozna się gruntownie z organizacją Kościoła rzymsko - katolickiego w Stanach Zjednoczonych.

Organizacja ta przedstawiona jest poniżej, a mapa załączona wykazuje rozkład poszczególnych diecezji terytorjalnych.

Kościół rzymsko - katolicki w Stanach Zjednoczonych podzielony jest na 14 prowincyj, a do każdej prowincji wchodzi pewna ilość diecezji.

Oprócz tego są dwie diecezje niezależne, które w skład prowincyj nie wchodzi, a mianowicie: Ukraińska grecko - katolicka Diecezja — z siedzibą w Philadelphji i Diecezja grecko - katolickiego obrządku — z siedzibą w Pitsburgh'u.

Według tego podziału diecezje rzymsko - katolickie przedstawiają jednostki terytorjalne, których jest po kilka w każdym stanie, zaś diecezje grecko - katolickie są to jednostki narodowościowe, których jurysdykcja rozciąga się na kilkanaście stanów.

W skład Kościoła rzymsko - katolickiego wchodzi:

Delegat Apostolski: Najprzewlb. Pietro Fumasoni-Biondi, Dr. Św. Teologii. (Adres: Waszyngton, D. C., 1811, Biltmore Steet), oraz następujące prowincje kościelne:

Diecezja	St an	Nazwisko Biskupa
I. Prowincja Baltimore.		
Archi - Dyecezja Baltimore	Maryland	Michael Curley, Arcybiskup
Dyecezja Charleston	S. Carolina	vacat
„ Raleigh	N. Carolina	William J. Hafey
„ Richmond	Virginia	Andrew James Brennan
„ St. Augustine	Florida	Patrick Barry
„ Savannah	Georgia	Michael J. Keyes
„ Wheeling	West Virgin.	John J. Swint
„ Wilmington	Delaware	Edmund J. Fitz-Maurice
II. Prowincja Boston		
Archi - Dyecezja Boston	Massachu- setts	William O'Connell, Kardyna
Dyecezja Burlington	Vermont	Joseph J. Rice
„ Fall River	Mass.	Daniel F. Feehan
„ Hartford	Connecticut	John J. Nilan
„ Manchester	N. Hamshire	George A. Guertin
„ Portland	Maine	John Gregory Murray
„ Providence	Rhode Insl.	William A. Hickey
„ Springfield	Mass.	Thomas M. O'Leary

Dyecezja	S t a n	Nazwisko Biskupa
III. Prowincja Chicago.		
Archi-Dyecezja Chicago	Illinois	George Mundelein, Kardynał
Dyecezja Belleville	"	Henry Althoff
" Peoria	"	Edmund M. Dunne
" Rockford	"	Peter J. Muldoon
" Springfield	"	James A. Griffin
IV. Prowincja Cincinnati.		
Archi-Dyecezja Cincinnati	Ohio	John T. Mac Nicholas, Arcybiskup
Dyecezja Cleveland	"	Joseph Schrembs
" Columbus	"	James J. Hartley
" Covington	Kentucky	Francis W. Howard
" Detroit	Michigan	Michael J. Gallagher
" Fort Wayne	Indiana	John F. Noll
" Grand Rapids	Michigan	Joseph G. Pinten
" Indianapolis	Indiana	Joseph Chartrand
" Louisville	Kentucky	John A. Floersh
" Nashville	Tennessee	Alphonse J. Smith
" Toledo	Ohio	Samuel A. Stritch
V. Prowincja Dubuque.		
Archi-Dyecezja Dubuque	Iowa	James J. Keane, Arcybiskup
Dyecezja Cheyenne	Wyoming	Patrick A. Mac Govern
" Davenport	Iowa	vacat
" Des Moines	Iowa	Thomas W. Drumm
" Grand Island	Nebraska	James Albert Duffy
" Lincoln	Nebraska	Francis J. L. Beckman
" Omaha	Nebraska	Jeremiah J. Hartey
" Sioux City	Iowa	E. Heelan
VI. Prowincja Milwaukee.		
Archi-Dyecezja Milwaukee	Wisconsin	Sebastjan Gebhard Messner, Arb
Dyecezja Green Bay	Wisconsin	Paweł P. Rhode — jedyny Biskup Polak
" La Crosse	Wisconsin	Alexander J. Mac Gavick
" Marquette	Michigan	Paul Joseph Nussbaum
" Superior	Wisconsin	Theodore Henry Reverman
VII. Prowincja New Orleans.		
Archi-Dyecezja New Orleans	Louisiana	John W. Shaw, Arcybiskup
Archi-Dyecezja San Antonio	Texas	Arthur J. Dressaerts
Dyecezja Alexandria	Louisiana	Cornelius Van de Ven
" Corpus Christi	Texas	Emanuel B. Ledvina
" Dallas	Texas	Joseph P. Lynch
" Galveston	Texas	Christopher E. Byrne
" Lafayette	Louisiana	Jules B. Jeanmard
" Little Rock	Arkansas	Johu B. Morris
" Mobile	Alabama	Thomas J. Toolen
" Natchez	Missouri	Richard O. Gerow
" Oklahoma	"	Francis C. Kelley
VIII. Prowincja New York		
Archi-Dyecezja New York	New York	Patrick Hayes, Kardynał
Dyecezja Albany	New York	Edmund F. Gibbons
" Brooklyn	New York	Thomas E. Molloy

Dyececja	St a n	Nazwisko Biskupa
" Buffalo	New York	William Turner
" Newark	New Jersey	John Joseph O'Connor
" Ogdensburg	New York	Joseph H. Conrey
" Rochester	New York	Thomas F. Hithey
" Syracuse	New York	Daniel J. Curley
" Trenton	New Jersey	Thomas J. Walsh

IX. Prowincja Oregon.

Archi-Dyececja Oregon City	Oregon	Edward D. Howard, Arcybiskup
Dyececja Bakar City	Oregon	Joseph F. Mac Grath
" Boise	Idaho	Daniel M. Gorman
" Great Falls	Montana	Mathias C. Lenihan
" Helena	Montana	vacat
" Seattle	Washington	Edward J. O'Dea
" Spokane	Washington	Charles D. White
Prefektura Apostolska	Alaska	Joseph R. Crimont

X. Prowincja Philadelphia.

Archi-Dyececja Philadelphia	Pennsylvania	Dennis Dougherty, Kardyna
Dyececja Altoona	"	John Joseph Mac Cort
" Erie	"	John M. Gannon
" Harrisburg	"	Philip R. McDevitt
" Pittsburgh	"	Hugh C. Boyle
" Scranton	"	vacat

XI. Prowincja St. Louis.

Archi-Dyececja St. Louis	Missouri	John J. Glennon, Arcybiskup
Dyececja Concordia	Kansas	Francis J. Tief
" Kansas City	Missouri	Thomas F. Lillis
" Leavenworth	Kansas	John Ward
" St. Joseph	Missouri	Francis X. Gilfillan
" Wichita	Kansas	Agustus J. Schwertner

XII. Prowincja St. Paul.

Archi-Dyececja St. Paul	Minnesota	Austin Dowling, Arcybiskup
Dyececja Bismarck	N-th Dakota	Vincent Wehrle
" Crookston	Minnesota	Timothy Corbett
" Duluth	Minnesota	Thomas A. Welch
" Fargo	N-th Dakota	James O'Reilly
" Lead	S-th Dakota	John J. Lawler
" St. Cloud	Minnesota	Joseph Fr. Busch
" Sioux Falls	S-th Dakota	Bernard J. Mahoney
" Winona	Minnesota	Patrick R. Heffron

XIII. Prowincja San Francisco.

Archi-Dyececja San Francisco	California	Edward J. Hanna, Arcybiskup
Dyececja Los Angeles i San Diego	"	John J. Cantwell
" Monterey-Fresno	"	John B. Mac Ginley
" Sacramento	"	Patrick J. Keane
" Salt Lake	Utah	John J. Mitty

XIV. Prowincja Santa Fé.

Archi-Dyececja Santa Fé	New Mexico	Albert T. Daeger, Arcybiskup
Dyececja Denver	Colorado	J. Henry Tihen
" El Paso	Texas	Anthony J. Schuler
" Tucson	Arizona	Daniel J. Gercke

Przegląd ten wykazuje następujące nazwiska niemieckie:

G. Mundelein — Kardynał, S. G. Messmer — Arcybiskup, oraz biskupi: H. Althoff, I. Schrembs, I. Pinten, I. Floersh, P. I. Nussbaum, A. I. Dressaerts, C. Van de Ven (holenderskiego pochodzenia), R. O. Gerow, Fr. I. Tief, A. I. Schwertner, V. Wehrte, A. T. Daeger, J. H. Tihen, A. I. Schuler, D. I. Gercke.

Z ogólnej więc liczby 103 biskupów djecezjalnych jest jeden Polak — ks. Paweł Rhode, biskup djecezji Green Bay, w stanie Wisconsin, 17 biskupów Niemców, a reszta w liczbie 85 są to biskupi Irlandczycy.

Wdalszym ciągu rozpatrzmy dwie diecezje niezależne, które powstały siłą faktów życiowych przez połączenie parafii narodowych, — co wskazuje, że w podobny sposób mogą powstać djecezje polskie.

Ukraińska grecko - katolicka diecezja (Ukrainian Greek-Catholic Diocese) z siedzibą w Philadelphii, założona 28 maja 1913 r. dla Rusinów galicyjskich, obrządku grecko - katolickiego.

Na czele djecezji ukraińskiej stoi biskup Konstanty Bohaczewski ¹⁾. W skład kancelarii biskupiej wchodzi następujący księża grecko - katoliccy:

Kanclerz: ks. Stefan Waszczyszyn,

Sekretarz: ks. Michał Kołtucki,

Notariusz: ks. Paweł Procko.

Konsultorzy djecezjalni — księża: Stefan Waszczyszyn, Jan Kucki, Antoni Lotowicz, Jan Ortyński, Paweł Procko, Aleksander Pyk i Leon Czapelski.

Wszyscy księża, proboszczowie, Siostry zakonne i nauczyciele świeccy są narodowości ukraińskiej.

Jurysdykcji biskupiej podległe są wszystkie kościoły i zakłady grecko - katolickie, ufundowane przez Rusinów galicyjskich, a położone tak w m. Philadelphji, jak też w następujących 17 stanach, w których wyznawcy tego kościoła zamieszkują: Connecticut, Delaware, Illinois, Maryland, Massachusetts, Michigan, Minnesota, Missouri, New Hampshire, New Jersey, New

¹⁾ Adres mieszkania oraz kancelarii biskupiej: 815, North Franklin Street, Philadelphia, Pa.

York, North Dakota, Ohio, Pennsylvania, Rhode Island, Vermont i West Virginia.

Największa ilość Ukraińców greko - katolików, pochodzących z b. Galicji, zamieszkuje w stanie Pennsylvania, następnie w stanach: New York, New Jersey, Connecticut, Ohio i Massachusetts.

Oprócz biskupa, który rządzi obszarem djecezjalnym, rozgałęzionym w 17 stanach, ukraiński kościół greko - katolicki posiada 102 księży.

Księża przydzieleni są do 98 kościołów, jako stali proboszczowie, oraz jako dojeżdżający duszpasterze, którzy udzielają posług religijnych w 46 Misjach, posiadających kościoły lub kaplice, tak, że ogólna ilość kościołów ukraińskich wynosi 144.

Przy kościołach istnieją 141 szkoły parafjalne, do których uczęszcza 15.775 dzieci szkolnych, czyli w przecięciu z górą 100 dzieci na jedną szkołę. Proboszczom pomagają w nauczaniu Siostry Bazylianki (klasztor św. Bazylego Wielkiego, 832, North Seventh Street, Philadelphia, — 64 Siostry, 24 nowicjuszek i postulantki) — oraz nauczyciele świeccy w liczbie 100.

Ogólna liczba wyznawców tego kościoła wynosi 237.495.

Djecezja Pittsburgh, obrządku grecko - katolickiego (Diocese of Pittsburgh for Greek - Rite Catholics), założona 25 lutego 1924 r. i przeznaczona dla Rusinów węgierskich i Kroatów tego obrządku na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Są to przeważnie Rusini, pochodzący z części węgierskiej b. monarchii Habsburgskiej, z małą domieszką Węgrów i Kroatów.

Na czele diecezji stoi biskup Bazyli Takacz ¹⁾.

Skład kancelarii następujący:

Konclerz: ks. Teofil Zatkowicz,

Sekretarz: ks. Juljusz Grigassy.

Konsultorzy djecezjalni — księża: Gabryel Martyak, Walenty Gorzo, Józef Hanulya, Wiktor Korallicki, Aleksy Holośnyj i Mikołaj Czopij.

Przy kancelarii biskupiej funkcjonują: Trybunał djecezjalny, Egzaminatorzy synodalni, konsultorzy parafjalni, Rada Nadzorcza, dziekani i cenzorowie.

1) Adres kancelarii biskupiej: P. O. Box 383, Hamestead, Pa., koło Pittsburgh'a.

Kościół ten oprócz biskupa posiada 142 księży i 139 kościołów parafjalnych. Oprócz parafjalnych są kościoły misyjne w liczbie 33, do których księża dojeżdżają — czyli razem 172 kościoły. Według języka i narodowości — 155 kościołów zostało ufundowanych przez Rusinów, 15 kościołów przez Węgrów i tylko 2 kościoły przez Kroatów.

Jurysdykcja biskupia obejmuje następujące 12 stanów: Colorado, Connecticut, Illinois, Indiana, Michigan, Minnesota, Montana, New Jersey, New York, Ohio, Pennsylvania, West Virginia. Największa ilość wyznawców mieszka w stanie Pennsylvania; następnie w stanach: Ohio, New Jersey, New York, Indiana.

Prawie wszystkie kościoły posiadają szkoły parafjalne, gdzie naukę prowadzi proboszcz, przy pomocy nauczycieli świeckich oraz Sióstr Bazyljanek. Siostry Bazyljanki rekrutują się z klasztoru św. Bazylego Wielkiego w Philadelphii, który należy do djecezji ukraińskiej — biskupa Konstantego Bohaczewskiego. Mają jednak swój własny Dom djecezjalny, połączony z Sierocińcem św. Mikołaja w m. Elmhurst, Pa., gdzie wychowują 205 sierot.

Do szkół parafjalnych ogółem uczęszcza 18.271 dzieci.

Ilość wyznawców tego Kościoła wynosi 304.636 osób.

Cały zarząd djecezjalny, szkolny i parafjalny jest w ręku tych narodowości, z których składają się wyznawcy.

Stan anormalny parafij polskich, nie mających własnych biskupów, stał się oddawna prawdziwą troską ogółu polskiego za oceanem, a ogół ten stara się złemu zaradzić — pomimo trudności napotykaných.

Usiłowania zdążają w kierunku legalnym, t. j. przez wstawiennictwo do Stolicy Apostolskiej, a pierwsza próba wysłania memorjału do Rzymu miała miejsce w r. 1903, podczas pobytu Arcybiskupa Symona w Ameryce.

Tekst, wydrukowany w języku włoskim i znany pod nazwą „Memorjału Arcybiskupa Symona”, został doręczony Ojcu Św. Piusowi X przez ks. Wacława Kruszkę, proboszcza parafji św. Wojciecha w m. Milwaukee.

Już wtedy sprawa mianowania biskupów polskich wydawała się tak słuszną, że ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych, Theodor Roosevelt, wyraźnie oświadczył Arcybiskupowi Symo-

nowi: „Gdybym mógł mieszać się do spraw kościelnych, to bym wprost papieżowi oświadczył, ażeby zamianował biskupów polskich w Ameryce”.

W istocie papież Pius X — po długim, bo ośmiomiesięcznym namyśle i gruntownej rozwadze tej sprawy — przychylił się do prośby, wyrażonej w memorjale, a dnia 15 kwietnia 1904 r. dał Polakom w Ameryce odpowiedź bezwzględnie przychylną, temi słowy: „*Diecezja będzie czemprędzej zorganizowana i to podług waszych życzeń*”.

Lecz życzenia Polaków zostały spełnione tylko w znikomo małej części.

Memorjał Ojca Św. upraszał o mianowanie conajmniej 12 biskupów polskich, lecz dopiero w r. 1908 Rzym zamianował ks. Pawła Rhodego Biskupem - Sufraganem przy Archidiecezji w Chicago, skąd w r. 1915 biskup P. Rhode otrzymał samodzielną djecezję w Green Bay, gdzie dotąd przebywa. W roku zaś 1913 zamianowano ks. Edwarda Kozłowskiego Biskupem - Sufraganem w Archidiecezji Milwaukee, gdzie biskup E. Kozłowski zmarł w r. 1914.

Lecz to samo ma miejsce u Irlandczyków i Niemców, którzy również są rozproszeni po wielu djecezjach, a w żadnej djecezji nie stanowią większości.

Ajrysze i Niemcy nie chcą jednak mieć polskich biskupów, nic więc dziwnego, że i Polacy nie chcą mieć ajryskich lub niemieckich biskupów.

Faktem jest, że obecny Arcybiskup w Milwaukee, od śmierci biskupa E. Kozłowskiego, nie chce mieć polskiego Biskupa - Sufragana.

Ten nierówny podział narodowości, przy którym występują biskupi, protegujący narodowość ajryską lub niemiecką, a nieprzychylni dla polskości — jest właśnie wodą na młyn djecezyj narodowych, których przykładem są dwie djecezje niezależne grecko - katolickie — ukraińska dla Rusinów galicyjskich z biskupem K. Bohaczewskim na czele i grecko - katolicka dla Rusinów węgierskich i Kroatów z biskupem B. Takaczem na czele.

W każdym razie wychodźtwa nasze nabrało przekonania, że Rzym po macoszemu traktuje Polaków w Ameryce, a jednak wysiłki w celu pozyskania biskupów polskich nie ustają, czego wyrazem był nowy memorjał, doręczony Ojcu św. Piusowi XI

w r. 1923 przez tegoż samego ks. Wacława Kruszkę, proboszcza parafji św. Wojciecha w m. Milwaukee. W listach swych „Z Polski i z Rzymu”, wydanych drukiem w r. 1926, ksiądz W. Kruszka zaznacza: „W r. 1903 jechałem do Rzymu, aby prosić, a teraz (w r. 1923) jadę by szukać i kołatać, szukać i żądać sprawiedliwości”.

Memorjał księdza W. Kruszki, który występował jako Delegat duchowieństwa i organizacyj polskich w St. Zjedn., omawia stosunki parafjalne z głęboką znajomością rzeczy i wykazuje sprawę we właściwym świetle.

Treść memorjału (z małym uzupełnieniem) następująca:

MEMORJAŁ.

Rzym, 4-go czerwca, 1923 r.

Ojciec Święty,

Parafje Rzymsko - Katolickie w Ameryce nie dadzą się podzielić według rozmaitych granic terytorjalnych, lecz według rozmaitych języków i narodowości — gdyż tak one powstały siłą faktów życiowych. Narodowości te przybyły w pewnych okresach czasu do Ameryki i tu zakładały parafje Rz. - Katolickie — w drodze ofiar dobrowolnych, zbieranych od emigrantów danej narodowości. Z reguły parafje emigrantów polskich są czysto polskie w Ameryce. Parafje narodowości mieszanych są stosunkowo bardzo rzadkie. Parafje mieszane w Ameryce wogóle uważane są jako zło konieczne i mają miejsce tylko tam, gdzie poszczególna narodowość nie jest dość liczna, ażeby mogła utrzymać proboszcza swej narodowości i języka. Polacy jednak są tak ofiarni, że często grupa składająca się z 35—40 rodzin chce mieć własny kościół, parafję i szkołę.

Mieszane rodziny i mieszane parafje są wyjątkiem, a nie regułą, — z czego koniecznie wynika, żeby i Diecezje mieszane były wyjątkiem, a nie regułą. Nawet w czwartym i piątym pokoleniu, które między Polakami istnieje — rodziny są czysto polskie w Ameryce, a doświadczenie wykazuje, że doskonałym Amerykaninem staje się ten, kto doskonałym pozostał Polakiem, a nie ten, który naśladuje Irlandczyka lub Anglika. Prawdziwa więc i doskonała amerykanizacja polega na udoskonaleniu swojej;

własnej narodowości i na uwydatnieniu własnej natury — nie zaś na naśladowaniu (małpowaniu) obcej.

Dziś amerykańizm jest zanieczyszczony anglicyzmem, a sekty protestanckie propagują hasło, że amerykańizm i anglicyzm — to są synonimy. (Jednoznaczne wyrazy). Tymczasem amerykańizm całem niebem różni się od anglicyzmu. Prezydent Roosevelt najlepiej określił amerykańizm temi słowy:

„Winniśmy niezłomnie pamiętać o tem, że amerykańizm jest kwestją zasad, celu, idealizmu i charakteru, — nie zaś kwestją miejsca urodzenia, wyznania, lub też pochodzenia”.

(„We should keep steadily before our minds the fact, that Americanism is a question of principles, of purpose, of idealism, of character, — that it is not a matter of birthplace, or creed, or the line of descent”).

Parafje Polskie przyczyniają się do oczyszczenia Ameryki od anglicyzmu i są skuteczną ostoją przeciw zakusom protestanckim, które pod pokrywą anglicyzmu zdążają do rozpowszechnienia protestantyzmu. (Patrz dziełko p. t.: „The Poles in America”, by Paul Fox, wydane w r. 1922).

Parafja polska jest jakoby rozszerzeniem rodziny, bo uwydatnia i rozszerza najlepsze cechy natury polskiej, która wnosi swe bogactwo duchowe i artystyczne do środowiska amerykańskiego. Stąd wynika, że Diecezja powinna być niczem innem, jak tylko rozszerzeniem parafji, — tak że przejście od parafji narodowych do Diecezji narodowych jest krokiem normalnym.

Lecz od parafji narodowych do Diecezji mieszanych — jakie obecnie powstały w Ameryce — jest krok śmiertelny (saltus mortalitatis), dla którego zginęło już około 20.000.000 Katolików w Ameryce, którzy nie mieli biskupów swojej narodowości.

W istocie jest fundament — to lud, są ściany — to parafje, ale niema dachu, czyli własnego biskupa - opiekuna, — który by bronił gmachy parafjalne od przeciwności. Zniechęcony rządami biskupów obconarodowych, fundament ludzki zamienia się w zimny indyferentyzm i odpada, a Kościół Rz.-Katolicki traci wyznawców.

Mieszanina nie jednoczy, lecz tylko miesza i uszczupla Diecezję. Każda bowiem mieszanina wywołuje starcie i zamieszanie, a nawet schyzmę — jak to niestety doświadczenie nas uczy.

Biskup własny dla każdej narodowości — jest zasadą katolicką.

Biskup wspólny dla różnych narodowości, jest zasadą socjalistów.

Diecezja rzymska jest włoska i dla tego papież, jako równocześnie biskup diecezji rzymskiej, — od wieków był i jest jednej i tej samej narodowości włoskiej. Tylko jako papież — jest On międzynarodową głową Kościoła rzymsko-katolickiego, lecz jako główny dostojnik diecezji — jest Włochem. I całkiem słusznie, gdyż Diecezja rzymska jest włoska; i dla tego, tylko biskup włoskiej mowy i narodowości może dobrze rozumieć i rządzić Włochami. Sprawę tę wyjaśnia bardziej liberalny biskup-irlandczyk z Rockferd, (diecezja w Stanie Illinois) w sposób następujący:

„It takes an Irish to rule the Irish, and it takes a Pole to rule the Poles”. (Trzeba irlandczyka by rządzić Irlandczykami i trzeba Polaka by rządzić Polakami) ¹⁾.

Mieszana diecezja, jako zło konieczne, ma rację bytu tylko tam, gdzie poszczególna narodowość nie może, albo nie chce utrzymać swego własnego biskupa. Takiego wypadku niema w parafjach polskich, a w samej tylko diecezji Milwaukee parafje polskie składają na utrzymanie biskupa \$ 16.000 rocznie.

Każdemu swoje, jest zasadą katolików, a więc prywatna własność parafjalna musi być święcie zachowana, bo jest to własność ludu polskiego, — którą ma rządzić biskup polski, nie zaś obconarodowy.

Z tej właśnie przyczyny sama Stolica zawsze Delegatów Apostolskich swojej własnej mowy i narodowości zwykła była i zwykła jest osadzać na całym okręgu ziemi.

Z tej też przyczyny Polacy w Ameryce chcą mieć i posiadać swoich własnych biskupów, swoje własne kościoły katedralne, swoje własne seminarja i swoje własne inne instytucje diecezjalne. Bo biskupi obconarodowi, z mocy tytułu własności

¹⁾ Tak się wyraził Biskup Peter J. Muldoon, który zmarł dnia 8-go października 1927 r. w Rockford.

Był jednym z najlepszych przyjaciół Polaków wśród hierarchji katolickiej w Ameryce.

Drugim szczerym przyjacielem Polaków jest biskup Michael J. Gallagher z Detroit.

diecezjalnej, używają funduszków zebranych w parafjach polskich, — na rozbudowę instytucji tych grup inonarodowych, które są mniej ofiarne na cele religijne, aniżeli Polacy.

Zraża to i zniechęca lud polski, gdy widzi, że grosz jego przechodzi do obcych. Tylko biskup polski może złemu zaradzić, a wtedy powstanie i zaufanie większe i ofiarność hojniejsza. Wzajemna między narodowościami rywalizacja ożywi się i doda ostrzejszego bodźca do pilnej pracy i gorliwości religijnej w wykonaniu dzieł religijnych.

Kościoły polskie w Ameryce wołają do biskupa polskiego, jako do swego własnego wielkorządcy i orędownika.

Ustny wyrok papieża Piusa X — pozostanie głęboko wyryty w umysłach Polaków Amerykanów. Istotnie ś. p. papież Pius X, na prośbę o biskupów polskich dla narodu polskiego w Ameryce, dnia 15-go kwietnia 1904 r. dał Polakom - amerykanom taką bezwzględną odpowiedź:

„Diecezja będzie czempredzej zorganizowana i to podług waszych życzeń”.

A zatem, wszyscy dobrzy Polacy w Ameryce do Ciebie, Ojczy Świąty, który o nic tak niedbasz jak o słuszność i sprawiedliwość, jak najprędzej oczekują — ażebyś ten święty wyrok Papieski do skutku łaskawie doprowadzić zechciał — podług ich uczciwego, pobożnego i długotrwałego życzenia.

Wielu jest takich co od Kościoła odpadli i w mniemaniu, że katolików polsko - amerykańskich Stolica Święta oszukała, a w odpadnięciu tem — czyli schyzmie — jeszcze bardziej się utwierdzą. A którzy jeszcze nie odpadli — choć złamani i zwątpiali — mogą odpaść, nadzieję straciwszy, — od czego Boże uchowaj.

Wobec grożącego niebezpieczeństwa nic innego nie pozostaje, jak tylko ażeby wysłannik Waszej Świątobliwości, zwoławszy kapłanów polskich, zarządził wybór na biskupów polskich mających przez Ciebie być ustanowionych — w tych zwłaszcza prowincjach kościelnych:

1. Chicago; 2. Milwaukee; 3. New York; 4. Philadelphia; 5. Boston; 6. Cincinnati; 7. St. Paul; 8. St. Louis.

Po wielu trudnościach ks. W. Kruszce udało się otrzymać audjencję u papieża Piusa XI w dniu 15 czerwca 1923 roku. Papież memorjał przyjął, lecz audjencja była ogólną, ograniczającą się do udzielenia błogosławieństwa Apostolskiego. Poin-

formowano ks. Kruszkę, że Ojciec Św. chce zbadać tę sprawę gruntownie i wszechstronnie, oraz obmyśleć konkretny i praktyczny sposób załatwienia. Ojciec Św. chce dać odpowiedź — nie słowem, lecz czynem.

Tu wyłania się pytanie — dlaczego powstają takie trudności przy mianowaniu biskupów polskich — chociaż sprawa jasna jak dzień?

W memorjale swym ks. W. Kruszka zaznacza, że papież jako biskup rzymski jest Włochem i że delegaci Apostołscy na całym okręgu ziemi są włoskiej mowy i narodowości, że w diecezji Lwowskiej w Polsce jest trzech arcybiskupów międzyterytorjalnych i że w Ameryce jest również to samo, gdyż dwie diecezje — ukraińska w Philadelphji i grecko - katolicka w Pittsburh'u są międzyterytorjalne.

Oczywiście, że Stolica Apostolska nie wie o co chodzi i nigdy wiedzieć nie będzie, gdyż jest informowaną przez stroniczych biskupów irlandzkich i niemieckich. Informacji prawdziwej mogliby dostarczyć biskupi polscy, gdyby ich było więcej.

O cóż więc chodzi?

Chodzi o wyrugowanie języka polskiego z kościołów polskich i zastąpienie go językiem angielskim w tym celu, ażeby proboszczami w parafjach polskich mogli zostać księża irlandzcy.

Próby były robione od dawna, a Dr. M. Szawleski podaje: „Wyrazem tej ciągłej myśli, aby parafje polskie obsadzać klerem irlandzkim, była krótka dość próba wysyłania kleryków irlandzkich na studia do seminarjów duchownych w Małopolsce”.

Systematyczne próby angliczacji parafji polskich przez duchowieństwo irlandzkie odbywają się w dalszym ciągu, a w „Dzienniku Zjednoczenia” z dnia 15 października 1927 r. czytamy następujący głos publiczności:

„Kapłani nasi muszą siedzieć na wozie ajryskim i niemieckim. A gdy, który z księży polskich odważy się jechać na wozie polskim, to spotka go zawód i upadek — nawet kawałek chleba na stare lata mu odbiorą”.

Ciekawe światło na irlandczyków oraz na dążności parafji irlandzkich rzuca praca R. L. Garis'a, profesora Uniwersytetu Vanderbilt w Virginji, wydana w 1927 r. p. t. „Immigration Restriction”. Prof. Garis powiada: „Irlandczycy - katolicy, którzy emigrowali do Ameryki, byli wrogo przyjmowani przez okoliczną

ludność protestancką. W roku 1837 musiano wezwać milicję Stanową w Bostonie, ażeby rozpędzić tłumy, które napadły i rabowały domy Irlandczyków - katolików. Oprócz Bostonu napady te miały miejsce również w miastach Cincinnati, Philadelphji i Nowym Yorku, chociaż w Cincinnati były skierowane przeważnie przeciw Niemcom.

Szczególniej rozjuszyło protestantów domaganie się Irlandczyków, — aby ich szkoły parafjalne dostawały zapomogi z funduszów publicznych”.

Tu leży sęk całej sprawy. Ajrysze — chociaż katolicy tradycyjni — nie są jednak ofiarni na cele religijne, a parafje ich i szkoły i dotąd przedstawiają się ubogo, w porównaniu z parafjami i szkołami polskimi.

Emigrant polski nigdy nie zwracał się o zapomogi dla szkół z funduszów publicznych, a budował szkoły z własnej ofiarności.

To też parafja polska przedstawia potężny kompleks budynków, gdzie oprócz kościoła i plebanji znajduje się obszerny budynek szkolny, często hala parafjalna i dom mieszkalny dla sióstr nauczycielek. Kler irlandzki spogląda zazdrośnem okiem na parafje polskie, które są większe i intratniejsze.

Dane statystyczne najlepiej to uwidocznia:

Weźmy miasto Chicago:

Kościółów Rz. - katolickich, przy których istnieją szkoły parafjalne, jest w m. Chicago — 225, ogólna liczba dzieci uczęszczających do tych szkół wynosi — 137,147, — z tego:

Kościółów obconarodowych — 187 — liczba dzieci w wieku szkolnym 89.430.

Kościółów polskich — 38 — liczba dzieci w wieku szkolnym 47.717.

Przypada więc: na kościół obconarodowy, przeciętnie, 478 dzieci w wieku szkolnym; — na kościół polski przeciętnie 1255 dzieci w wieku szkolnym.

Weźmy miasto Milwaukee:

Kościółów Rz. - katolickich, przy których istnieją szkoły parafjalne, jest w m. Milwaukee — 49, ogólna liczba dzieci uczęszczających do tych szkół wynosi — 25.949, z tego:

Kościółów obconarodowych — 36, — liczba dzieci w wieku szkolnym 14.721.

Kościółów polskich — 13, — liczba dzieci w wieku szkolnym 11.228.

Przypada więc: na kościół obconarodowy, przeciętnie — 409 dzieci w wieku szkolnym; — na kościół polski, przeciętnie — 864 dzieci w wieku szkolnym.

Oprócz 13 parafji polskich, już powstały w m. Milwaukee 2 nowe parafje — Św. Ignacego (ks. Fr. Olszewskie) i Przenajświętszego Sakramentu (ks. Dr. B. Kobeliński), w których Statystyka nie podaje ilości dzieci w wieku szkolnym.

Weźmy całą Diecezję Buffalo:

Kościółów Rz. - katolickich, przy których istnieją szkoły parafjalne, w całej Diecezji Buffalo jest 166, — ogólna liczba dzieci uczęszczających do tych szkół wynosi 54.067, — z tego:

Kościółów obconarodowych — 132 — liczba dzieci w wieku szkolnym 34.958.

Kościółów polskich — 34 — liczba dzieci w wieku szkolnym 19.109.

Przypada więc: na kościół obconarodowy, przeciętnie — 264 dzieci w wieku szkolnym; — na kościół polski, przeciętnie — 652 dzieci w wieku szkolnym.

Wszędzie więc kościoły polskie mają conajmniej dwa razy większą liczbę dzieci w wieku szkolnym, aniżeli kościoły obconarodowe, co z jednej strony tłumaczy potężne rozmiary parafji polskich, z drugiej zaś świadczy wymownie o ofiarności emigranta polskiego. (Dane te są zupełnie ściśle, ułożone na podstawie statystyki urzędowej, podanej w „The Official Catholic Directory” za rok 1927).

W porównaniu więc z kościołami polskimi, kościoły irlandzkie są to małe parafijki, z których trudno zebrać ofiary, bo parafjanie nie są skorzy na dawanie grosza, a duchowieństwo ma dochody ograniczone.

Wskutek tego kler irlandzki wyteęza wszystkie siły, aby w końcu zdobyć te parafje polskie dla siebie; a w tem bezwzględnie dopomaga mu Episkopat irlandzki.

W swych „Listach z Podróży” ks. W. Kruszka podaje zapatrywania ks. Kardynała Kakowskiego jako rzeczoznawcę prawa kanonicznego — na sprawę biskupów polskich.

Ks. Kardynał wyjaśnił, że jakkolwiek — terytorjalne gra-

nice, to jedynie granice dozwolone przez obecne prawo kanoniczne, zdaniem ks. Kardynała „nie my pierwsi wyłom w prawie kanonicznem uczynić chcemy.

Wyłom taki już dawno w Ameryce uczyniono przez zakładanie parafji o granicach narodowych, zamiast terytorjalnych. Był to może błąd zasadniczy ze stanowiska prawa kanonicznego, ale raz parafje narodowe powstały, przeto konsekwentnem rozwiązaniem legalnem będzie utworzenie diecezji narodowych. (Jak widać, ks. Kardynał nie był jeszcze wówczas poinformowany, że w Ameryce już istnieją takie dwie diecezje narodowe,— jedna ukraińska w Philadelphji i druga grecko - katolicka w Pittsburgh'u).

W każdym razie ks. Kardynał Kakowski oświadczył, że: „Polacy w Ameryce powinni ciągle, wytrwale i konsekwentnie prowadzić tę walkę o biskupów polskich, aż do osiągnięcia zupełnego zwycięstwa”.

Ks. Kardynał już dwa memorjały w tej sprawie posłał do Rzymu i obiecał poprzeć osobiście u Papieża tę zaniechaną sprawę biskupów polskich w Ameryce, która przedstawia trudności nie tyle ze stanowiska prawa kanonicznego, ile ze strony zagorzałych anglicyzatorów w przeciwieństwie do prawdziwych amerykanizatorów, a także wskutek jaskrawego nacjonalizmu irlandzkiego w obcej hierarchji kościelnej w Ameryce.

Wracając do memorjału ks. W. Kruszki, rozpatrzmy jeden punkt wytyczny, który brzmi:

„Lecz od parafji narodowych do Diecezjalnych mieszanych — jakie obecnie powstały w Ameryce — jest krok śmiertelny (saltus mortalitatis), dla którego zginęło już około 20.000.000 katolików w Ameryce, którzy nie mieli biskupów swojej narodowości”.

Dla wyjaśnienia weźmy statystykę czeską według Thomas'a Capek, autora pracy p. t. „The Czechs in America”, wyd. w roku 1920, który podaje:

„Urzędowa statystyka austriacka przed wojną wykazuje, że z 1.000 osób zamieszkałych w Czechach:

960,48	wyznaje	religię	Rz. - katolicką
21,77	„	„	Protestancką
16,19	„	„	Żydowską

1,12	„	„	Staro - katolicką
0,20	„	„	bezwynaniowców
0,24	„	„	mięszanych wyznań.

Liczby te są całkiem odmienne w Ameryce. W Nowy Yorku mamy rezultat następujący. Na 1.000 emigrantów czeskich przypada:

Rzymsko - katolików	254
Protestantów.	110
Żydów	16
Nie należących do żadnego wyznania	620

Cyfry te nie są jednolite w różnych Stanach, gdyż zależą od przyczyn lokalnych. Z pewnością jednak powiedzieć można, że 50% Czechów w Ameryce odstąpiło od religji ich starego kraju. Jeden z autorów utrzymuje nawet, że liczba odstępców (secessionists) jest bliższą 60 lub 70 procent, aniżeli 50 procent.

Nie będziemy zastanawiać się nad przyczyną tego zjawiska, lecz nadmienić należy, że wśród Czechów wzrasta sekta Staro - katolicka, dzięki właśnie opiece czeskich biskupów Staro - katolickich, których jest kilku w Stanach Zjednoczonych.

Indyferentyzm religijny daje się również zauważyć wśród emigracji włoskiej, lecz autor na razie nie posiada danych statystycznych, aby twierdzenie to cyframi udowodnić. Podobne objawy występują w innych grupach katolickich, a statystyka ogólna lepiej to wytłumaczy.

Według ostatniego spisu ludności (census) z r. 1920 ilość mieszkańców w Stanach Zjednoczonych, *pochodzących z krajów katolickich Europy*, obliczona jest na 36.000.000. Statystyka zaś — „The Catholic Official Directory” za r. 1927 podaje liczbę katolików na 19.483.296.

Gdzież więc jest reszta wynosząca 16 i pół milionów zgórą (a może i 20 milionów, jak podaje ks. Kruszka)? Większość rozproszona jest w indyferentyzmie, a reszta przyłgnęła do sekt protestanckich, lub tworzy kościoły niezależne, narodowe — pod zarządem własnej hierarchji kościelnej.

Przywiązanie Polaków do kościoła i religji Rzymsko - katolickiej p. Thomas Capek określa temi słowy:

„Polak emigruje z katolickiej Polski do nie - katolickich Stanów Zjednoczonych i pozostaje wierny, chociaż zmienił miejsce

zamieszkania. Czech zaś — katolik w swoim kraju — de-katolicyzuje się za oceanem. Dlaczego?

(A Pole migrates from Catholic Poland to non-Catholic United States and he remains steadfast, notwithstanding the change of residence. The Czech also a Catholic at home, becomes decatholicized overseas. Why?).

Lecz cierpliwość ludu polskiego zaczyna się wyczerpywać, a niechęć do biskupów obconarodowych powoduje ferment i secesję. Przyczyną secesji jest sprawa majątków kościelnych i stosunek do Episkopatu obconarodowego. Secesja czyli odstępstwo powoduje tworzenie własnych, niezależnych organizacji kościelnych, nie uznających zwierzchności Rzymu, a więc groźnych konkurentów kościoła Rzymsko - katolickiego, — oraz przejście do wyznań protestanckich.

Według statystyki zebranej przez D-ra M. Szawlewskiego w r. 1924, kościół niezależny, czyli narodowy, liczył wówczas 50 parafij z około 40.000 wyznawców, głównie skupionych na wschodzie, z centralną i katedrą w Scranton, w Stanie Pennsylvania. Obecnie kościół ten rozszerza się także na zachód, a miasto Chicago ma już trzy parafje z Biskupem ks. Grochowskim na czele. Jak twierdzą, polski kościół narodowy liczy w Ameryce obecnie około 100 parafji.

Dane statystyczne i przyczyny powstania kościoła narodowego, oraz przejście emigrantów polskich do wyznań protestanckich — będą przedmiotem następnego artykułu.

Podbięta.

Śląsk Cieszyński

W ŚWIETLE HISTORJI Z SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM CZECHOSŁOWACJI — JAKO TERENU EMIGRACJI POLSKIEJ PRZED POWSTANIEM PAŃSTWA POLSKIEGO ORAZ W CZASIE OD R. 1918—1926 R.

SZKIC HISTORJI ODRODZENIA NARODOWEGO
NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM.

Ludność polska na Śląsku Cieszyńskim, w następstwie wiekowiej niewoli nie posiadała do połowy XIX wieku uświadomienia narodowego. Pierwszym budzicielem i duchowym twórcą ruchu polskiego w tym kraju stał się Paweł Stalmach, urodz. 13. 8. 1824 r. w Bażanowiczach koło Cieszynia. Za jego inicjatywą utworzyło się w Cieszynie w r. 1848 kółko, którego celem było budzenie świadomości narodowej. Należeli do niego; Dr. Ludwik Klucki, Andrzej Cienciała, pastor Jerzy Heczko, Paweł Śliwka, ks. Janusz. Ich staraniem zaczęto wydawać w roku 1848 „Tygodnik Cieszyński” pierwsze pismo polskie na Śląsku. W tym samym roku, pamiętnym wiosną ludów zmanifestowali po raz pierwszy przedstawiciele ludności śląskiej swoją łącznością i resztę narodu polskiego. Na zjeździe słowiańskim w Pradze reprezentowani ze Stalmachem na czele wstąpili do sekcji polskiej i domagali się połączenia Śląska z Galicją.

Nowopowstały ruch polski nie spotkał się z uznaniem władz. Po opanowaniu rewolucji z całym państwem zaczęto mu stawiać różnego rodzaju przeszkody. Skutkiem odebrania debitu na terenie Galicji „Tygodnik Cieszyński” zamieniono na „Gwiazdkę Cieszyńską”. W r. 1855 zamknięto „Czytelnię ludową”, pierwszą i główną ostoję akcji narodowej na szerszą skalę — po pięcioletniej owocnej pracy.

Dopiero po klęsce austrj. w r. 1859 nastąpiła pewna zmiana orientacji rządowej. Ruch narodowy polski potęguje się. „Gwiazd-

ka Cieszyńska” zyskuje coraz większą ilość abonentów. Czytelnia Ludowa powstaje na nowo (1861), ilość polskich towarzystw rośnie w szybkim tempie. W r. 1869 założono stowarzyszenie nauczycieli okręgu cieszyńskiego. W r. 1871 lud śląski po raz pierwszy przeprowadził polskich posłów do sejmu opawskiego.

W r. 1872 zawiązuje się Tow. Naukowej Pomocy dla Ks. Cieszyńskiego, gorliwie popierane na ziemiach polskich. Towarzystwo to przez udzielenie pomocy studentom wielu z nich uratowało przed germanizacją. Czytelnie ludowe powstają poza Cieszynem w Jabłonkowie (1871) i w Zabrzegu (1873). W r. 1873 utworzono Dziedzictwo Bł. Jana Sarkandra, wydające książki polskie dla ludności katolickiej i Bazar Cieszyński, ludową spółkę, której celem było podniesienie materialnego dobrobytu ludności śląskiej. W tym samym roku przy wyborach z gmin wiejskich do Rady państwa przeszedł kandydat narodowy polski Jerzy Ciencała większością 177 głosów i wstąpił w Wiedniu do Koła polskiego. W r. 1874 powołano do życia Towarzystwo Oszczędności i zaliczek w Cieszynie, które w r. 1908 posiadało już 6 filij i liczyło 6.186 członków. Drugą pokrewną instytucją finansową polską był Bank Rolniczy we Frysztacie, który powstał w roku 1895. W r. 1881 organizuje ewangelicka ludność polska „Towarzystwo ewang. oświaty ludowej”, w dwa lata później tworzy się dwa pierwsze polskie stronnictwa polityczne: „Związek Śląskich katolików” i „Polityczne Towarzystwo ludowe” (obecnie stronnictwo ludowe).

Najważniejszą polską instytucją narodową jest „Macierz Szkolna” Ks. Cieszyńskiego, ostatnie wielkie dzieło Stalmacha, założona w r. 1885. Nieocenione usługi dla rozwoju życia narodowego na Śląsku Cieszyńskim oddała Macierz przez utworzenie pierwszego polskiego gimnazjum w Cieszynie w r. 1895. Odtąd dzięki napływowi inteligencji polskiej byt polskości nie jest zagrożonym. W r. 1908 założyła „Macierz” przy pomocy T-stwa Szkoły ludowej, drugi zakład średni polski, polskie gimnazjum realne w Orłowej, tak potrzebne w zagłębiu. W r. 1913 skupiała „Macierz” w 57 kołach miejscowych 4.500 członków i utrzymywała 1 gimnazjum realne, 1 szkołę wydziałową, 3 uzupełniające szkoły przemysłowe, 10 szkółek i 2 bursy, ponadto urzędzała kursa uzupełniające w różnych miejscowościach. Praca „Macierzy” szła przez pewien czas równolegle z czynnością To-

warzystwa Szkoły Ludowej” z siedzibą w Krakowie, ze względu jednak na ten sam zakres pracy przejęła z czasem „Macierz” wszystkie agendy T. S. L.

W r. 1889 ukonstytuowano Polskie Towarzystwo Pedagogiczne, założone pierwotnie w Ustroniu jako kółko pedagogiczne u Ustroniu. Za cel postawiło sobie towarzystwo budzenie ducha narodowego wśród nauczycielstwa wychowywanego przed utworzeniem seminarjum nauczycielskiego w Bobrku wyłącznie w zakładach niemieckich.

Ruch narodowy wychodzący z Cieszyna posiadał do r. 1900 tę zasadniczą wadę, że ograniczał się do okolic wiejskich. Położenie pogorszyło jeszcze fakt, że „Gwiazdka Cieszyńska” przeszła na własność katolickich księży, a ponieważ stała na stanowisku religijno - zachowawczem, nie znajdowała czytelników w zagłębiu. Tymczasem Czesi w tymże okresie czasu zapoczątkowali ekspansję na wschód i zagłębiu zaczęła grozić czechizacja z chwilą, kiedy czeska partja socjalno - demokratyczna zapomocą swoich przywódców, pochodzących z Czech i Moraw, rozpoczęła działalność agitacyjną pośród polskich robotników, zaś analogicznej partji polskiej nie było.

Okoliczność, że z obroną interesów robotniczych górnik polski spotkał się ze strony czeskiej, a nie polskiej i że pierwsze gazety robotnicze na Śląsku Ciesz. rozpowszechniane były w języku czeskim, przynieść mogła sprawie polskiej nieobliczalne straty. Położenie zrozumiał w lot przybyły z Galicji ksiądz katolicki, Stojałowski i po osiedleniu się w Cieszynie umiał w działalności swej pogodzić interesy ludu roboczego z interesem narodowym. Gazetki Stojałowskiego „Wieniec — Pszczółka” uczyniły pierwszy wyłom w narzucanej kulturze czeskiej, gdyż górnik polski przekonał się, że język polski gazet Stojałowskiego jest dlań zrozumialszy, aniżeli język robotniczych gazet czeskich, jak „Prokop”, „Odborné listy”, „Czervanky”, „Raszple” i in.

Wpływ Stojałowskiego w zagłębiu trwał niepodzielnie lat kilka, upadł jednak z chwilą osiedlenia się tutaj Gadeusza Regera, niezmordowanego organizatora i agitatora.

Reger przybył na Śląsk jako wysłannik socjalistycznego środowiska krakowskiego, które z inicjatywy krakowskiej młodzieży akademickiej poniosło polską propagandę socjalistyczną do Księstwa Cieszyńskiego: „Chcąc ratować Polaków, musi się ratować

chłopów i robotników, bo innych Polaków tu niema”, pisał w r. 1895 Daszyński o Śląsku.

Sprawa polska nie straciła na tem, przeciwnie, zyskała. To, co zaczął Stojalowski w kierunku wyrugowania czeszczyzny, dookończył konsekwentnie Reger. W r. 1897 zaczął wydawać „Równość”, w 1500 egzempl. Równocześnie prowadził sprawy organizacji górniczej, stowarzyszenie spożywcze, urządził zebrania, odczyty, organizował kółka amatorskie nawet w tych gminach, w których dotąd czeszczyzna wyłącznie panowała. W roku 1899 odbył w Księstwie Cieszyńskim z ramienia polskiej partji soc. 74 zgromadzeń ludowych, okrążyło 1200 zawodowych i 600 poufnych.

W tym samym roku (1897) zaczyna wychodzić „Głos Ludu Śląskiego”, pismo radykalno - narodowe, które tendencją swoją wyodrębniło się od pism polskich, wydawanych w Cieszynie nie tylko stanowiskiem przychylnem dla sprawy robotniczej, lecz również zdecydowaną obroną ludu polskiego przed czechizacją.

Stronictwo radykalno - narodowe powołało do życia tow. „Jedność”, w którego program wchodziło głównie krzewienie oświaty ludowej wśród ludności polskiej. Około r. 1900 liczyła „Jedność” 12 oddziałów w pow. frysztaekim (rob.), 3 w pow. cieszyńskim i bielskim.

Od tego czasu rozpoczyna się nowa epoka w dziejach rewiru ostrawsko - karwińskiego. Ludność polska staje na wysokim poziomie organizacyjnym i jest najbardziej uświadomioną częścią Księstwa Cieszyńskiego.

W wyborach do parlamentu austriackiego, przeprowadzonych w r. 1907 na podstawie wywalzonego powszechnego i bezpośredniego prawa głosowania, zdobywają mandaty 2 socjaliści polscy i 1 narodowiec polski, razem 3 Polacy na ogólną liczbę 5 mandatów ciesz. śląskich. Ten stosunek (3 na 5) utrzymuje się i przy późniejszych wyborach.

W historii odrodzenia narodowego na Śląsku zaszczytna rola przypada w udziale towarzystwom gimnastyczno - oświatowym. W r. 1891 powstał „Sokół” cieszyński, jako pierwsze gniazdo sokole na ziemi cieszyńskiej. W r. 1913 było już w Księstwie Cieszyńskim 22 gniazd sokolich. „Sokół” polski na Śląsku Cieszyńskim brał udział we wszystkich ważniejszych manifestacjach narodowych, urządzanych na wszystkich ziemiach polskich.

Do chat górników polskich wносиło oświatę także inne towarzystwo gimnastyczno - oświatowe polskich robotników i robotnic, występujące pod zbiorową nazwą „Siła”. W r. 1910 liczyło ono około 3000 członków.

Na polu gospodarczym pracowało oprócz wymienionych instytucyj „Towarzystwo oszczędności i zaliczek” w Cieszynie i „Banku Rolniczego” we Frysztacie, także spółkowe kasy „Raiffeisena”, tow. rolnicze, oraz „Centralne stowarzyszenie spożywcze dla Śląska w Łazach” i szereg innych mniejszych organizacyj.

HISTORJA CZASÓW NAJNOWSZYCH 1914—1921.

Polska ludność Śląska Cieszyńskiego solidaryzowała się zawsze z resztą narodu polskiego w sprawach ogólnie - narodowych.

Kiedy w r. 1914 naród polski zorganizował legiony, Śląsk Cieszyński nie pozostał w tyle, lecz własnym kosztem wystawił i zaopatrzył oddział legionów, złożony z 500 ludzi, oraz złożył na cele legionów 100.000 K., przyczem pamiętać należy, że polska ludność na Śląsku, to chłopci i robotnicy, a więc warstwy najbiedniejsze. Oddział śląski legionów, przydzielony do 3 pułku Legionów, dzielił z żołnierzami polskimi innych dzielnic dolę i niedolę i daniną krwi, ofiarnie przelaną na ołtarzu Ojczyzny. W walkach o Jej wolność i niepodległość zadokumentował, że Śląsk chce przynależać do Polski. W r. 1916 pisały krakowskie „Nowości ilustrowane”: „Znaną jest ogółowi polskiemu bohaterstwo i sprawność bojowa Ślązaków. Wielu synów tej dzielnicy padło śmiercią bohaterską na polach Mołotkowa, Nadwórnej i Pasiecznej, wielu z nich przetrwało trudy, pełniąc dotąd twardy obowiązek żołnierza polskiego aż do ostatecznego zwycięstwa”.

„Historja czasów wojennych i powojennych Śląska Cieszyńskiego jest nieprzerwanym szeregiem wzruszających ofiar krwi i mienia na rzecz Ojczyzny i współrodaków” (Łondzin). W okresie wojennym zebrała ludność śląska 50.000 koron i przesłała je do komitetu krakowskiego, poznańskiego i warszawskiego na rzecz ludności polskiej, dotkniętej klęską wojny. Kiedy w r. 1917 niemiecki wydział gminny w Karwinie (następstwo systemu kurjalnego) powziął uchwałę, domagającą się przyłączenia Oświęcim-

skiego do Śląska, ludność karwińska odezwała się jedną wielką burzą protestów. 4 tysiące Karwiniaków (głów rodziny) podpisało wówczas memoriał, protestujący przeciw uchwale wydziału gminnego i domagający się przyłączenia Śląska Cieszyńskiego do Galicji.

Na zgromadzeniu polskich posłów parlamentarnych i sejmowych w Krakowie dnia 28.V 1917 r. zgłosił poseł Tadeusz Reger imieniem Śląska przynależność Śląska Cieszyńskiego do niepodległej Polski, a w r. 1918 wszyscy posłowie polscy ze Śląska Cieszyńskiego (ks. Londzin, Dr. Michejda, Reger) w przemówieniach swoich w parlamencie żądali przyłączenia Śląska do Polski.

No wspólnym posiedzeniu polsko - czeskim, odbytem w dniu 17.II 1918 r. w Polskiej Ostrawie oświadczyli posłowie Londzin i Michejda, że polski lud śląski chce przynależeć do Polski.

Krótko przed przewrotem w r. 1918 ludność polska na olbrzymich, manifestacyjnych wiecach pod gołym niebem, odbytych w całym kraju w Orłowej, Boguminie i Cieszynie solidarnie, jednomyślnie i wśród ogromnego entuzjazmu deklarowała swoją nieprzejednaną wolę przynależenia do wolnej, niepodległej Polski zgodnie z duchem zasad Wilsona. Wiece te co do żywiołowości i masowości należą do jedynych w historii Śląska Cieszyńskiego, przyczem podkreślić należy, że analogicznych wieców czeskich ani niemieckich nie było.

Niezapomnianymi chwilami dla mieszkańców Księstwa Cieszyńskiego pozostaną na zawsze czasy przewrotu, kiedy to dzięki niespotykanej nigdzie zgodzie i jednomyślności, cały kraj od przeszło 600 lat oddzielony od Polski nieoczekiwanie i wśród ogromnego wzruszenia tej generacji, której to szczęście przypadło w udziale, wracał na łono wskrzeszonej, niepodległej Ojczyzny. „Traktat trenczyński z r. 1335”, pisze ks. Londzin, „mieszczący zrzeczenie się praw polskich do Śląska, został rozdarty i zniszczony, sieroty powróciły do Macierzy”.

W dniu 12.X 1918 r. reprezentanci trzech stronnictw polskich na Śląsku Cieszyńskim: Związku Śląskich katolików, Zjednoczenia narodowego i Polskiej Partji Socjalistycznej uchwalili stworzenie Rady Narodowej Ks. Cieszyńskiego. W dniu 30.X 1918 r. Rada Narodowa wydała uroczystą proklamację przynależności Księstwa Cieszyńskiego do wolnej, niepodległej, zjedno-

czonej Polski i zawiadomiła o objęciu nad nim władzy państwowej.

Także Czesi utworzyli „Zemsky Národní Vybor pro Slezsko” w Polskiej Ostrawie. W dniu 5.XI 1918 r. zawarła Rada Narodowa z „Národním Vborem” ugodę, na podstawie której „Národní Vybor” sprawował rządy nad całym powiatem frydeckim i temi gminami pow. frysztackiego, które posiadały wydziały gminne czeskie (5 gmin), reszta zaś Śląska, a więc całe powiaty bielski, cieszyński, oraz większa część frysztackiego razem z Karwiną i Boguminem, pozostać miała przy Polsce pod rządami Rady Narodowej. Ostateczne uregulowanie kwestji granic przeprowadzić miały rządy praski i warszawski.

Tymczasem Czesi, bez jakiegokolwiek wypowiedzenia wojny, w chwili, gdy ochotnicze miejscowe oddziały polskie odeszły pod Lwów z odsieczą, napadli na Śląsk w dniu 23.I 1919 r., aby udaremnić wybory do sejmu w Warszawie, które się odbyć miały w dniu 26.I 1919 r. Po czterodniowej obronie wycofały się wojska polskie pod dowództwem gen. Latinika na linję Wisły. Kiedy po zwycięstwie polskiem pod Skoczowem kampanja zaczynała przybierać dla Wojsk Polskich obrót pomyślny, zawarto w imieniu czeskiego dowódcy, komend. Szejdarka i polskiego dow. frontu, brygadjera Latinika, zawieszenie broni, na mocy którego wojska obydwu stron pozostać miały na pozycjach z 22.I 1919 r. Tymczasem w Paryżu zawarli zastępcy rządu polskiego i czeskiego ugodę w dn. 3.II 1919 r. Ugoda ta pozostawiała pod okupacją wojskową czeską odcinek kolei koszycko - bogumińskiej na północ od Cieszyna, podczas gdy południowa część kolei wraz z miastem Cieszynem aż po Jabłonków oddana miała być pod okupację polską. Natomiast administracja lokalna odbywać się miała na warunkach, przewidzianych ugodą z 5.XI 1918 r.

W dniu 12.II 1919 r. przyjechała do Cieszyna wydelegowana z Paryża Komisja Międzysojusznicza, jednak w ciągu dwutygodniowego urzędowania nie zdołała skłonić Czechów do wykonania umowy, zawartej w Paryżu. Dopiero 25.II 1919 r. wycofały się wojska czeskie z zajmowanych dotychczas obszarów. 25.II 1919 r. zawarto w Cieszynie umowę wojskową, określającą bliżej linje z 3.II 1919 r. oraz warunki okupacji. W dniu 22.VII rozpoczęły się w Krakowie obrady reprezentantów polskich i czeskich w sprawie ustalenia granicy polsko - czeskiej, zgodnie

z uchwałą Rady Pięciu w Paryżu z 6.V 1919 r. Obrady te zerwano 28.VII 1919 r., ponieważ delegacja czeska odrzuciła wniosek polski, proponujący plebiscyt. W następstwie obradowała w Paryżu Komisja polsko - czeska pod przewodnictwem Cambona, która w dniu 10.IX 1919 r. zgodziła się na plebiscyt. Rada Naczelna w Paryżu zatwierdziła tę uchwałę. Pierwotnie plebiscyt odbyć miał się w 3 miesiące po ratyfikacji postanowienia Rady Najwyższej. W dniu 30.I 1920 r. przyjechała 2-ga komisja międzysojusznicza do Cieszyna, mająca przeprowadzić plebiscyt. Na jej czele stał Francuz Manneville. W dniu 23.III 1920 r. ogłosiła ona plebiscytową ordynację głosowania. Tymczasem z plebiscytem zwlekano. W kraju wybuchały niepokoje. Zaczęło się masowe wyrzucanie Polaków z miejscowości, posiadających większość czeską, obustronne gwałty i niepokoje. Ostatecznie delegacja polska i czeskosłowacka deklaracją w Spaa z 10.VIII 1920 r. zrzekły się plebiscytu i zgodziły się, aby Rada Najwyższa sama rozstrzygnęła kwestję granic w Cieszyńskim.

Dnia 28.VII 1920 r. ogłosiła Konferencja Ambasadorów tekst decyzji, regulującej granicę polsko - czeską. Na podstawie tej decyzji Księstwo Cieszyńskie podzielono na dwie części, z których czeska część obejmuje 1280 km² z 295.191 ludności w 94 gminach, polska 1002 km² z 139.630 ludności w 84 gminach.

Decyzja Konferencji Ambasadorów spadła na ludność polską na Śląsku jak grom i wywołała nieopisane przygnębienie. Na podobne rozstrzygnięcie, oddające 140.368 Polaków (podług austr. spisu ludności z r. 1910), osiedlonych na odwiecznym polskim obszarze etnograficznym, pod władzę obcego narodu, nikt nie był przygotowany. Mniejszość czeska (113.647) odzyskała większą część kraju wraz z całym zagłębiem węglowym ostrawsko-karwińskim. W przydzielonej Polsce części Cieszyńskiego, Czechów było według austr. spisu ludności na 139.630 ludności tylko 1.957. (Fakt ten uwydatni się tem jaskrawiej, jeżeli do ogólnej liczby 113.647 Czechów odejmiemy 80.498 czeskich mieszkańców powiatu frydeckiego, którego Polska nigdy nie rewindykowała).

Delegacja polska wahała się długo nad zajęciem stanowiska wobec rozstrzygnięcia, jednak zważywszy ówczesne położenie międzynarodowe Polski (bolszewicy pod Warszawą), orzekła, że nie może odmówić podpisu. Paderewski, delegat R. P., uważał

za wskazane wręczyć przy tej sposobności deklarację w imieniu swego rządu. W deklaracji tej zazaczył, że rząd polski z całym zaufaniem zgodził się na decyzję Rady Naczelnej, spodziewając się, że zasada narodowości będzie i w tym wypadku stosowaną. Jednak decyzja Konferencji Ambasadorów nie bierze pod uwagę ani woli ludności, ani zasady narodowości. Rząd polski podpisał formalnie zobowiązanie, ale oświadcza, że nigdy nie uda mu się przekonać narodu polskiego, że sprawiedliwości stało się zadość.”

W dniach, w których rozstrzygał się w Paryżu los Cieszyńskiego i odbył się ostatni płomienny protest Jabłonkowskiego. Ludność powiatu, dowiedziawszy się o tem, że korzystając z chwilowego ciężkiego położenia Polski chce się ją bez plebiscytu przyłączyć do Czech, zesłała się na olbrzymim wiecu w Jabłonkowie, w rezolucji odwołuje się do sumienia Europy i po płomiennych słowach ks. Ścisakaty składa przysięgę wierności dla Polski. Wójtowie, członkowie rad gminnych, wystosowali również protest do Ligi Narodów, a ludność polska wysłała protestujący telegram do prezydenta Wilsona.

Protesty te przebrzmiały bez echa. 10 sierpnia rozpoczęła się okupacja czeska, równocześnie zaś, a także przedtem, odbywała się masowa emigracja ludności polskiej.

I. STOSUNKI JĘZYKOWE, NARODOWOŚCIOWE I WYZNANIOWE NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM.

Mat. Popiołek: Dzieje Śląska austr.

Kaz. Piątkowski: Stosunki narodowościowe w Ks. Cieszyńskim.

Al. Adamus: Nasze Śląsko.

R. K.: Granice językowe polsko - czeskie na Śląsku Cieszyńskim.

* * *

Pod względem językowym obszar Śląska Cieszyńskiego podzielić można na dwie części: na obszar typowo - polskiej gwary cieszyńskiej i na obszar przechodniej czesko - polskiej gwary frydeckiej.

Granice pomiędzy obydwojema narzeczami stanowią następujące *polskie* miejscowości: (od północy na południe):

Wierzbica, Hermanice, Muglinów, Michałkowice, Radwanice, Bartowice, Datynie Górne, Więclowice (obecnie Waclawowice), Błędowice Średnie i Górne, Żermanice, Szobiszowice, Domaślowice Dolne i Górne, Toszonowice Dolne i Górne, Dobracice, Ligotka Kameralna, Rzeka, Tyra, Koszarzyska, Łomna Górna.

Językiem polskim mówi na Śląsku cały powiat polit. frysztacki, cz. cieszyński, oraz półn. wschodnia część pow. frydeckiego (11 gmin), przechodnią gwarą frydecką tylko pozostała część powiatu frydeckiego (30 gmin).

W czeskośl. Śląsku dominuje polska gwara cieszyńska w 89 gminach (72.4% ogółu gmin), podczas gdy obszar gwary frydeckiej obejmuje tylko 30 gmin (25%). Po niemiecku mówi się w 3 gminach (2½%).

Podana granica językowa nie kryje się z granicą narodowościową, ustaloną na podstawie wyników spisu ludności.

Długoletnie panowanie czeszczyzny i przewaga ekonomiczna żywołu czeskiego sprawiły, iż nie tylko cały obszar gwary frydeckiej, lecz również szereg pogranicznych gmin, których ludność posługuje się w życiu codziennym polskim narzeczem cieszyńskim, nie przyznaje się do narodowości polskiej i posiada przeżwanie narodowe uświadomienie czeskie.

I tak 7 gmin sądowego powiatu frydeckiego, oraz 5 powiatu cieszyńskiego (gminy wiejskie), których ludność z językowego punktu widzenia uważać należy za bezsprzecznie polską, stale figuruje we wszystkich spisach ludności, jako gminy czeskie.

Wytłómaczenie tego anormalnego zjawiska daje nam historia. Nie chodzi tu o gminy, szcechizowane w ostatnim czasie (jak np. przemysłowe osady zagłębia ostawsko - karwińskiego), lecz miejscowości, które od wieków podlegają wpływom czeskim. Językiem urzędowym w szkole, kościele i urzędzie jest tu od dawna czeszczyzna, inteligencja zalicza się wyłącznie do narodowości czeskiej, język czeski służy do celów kulturalnych ludności. Pomimo to lud miejscowy, od setek (600) lat pozbawiony wpływów polskich, dotychczas zachował swoją mowę polską.

Także na terenie zagłębia ostrawsko - karwińskiego konstatujemy znaczne odchylenie granicy językowej od t. zw. linii „etnograficznej” na niekorzyść polską. I tu spotykamy gminy czeskie, których rdzenni mieszkańcy dotąd mówią raczej po polsku. Wpły-

wy czeskie są w tych miejscowościach starej daty, lecz czechizacja nastąpiła dopiero w ostatnim czasie. W odróżnieniu od wspomnianych gmin wiejskich, w których język ludu długi czas nie ulega zmianie, daje się tu zauważyć powolne, lecz stałe grawitowanie językowe ku czeszczyźnie, zwłaszcza u młodego pokolenia. Procesu tego nie potrafił wstrzymać nawet masowy napływ robotników polskich z b. Galicji, bo równocześnie miało miejsce posuwanie się czeskiej inteligencji ku wschodowi, a zależność ekonomiczna i kulturalna więcej zaważyła na szali.

Na ukształtowanie się uświadomienia narodowego nie pozostały bez wpływu także różnice wyznaniowe. Wzdłuż granicy językowej ewangelicy uważają się za Polaków, katolicy przeważnie za Czechów, jakkolwiek spotykamy się tu z miejscowościami polskimi o większości katolickiej.

Etniczny skład ludności Śląska Cieszyńskiego uległ w ciągu historii pewnym zmianom. Pierwotną ludność Cieszyńskiego stanowili Białochorwaci, zamieszkujący również Małopolskę zachodnią. Kolonizacja niemiecka z końcem XIII w. nie zdołała zmienić narodowości ludu. Niemcy utrzymali się tylko w Bielsku i okolicy. W 2-jej połowie XVII w. usadowili się w górach w okolicy Jabłonkowa (Istebna, Jaworzynka, Koniaków), a także w dzisiejszem Czadeckiem górale podhalańscy, którzy podczas wojen szwedzko - polskich pierzchnęli przed Szwedami. W zachodniej części Cieszyńskiego uległ lud językowym wpływom morawskim (gwara frydecka). Dziś jednolita pod względem językowym ludność Cieszyńskiego przedstawia wielką różnorodność typów antropologicznych. Na południu mieszkają górale, wysokiego wzrostu, wysmukli, mniej więcej tego samego typu, co mieszkańcy gór Małopolski zachodniej. W Jabłonkowie utrzymały się jeszcze resztki t. zw. Jacków, wyróżniających się niskim wzrostem i słabą budową ciała. Północno - zachodnią część Beskidu zaludniają Wałasi, krępi, niższego wzrostu. Co do ich pochodzenia istnieje spór. Są autorzy, którzy twierdzą, że są to potomkowie rumuńskich pasterzy, przybyłych do gór śląskich i morawskich w XIII i XIV w. Historycznie teza ich nie da się udowodnić. Północno - zachodnią część zaliczają do t. zw. Lachów typu pośredniego pomiędzy góralami a Wałachami. Jednak sama ludność nie nazywa siebie Lachami i Wałachami. Istnieje tylko ludowy strój wałaski, którego zachodnia granica w okolicach

wiejskich kryje się z linią etnograficzną, tak, że można go nazwać typowo polskim. Czescy lingwiści nazwę laskiego i wałaskiego oznaczają wschodnio - morawskie narzecza, stanowiące przejście do języka polskiego.

Polskość Śląska Cieszyńskiego stwierdziły austrij. spisy ludności.

Pierwszy spis ludności z r. 1880 wykazał na Śląsku Cieszyńskim:

Polaków	153.724	= 58.7%
Czechów	71.788	= 27.3%
Niemców	36.865	= 14%

W r. 1890 naliczono:

Polaków	177.413	= 60.6%
Czechów	73.897	= 25.2%
Niemców	41.714	= 14.2%

W r. 1900:

Polaków	218.869	= 60.7%
Czechów	85.553	= 23.7%
Niemców	56.240	= 15.5%

W r. 1910:

Polaków	233.850	= 54.8%
Czechów	115.604	= 27.1%
Niemców	76.916	= 18.1%

Na obszarze Cieszyńskiego, przyznanym Czechosłowacji w r. 1920, było na podstawie spisu ludności z r. 1910:

Polaków	137.043
Czechów	113.153
Niemców	30.191
<hr/>	
z innymi	293.349

Odsetek ludności polskiej podnosił się od r. 1880 do 1900, w dziesięcioleciu od r. 1900 do 1910 spadał gwałtownie.

Ponieważ fakta przeczą ubytkowi Polaków, zwłaszcza, że odsetek przybyszów Polaków ciągle wzrastał, nie można mówić o bezstronności statystyki urzędowej.

Wystarczy zestawić kilka charakterystycznych wyników:

W r. 1880 liczyły:	Polaków	Czechów
	Olbrachcice . —	1029 (100%)
	Szumbark . 17	697
W r. 1890 liczyły:	Polaków	Czechów
	Olbrachcice . 1079 (100%)	—
	Szumbark . 887 (98.9%)	3 (0.3%)
	Polaków	
	w r. 1900	w r. 1910
Muglinów	64.1%	29.5%
Kończyce Małe	64.0%	19.5%
Dzieśmorowice	86.7%	21.8%

Takie ogromne różnice w kraju kulturalnym nie odpowiadają faktycznym zmianom składu ludności, lecz przypisać je należy tendencyjności i niedokładności statystyki. Najbardziej zbliżonymi do prawdy są wyniki spisu ludności z r. 1900, jakkolwiek i co do niego poczynić można zastrzeżenia, jeżeli sam Czech, poseł socj. dem. Cingr uważał za stosowne wnieść w parlamencie austr. interpelację w sprawie nadużyć spisowych na korzyść czeską w Radwanicach i Hermanicach.

W dziesięcioleciu 1900 — 1910 wzrosła ludność niemiecka o 36.8%, ludność czeska o 35.1%, zaś ludność polska o 6.84%. Przyrósł naturalny ludności polskiej, wynoszący okrągło 2.2% rocznie, dałby w dziesięcioleciu 48.000. Urzędowo wykazany przyrost Polaków wynosi tylko 14.981. Spis ludności w r. 1910 wykazuje więc brak 33.000 Polaków. Ponieważ dalej różnica pomiędzy imigracją a emigracją polską w Cieszyńskim w dziesięcioleciu od r. 1900 do 1910 wynosi według Dudzińskiego 50.000 na korzyść imigracji, przeto spis ludności z r. 1910 pomniejszył sztucznie liczbę Polaków w Cieszyńskim w porównaniu ze spisem z r. 1900 o 80.000 głów.

Przeciwko bezstronności spisu przemawia dalej fakt, że w części gmin, które z językowego punktu widzenia uważane są za polskie, wykazuje ludność czeską.

Procentowo posiadali Polacy bezwzględną większość (ponad 50%):

w r. 1880 w 146 gminach	= 69%
w r. 1890 w 149 „	= 70.3%

w r. 1900 w 156 „ = 73.7%
 w r. 1910 w 147 „ = 69.1%

na 213 gmin całego Śląska Cieszyńskiego.

Ponieważ językowy obszar polski obejmuje $\frac{4}{5}$ ogółu gmin, widocznem jest, że z tego punktu widzenia spisy nie odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy.

Podług wyznania liczył Śląsk Cieszyński w r. 1910:

328.933 katolików = 75.7%
 93.566 ewangelików = 21.5%
 10.965 żydów = 2.5%
 1.357 innych.

Odsetek ewangelików jest najwyższy pośród ludności polskiej, czeskich ewangelików przed przewrotem nie było. Nawet w kościołach, położonych na etnograficznym obszarze czeskim (Frydek, Mor. Ostrawa), nabożeństwa ewangelickie odbywały się w języku polskim i ludność ewangelicka, mówiąca tym samym językiem co katolicy, uważała się na Polaków. Czysto czeski powiat frydecki posiadał w r. 1910 (bez miasta, wykazującego 3.6% ewangelików) 4.3% ewangelików, czysto polski powiat cieszyński 41.7%. Część ewangelików, przyznających się do narodowości niemieckiej, skupia się głównie w kolonjach niemieckich koło Bielska. Ludność ewangelicka, zwłaszcza w zach. części kraju, posiada mocne uświadomienie narodowe polskie.

Po podziale Śląska w r. 1920 pod panowanie czeskie dostało się 71.5% (235.000) katolików, 53.3% ewangelików (50.000), 40.9% (4.500) żydów śląskich.

Pod względem rozmieszczenia geograficznego katolicką większość posiada morawski pas wzdłuż granicy Moraw, zagłębienie węglowe, północny pas graniczący z Górnym Śląskiem, oraz pogranicze słowackie (Jabłonkowskie); ewangelicką większość wykazują gminy, położone w środku kraju w dolinie Olzy i nad jej dopływami w dolinie górnej Wisły aż po Skoczów i kilka gmin koło Bielska. Po czeskiej stronie granicy ewangelicką większość posiada 31 gmin.

II. STOSUNKI EKONOMICZNE.

Do największych i najbogatszych basenów węglowych w Europie należy wielkie zagłębienie morawsko - śląsko - polskie, obejmujące części Moraw (300 km²), Śląska Cieszyńskiego (800 km²),

Śląska Górnego (3.000 km²), Kongresówki (500 km²) i Małopolski (1.400).

Produkcja węglowa na tym obszarze przekraczała w r. 1913 60 milionów ton. Większość produkcji przypadła na Śląsk Górny (43.8 milionów), drugie miejsce zajmował Śląsk Cieszyński, trzecie Kongresówka.

Ciesz. - Śląska i morawska część basenu, znane pod nazwą zagłębia ostrawsko - karwińskiego, przypadły w całości Republice Czeskosłowackiej i stanowią najważniejszy ośrodek górniczo - hutniczy tego państwa, dający 70% ogólnej produkcji węgla kamiennego.

Produkcja zagłębia ostrawsko - karwińskiego wynosiła w roku

1782 . . .	12.000 q
1852 . . .	1.678.000 q
1900 . . .	57.726.000 q
1911 . . .	79.454.000 q

przyczem sam Śląsk Cieszyński wyprodukował w r. 1911 64 milj. q (= $\frac{4}{5}$ prod. całego zagłębia). Z 31 kopalń na Śląsku Cieszyńskim 30 przydzielono Czechosłowacji, a tylko jedną (w Czechowicach) Polsce.

Zapasy węglowe całego zagłębia ostrawsko - karwińskiego wynoszą $4\frac{3}{4}$ miljarda ton, co przy produkcji 10 milj. ton rocznie starczyłoby na blisko 500 lat.

Zapotrzebowanie rąk roboczych w górnictwie pokrywało początkowo samo zagłębie wraz z najbliższą okolicą. W miarę jednak, jak życie gospodarcze kraju skutkiem ogromnego wzrostu produkcji węglowej bić zaczynało coraz żywszem tętnem, przybywało w poszukiwaniu zarobku coraz więcej robotników. Największego kontyngentu dostarczała Małopolska zachodnia.

Zagłębie zatrudniało robotników:

w roku 1862 . . .	6.916
„ „ 1900 . . .	38.500
„ „ 1911 . . .	41.000

Po górnictwie pierwsze miejsce zajmuje w zagłębiu przemysł hutniczy. Największą hutą nie tylko w obwodzie czeskosłowackim, lecz wogóle całej Republice Czeskosłowackiej jest zakład witkowicki.

Przemysł żelazny Śląska Cieszyńskiego skoncentrowany jest w Boguminie, we Frysztacie, w Trzyńcu i w Lipniku koło Frydku. Główną siedzibą jest Trzyńiec, którego huty, zatrudniające około 3.500 robotników, wyprodukowały w r. 1916 2.020.000 q surowki stalowej i 1.850.000 żelaza.

Bogumińska walcownia rur dostarczała rocznie 1.200.000 q wyrobów żelaznych i dawała utrzymanie (w r. 1919) 2.800 robotnikom. Znaczny rozwój wykazuje walcownia frysztacka o produkcji rocznej 400.000 q.

Z innych gałęzi przemysłu na wyszczególnienie zasługują głównie przemysł chemiczny (Bogumin z jedyną na ziemiach dawnej Austrii fabryką sacharyny, Gruszów 1.200 robotn., Piotrowice), tkacki (Frydek), browarniczy (największą produkcję 100.000 hl rocznie wykazuje browar karwiński), gorzelniany, młynarski, drzewny, kamieniarski i in.

W r. 1911 na 435.000 ludności całego Śląska Ciesz. w przemyśle pracowało około 100.000 robotników.

Warunki rozwoju rolnictwa nie są pomyślne na Śląsku Cieszyńskim. Klimat jest zbyt ostry, gleba nie zalicza się do urodzajnych.

Pomimo to dzięki pilnej i wytrwałej pracy rolnika śląskiego gospodarstwa śląskie należą do najbardziej wzorowych. Przeciętne zbiory z hektara ziemi ornej wynoszą 9 — 10 q zboża i 80 q ziemniaków.

Większa część kraju skupia się w rękach kilku obszarników (Larisch, komora arcyks.), do których należy również większość lasów.

Zmiany w kierunku równomierniejszego podziału własności wprowadzić ma czeska ustawa agrarna, której realizacja w Cieszyńskim jest jednym z narzędzi polityki czechizacyjnej.

III. KOŚCIÓŁ.

Początki chrześcijaństwa w Księstwie Cieszyńskim sięgają czasów św. Metodego, którego sprowadził z Salonik ksiązę wielkomorawski Rościśław. Drogi nowej religii utworowały podboje księcia wielkomorawskiego, Świętopelka, który zagarnął kraje nad górną Wisłą wraz z Krakowskiem. Tutaj powstało prawdopodobnie biskupstwo, do którego należały także ziemie późniejszego

Śląska Górnego. Za panowania następcy Świętopelka, Gorazda w państwie wielkomorawskim rozpowszechnia się obrządek ła-ciński. Po przyłączeniu do Polski ziemia cieszyńska podlegała pierwszemu biskupowi Polski w Poznaniu. Bolesław Chrobry utworzył biskupstwo wrocławskie dla Śląska. Od 1-ej połowy XIII w. należał Śląsk Cieszyński niewątpliwie do diecezji wrocławskiej. W wieku XIV było już w Cieszyńskim 12 parafij, w połowie XV w. 50.

Wcześniej niż parafje zakładano na ziemi Cieszyńskiej klasz-tory. Największe znaczenie miał tu klasztor Benedyktynów, za-łożony pierwotnie (1211) w Cieszynie, później przeniesiony do Orłowej (1225). Klasztor ten był filją klasztoru tynieckiego (ad Kraków), nawet wtedy, kiedy politycznie kraj przestał być zależnym od Polski. W r. 1475 powstał w Cieszynie drugi klasztor, założony przez Franciszkanów.

Reformacja znalazła w Cieszyńskim grunt bardzo podatny. Jeszcze przed pojawieniem się Lutra znalazła tutaj nauka Husa licznych zwolenników. Luteranizm zaczął się szerzyć za rządów Pernsteina, magnata morawskiego, opiekuna małoletniego księcia ciesz. Waclawa. Kiedy Waclaw II obejmował rządy, większość kraju była protestancką. W r. 1610 przeszedł na katolicyzm ks. cieszyński Adam Waclaw. Pomimo to kraj pozostał nadal ewan-gelickim. Dalsze losy ewangelicyzmu w Cieszyńskim związane były ściśle z wynikiem wojny 30-letniej. Po zwycięstwie wojsk austriackich na Białej Górze zniewolono radę miejską w Cieszynie do przyjęcia katolicyzmu zaś księżnę Elżbietę Lukrecję do wydania statutu relig (1629), który niekatolikom odmawiał praw obywatelskich. Rozpoczęło się nawracanie na katolicyzm przy użyciu komisji religijnej, która zamknęła wszystkie kościoły ewan-gelickie. Dzieło kontrreformacji doprowadzić mieli do skutku Jezuici, sprowadzeni w tym celu do Cieszyna w r. 1671.

Uznanie dla wyznania ewangelickiego spowodował dopiero Karol XII, król szwedzki. W następstwie jednak, na mocy ugody altrensztańskiej i t. zw. recesu egzekucyjnego, pozwolono jedy-nie na budowę jednego kościoła ewangelickiego w Cieszynie. O faktycznem równouprawieniu mowy nie było.

Postępowanie wobec ewangelików nie uległo zmianie za rządów Marji Teresy. Dopiero Józef II wydał patent tolerancyj-ny przyznający ludności ewangelickiej prawo nabywania obywa-

telstwa i piastowania urzędów. Po ogłoszeniu patentu powstało 11 zborów ewangelickich.

Z rozkazu tego cesarza powstało 9 nowych parafii, katolickich obok istniejących już 5 archiprezbiterstw i 28 probostw.

Ostatecznie stosunki kościelne i wyznaniowe ukształtowały się w ten sposób, że obok większości katolickiej (75.7%) załhwała się poważna mniejszość ewangelicka (21.5%).

W r. 1910 było 78 parafii katolickich i 17 zborów ewangelickich.

Przy podziale Śląska w 1920 r. Czechosłowacji przypało 40 parafii katolickich i 7 zborów ewangelickich. Z parafii katolickich 20 posiadało większość czeską, 19 polską. Natomiast wszystkich 7 zborów ewangelickich posiadało większość polską. Kościół katolicki na Śląsku czeskim posiada pod względem narodowym charakter mieszany, kościół ewangelicki wykazuje charakter polski.

IV. SZKOLNICTWO.

Szkolnictwo w Cieszyńskim zawdzięcza swój początek duchowieństwu. Pierwsza historyczna wzmianka o szkole w Cieszynie pochodzi z r. 1331. Pod koniec wieków średnich podupadają szkoły w związku ze zmniejszeniem się ofiarności na rzecz duchowieństwa i rozwojem protestantyzmu. Rychło jednak ewangelicy zrozumieli znaczenie szkolnictwa dla celów propagandystycznych. Powstają po miastach i wsiach szkoły ewangelickie a później, za ich przykładem, katolickie. W wieku 16 i 17 był Śląsk dobrze uposażony w szkoły, lecz w w. 17 wielka ich część świeciła pustkami.

Celem zwalczania protestantyzmu założyli Jezuici w Cieszynie w r. 1671 szkołę średnią, której głównym celem było wyuczanie łaciny.

Wraz z założeniem kościoła Jezusowego powstała druga szkoła średnia, ewangelicka (1708). „Uczono w niej języków klasycznych, hebrajskiego, francuskiego, filozofji, matematyki, heraldyki, wymowy, poezji i muzyki, a dużą wagę przywiązano do nauki języka polskiego, jakkolwiek uczyli w niej przeważnie obcy” (Popiołek).

W 18 w. podupadło szkolnictwo. Na Śląsku Cieszyńskim uczęszczało do szkół 360 dzieci, czyli 1% ogółu dzieci zobowią-

zanych do pobierania nauki szkolnej. Obydwie szkoły średnie, zwłaszcza ewangelicka, podupadły.

Nowy okres nastaje za rządów Marji Teresy. W r. 1777 utworzono w Cieszynie szkołę główną, z językiem wykładowym niemieckim, połączoną z kursem preparandy, z którego później powstało seminarjum nauczycielskie. Była to pierwsza szkoła niemiecka w Księstwie Cieszyńskim. Szkołę średnią Jezuitów poddano pod nadzór państwowy. To samo stało się z łacińską szkołą ewangelicką, którą w r. 1813 przekształcono na gimnazjum teologiczne, obejmujące 6 klas oraz klasę przygotowawczą. Zakład stanął z czasem na wysokim poziomie i jako jedyny w całej Austrii zaczął ściągać nie tylko młodzież ze Śląska ciesz., lecz i z całej Austrii. Z początkiem 19 stulecia było w Cieszyńskim i Bielskiem 35 szkół katolickich i 8 ewangelickich.

Na sposób nowoczesny przekształcono szkolnictwo po roku 1848. W r. 1871 założono nowe, niemieckie gimnazjum w Bielsku. Cieszyńskie gimnazjum ewangelickie połączono (1873) wraz z katolickim w jeden zakład państwowy (niemiecki). W tym samym okresie czasu utworzono w Cieszynie i Bielsku średnie szkoły realne (niemieckie). W r. 1910 powstało niemieckie gimnazjum prywatne w Boguminie.

Ludność polska stanowiąca większość w kraju nie posiadała długi czas ani jednej szkoły średniej. Upośledzona na każdym kroku, zrozumiała nareszcie, że tylko drogą własnych, zbiorowych wysiłków potrafi coś osiągnąć na tem polu. Powstaje (1885) Macierz Szkolna, która po dziesięciu latach istnienia zakłada w Cieszynie pierwsze prywatne gimnazjum polskie na Śląsku. Jako jedyny średni zakład polski w Cieszyńskim przejęte zostało na etat państwa po dojściu do pełnej liczby klas. Dzięki wzrastającemu uświadomieniu narodowemu zrozumienie dla szkolnictwa polskiego, jakoteż ofiarność na jego cele wzrasta stale. W r. 1908 Macierz Szkolna powołuje do życia drugi zakład średni z językiem wykładowym polskim, polskie gimnazjum realne w Orłowej. W tej samej gminie powstaje również prywatne czeskie gimnazjum realne (1908).

Także szkolnictwo powszechne robi ogromny krok naprzód po wprowadzeniu w życie ustawy szkolnej z r. 1869. Liczba szkół wzrasta tak dalece, że posiada je każda niemal gmina, obok szkół ludowych powstają szkoły wydziałowe i zawodowe różnego

typu. Seminarja nauczycielskie powstają najpierw w Cieszynie i w Bielsku (niemieckie), wreszcie po usilnych zabiegach także polskie w Bobrku przy Cieszynie, czeskie w Polskiej Ostrawie.

Największą opieką otaczał rząd zawsze szkoły niemieckie. Taki system jednostronnego uprzywilejowania posiadał obok ujemnych także strony dodatnie, bo pobudzał społeczeństwo polskie do wytężonego współzawodnictwa z szkolnictwem niemieckiem i czeskiem, tak że wszystkie szkoły stały na wysokim poziomie.

Dane statystyczne wykazują pokrzywdzenie ludności polskiej, nawet po okresie wieloletnich walk o szkołę polską.

Interesującym rozdziałem historii szkolnictwa w Cieszynskiem jest kwestja języka wykładowego. Z najdawniejszych czasów zachowało się mało dokumentów, któreby stwierdzały, jakim językiem posługiwano się naonczas w szkole i kościele. Pierwszorzędną rolę odgrywała łacina. Jednakże język polski i język niemiecki w okolicach, gdzie wskutek kolonizacji przeważał żywioł niemiecki, były również w użyciu. Reformacja wprowadza w wielkiej mierze język polski w miejsce łaciny. Polski język wykładowy utrzymał się do czasów Marii Teresy i Józefa II, kiedy to w szkolnictwie ks. Cieszyńskiego zastosowano system germanizacyjny. Według nowych rozporządzeń szkoły średnie były wyłącznie niemieckie. Ponieważ zaprowadzenie języka niemieckiego w szkołach ludowych okazało się rzeczą niemożliwą, dlatego z pobudek politycznych, aby zerwać łączność z ludnością b. Galicji, przyjęto język czeski jako wykładowy. Lecz nakaz rządowy nie wszędzie był stosowany w praktyce, gdyż w wielu wypadkach nauczyciele nauczali w języku polskim. Rozporządzeniem z roku 1817 dopuszczono do szkół ewangelickich polski podręcznik nauki religji. Światlejsi nadzorcy szkół i nauczyciele spostrzegli wczesnie, że język czeski (morawski) częstokroć niezrozumiały dla dzieci, jest wielką przeszkodą w nauczaniu. Ks. Szersznik (1808), ks. Opolczyk, nauczyciele Wróbel, Kafka, a także miejscowe władze szkolne, powodując się słuszością i praktycznością, domagały się zaprowadzenia języka polskiego do szkół ludowych, lecz gubernjum w Bernie, do którego należał Śląsk Cieszyński obstało uporczywie przy języku czeskim, motywując stanowisko swe tem, że dla szczęściu powiatów, w których rozpowszechniony jest dialekt śląsko - polski, nie oplaci się drukować

osobnych książek. Dopiero wiosna ludów rok 1848 przyniósł zasadnicze zmiany.

Po licznych staraniach zgodziło się Ministerstwo Oświaty w Wiedniu, dekretem z dnia 2. 9. 1848 na zaprowadzenie książek polskich, zamiast morawskich w szkołach Ks. Cieszyńskiego. W ciągu lat najbliższych język polski wyrugował całkowicie dotychczasowy język wykładowy. Przy morawszczyźnie pozostał jedynie powiat frydecki, 5 gmin pow. cieszyńskiego i kilka gmin we Frysztackiem. W r. 1869 wyszła ustawa szkolna państwowa, która ustanowiła w całej Austrii szkołę ludową z językiem ojczystym dzieci. Na podstawie tej ustawy zmieniono dotychczasowe szkoły polsko - niemieckie na polskie. Lecz już w r. 1875 wydała Rada Szkolna krajowa w Opawie „Postanowienia o nauce języka niemieckiego, zatwierdzone przez Ministerstwo oświaty, które praktycznie przygotowały utrakwizację szkolnictwa. Całkowitą utrakwizację udaremniły trudności techniczne, gdyż była ona możliwą jedynie w szkołach najlepiej zorganizowanych (6 kl.), popieranym wskutek tego przez władzę; szkoły wiejskie o polskim języku wykładowym pozostały na dotychczasowym stopniu rozwoju. Taki stan zastała wojna światowa i przewrót w r. 1918.

V. POZIOM KULTURALNY.

Następstwem dobrze zorganizowanego szkolnictwa jest wysoki poziom oświaty w Ks. Cieszyńskim. Oświata stoi wyżej u polskiego ludu (cieszyńskiego), aniżeli czeskiego (frydeckiego). W czasie od r. 1880 do 1910 spadła ilość analfabetów z 15.7% na 5.5%, przyczem przeważną ich część stanowią imigranci z Galicji. Pod tym względem zajmował więc Śląsk Cieszyński jedno z pierwszych miejsc na ziemiach polskich.

Na polu literatury Ks. Cieszyńskie pozostaje w tyle poza innymi ziemiami Polski. I nie dziw: Wszak polski ruch literacki zaczyna się tu dopiero około XIX stulecia. Przedtem pisano głównie po niemiecku. Najczęściej produkowali Niemcy na polu historji. Za ich przykładem poszli Czesi, którzy wydali poetę zajmującego wybitne miejsce w literaturze czeskiej, Piotra Bezruca, nieprzejednanego wroga Polaków śląskich.

Najmłodszym jest ruch literacki polski. Do najważniejszych polskich pisarzy śląskich należą, Jan Śliwka (pierwsze podręczniki polskie dla szkół ewangelickich), Andrzej Cienciała (przy-

słowa, pieśni ludu śląskiego), historykowie ks. Józef Londzin, Franciszek Popiołek, ks. Zawisza Oskar, ks. Emanuel Grim, ks. Karol Michejda, i Jarosz Mieczysław, poeta Jan Kubisz, autor pieśni „nad Olzą”, jednej z najpopularniejszych na Śląsku, Cieszyńskim, Ernest Farnik (dramat ludowy „Iste roki”), Jan Szusćik (utwór ludowy „Pańszczorze”, czyli wesele śląskie), Łysek Paweł (sztuka p. t. „Śpiący rycerze”), Dr. Jan Buzek, obecnie senator (Studja nad administracją wychowania publicznego”), („Polityka polska w zaborze pruskim”), Dr. Jan Bystroń („Z Cieszyńskiego”, „O umowie polskiej w dorzeczu Stonawki i Łucyny”), Dr. Roman Dyboski i t. d.

W dziedzinie sztuki ślązak Jan Raszka należy do najwybitniejszych rzeźbiarzy polskich. W czasach najnowszych znakomitszych reprezentantów posiada także malarstwo śląskie (Wałach, Fierla, Ciompa i i.).

W ostatnich czasach coraz mocniej przejawia się łączność kulturalna Ślązaków z resztą narodu Polskiego, sztucznie zerwana przed kilku wiekami.

VI. POLACY W CZECHOSŁOWACJI.

(stan obecny)

a) ŚLĄSK CIESZYŃSKI.

Spis ludności. W lutym 1921 r. sporządzono w Czechosłowacji spis ludności. Sposób przeprowadzenia spisu na Śląsku Cieszyńskim przemawia przeciwko jego bezstronności. Komisarzami mianowano wyłącznie Czechów, ludność polską nie dopuszczono do współdziałania. Polskie pouczenia o spisie ludności władze konfiskowały. Arkusze spisowe w miastach i większych gminach rozdawano, ale komisarze kwestjonowali zapisanie narodowości polskiej i często zmuszali, zwłaszcza nieświadomych, do zmiany określenia narodowości. W gminach wiejskich arkusze wypełniał sam komisarz, nakłaniając zazwyczaj, aby dano zapisać narodowość czechosłowacką. Wielu Polaków, którzy w arkuszach wypisali narodowość polską otrzymali po dokonaniu spisu zawiadomienie od powiatowej władzy politycznej, że stwierdzono ich pochodzenie czeskie wskutek czego podaną narodowość polską urzędowo poprawiono na czeską. W pouczeniach urzędowych zaznaczono, że określenie narodowości na podstawie geograficznej nazwy kraju, jest niedopuszczalne, w praktyce jednak, o ile nie

dało się nakłonić do podania narodowości czeskiej, zachęcono do definiowania swojej narodowości jako śląskiej. Ponieważ jeszcze z czasów austriackich przechowały się resztki separatystów śląskich t. zw. Ślązakowców, część ich dla zadokumentowania swojej lojalności wobec państwa podała się za Ślązaków. Jakiś czas wzbudzało ogólne zaciekawienie, co zrobił główny urząd statystyczny z owymi „Ślązakami”, ponieważ w oficjalnem zestawieniu wyników spisu narodowość ta nie figurowała. Otóż z enuncjacji praskiej gazety czeskiej „Parlament” dowiedzieliśmy się, że „Ślązaków” wciągnięto w czambuł w rubrykę Czechosłowaków, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy polska narodowość wynikała z określenia (Śląsk polski, Polak śląski).

Skutkiem takiego spisu w Cieszyńskim nic dziwnego, że należy on do tendencyjnych. Na innym miejscu wykazaliśmy, że najniekorzystniejszym dla Polaków na Śląsku i najbardziej tendencyjnym był austriacki spis ludności z r. 1910, który wykazał, że Polaków było tylko 141.345. Czeski spis pobija rekord, bo redukuje tę uszczuploną liczbę jeszcze o połowę (na 69.360).

W czterech polskich powiatach cieszyńskiego było:

w powiecie cieszyńskim	Polaków	. .	1.910	1.921
			31.398	14.977
	Czechów	. .	4.933	18.115
	Niemców	. .	6.717	5.278
w powiecie frysztackim	Polaków	. .	51.867	29.130
	Czechów	. .	17.704	38.706
	Niemców	. .	5.277	4.373
w pow. jabłonkowskim	Polaków	. .	24.869	18.950
	Czechów	. .	152	5.444
	Niemców	. .	896	769
w powiecie bogumińskim	Polaków	. .	18.118	4.977
	Czechów	. .	10.335	26.291
	Niemców	. .	9.808	7.840
R a z e m	Polaków	. .	126.252	68.034
	Czechów	. .	33.114	88.556
	Niemców	. .	22.698	18.260

Proste przeciwstawienie tych wyników starczy za wszelkie komentarze; wymowa cyfr jest tu aż nadto dobitna.

Osobną kategorię ludności w spisie, nie figurującą w rubryce narodowości, stanowią obcokrajowcy. Na terenie przytoczonych czterech powiatów naliczono ich 26.568, z tego w samym powiecie frysztackim 12.167. Są to w ogromnej większości (przeszło $\frac{3}{4}$) Polacy, tak Ślązacy, jak i przybysze z b. Galicji, lub ich potomkowie, którzy nie uzyskali przynależności do jednej z gmin, położonych na obszarze czeskosłowackiej części Ks. Cieszyńskiego, albo którym władze miejscowe ze względów narodowych przyznania obywatelstwa czeskiego bez jakichkolwiek podstaw prawnych odmówiły. Chcąc więc wyrobić sobie pojęcie o prawdziwej liczebności mniejszości polskiej w Czechosłowacji, trzeba uwzględnić także tych, t. zw. obcokrajowców.

Administracja. Po objęciu rządów w Cieszyńskim przez władze czeskie zniesiono legalnie obrane wydziały gminne, a na ich miejsce mianowano komisje administracyjne, złożone przeważnie z Czechów i czechofilów. Zdarzały się wypadki, że jeżeli odpowiedniego kandydata czeskiego na miejscu nie było mianowano pozamiejscowego nawet z głębi Czechosłowacji.

Komisje administracyjne zaprowadziły urządowanie czeskie, pousuwały ze stanowisk niedogodnych Polaków, nadawały posady gminne wyłącznie Czechom, budowały na koszt gminny gmachy, w wielu wypadkach (Frysztat, Karwina etc.) prawdziwe pałace dla szkół czeskich.

Taki stan trwał *trzy lata*. Dopiero w dniu 13. 8. 1923 r. rozpisano dawno oczekiwane wybory do rad gminnych. Polacy odrazu zabrali się do pracy przygotowawczej. Zniknęły niesnaski partyjne, ludność polska na całym terenie jednoczyła się i stawiała wszędzie wspólne listy zwane zwykle „Listami zjednoczonych stronnictw polskich”. Agitacja przedwyborcza polska odbywała się w ciężkich warunkach. Za czeskimi listami agitować można było swobodnie, przyczem nacisk z góry wywierały czynniki samorządowe, urzędy państwowe i zakłady przemysłowe.

Jeżeli zważymy warunki, wśród jakich odbyły się wybory, to zestawiając ich wyniki, mówić możemy o wielkim sukcesie polskim.

Wybory dały Polakom:

	głosów %	mandatów %
w powiecie sądowym bogumińskim . . .	17.1	23.9
„ „ frysztackim . . .	50.9	54.8
„ „ cz. cieszyńskim . . .	44.4	52.6
„ „ jabłonkowskim . . .	74.5	76.8

Gdyby czeski spis ludności z r. 1921 odpowiadał faktycznemu stanowi rzeczy, to musiałby dać znacznie lepszy wynik, aniżeli wybory, bo dokonano go zaledwie rok po objęciu rządów, podczas gdy wybory odbywają się w dwa lata później, a więc po dalszym osłabieniu polskiego żywiołu. Tymczasem, z zestawienia wyników spisu a rezultatami wyborów wynika nadspodziewana korekta spisu na korzyść polską.

I tak w powiecie sądowym *bogumińskim* naliczono w r. 1921 tylko 12.3% Polaków, zaś Czechów 56.9% i nie wykazano ani jednej gminy o większości polskiej. Przy wyborach osiągają Polacy 22.9% ogółu mandatów, w powiecie osiągają większość w 1 gminie (Wierzniewice 54.8%, spis 29.9%), oprócz tego poważną mniejszość w kilku innych gminach (Lutynia Polska, 41.5%, spis 27.4%, Lutynia Niemiecka 41.2%, spis 16.8%, Skrzeczów 43.3%, spis 24.1%, Zabłocie 34.1%, spis 7%.

W powiecie sądowym *frysztackim* wykazuje spis czeski 40% Polaków, konstatując absolutną większość polską w 10 gminach (na ogólną liczbę 20 gmin). Wybory dają Polakom 54.8% ogółu mandatów i większość w 11 gminach.

Niebywałą korektą spisu ludności z r. 1921 stanowią wybory w powiecie sądowym *cieszyńskim* cz.; według tego spisu odsetek Polaków wynosi tutaj 38.1%, gmin o większości polskiej 10 na ogólną ilość 36. Wybory gminne przynoszą: mandatów polskich 52.6% większość polską w 23 gminach, większość czeską w 8 gminach (odsetek gmin o większości polskiej 70.6%. Tak się przedstawia w świetle wyborów „czeski” powiat cieszyński.

Stosunkowo najlepiej wypadł dla Polaków spis ludności w r. 1921 w pow. sądowym *jabłonkowskim*, bo podaje odsetek ludności polskiej na 75.1%. To też wybory w tym powiecie zasadniczej zmiany nie zaprowadzają (78.8% narodowości polskiej). Wszystkie gminy osiągają większość polską, nawet sam Jabłonków, rządzony przed wojną przez Niemców.

Porównując geograficzne rozmieszczenie gmin „czeskich” według spisu ludności z 1921 r., a polskich na podstawie wyniku wyborów, dochodzimy do wniosku, że odnośne czynniki pragnęły sztucznie skonstruować dwa pasy gmin o większości czeskiej, jeden na północy, łączący czeską wysepkę Dzieśmorowice z czeską częścią zagłębia wraz z pow. miastem Frysztatem, drugi w środku kraju, według kolei Frydek - Cieszyn, stwarzający sztuczny pomost pomiędzy Cieszynem a czeskim Frydkiem.

Wybory stwierdzają jasno, że północny pas jest problematycznym, południowy wcale nie istnieje.

We wszystkich 4 powiatach odsetek mandatów polskich wynosi 54%. Chcąc sobie stworzyć na tej podstawie prawdziwy obraz liczebności żywiołu polskiego w czeskiej części cieszyńskiego, pamiętać należy, że

1. pod wpływem presji pewna część ludności polskiej oddała głosy na listy czeskie;
2. że Polacy nie stawili list kandydatów w powiatach sądowych polsko - ostrawskich (1910: 23.7% Polaków), frydenckim i w 5 gminach powiatu cieszyńskiego;
3. że w wyborach brali udział tylko obywatele czeskosłowaccy.

Mnożąc liczbę otrzymanych głosów polskich przez dzielnik 2.23 i doliczając 2.500 polskich wyborców, którzy nie głosowali z powodu niewpisania ich do list wyborczych, otrzymujemy liczbę 92.850 uświadomionych Polaków, obywateli czeskich. Przyjmując, że z 26.586 obywateli państw obcych jest Polaków 18.250 dochodzimy do wniosku, że na podstawie wyników wyborów z r. 1923 Polaków w przytoczonych czterech powiatach było w tym czasie przeszło 110.000.

Lecz pomimo przeprowadzenia wyborów w wielkiej części gmin urzędowali nadal czescy komisarze rządowi, gdyż Czesi we wszystkich większych gminach zagłębia ostrawsko - karwińskiego, gdzie Polacy odnieśli sukcesy, pownosili rekursy przeciw wyborom. Czesko słowacka ustawa wyborcza do gmin przewiduje, że rekursy takie mają być załatwione w przeciągu 3 miesięcy. Tymczasem w rok po wyborach 12 gmin w Cieszyńskim podlegało jeszcze rządowi czeskich komisarzy. Praktyka polegała na tem, aby oddanie władzy w ręce prawowitych przedstawicieli ludności odwlec do tego czasu, póki wybór czeskiego burmistrza będzie zapewnio-

ny. Prawdziwą martyrologją przeszła gmina Karwina, największa gmina polska w Czechosłowacji. Połączone stronnictwa polskie uzyskały tu 18 mandatów, komuniści polscy 5, razem Polacy 23, Czesi 8 mandatów, Niemcy 5. Czesi wnieśli rekurs, który załatwiano 2 lata, w międzyczasie gmina narażona była na stronnice rządu komisarza i jego doradcy prawnego. Kiedy już przypuszczano, że Karwiniacy ukorzą się przed władcami, rozpisano w r. 1925 nowe wybory. I tym razem Czesi nie zdobyli większości. Otrzymali 12 mandatów na ogólną liczbę 42, Polacy 25. (11 stronnictwa prawicowe, 5 socj. polscy, 9 komuniści) Niemcy 5. I znowu wniesiono rekurs, znowu dalsze rządy komisarza aż do 22. I. 1927. W tym dniu po ostatecznym załatwieniu rekursu czeskiego odbywają się wybory burmistrza.

Przechodzi Polak jako burmistrz, Polak jako 1 wiceburmistrz i polski komunista, jako 2 wiceburmistrz. Konsekwencja: nowy rekurs ze strony czeskiej, pomimo, że sam starosta powiatowy asystuje przy wyborach i konstataje ich legalność. W następstwie wszystko zostaje po staremu i mianowany komisarz i komisja administracyjna.

Urzędy. Lecz nie są to niestety odosobnione wypadki, gdyż z podobnym systemem spotykamy się na Śląsku czesł. częściej. Czeskosłowacka ustawa zasadnicza przyznaje mniejszościom narodowym całkowite równouprawnienie z narodem panującym. We wszystkich powiatach, gdzie dana mniejszość stanowi ponad 20% ogółu ludności, ma się także urządować w języku tej mniejszości. Postanowienia tego nie stosuje się w Cieszyńskim w odniesieniu do mniejszości polskiej, gdyż niema tu urzędników Polaków, tych co ostali się jeszcze z czasów austriackich, albo przeniesiono w inne strony, albo zmuszono do ustąpienia.

Także w sądownictwie pousuwano wszystkich urzędników Polaków. Rozprawy odbywają się w języku czeskim, protokoły sporządza się w tym języku. Koncesje przemysłowe otrzymują tylko Czesi, albo ci, którzy się im zaprzędają. Kolejne na Śląsku cieszyńskim, zwłaszcza koszycko - bogumińska, upaństwowione, są jednym z doskonałych narzędzi czechizacyjnych; kolejarze nie posyłający dzieci do szkół czeskich narażeni są na utratę posesy, albo na przeniesienie w głąb Czech. W Komisji Krajowej w Opawie ludność polska nie posiada ani jednego przedstawiciela.

Szkołnictwo. Największe krzywdy spotykały ludność polską

na polu szkolnictwa. Na wniosek komisyj zawiadowczych przystąpiono w wielu gminach, zaraz po rozstrzygnięciu z początkiem roku szkolnego 1920/21 do likwidacji szkolnictwa polskiego. W ten sposób zamknięto jeszcze w r. 1920 — 17 szkół polskich z 84 klasami, do których uczęszczało 4.135 dzieci polskich.

O szkołę polską ludność śląska staczała formalną walkę. W Dąbrowie bojówka czeska trzykrotnie uniemożliwiła wpisy do szkoły polskiej, tak że po raz czwarty odbyć się musiały w odległym o 6 klm. Frysztacie. Szkoły czeskie dzięki pomocy komisyj zawiadowczych pozakładano z biegiem czasu we wszystkich niemal, nawet czysto - polskich gminach Śląska Cieszyńskiego, przyczem aż do wybudowania osobnych budynków umieszczało się je w szkołach polskich, którym odbierano potrzebną na ten cel ilość klas.

Według czeskosłowackiej ustawy szkolnej z dnia 3. 4. 1919, uzupełnionej ustawą z dnia 9. 4. 1920 r., wszędzie tam, gdzie zgłosi się 40 dzieci, ma być utworzona publiczna szkoła ludowa, zaś tam, gdzie do szkoły ludowej uczęszcza 400 dzieci, zamieszkałych na terenie 4 km. w promieniu, powstać ma szkoła wydziałowa. Ustawy tej nie respektuje się w praktyce tak, że społeczeństwo polskie utrzymuje cały szereg szkół prywatnych, gdyż w przeciwnym razie z braku szkół polskich dzieci polskie zmuszone byłyby uczęszczać do szkół czeskich.

Wskutek takich stosunków dzieci w szkołach polskich od kilku lat ubywa. Ubytek liczbowy wynika z następującego zestawienia.

Dzieci w szkołach polskich:

rok szkolny	1922/23	—	18.307
„	„		1923/24 — 16.284
„	„		1924/25 — 13.816
„	„		1925/26 — 12.300

w roku szkolnym 1926/27 dalszy ubytek o 11—12%.

Obecny stan liczbowy szkolnictwa polskiego przedstawia się następująco:

a) *Szkolnictwo publiczne:*

Szkół ludowych	78,	nauczycieli	324
„ wydziałowych	2,	„	17

paralelki polskie przy czeskiem państw seminarjum naucz. w Śl. Ostrawie.

b) *Szkołnictwo prywatne:*

- 11 szkół ludowych
- 6 wydziałowych
- 1 gimnazjum realne
- 20 ochronek

utrzymanych przez „Macierz Szkolną”, która ponadto subwencjonuje 10 uzupełniających szkół przemysłowych publicznych.

Poziom naukowy szkół polskich jest naogół wysoki.

Jeżeli liczba polskich szkół, zwłaszcza wydziałowych wzrosła, to przypisać to należy w pierwszym rzędzie wysiłkom i ofiarności miejscowego polskiego społeczeństwa.

Stosunki kościelne. Objęcie rządów przez państwo czesko-słowackie zaznaczyło się także na polu kościelnym. Kilka kościołów katolickich zamieniono na kościoły obrządku czesko-słowackiego. Opróżnione probostwa nawet w tak polskich gminach jak Jabłonków, Piotrowice, Karwina, obsadza się księżmi czeskimi. Kościół stał się w wielu wypadkach narzędziem polityki, kiedy dochodziło do tego (Niem. Lutynia), że ksiądz modlił się po czesku, a ludność odpowiadała po polsku, albo odchodził ostentacyjnie od ołtarza z chwilą kiedy rozległ się śpiew polski (Rychwałd).

Z wielkimi przeszkodami w zorganizowaniu się w samodzielną jednostkę spotykał się także polski kościół ewangelicki na Śląsku Cieszyńskim. Sprawa zatwierdzenia statutu tego kościoła przeciąga się dotychczas; głównym szkopułem był tu paragraf językowy statutu, ustanawiający język polski jako urzędowy. Obecnie po zmodyfikowaniu tego paragrafu po myśli żądań władz — sprawa zatwierdzenia powinna się znajdować na drodze realizacji.

Stosunki polityczne. Przedstawione położenie ludności polskiej uległo formalnie przynajmniej pewnej zmianie na lepsze z chwilą podpisania w Warszawie w dniu 23. VI. 1925 traktatu polsko-czeskosłowackiego. Część III. tego traktatu (mianowicie art. 11—12) zabezpieczają prawa mniejszości polskiej w Czechosłowacji na przeciąg lat 12, t. j. do r. 1937. Trzeba jednak zaznaczyć, że nie wszystkie postanowienia umowy są stosowane w praktyce, zwłaszcza że czynniki miejscowe czeskie ignorują częstokroć zarządzenia władz wyższych.

Ważnym wypadkiem w życiu mniejszości polskiej w Cze-

chosłowacji były wybory do sejmu praskiego, które się odbyły w roku 1925.

Na obszarze powiatów politycznych frysztackiego i cieszyńskiego oddano ogółem 84.152 głosów z tej liczby uzyskały:

wszystkie czeskie stronnictwa razem	29.567	gł.
polski związek ludowo robotniczy	29.084	„
komuniści	23.725	„
Niemcy	10.322	„
Żydzi	1.490	„

Według zgodnych obliczeń przygniatającą większość pośród komunistów stanowili Polacy (do 20.000). Na podstawie wyborów weszło w skład sejmu praskiego dwu posłów narodowości polskiej: Dr. Leon Wolf, kand. związku ludowo - robotniczego i Karol Śliwka, polski komunista.

To, co zadziwiało całą opinię polską, było, że na D-ra Wolfa głosowała cała uświadomiona ludność polska od socjalistów polskich do śląskich katolików włącznie. Nie jest to zjawisko odosobnione w życiu mniejszości polskiej w Czechosłowacji, bo już przy wyborach gminnych z r. 1923 połączone stronnictwa polskie głosowały na wspólne listy. Solidarność narodowa Polaków w Czechosłowacji, która przejawia się jednak przedewszystkiem na polu pracy kulturalno - oświatowej, jest dowodem wielkiego uświadomienia narodowego i wysokiego poziomu obywatelskiego tamt. Polonji.

Stronnictwa polityczne. Ludność polska na Śląsku Cieszyńskim zrzeszona jest w 4 stronnictwach: 1) w Związku śląskich katolików, 2) w polskiej socjalistycznej partji robotniczej, 3) w stronnictwie ludowym, i 4) w śląskiej partji ludowej. Wielka część ludności polskiej należy do obozu komunistycznego. Co do liczebności, to pośród ludności wiejskiej wiedzie dotychczas prym Związek śląskich katolików; pośród polskich rzesz robotniczych Polska Socjalistyczna Partja Robotnicza i partja komunistów. Przy ocenie tego faktu pamiętać należy, że komuniści są w Czechosłowacji stronnictwem legalnem; ludność polską, niezadowoloną z ucisku politycznego i społecznego, pozyskali swoim nieprzejednanem stanowiskiem opozycyjnem wobec rządu, a także akcentowaniem praw mniejszości polskiej. W interesie polsko-

ści leży, aby P. S. P. R. wzmocniła swoje wpływy. Polskie Stronnictwo Ludowe posiada program narodowy, należy do niego wielka część ludności ewangelickiej. Śląska Partja Ludowa miała przed wojną charakter germanofilski, zdecydowanie antypolski, podczas plebiscytu schylała się raczej na stronę czeską. Pod wpływem jednak wynaradawiającej polityki czeskiej zawrócili z tej drogi (1922 i 1923) i przystąpili do bloku stronnictw polskich. Tylko mniejsza część oddała się całkowicie na usługi Czechów.

Zycie organizacyjne Polaków na Śląsku czeskim. Czołową instytucją Polaków Śląska Cieszyńskiego jest „Macierz Szkolna”, utrzymująca prywatne szkolnictwo polskie. „Macierz” cieszy się poparciem całego społeczeństwa polskiego. Liczy 75 kół miejscowych i 6.200 członków. Z innych towarzystw zasługuje na wzmiankę: Polskie towarzystwo gimnastyczne „Sokół”, stowarzyszenie gimnastyczno - oświatowe polskich rolników i robotników „Siła”, harcerstwo, Rodzina Opiekuńcza.

Na polu gospodarczym pracują: Centralne stowarzyszenie spożywcze dla Śląska w Łazach, jedna z największych kooperatyw w Czechosłowacji (92 filij, okrągło 20.000 członków), Stowarzyszenie robotników i robotnic Stonawa (12 filij), Stowarzyszenie „Postęp” w Karwinie, Spółka rolniczo - handlowa „Ziemia” w Cz. Cieszynie, Towarzystwo oszczędności i zaliczek w Cz. Cieszynie (7 filij), Bank Rolniczy we Frysztacie, kółka rolnicze, Kasy Reiffeisena i in.

b) *M o r a w y.* Ludność polska na Morawach skupia się w samym północno - wschodnim zakątku, w najbardziej na zachód położonej części zagłębia ostrawsko - karwińskiego, oraz przyległych przemysłowych gminach. W odróżnieniu od polskiej ludności Śląska, która w przygniatającej większości jest pochodzenia miejscowego i zamieszkuje własny obszar etnograficzny, ludność polska Moraw jest ludnością napływową. Pochodzi głównie z Małopolski zachodniej. Główne skupienie polskie znajduje się w Mor. Ostrawie, w Przywozie, Witkowicach i Mar. Górach, a więc na terenie nowostworzonej Wielkiej Ostrawy. Tutaj znajdowali imigranci polscy zatrudnienie przede wszystkim w hutach i fabrykach witkowickich, które opierały swój byt o robotników polskich. Polaków z pochodzenia jest na Morawach około 30.000, lecz czechizacja postępowała tu znacznie silniej niż

na Śląsku, tak, że uświadomionych Polaków jest zaledwie $\frac{1}{3}$ tej liczby. Przyczyny tego zjawiska szukać należy w analfabetyzmie i większej zależności ekonomicznej imigranta galicyjskiego.

Szkoły polskie istnieją na Morawach w Mor. Ostrawie (ludowa i wydziałowa), w Mar. Górach, w Przywozie i Witkowicach. W tych miejscowościach, oraz w Zabrzegu czynne są miejscowe koła polskiego Związku Szkolnego na Morawach, instytucji o celach i zadaniach pokrewnych Macierzy Szkolnej w Cieszynie, która się również opiekuje szkolnictwem polskim na Morawach.

c) *Spisz, Orawa, Czadeckie*. Jeśli mowa o Polakach w Czechosłowacji, to rozumiemy zwykle pod tą nazwą Polaków z Ks. Cieszyńskiego, rzadziej także ludność polską Moraw.

Jednak poza temi terenami istnieją jeszcze w Republice Czechosłowackiej poważniejsze skupienia Polaków w trzech niezwiązanych z sobą terytorjalnie zakątkach Słowaczyny: na Spiszu, na Orawie i w Czadeckiem.

O ziemiach tych zapomniano dlatego, ponieważ tamtejszy lud polski nie posiada uświadomienia narodowego i w czeskiej oficjalnej statystyce figuruje jako Słowacy. Wszakże nie należy nigdy zapominać, że chodzi tutaj o lud, który pomimo wielowiekowej rozłąki od Polski, pomimo braku tradycji historycznych, kulturalnych, któreby go wiązały z resztą narodu polskiego, dotychczas przechował skarb najcenniejszy: język polski. Historia odrodzenia narodowego na Śląsku wykazuje, że ludności polskiej na Słowaczynie nie można jeszcze uważać za straconej dla polskości, tembardziej, że zamieszkuje ona szereg wiosek, graniczących z Polską, zwartą masą i siedzi na własnym obszarze etnograficznym i bynajmniej nie jest wysepką w obcym morzu.

Największe skupienia ludności polskiej na Słowaczynie posiada Spisz. Do polskiego obszaru etnograficznego należą tutaj wioski: Jaworzyna, Żdziar, Szwaby, Wyżnie i Niżnie, Stara Wieś, Maciaszowce, Haunszowce, Frankowa, Frankówka, Jezierska, Hagi, Haligowce, Rychwałd, Słowiańska Wieś, Wyborna, Kryg, Lendak, Jurskie, Krzyżowa Wieś, Kołaczków, Drużbaki Wyżnie i Niżnie, Lackowa, Forbasy, Lubowla Stara i Nowa, Sadek, Granastów, Pilchów, Mniszek, Gibel, Relów, Hawki, Lechnica, Leśnica. Wyspę polską stanowi Sławków. Na tym terenie mieszka 20—25 tysięcy ludności polskiej, nie posia-

dającej z wyjątkiem miasta Lubowli, poczucia polskości, ale nie pozbawionej świadomości, że nie mówi po słowacku.

Na *Orawie* obejmuje polski obszar etnograficzny miejscowości: Herducka, Nowoć, Benedyków, Wesołe, Rabcza, Rabczyca, Mutne, Sihelna, Połhora, skupiające razem około 12—15 tysięcy ludności, mówiącej po polsku, a uświadomionej w duchu słowackim.

Także *Czadeckie* uważa się za obszar polski pod względem językowym. Jest to kompleks 13 wsi położonych na południe od Jabłonkowskiego. Ponieważ południowa granica Ks. Cieszyńskiego przebiegała pierwotnie dalej na południe, wchodziło czadeckie czas jakiś w skład Ks. Cieszyńskiego. Ludność tego górskiego kraiku jest, przynajmniej we wschodniej części kraju, pochodzenia polskiego i przybyła tutaj z Podhala w XVI w.

Na podstawie badań językowych, przeprowadzonych na miejscu, uważam jednak, że polskim jest obecnie tylko obszar trzech miejscowości, położonych na północnym wschodzie (osady: Skalista, Czarne, Świerczynowice, razem 6—7 tys. mieszkańców). Reszta kraju, mianowicie wsi położone na zachód od doliny Kisucy (Rakowa, Staszów, Oleśna, Podwysokie, Turzewka, Wysoka, Maków, liczące razem 21—25 tys. mówi narzeczem przechodniem polsko - słowackim, przyczem jest świadoma tego, że nie posługuje się mową słowacką. Południowe osady 1) Zakopcze, Horzelica i Oszczadnica leżą prawdopodobnie także na obszarze gwary przechodniej. Ludność Czadeckiego (34—40 tysięcy) nie posiada uświadomienia narodowego.

* * *

(C. d. n.)

Konwencja polsko-niemiecka w sprawie polskich robotników rolnych.

Należyte unormowanie sprawy naszego wychodźstwa do Niemiec było od czasu ukończenia wojny światowej koniecznością społeczną i państwową. Liczne rzesze naszych robotników rolnych, z różnych części Polski, od dawna już przed wojną udawały się do Niemiec na zarobki. Przeważnie, choć nie wyłącznie, byli to robotnicy sezonowi. Prócz tego przed wielką wojną było z rodzinami w Westfalji i Nadrenji przeszło 400.000 górników i robotników przemysłowych pracujących tam stale, a pochodzących z zaboru pruskiego.

Po wojnie prawie trzy czwarte z tej liczby opuściło te prowincje pruskie, udając się przeważnie do Francji, częściowo zaś do Belgji, Holandji i Polski. W Westfalji i Nadrenji pozostało obecnie około 100.000 górników i robotników przemysłowych wraz z rodzinami.

W czasie wojny, od chwili okupacji niemieckiej na terenie dawnego Królestwa Polskiego, pewna część robotników polskich ściągnięta została do Niemiec. Byli to przeważnie robotnicy rolni.

Obecnie wychodźstwo polskie do Niemiec jest wychodźstwem sezonowym i rolniczym zarazem. Dlatego też zawarta obecnie konwencja polsko - niemiecka w sprawach emigracyjnych dotyczy tylko robotników rolnych. Pomimo takiego zacieśnienia sprawy naszego wychodźstwa li tylko do robotników rolnych, zawarcie konwencji nie było rzeczą łatwą, gdyż chodziło tu o unormowanie nietylko sprawy tych robotników, którzy rok rocznie udawać się mają do Niemiec w początkach wiosny i którzy w końcu roku wracają do Polski, lecz także i tych, którzy z tych czy innych względów zasiedzieli się w Niemczech i nie są obywatelami niemieckimi.

Tendencją rządu niemieckiego było dążenie do tego, aby

te kilkadziesiąt tysięcy robotników polskich, którzy od dłuższego czasu są w Niemczech, możliwie szybko, w ciągu lat kilku, wyprowadzić do Polski; tendencją naszego rządu było, aby ze względu na znaczną jeszcze ilość bezrobotnych w kraju naszym — powrót tych robotników z Niemiec do Polski odbywał się stopniowo w ciągu dłuższego czasu, aby nie zwiększyli oni znacznie w czasie krótkim liczby bezrobotnych.

Zawarta świeżo konwencja wszystkie te sprawy załatwiła w sposób kompromisowy, przez co zakończyła okres niepewności dla licznych rzesz robotników polskich w Niemczech. Sprawę zaś wychodźstwa sezonowego ujęła w sposób możliwie korzystny dla naszych robotników rolnych. Określa ona w sposób bardzo szczegółowy: mechanizm rekrutacji robotników w Polsce, sprawę ich przejazdu do Niemiec i powrotu z Niemiec, wreszcie warunki pracy i płacy w Niemczech.

Ważną okolicznością, umożliwiającą zawarcie tak szczegółowej konwencji, była ta okoliczność, że w roku ubiegłym zawarto umowę prowizoryczną na jeden rok. Doświadczenie zdobyte przez to umożliwiło zawarcie tej konwencji.

Rekrutacją i zakontraktowaniem sezonowych robotników polskich, ze strony naszej, zajmują się Państwowe Urzędy Pośrednictwa Pracy, ze strony zaś niemieckiej powołane do tego czynniki (Art. I). Przez te ostatnie rozumieć należy przede wszystkim Arbeiterzentrale, będącą instytucją społeczną, działającą jednak w porozumieniu z rządem niemieckim i pod jego kontrolą.

Kontraktowanie sezonowych robotników polskich, udających się do pracy na roli, odbywa się na podstawie ściśle określonych umów o pracy. Układające się strony, to znaczy oba rządy, zawierają w sprawach technicznego wykonania przepisów, dotyczących rekrutacji i kontraktowania robotników polskich do Niemiec, odrębne porozumienie, które może być zmienione.

Oba układające się rządy godzą się na to, że polscy robotnicy rolni, którzy przybyli do Niemiec przed 1 stycznia 1919 roku i tam pozostali, mają prawo pozostania w Niemczech w charakterze robotników rolnych i otrzymania zaświadczenia uprawniającego do wykonywania tej pracy. Natomiast polskich robotników rolnych, którzy przybyli pomiędzy 1 stycznia 1919 r. a 31 grudnia 1925 roku — włącza się do ruchu sezonowego, a powrót

ich do kraju odbywać się będzie na podstawie następujących zasad:

1. Włączanie ich do powracających rok rocznie do Polski robotników powinno dokonywać się stopniowo, w możliwie równych kwotach rocznych i równocześnie z poszczególnych obwodów niemieckich, w których robotnicy byli zatrudnieni.

2. Wyjęte będą z liczby włączanych do powracających do Polski robotników te jednostki, dla których wyjazd taki byłby połączony ze szczególnymi trudnościami. W sprawie technicznego przeprowadzenia porozumienia w tych punktach rządu zawierają oddzielną umowę.

Te rozróżnienia odrębnych grup polskich robotników rolnych, przebywających w Niemczech na podstawie dłuższego albo krótszego ich pobytu w Niemczech, mają znaczenie głębsze, a nie tylko formalne.

Istotnie, ci wszyscy, którzy wyjechali do Niemiec przed 1 stycznia 1919 roku i nie wrócili do kraju, albo też wylegitymowali się jako obywatele naszego Państwa, mogą być uważani słusznie przez rząd nasz i społeczeństwo za żywioł w stopniu znacznym dla Polski stracony. Należą do nich albo ludzie zupełnie obojętni w stosunku do niej, albo też tacy, którzy związani są bardzo ściśle bądź to przez stosunki rodzinne, bądź też przez warunki materialne z Niemcami i dla których powrót do kraju jest niepożądany. Możliwość pozostania tych ludzi w Niemczech jest dla nich dobrodziejstwem, dla Państwa Polskiego zaś faktem korzystnym, gdyż powrót ich masowy do kraju mógłby odbić się ujemnie na rynku pracy, zwiększając nadmiernie jej zaofiarowanie.

Powrót tych robotników polskich z Niemiec do Polski, którzy udali się tam pomiędzy 1 stycznia 1919, a 31 grudnia 1925 roku — jest dla nas pożądany, pod jednym jednak warunkiem, że ludzie ci nie mogą być uważani za takich, którzy zubożyli wobec Polski. Istotnie udali się oni w czasach ciężkich do Niemiec, przebywają tam niezbyt dawno, a jeżeli nie wracali do Polski, to w znacznym stopniu dla tego, że ogromna ich większość wyjeżdżała bez paszportów, ponieważ rząd polski, do zawarcia umowy prowizorycznej z Niemcami, przeciwstawiał się emigracji do nich i udzielał zezwolenia na wyjazd tym tylko, którzy jechali do tych pracodawców, u których pracowali po-

przednio. Ta masa robotników polskich, która wyjechała bez paszportów, mogła obawiać się powrotu ze względu na wynikające stąd nieprzyjemności.

Specjalne porozumienie precyzuje dokładnie w jakiej ilości rok rocznie dołączani będą do powracających robotników sezonowych robotnicy polscy pracujący w Niemczech i należący do kategorii przybyłych tam pomiędzy 1 stycznia 1919 a 31 grudnia 1925 r. W latach od 1927 do 1931 ma powracać co rok z pośród nich 5300, w roku zaś 1932 — 6000, ale rząd polski może sumę tę zmniejszyć o 14%, a to celem uniknięcia powrotu ludzi, dla których przedstawiałoby to poważne niedogodności.

W ten sposób, jak widzimy, powrót tych, co się zasiedzieli w Niemczech, rozłożony jest na lat 5.

Art. 7 konwencji zapewnia polskim robotnikom rolnym, przebywającym w Niemczech, korzystanie z tych samych praw, z jakich korzystają robotnicy niemieccy w zakresie ochrony pracy, organizacji zawodowej, opieki społecznej, regulowania warunków pracy, włączając w to postępowanie rozjemcze i sądownictwo pracy, o ile ustawodawstwo niemieckie nie zawiera innych ogólnie obowiązujących przepisów dla obywateli obcych.

Rząd niemiecki zobowiązuje się (w art. 8) do użycia swego wpływu, ażeby mieszkania polskich sezonowych robotników rolnych były pod względem moralnym i zdrowotnym bez zarzutu.

Art. 9 zwalnia polskich robotników rolnych od podatku na rzecz bezrobotnych, ponieważ z zapomóg w razie braku pracy korzystać nie będą, gdyż w takim wypadku wrócą do Polski.

Polscy robotnicy rolni, w myśl art. 10, zwolnieni będą od podatku zarobkowego w Niemczech, o ile wykażą się posiadaniem paszportu emigracyjnego, dowiodą w inny sposób, że miejscem stałego ich zamieszkania jest Polska, a to dla uniknięcia podwójnego opodatkowania.

Art. 11 dopuszcza naszych robotników rolnych oraz ich rodziny narówni z obywatelami niemieckimi i ich rodzinami do korzystania ze świadczeń z tytułu niemieckiego ubezpieczenia na wypadek choroby i nieszczęśliwych wypadków.

Z chwilą wprowadzenia w Polsce, na całym jej obszarze, ubezpieczenia na wypadek inwalidztwa dla robotników rolnych i ich rodzin — układające się strony porozumiały się co do za-

bezpieczenia robotnikom polskim w Niemczech i ich rodzinom, nie mającym upoważnienia do stałego pobytu w Rzeszy, prawa korzystania z ubezpieczenia inwalidzkiego podczas pobytu w Niemczech, innymi słowy robotnikom sezonowym.

Robotnicy wyłączeni z grupy powracających sezonowych robotników otrzymają tymczasowe pozwolenie na pobyt w Niemczech, przez co uzyskają prawa stałe przebywających.

Porozumienie dodatkowe do konwencji zapewnia przejazd robotnikom polskim od granicy niemieckiej do miejsca pracy na koszt pracodawcy. Tak samo powrót robotnika do granicy polskiej odbywa się na koszt pracodawcy, który winien zapłacić kosztą podróży robotnika do tego punktu granicznego, przez który robotnik przejeżdżał, jadąc do miejsca pracy.

Sprawa szczegółów warunków pracy polskich robotników rolnych w Niemczech omówiona będzie w artykule specjalnym.

Znaczenie omawianej tu konwencji polega głównie na tem, że zamyka ona okres anarchji emigracyjnej w stosunkach polsko-niemieckich. Dodatnią jej stroną jest zapewnienie naszym robotnikom sezonowym podczas ich pobytu w Niemczech korzystania z pewnych praw, z których korzystają Niemcy.

Wszystkie sprawy związane z emigracją polskich sezonowych robotników rolnych do Niemiec, zostały szczegółowo omówione w konwencji i w porozumieniach dodatkowych.

Praktyka lat najbliższych pokaże, czy i jakie zmiany w tej konwencji będą potrzebne. Robotnicy polscy od lat wielu przyzwyczaili się do pracy w Niemczech i chętnie tam jadą.

Inne rynki pracy nam nie wystarczają, a zresztą gdyby wystarczały, to i wówczas lepiej jest być w możliwości robienia wyboru pomiędzy nimi, niż nie mieć tej możliwości. Konwencja polsko-niemiecka wzmocni nasze stanowisko przy pertraktacjach z francuzami, tak, jak konwencja polsko-francuska ułatwiła nam zawarcie tej konwencji.

W roku 1926 wyjechało do Niemiec prawie 50.000 ludzi na roboty rolne. W roku 1927 wyjechało ich więcej.

Ludwik Kulczycki.

Kilka uwag w sprawie wystawy „Praca polska na Obczyźnie“.

W r. 1929 zostanie otwartą w miesiącach letnich „Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu.

Ma ona się stać w pierwszej linii według zamierzeń inicjatorów, znanych nam według dotychczasowych zapowiedzi, generalnym przeglądem wysiłków młodej państwowości polskiej, czynionych w celu ugruntowania i założenia mocnych fundamentów pod własną budowę państwową. Równocześnie będzie ona bezwątpienia rodzajem egzaminu, który winniśmy zdać możliwie dobrze, przed, często z nieufonością jeszcze, przyglądającą się nam zagranicą. Jest rzeczą jasną, że zmuszeni liczyć się z surową krytyką obcych, już dzisiaj powinniśmy przystąpić do wzorowego zorganizowanie wszystkich dziedzin naszej pracy państwowo-twórczej. Wniosek stąd, że żadnego działu czynu polskiego na projektowanej wystawie zabraknąć nie może.

Jednym z najważniejszych działów tej wystawy winna się stać dziedzina, pomijana dotąd z różnych przyczyn; emigracja polska. Dział ten proponuję nazwać „Praca polska na obczyźnie”. Z całym zrozumieniem ważności, poruszonej przeze mnie dziedziny, będę usiłował uzasadnić, w tym krótkim memorjale, konieczność stworzenia odpowiedniego działu na „Powszechnej Wystawie Krajowej”, poświęconego emigracji.

Czynniki miarodajne, a w ślad za nimi całe społeczeństwo traktują tak liczny ruch wychodźczy, jako pewien rodzaj zabezpieczenia się przed przeludnieniem kraju, czy też nadmiarem zbyt licznych rąk roboczych, jako niezbędną część naszego demograficznego zagadnienia. Wykorzystanie wychodźstwa polskiego dla państwowo - twórczej pracy, z niemalą szkodą i stratą jest dotąd uważane za utopję. Przeciwnie, wstydzimy się naszego potężnego ruchu emigracyjnego, traktując go, jako chorobę orga-

nizmu państwowego. Nie wolno nam jednak o tem zapomnieć, że wysyłając przeważnie siłę fizyczną, która coraz bardziej traktowaną jest jako wysiłek szlachetny i twórczy dla krajów zasobnych w pieniądze i surowiec, tem samem przyczyniamy się wydatnie do wzrostu gospodarczego danego kraju imigracyjnego.

Historja uczy nas, że państwa kolonialne, które krwią wylaną przez swoich conquistadorów, czy też drogą układów zdobywały tereny dla swej ekspansji, nie wstydzą się bynajmniej swego dawnego lub nowoczesnego łupiestwa. Przeciwnie, stanowi ono, jako źródło dzisiejszej potęgi, chlubną kartę ich historji. Tworzą one Ministerstwa Kolonji, które regulują specyficzny ruch wychodźczy i starają się wyciągnąć maximum korzyści dla kraju macierzystego.

To też i Polska, wpływająca twórczą pracą w obce kraje, a nie mająca na sumieniu mieczem czynionych podbojów, nie powinna się tego wstydzić i z racji nadarzającej się okazji „Powszechnej Wystawy Krajowej” w Poznaniu, *winna wszechstronnie zmanifestować olbrzymią pracę wykonaną przez inteligenta, czy robotnika polskiego między obcemi.*

Dział „Praca polska na obczyźnie” odpowiednio zaprezentowany, może mieć zarówno dla społeczeństwa polskiego, jak i dla wychodźstwa, którego zresztą powszechny zjazd jest projektowany, z powodu tejże wystawy, nadzwyczaj wielkie znaczenie. Nie taję, że urządzenie wspomnianego działu nie obejdzie się bez wielkich nakładów finansowych.

Już od dłuższego czasu tuła się po rozmaitych urzędach i odpowiednich towarzystwach doniosły projekt zorganizowania stałej wystawy emigracyjnej. Będzie on napewno jeszcze długo błędzić o ile nareszcie nie rozpoczniemy realizować go, w związku z projektowaną w Poznaniu wystawą.

Oczywiście, że dział „Praca polska na obczyźnie” sam nie pokryje swoich wydatków i dlatego musi liczyć na:

- a) państwowe subsydja,
- b) opłaty od zajmowanych stoisk.

Czynnik naszej dumy narodowej wymaga, aby wychodźstwo nasze wznieść z dotychczasowych nizin na prawnie przynależny mu poziom. Należałoby tedy zbiory zagraniczne zamknąć w jedną całość i tę zamieścić koniecznie w oddzielnym pawilonie. Bu-

Stopień wynaradawiania się.

Koszty wychowania tubylca i wychodźcy.

(Jaknejszszsze uwzględnienie tablic porównawczych).

III. Wychodźstwo polskie w perspektywie historycznej. Imigracja do Polski i płynące stąd korzyści oraz szkody:

Zydów,

Niemców,

Holendrów,

Sasów i t. d.

Przymusowa emigracja polityczna do:

Francji,

Niemiec,

Szwajcarji,

Rosji i na Syberję etc.

Emigracja zarobkowa od początku jej powstania. Poszczególne kraje. Historja wychodźstwa w każdym z nich.

Zbiory wystawowe.

Materiał ikonograficzny, biblioteczno - muzealny, związany z bytem i pracą polskiego politycznego wychodźstwa na obczyźnie.

Materiał ikonograficzny wychodźstwa zarobkowego związany z jego pracą, jak np. plany lub modele gmachów, fabryk, kolei żelaznych i t. d., projektowanych lub budowanych przez inżynierów i architektów polskich, względnie wykonanych rękami robotnika polskiego.

Djagramy wewnątrz fabryk, lub gospodarstw rolnych, w których pracuje robotnik polski.

Wnętrze domu robotnika polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Kanadzie, Brazylii, Francji i t. d.

Instalacje etapów i hoteli emigracyjnych.

Towarzystwa emigracyjne w kraju i zagranicą.

Działalność i liczebność polskiej, wychodźczej prasy i literatury tudzież krajowej, traktującej o wychodźstwie.

Sztuka polska na wychodźstwie, lub związana z wychodźstwem

Poruszony już w uzasadnieniu projektu, wydatny udział państw imigracyjnych.

Nakoniec dział, poświęcony wytwórczości polskiej na wychodźstwie, połączony z działem wytwórczości krajowej, mogącej znaleźć łatwy zbyt naszej emigracji. Część ta wystawy traktowana bardzo poważnie zajęłaby się fachowo stroną handlową, uwzględniając wszelkie możliwości nawiązania stosunków z wy-

chodźtwe, wymagałaby ona fachowych informatorów, mogących służyć wszechstronnemi wskazówkami dla zwiedzających.

Na tem kończę ten pobieżny szkic projektu wystawy „Praca polska na obczyźnie”, zaznaczając, że bynajmniej nie wymieniałem wszystkich możliwości (nawiązania stosunków z wychodźstwem), które niezawodnie wyłonić się muszą w trakcie realizowania planu.

Sądzę, że czynniki miarodajne, do których się zwracam, uznają słuszność wyłuszczonej tu motywów i przystąpią do realizacji mych zamierzeń, w zrozumieniu niewątpliwych korzyści dla państwa, które one przyniosą.

* * *

Ponieważ wystawa „Praca polska na obczyźnie” wymaga intensywnego zbierania materiałów, eksponatów i danych statystycznych w krajach nieraz bardzo od Polski oddalonych, przeto uważam za konieczne zajęcie się już teraz opracowaniem szczegółów i realizowania planów w miarę gromadzenia się danych.

Personel stały przedstawiałby się w mojem mniemaniu chwilowo, na najbliższy okres czasu w następujący sposób:

Komisarz wystawy; — sekretarz i jednocześnie zastępca komisarza; — kancelista; — maszynistka; — goniec.

Przy komisarzu wystawy winno się zorganizować Radę, do której weszliby przedstawiciele ministerstw: Spraw Zagranicznych, Pracy i Opieki Społecznej, Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Przemysłu i Handlu, oraz delegaci instytucji towarzystw, zajmujących się zagadnieniami emigracyjnymi.

Jeszcze w tym roku należałoby powołać do pracy Radę i Komisarza, celem obmyślenia szczegółowego planu, tudzież ustalenia budżetu, tak, aby wystawa „Pracy polskiej na obczyźnie” wykończona do ostatniego szczegółu, mogła być niezawodnie w dniu otwarcia „Powszechnej Wystawy Krajowej” w Poznaniu gotową.

S. Osipiński
Senator.

Zagadnienie rolne w Meksyku.

Meksykańskie zagadnienie rolne jest tematem tak obszernym, że w ramach krótkiego artykułu wyczerpać go niepodobna, można wszakże pokusić się o to, aby omówienie najważniejszych momentów wystarczyło w zupełności do zrozumienia dwóch doniosłych aktów prawodawczych, a mianowicie: „*Prawa Migracyjnego*”, jakoteż „*Prawa Kolonizacyjnego*”, które zawierają w sobie cały program reformy rolnej, mającej na celu zmianę układu sił społecznych w Meksyku.

Wobec tego, że jesteśmy w okresie poszukiwania nowych terenów osadniczych dla tak liczного polskiego wychodźstwa zamorskiego, przeto, nie przesądając stosunku, jaki do ziemi meksykańskiej z czasem zajmiemy, winniśmy poznać zagadnienie rolne w ojczyźnie Montezumy, przechodzącej gruntowne i zasadnicze przeobrażenie społeczno - polityczne.

Obszerniej omówiłem tę sprawę w artykule p. t. „*Nieco o społecznych stosunkach Meksyku*”, pomieszczonym w „*Pracy i Opiece Społecznej*”, czasopiśmie Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej (Rok V, Zeszyt I—II za rok 1925), do którego po szczegóły odsyłam, to też tutaj ograniczę się jedynie do najważniejszych momentów sprawy, potrzebnych do ujęcia całości.

Na wstępie musimy się cofnąć nieco w przeszłość: Hiszpanie po zawojowaniu Meksyku nadawali olbrzymie przestrzenie ziemi ludziom wpływowym lub w nagrodę za zasługi, oddawane koronie, a olbrzymie te majątki przeszły w wielu wypadkach nieuszczerplone czy to drogą podziałów, czy też sprzedaży. Kościół nabywał za czasów hiszpańskich ogromne posiadłości, a kiedy wskutek reform za czasów Juareza (czytaj Chuareza) został ich pozbawiony, przeszły dzięki szeregowi rozmaitych manipulacji w ręce prywatne, zazwyczaj w postaci wielkich majątków. Przez długi szereg lat istniała dążność do powiększania i tak już

ogromnych majątków drogą nabywania sąsiednich posiadłości, co wymagało za każdym razem wielkich transakcyj, które tylko ludzie bardzo bogaci byli w możności przeprowadzać. I tak na przykład, w skład wielkiej haciendy wchodzi cała ziemia danego okręgu, wskutek czego biedacy rzadko tylko mieli możność zdobycia bodajby małej własności ziemskiej. W Meksyku są do dziś dnia posiadłości ziemskie, pokrywające olbrzymie przestrzenie. Można jechać całe godziny kolejami ciągle w granicach tego samego majątku. Trudno doprawdy mieć pojęcie o tem, co w znaczeniu meksykańskiem stanowi wielką własność ziemską. Istnieje setka majątków obejmujących przeszło sto milionów akrów gruntu, czyli, że na jeden majątek przypada średnio milion akrów ziemi. Hacienda Terrazas, leżąca głównie w stanie Chihuahua (czytaj: Cziwawa), obejmuje podobno 13.000.000 akrów ziemi, czyli przeszło dwa razy tyle, co północno - amerykański stan Massachusetts. W Dolnej Kalifornji, przeszło 700 mil długiej i 100 mil szerokiej, a więc mającej powierzchnię większą, aniżeli Michigan, 78% gruntów należy do wielkich kompanij. W tym to jednym stanie meksykańskim „Mexican International Colonization Company”, „Chartered Company of Lower California”, „Adolfo Hulle Company”, wreszcie „California Land Company Limited” — wszystko zresztą przedsiębiorstwa cudzoziemskie, posiadają łącznie 26.070.000 akrów ziemi, co wynosi powierzchnię 40.000 mil kwadratowych; pierwsze przedsiębiorstwo samo jedno posiada 13.400.000 akrów gruntu. Przestrzeń, znajdująca się w posiadaniu tych czterech przedsiębiorstw, równa się niemal całkowicie powierzchni stanu Ohio. We wszystkich stanach północnych wielkie posiadłości ziemskie stanowią powszechne prawo. Pomiędzy Saltillo (czytaj: Saltijjo) i Zacatecas (Zakatekas) na długości 180 mil cała ziemia należy do trzech majątków. „Mexican Northwestern Railway” posiada 3.600.000 akrów ziemi, z czego blisko trzy miliony akrów jest pokrytych sosną, co stanowi największy obszar drzewa budulcowego na świecie. Dalej na południe ciągną się również olbrzymie posiadłości ziemskie. W stanie Tamaulipas istnieje hacienda, wynosząca 75.000 akrów, z czego przeszło połowa jest zdolna pod uprawę, ale zaledwie nieco mniej, niżeli dwadzieścia tysięcy, znajduje się pod uprawą. W Tehuantepec istnieje cały szereg koncesyj leśnych po dwieście tysięcy akrów i więcej. Wedle obli-

czenia, przeprowadzonego w 1910 roku, okazuje się, że w całej Rzeczypospolitej 880.000 kilometrów kwadratowych ziemi należy do sześciu tysięcy ludzi, z których każdy posiada średnio po 58.000 akrów. W Meksyku liczy się około 11.000 wielkich posiadłości po 2.500 akrów i więcej, gdy sto lat temu było takich posiadłości 25.000. Kiedy w innych krajach ilość właścicieli ziemskich znacznie wzrosła, w Meksyku przeciwnie — zmalała.

Nagromadzenie ziemi w małej względnie ilości rąk nałożyło hamulec na wszelkie możliwości poprawy losu dla klasy peonów (robotników bezrolnych). Przedewszystkiem nie było prawie wcale ziemi do nabycia w małych ilościach. Zresztą peon nie posiadał pieniędzy do kupna, co jeszcze bardziej zmniejszało prawdopodobieństwo zostania właścicielem ziemskim. Przedewszystkiem zaś brakowało mu wykształcenia, nie wiedział bowiem nic o gospodarce rolnej, chyba tyle, ile nabył z doświadczenia jako robotnik, a wiadomości te polegały na mechanicznych czynnościach orania, siania i zbierania plonu, wskutek czego gdyby nawet dwie pierwsze trudności zostały pokonane, nie posiadał warunków powodzenia jako farmer. Siłą faktów pozostawał robotnikiem pracującym w warunkach, panujących przez setki lat. Prawnie biorąc, zupełnie wolny, faktycznie był niewolnikiem swego otoczenia, od którego wyzwolić się było mu niezmiernie trudno.

Rzućmy obecnie okiem na ustrój haciendy i panujące w niej życie.

Eksploatacja haciendy wymaga wielkiej ilości ludzi, dyrektorów, dozorców, kierowników zakładów fabrycznych, warsztatów, magazynierów; w niektórych ilość personelu dochodzi do trzech tysięcy głów.

Służba wszelkiego rodzaju zamieszkuje domy wzniesione z tak zwanej *adobe* (błotnistej gliny, suszonej na słońcu); właściciel mieści się w specjalnem zabudowaniu, zazwyczaj bardzo obszernem, a częstokroć i pięknem. Meksykanie zaś, mało skłonni zazwyczaj do otwierania swych domów przed cudzoziemcami podczas pobytu w stolicy, są przeciwnie nadzwyczaj gościnni w haciendach.

Dookoła domu mieszkalnego tłoczą się magazyny, stajnie, szkoła, kościół i *tienda* (sklep), w której sprzedaje się artykuły potrzebne do życia i ubrania klasy robotniczej, przywiązanej do haciendy i otrzymującej obok pensji w gotówce dodatkowe wy-

nagrodzenie w naturze, obejmujące kawałek ziemi, który wolno im uprawiać na własny rachunek i wedle własnego upodobania.

Znakomita większość *peonów* żyje więc przywiązana do haciendy bądź dobrowolnie, bądź wskutek tak okrzyczanego już systemu awansów, wypłacanych przez właściciela. Nie ulega wątpliwości, że położenie ich jest nędzne, przynajmniej z naszego punktu widzenia, którego bodaj nie usiłują wcale poprawić. Ktokolwiek przebywał pewien czas w Meksyku i podróżował wewnątrz kraju wie dobrze, iż Indjanin pracuje tylko w razie absolutnej potrzeby. Jego ambicje ograniczają się do szałas, w którym żona przygotowuje mu *frijoles* (czytaj: friholes), to znaczy fasolę i *tortillas* (czytaj: tortijjas), to znaczy placki kukurydziane, przyprawione przy pomocy *chile* (czytaj: czile — rodzaj czerwonego pieprzu, podobnego do papryki). Klęcząc przed *metate*, wspartym na trójnogu, kwadratowym, wklęsłym i lekko pochylonym kamieniu, spędza ona długie godziny, trąc kukurydzę wałkiem kamiennym, *mecitl*, aż do otrzymania ciasta. Z tej to masy tworzy przy pomocy regularnego uderzania dłoni okrągłe placki, grubsze lub cieńsze, które umieszcza na tak zwanym *comal'u*, płycie żelaznej, z lekka tłuszczem posmarowanej i ogrzewanej ogniem płonącym pomiędzy trzema wielkimi kamieniami.

Spodnie płócienne, koszula, para *huarachas* (czytaj: uarachas), grubych, skórzanych podeszew, podtrzymywanych rzemieniem, rodzaj przykrycia zwanego *zarape*, kapelusz o szerokich kresach — *sombrero*, stanowi całą garderobę Indjanina; dla jego towarzyszkii wystarczy kilka metrów materiału. Pracuje on tylko tyle, ile mu potrzeba do zdobycia pieniędzy, niezbędnych do zakupienia tych przedmiotów, ewentualną nadwyżkę wydaje na *pulque'ę* — napój alkoholowy, otrzymywany drogą fermentacji z soku agawy (*Agave Americana*), lub na gorzałkę, otrzymywaną z trzciny cukrowej.

Szczodroliwość samej przyrody jest przeszkodą do postępu w rolnictwie, gdyż Humboldt słusznie powiedział, że „człowiek nie pracuje tam, gdzie dojrzewa banan”.

Tylko przez tworzenie nowych potrzeb osiągnięto u Indjanina nieco większy wysiłek w pracy; dlatego też należy go kształcić, podnosić jego poziom moralny, poruszyć jego lenistwo, biorące swe źródło raczej w zubożeniu, aniżeli we wrodzonej apatii. A jest to zupełnie możliwe. Indjanie bowiem, gdy są

po ludzku traktowani, wykazują wiele gorliwości, nadzwyczajną wytrwałość, doskonałą uczciwość oraz prawdziwą inteligencję. Ogólnie biorąc, są zdolni i wierni, uważając za punkt honoru utrzymywać w dobrym stanie powierzone sobie narzędzia pracy.

Na nieszczęście bardzo wielu majordomów, szczególnie z pośród Hiszpan, jest jeszcze obecnie skłonnych do traktowania biednych peonów jako zwyczajne bydło robocze raczej, niżeli jako istoty ludzkie. Indjanom wmówiono ich niższość. Ugięli się przed siłą brutalną konkwistadorów a złamani biedą utracili stopniowo swe wrodzone właściwości, a potem metysi zamiast ożywić w nich na nowo cenne przymioty bodajby z własną samolubną korzyścią, woleli dozwolnić im się spodlić przy pomocy alkoholu i zgnuśnieć w ignorancji.

O ile rząd czyni chwalebne wysiłki w kierunku dostarczenia ludowi wiejskiemu szkoły, o tyle kler meksykański, którego wpływ mógłby być bardzo pożyteczny wskutek bliskiego i stałego stykania się z peonami, nie umiał podtrzymać pięknych, w wielu krajach ujawnionych tradycji gospodarczych Kościoła katolickiego i nie uczynił nic dla zniszczenia tej ignoracji. Przeciwnie, nawet kultywował ją starannie w celu tem łatwiejszego zapewnienia sobie przewagi nad naiwną i zabobonną duszą Indjanina.

W niektórych okolicach ręce robocze są tak rzadkie, że w okresie zbiorów trzeba je sprowadzać z okolic bardziej zaludnionych. Te przenosiny dawały nieraz powód do poważnych nadużyć. Dlatego też rząd meksykański pragnąłby bardzo widzieć wychodźstwo europejskie skierowane ku Meksykowi.

Tymczasem atoli potrzeba tylko robotników rolnych, lecz do tej pory warunki życia wewnątrz kraju wcale nie ułatwiają emigracji, nie ulega bowiem wątpliwości, że włościanin europejski nie zadowoliliby się marnem życiem ludności tubylczej, a z drugiej strony ludność ta nie mogła by pojąć dlaczego daje się wyższe wynagrodzenie robotnikowi nie pracującemu niewątpliwie więcej od Indjanina. Na to, aby cudzoziemcy mogli się przystosować do tych warunków życia trzeba, aby własność została rozdrobiona i aby dozwolono każdemu koloniście pracować dla siebie samego przez nadanie wartości ziemi leżącej odłogiem z powodu braku rąk do pracy.

Jest to zresztą właśnie cel, do którego zmierza obecny rząd, który obmyśla istotnie środki mające na celu rozparcelowanie

gruntów podatnych do nawodnienia i położonych przy jakiegokolwiek drodze komunikacyjnej.

Tutaj należy sobie postawić pytanie — czy całe to zagadnienie ma dla Polski jedynie znaczenie czysto akademickie, czyli też może i doniosłość praktyczną przy pewnem ujęciu sprawy? Nie podobna w tem miejscu wchodzić w szczegóły tej tak ważnej dla nas rzeczy. *Wystarczy powiedzieć, że o ile zechcemy objąć szersze horyzonty i własne zagadnienie wychodzące traktować w związku z całym niezmiernie zawiłym spletem spraw politycznej, a przedewszystkiem gospodarczej natury na tle wzajemnego stosunku całych ras i kontynentów coraz bardziej od siebie zależnych i zmuszonych do siebie nawzajem się przystosowywać, to wszystko, co się odnosi do Ameryki łacińskiej, posiada dla nas szczególniejszą wartość i pierwszorzędą wagę.*

Uzasadnienie tego twierdzenia znajdzie Czytelnik w mym obszerniejszym referacie p. t. „Wytyczne Polskiej Polityki Wychodźczej w Świecie Ogólnej Konjunktury Światowej (miesięcznik „Droga” Nr. Nr. 5, 6 i 7 za lipiec 1926 r.), dokąd ciekawych odsyłam.

Nasza nieznajomość rzeczy wprost elementarnych i to u ludzi, od których ma się prawo wymagać szczegółowego zapoznania się z przedmiotem, jest zdumiewająca. Gdy się porusza sprawę naszego ewentualnego osadnictwa na ziemi meksykańskiej słyszy się twierdzenie, że jest ono niemożliwe z tego powodu, iż Meksyk nie posiada wody. Twierdzenie to opiera się na całkowitej nieznajomości kraju, ponieważ po pierwsze Meksyk jest daleki od cech, któreby go upodabniały do Sahary, po drugie dlatego, że dzieło sztucznego nawodnienia jest już bardzo daleko posunięte i posuwa się coraz dalej, po trzecie na koniec, i to rzecz najważniejsza, że z 2,000,000 kilometrów kwadratowych ziemi meksykańskiej 45% czyli 900.000 km. kw. jest zdatnych pod uprawę bez sztucznego nawodnienia z warunkiem stosowania racjonalnych a do tej pory przeważnie w Meksyku nieznanymi przez szeroki ogół i nie stosowanymi nowoczesnymi metodami uprawy ziemi¹⁾). Każde z gór powzięte a niczem zgoła nie uzasadnione uprzedzenie jest nie tylko naganne ale i karygodne, gdyż przy-

¹⁾ Patrz: Geo. A. Schmidt „Mexico” Dietrich Reimer (Erust Vohsen) Verlag in Berlin, 1925 r.

czynia się do zaciemnienia sprawy i do jej sprowadzenia na fałszywe tory. Gdybyśmy bowiem przyszli do przekonania, że Meksyk wskutek takich czy innych właściwości przyrodniczych dla osadnictwa europejskiego wcale się nie nadaje, sprawa reformy rolnej nie mogłaby nas nic a nic obchodzić, prawo zaś migracyjne czy kolonizacyjne byłoby dla nas z natury rzeczy całkowicie obojętne i nie powinniśmy im ani jednej chwili uwagi poświęcić. Jeżeli atoli tak nie jest, a nawet pobieżne zapoznanie się z geografją Meksyku, przekona nas o tem w stopniu zupełnie wystarczającym, wszystko, co się w tym kierunku czyni lub czynić zamierza, powinno nas w wysokim stopniu zajmować, abyśmy rozmyślnie i świadomie nie zamykali oczu na pewne poważne konjunktury, z których nam kiedyś może skorzystać wypadnie. Zresztą zakres naszych badań powinien bezsprzecznie obejmować całą kulę ziemską, a szczególnie całą Amerykę Łacińską przedstawiającą dla europejskich krajów emigracyjnych, jak Polska, najważniejsze tereny imigracyjne, których dokładna znajomość jest wprost naszym obowiązkiem.

W związku z tem należy się kilka chociażby bardzo ogólnikowych uwag o klimacie Meksyku, jest to bowiem pierwsze pytanie stawiane przez każdego, kto myśli o Meksyku jako o terenie przyszłej polskiej ekspansji osadniczej. I tutaj zaznaczyć się godzi, że w kraju tak rozległym i o takiej konfiguracji o jakimś jednolitym klimacie mowy być nie może; należy rozważać różne klimaty w różnych częściach tego wielkiego szmata ziemi. Nawet popularnie mówiąc klimat meksykański dzieli się na trzy wielkie kategorie: Pas gorący — „Tierra Caliente”; Pas umiarkowany — „Tierra Templada”; wrzescie Pas zimny — „Tierra Fria”.

Pas gorący nie może wchodzić w rachubę przy ewentualnem polskiem osadnictwie, jest to bowiem klimat typowo tropikalny i jakkolwiek zdarzają się ludzie mogący dobrze znieść to wilgotne i niezdrowe gorąco, na ogół biorąc, jest to klimat dla Europejczyka nieznośny.

Natomiast pas umiarkowany i zimny (zimny w meksykańskiem tego słowa pojęciu) są dla europejskiego osadnictwa zupełnie znośne i dostępne ze względu na swój zdrowy i przyjemny klimat. I tylko te dwa pasy klimatyczne bliżej nas tutaj obchodzą: odrazu atoli zaznaczyć należy, iż największa i najodpowiedniejsza pod każdym względem część Meksyku znajduje się właśnie w obrębie tych dwóch pasów, to też przy wszelkich planach osadniczych z góry można przyjąć, że klimat miejscowy żadnego kłopotu sprawić nie może.

A jeżeli idzie o to, czy w dostępnych ze względu na klimat częściach Meksyku można prowadzić gospodarstwo rolne i hodowlane w europejskiem tego słowa znaczeniu, to sprawa nie przedstawia najmniejszych wątpliwości

wobec faktycznego stanu rzeczy w całym szeregu Stanów, gdzie albo gospodarka rolna już istnieje, albo gdzie znajdujemy wszelkie korzystne po temu dane. Wszakże najkorzystniejsze warunki przyrodnicze na nic się nie zdadzą, jeżeli nie ma dobrej komunikacji wodnej, kołowej i kolejowej. Otóż i pod tym względem kilka Stanów przedstawia zupełnie dobre warunki, jak np. Stan Coahuila (czytaj: Koaouila), przez który przechodzi pięć różnych dróg żelaznych, albo Stan Nuevo Leon, połączony z jednej strony ze Stanami Zjednoczonymi Am. Pół. a z drugiej z Zatoką Meksykańską, albo wreszcie Stan Durango, który może najbardziej nadawałby się ze względów klimatycznych i innych dla osadnictwa europejskiego.

Ze zaś człowiek nie samym tylko chlebem żyje, ale i słowem także, przeto zachodzi pytanie, czy ewentualne osadnictwo polskie posiadałoby warunki rozwoju kulturalnego w naszym tego słowa pojęciu? Tutaj mogę z przyjemnością zaznaczyć, że kiedy byłem pierwszym razem w Meksyku w początkach roku 1925 w charakterze Delegata Min. Spraw Zagranicznych to na jednej z audjencji u Sekretarza Spraw Wewnętrznych otrzymałem zapewnienie stwierdzone zresztą na piśmie, że ewentualni polscy osadnicy mogliby posiadać szkoły w języku wykładowym polskim bez żadnych ze strony sfer rządowych ograniczeń pod tym względem.

Wogóle spotkałem się z wielką i ujmującą życzliwością ze strony przedstawicieli Rządu meksykańskiego, czego nawiąbitniejszym dowodem jest list, jaki otrzymałem od Pana prezydenta Callesa (czytaj: Kajjesa), zasługujący nie tylko ze względu na swą treść, ale i ze względu na swój ton na dosłowne przytoczenie w polskim przekładzie:

KORESPONDENCJA PRYWATNA
PREZYDENTA
ZJEDNOCZONYCH STANÓW
MEKSYKAŃSKICH

Palacio Nacional 9/VI, 1925.

Wielce Szanowny Panie!

Rząd Meksykański zapoczątkowując szeroko zakreszony plan kolonizacji gruntów meksykańskich zarówno przez obywateli własnego kraju, jak i przez cudzoziemców, a chcąc go uzgodnić z odnośnymi obowiązującymi przepisami, zbadał i usiłuje wprowadzić w życie niektóre podstawowe zasady, któreby stanowiły rękojmię zarówno dla samego ludu i Rządu Meksykańskiego, jak i dla przychodźców cudzoziemskich, w celu zapewnienia pomyślnych wyników przyszłego przychodźstwa i uniknięcia niepowodzeń, jakich doznały dotychczasowe wysiłki przedsiębrane w tej sprawie.

Wśród krajów, które niewątpliwie przystosowałyby się do podstaw i warunków naszego życia społecznego, znajduje się Polska, to też Rząd Meksykański przyjąłby chętnie odpowiednią ilość przychodźców polskich, o ileby się zechcieli zastosować do następujących warunków:

Przychodźcy, o których mowa, muszą być popierani i upoważnieni przez własny Rząd czyto bezpośrednio, to znaczy każda grupa udająca się do naszego kraju osobno, czy też za pośrednictwem mogących powstać

w tym kraju Towarzystw Kolonizacyjnych, popierani zarówno pod względem ekonomicznym, jak i społecznym a to w tem znaczeniu, że Rząd Polski zapewni Rządowi Meksykańskiemu, iż przychodźcy będą istotnie rolnikami dobrych obyczajów, zaopatrzonymi w środki, niezbędne do przeżycia aż do pierwszych zbiorów i zagospodarowania się na zajętych przez siebie gruntach. Oba Rządy zbadają o ile ziemie dla owych przychodźców przeznaczone są odpowiednie do celów kolonizacyjnych i czy się nadają do natychmiastowej uprawy i w tym to celu Rząd Meksykański za pośrednictwem Sekretariatu Rolnictwa podda inspekcji rzeczzone grunty, zanimby zostały zajęte przez Towarzystwo Kolonizacyjne, upoważnione przez Rząd Polski, lub przez poszczególne grupy przychodźców bezpośrednio przez Rząd Polski poleconych, a to wszystko w celu zadośćuczynienia wyżej wskazanym warunkom.

Przychodźcy lub Towarzystwa Kolonizacyjne będą obowiązane jeszcze przed przybyciem na miejsce wykazać się w Sekretarjacie Rolnictwa, że już są w posiadaniu mających się skolonizować gruntów. Zgodnie z duchem naszych praw agrarnych postanawia się również, że żaden kolonista nie będzie mógł nabyć więcej, niżeli 50 hektarów ziemi nadającej się do nawodnienia, 150 hektarów ziemi pobierającej wilgoć z opadów atmosferycznych, lub 500 hektarów pastwisk.

Odnosnie ulg lub ułatwień, które Rząd Meksykański zapewnia w ogólności takim przedsiębiorstwom za pośrednictwem Sekretariatu Rolnictwa, udzielono Panu już tekstu postanowień, przepisów i ogólnych zasad w tym przedmiocie a to w tej myśli, że z chwilą, kiedy Rząd Polski zacznie traktować sprawę przychodźstwa do Meksyku w sposób wyraźny i rozstrzygający, Rząd Meksykański sprecyzuje zgodnie z warunkami ekonomicznymi, w jakich się będzie w danej chwili znajdował, wszelkie inne znaczniejsze ulgi, które będzie mógł przyznać przychodźcom z kraju, który dzięki swej historii i okolicznościom, przez które przeszedł, ma wiele wspólnego z Narodem Meksykańskim w walkach stoczonych w obronie swej wolności.

Przy sposobności załączam pozdrowienie i pozostaje Pańskim szczerym przyjacielem i oddanym sługą

P. Elias Calles.

Do tej pory jedyną odpowiedzią na to pismo był list, który wystosowałem z upoważnienia mojej władzy dopiero w grudniu 1925 roku następującej treści:

**DO JEGO EKSCYLENCJI
PANA PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH MEKSYKAŃSKICH
GENERAŁA PLUTARCO ELIASA CALLESA
W MEKSYKU MIESCIE!**

Panie Prezydencie.

Na łaskawy list Pański wystosowany do mnie d. 9 czerwca, 1925 r., jako do Delegata Rządu Polskiego w specjalnej misji do Meksyku, a sta-

nowiacy punkt wyjścia i podstawę do nawiązania ścisłych stosunków pomiędzy Rzeczpospolitą Meksykańską a Rzeczpospolitą Polską, pozwałam sobie odpowiedzieć dopiero obecnie a to z dwóch powodów: po pierwsze, nie zaraz wróciłem z Meksyku do Warszawy, a po drugie, nie miałem możliwości niezwłocznie po powrocie do kraju przedstawić tę sprawę kompetentnym czynnikom rządowym.

W ostatnich dopiero dniach zdołałem zainteresować Ministerstwo Spraw Zagranicznych Meksykiem jako amerykańskim krajem imigracyjnym, przedstawiającym między innymi, moim zdaniem, dogodne warunki dla polskiego wychodźstwa osadniczego. Sympatja okazywana Polsce przez Pana, Panie Prezydencie, pozwala mieć nadzieję, że polscy osadnicy rolni doznaliby gościnnego przyjęcia na bogatej i pięknej ziemi meksykańskiej.

Mam niepłonną nadzieję, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Warszawie szczegółowo rozważy ewentualność wzięcia Meksyku pod uwagę przy kształtowaniu polskiej polityki emigracyjnej.

Z takiego obrotu sprawy słusznie można przewidywać obopólne korzyści dla obydwu krajów pod wielu względami wzajemnie siebie potrzebujących.

Proszę przy tej sposobności przyjąć wyrazy wysokiego szacunku i poważania, z jakimi pozostaję

Wojciech Szukiewicz.

Gdyby istotnie wyrażona w moim liście nadzieja miała się kiedykolwiek ziścić, to trzeba by przedewszystkiem wysłać jakąś komisję rzeczoznawców, któraby przeprowadziła szczegółowe studia na miejscu i wydała bezstronny sąd nie powodując się żadnymi z góry powziętymi a zgoła ubocznymi względami podyktowanymi opinjami, które zawsze każde przedsięwzięcie niewątpliwie paraliżują. Może się to stać zarówno wskutek postanowienia powziętego przez decydujące czynniki rządowe, jak i wskutek inicjatywy prywatnej a raczej społecznej znajdującej swego godnego przedstawiciela w Naukowym Instytucie Emigracyjnym.

Idea polskiej ekspansji zamorskiej zaczyna szczęśliwie kiełkować w społeczeństwie, któremu do tej pory ta myśl śmiała i chwalebna zupełnie była obcą, a dowodem tego organizowanie się specjalnie w tym celu i stawianie sobie przed oczami pewnych konkretnych zadań. Jest to idea wielka i brzemienna w bardzo poważne następstwa, to też należałoby rozwinąć w tym kierunku silną i wszechstronną propagandę dla jednania jej wyznawców i zwolenników a wtedy i naukowe badanie zagadnienia wychodźczego znacznie więcej, niżeli dzisiaj, znajdzie adeptów.

Ciekawych odsyłam do swoich artykułów: „Towarzystwo Popierania Polskiej Ekspansji zamorskiej” — „Gazeta Rolnicza” Nr. 19 z d. 13 maja, 1927 r. i „W Sprawie Polskiej Ekspansji

Zamorskiej” — „Głos Prawdy” (tygodnik) Nr. 216 z d. 22-go października, 1927 r.

Meksykańskie Prawo Migracyjne — Lei de Migración de los Estados Unidos Mexicanos — wydane na zasadzie Dekretu z d. 15 stycznia 1926 roku, zawiera dziesięć rozdziałów podzielonych na 103 artykuły. Wielka szkoda, że do tej pory nie wyszedł regulamin do tego prawa czyli to, co my nazywamy rozporządzeniem wykonawczem, ponieważ ono dopiero zawiera cały szereg przepisów praktycznych na zasadach przez prawo ustanowionych opartych. Przed opuszczeniem Meksyku w lipcu tego roku otrzymałem objaśnienie w Secretaria de Gobernación (Min. Spraw Wewnętrznych), że opublikowania Regulaminu można się spodziewać w ciągu dwóch miesięcy. Jakkolwiek poczyniłem starania, aby mi egzemplarz Regulaminu niezwłocznie po wyjściu z druku przysłano, to jednakże do tej pory go nie otrzymałem, przypuszczam więc, że wybuchłe wkrótce po moim wyjeździe zamieszki na tle agitacji wyborczej opublikowanie regulaminu opóźniły.

Art. 5. Prawa powiada: Secretaria de Gobernación wyda Regulamin i rozporządzenia potrzebne do wykonania niniejszego Prawa, jakoteż za pośrednictwem decyzji rozstrzygnie wątpliwości, jakieby powstały przy jego stosowaniu. Ponieważ zaś z natury rzeczy takich wątpliwości nasuwa się zawsze całe mnóstwo, a komentowanie prawa zazwyczaj dopiero uwydatnia i uwypukla jego ducha, przeto tutaj należy ograniczyć się na razie do kilku rysów zasadniczych o tymże duchu mówiących.

Ponieważ Prawo Migracyjne obejmuje zarówno wychodźstwo jak i przychodźstwo przeto artykuł trzynasty powiada, że ustanawia się Spis zarówno cudzoziemców jak i krajowców przyjeżdżających do kraju lub opuszczających go, a w tym celu wedle bezpośrednio następnego artykułu czternastego, każdy cudzoziemiec czy Meksykanin jest obowiązany przy wjeździe do kraju czyli też przy jego opuszczaniu zaopatrzyć się w Osobistą Kartę Tożsamości (Identyfikacyjną) zgodnie z postanowieniami Regulaminu. Posiadanie Karty Tożsamości potrzebnej dla celów statystycznych, nie daje jeszcze prawa do opuszczenia kraju lub wjazdu, o czym zawsze pamiętać należy. Charakterystyczny jest artykuł siedemnasty, na zasadzie którego Secretaria de Gobernación ma prawo ustanawiać środki zapobiegawcze zmierzające

do powstrzymania emigracji robotników meksykańskich w warunkach nielegalnych i z prawem sprzecznych. Artykuł ten jest wywołany masową ucieczką meksykańskich peonów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie przynajmniej na Południu zastępują ubytek białych przychodźców europejskich, których ilość wskutek prohibicyjnej polityki Stanów w stosunku do przychodźstwa europejskiego znakomicie zmalała.

Imigrantem jest każdy człowiek przybywający do Meksyku na pobyt dłuższy od sześciu miesięcy, emigrantem zaś każdy, kto (o ile jest cudzoziemcem, to po pobycie przeszło sześciomiesięcznym w kraju) pragnie kraj opuścić. Od wjazdu do kraju są wykluczeni obok starców, kaleków, chorych, nieletnich, kryminalistów i t. d. i t. d. również robotnicy, którzy nie wykażą się posiadaniem kontraktu pracy zgodnie z przepisami prawa meksykańskiego najmniej na przeciąg roku, dalej posiadaniem środków materialnych potrzebnych do utrzymania siebie i rodziny na przeciąg trzech miesięcy od chwili wjazdu do kraju, niezależnie od posiadania sumy potrzebnej do pokrycia wydatków przejazdu i utrzymania przez czas tegoż aż do chwili dostania się na miejsce przeznaczenia.

Wszystkie pozostałe artykuły Prawa przewidują cały szereg formalności i przepisów związanych z procesem migracyjnym i nie przedstawiają żadnych momentów godnych szczególnej uwagi.

Więcej natomiast interesuje nas Prawo Kolonizacji jakoteż jego Regulamin: gdy Prawo składa się z szesnastu artykułów, Regulamin zawiera ich okrągło siedemdziesiąt dziewięć dając dokładne pojęcie nie tylko o Prawie kolonizacyjnym, ale i o Prawie Migracyjnym, jak się zaraz z kilku ustępów dowodnie przekonamy.

Prawo Kolonizacyjne jest faktycznie Meksykańskiem prawem o reformie rolnej opartem na artykule 27 Konstytucji Federalnej, wedle którego uważa się za sprawę użyteczności publicznej kolonizowanie gruntów narodowych i tych, które naród nabędzie w celu zastosowania w praktyce Prawa Federalnego o Nawodnieniu lub z jakiego innego tytułu, gruntów nabytych w celu kolonizacji przez Banco Nacional de Crédito Agrícola, wreszcie gruntów prywatnych stosownie do warunków niniejszego prawa. Przyczem na gruntach pierwszej i drugiej kategorii prace kolonizacyjne ma prowadzić Rząd Federalny, bądź Banco Na-

cional de Crédito Agricola, bądź nakoniec przedsiębiorcy lub kompanje kolonizacyjne i to albo oddzielnie, albo łącznie i zgodnie z przepisami Regulaminu. Na gruntach zaś trzeciej kategorii prace kolonizacyjne mogą być wykonane przez właścicieli prywatnych o ile poddadzą się dobrowolnie zarządzeniom niniejszego prawa i jego regulaminu.

Mimo całej radykalności prawa od przymusu kolonizacyjnego są wolne te własności prywatne, które są objęte należytą eksploatacją rolną, dalej własności stanowiące planowo pomyślaną jednostkę przemysłowo - rolną, prowadzoną na zasadach nowoczesnych, wreszcie własności eksploatowane przez własną administrację przynajmniej w 50% wszelkiego gatunku terenów.

Prawo przewiduje wszystkie środki przymusowe w razie, gdyby właściciel prywatny opierał się odstąpieniu gruntu dla celów kolonizacyjnych.

Uwagi godny jest Artykuł 9 Prawa, który mówi, że kolonizacja zostaje urzeczywistniona zarówno przy pomocy elementów krajowych, jak i zagranicznych, ale regulamin określi ilościowy stosunek cudzoziemców mogących osiąść na każdej kolonji, przyczem nabywanie ziemi przez kolonistów cudzoziemskich będzie podlegać przepisom Artykułu 27 Konstytucji Federalnej, ograniczającej prawa cudzoziemców do nabywania ziemi meksykańskiej.

Artykuł 11 obejmuje warunki, na których można być uznanym za kolonistę, a pomiędzy nimi na uwagę zasługują następujące: cudzoziemcy muszą złożyć w Banco Nacional de Crédito Agricola sumę tysiąca pesów (to znaczy 500 dolarów) od rodziny mając prawo używania tych pieniędzy na cele uprawy rolnej i utrzymania się i to od samego początku podjętej na kolonji pracy.

Z bardzo obszernego Regulaminu do Prawa Kolonizacyjnego, którego tutaj szczegółowo omawiać nie podobna, na specjalną z naszej strony uwagę zasługuje Rozdział II, który w artykule 17 podaje warunki, jakie mają spełnić koloniści cudzoziemskiego pochodzenia.

A więc przy braniu pod uwagę kolonistów pochodzenia cudzoziemskiego należy zważać na następujące punkty: Pierwszeństwo mają te rasy, które wykazują większą zdolność przystosowania się do zwyczajów i klimatu kraju i które zresztą na

zasadzie swej kultury mogą być uważane za elementy pożyteczne w zadaniu kształcenia rolników miejscowych.

Przy każdym projekcie kolonizacyjnym Sekretarjat Rolnictwa określi narodowości uznane za pożyteczne przy formowaniu mieszkańców kolonji.

Omawianie bodajby najważniejszych artykułów tego Regulaminu Kolonizacyjnego przechodzi zarówno cel jak i rozmiary niniejszego czysto informacyjnego artykułu, którego zadanie polega jedynie na zwróceniu uwagi na istnienie planowej, bardzo szczegółowo obmyślanej akcji kolonizacyjnej w kraju wielkim, bogatym, posiadającym niewyczerpane wprost możliwości a przedstawiającym nadto zupełnie realne a olbrzymie konjunktury handlowe dla szukającego nowych rynków zbytu przemysłu polskiego, wskutek czego przy naszych coraz śmielszych i coraz konkretniej stawianych planach polskiej ekspansji zamorskiej Meksyk nie tylko nie powinien być lekceważony i bagatelizowany, ale przeciwnie winien stać się przedmiotem poważnych, systematycznych studjów na razie chociażby na podstawie bardzo obszernej cudzoziemskiej literatury przedmiotu świadczącej ponad wszelką wątpliwość o tem, jak wielką wagę do ojczyzny Montezumy przywiązują narody dotąd przodujące, w szeregu których nie powinno brakować i narodu polskiego tak szybko zdobywającego sobie jedno z pierwszych miejsc na arenie międzynarodowej.

Że zaś ekspansja handlowa w Meksyku nie jest żadną mrzonką, lecz że posiada zupełnie realne a bardzo poważne konjunktury, dowodzi fakt już dokonany rokujący jak najśmielsze na przyszłość nadzieje. Drugi mój a tegoroczny wyjazd do Meksyku wyszedł z inicjatywy warszawskiej firmy handlowej Bracia Brygiewicz i Józef Werner, noszącej się z szerokimi planami zorganizowania wymiany handlowej pomiędzy Polską a krajami Ameryki Łacińskiej. Pan Julian Brygiewicz, honorowy Konsul Meksykański w Warszawie, powziął szczęśliwą, jak się w skutkach okazało, myśl pierwszej wyprawy handlowej do Meksyku, dla której grunt miałem zaszczyt przygotować właśnie podczas mego tegorocznego w Meksyku pobytu. Przedstawiciel firmy przywiózł jako owoc swej kilkumiesięcznej wyteżonej pracy akt zawartej spółki handlowej *I n c o l a, S. A. (Inter-cambio Comercial Latino - Americano)*, do której ze strony meksykańskiej wszedł szereg poważnych firm miejscowych, które się sprawą nawiązania wymiany handlowej między Polską a Meksykiem poważnie i szczerze zajęły. Wkrótce już zostanie wysłany pierwszy transport próbny wyrobów przemysłu polskiego za sumę kilkudziesięciu tysięcy dolarów amerykańskich

w celu zapoczątkowania tego poważnego i jak najlepsze na przyszłość rokującego nadzieje przedsięwzięcia handlowego. Niemożność konkurowania na rynku meksykańskim z przemysłem północno - amerykańskim czy niemieckim jest mitem, którego bezpodstawność jak najrychlej obalić należy. Również sprowadzanie potrzebnych nam surowców czy towarów kolonialnych wprost, bez pośrednictwa Niemiec, jest rzeczą całkowicie osiągalną nawet dzisiaj a cóż dopiero z chwilą stworzenia polskiej handlowej linii okrętowej między Gdynią i portem Vera Cruz lub Tampico. Pomyślny początek w tej sprawie uczyniony.

Wojciech Szukiewicz.

ANGOLA

jako teren ewentualnej polskiej kolonizacji.

Chcę wierzyć, że nie potrzeba już nadmiernie szeroko i zawile udowadniać, iż istnieje pilna, żywa konieczność wyszukiwania dla naszego osadnictwa nowych a odpowiednich terenów, że Polska potrzebuje gwałtownie pola dla swej ekspansji.

To też nie o tem będę pisał w niniejszym artykule.

Chcę zwrócić uwagę w tych poszukiwaniach na Afrykę.

Nie nowa to idea.

Czyż bowiem zapomnieć możemy o Beniowskim, wielkim awanturniku, zdobywcy Madagaskaru, czyż przemilczeć można o wyprawach na Złote Wybrzeże Szulza - Rogozińskiego, czyż nakoniec nie jest niejako symbolem dla nas murzyńskie państewko Lwowianina Stebleckiego w dzisiejszej Rodezji południowo - zachodniej w końcu ubiegłego wieku istniejące.

I kiedy szlakiem tych nazwisk idę — nasuwa mi się teren jak na dzisiejsze czasy i warunki jedyny w swoim rodzaju i bardzo dla nas dogodny — Angola.

A zanim jeszcze przejdę do opisu Angoli, jako terenu polskiej ekspansji osadniczej, pragnąłbym bodaj w kilku zdaniach określić warunki, które zdaniem mojem kwalifikują dany teren, jako podatny dla Polski. Warunki te są dwa: Pierwszy i najważniejszy, to warunek natury politycznej, by teren ten był w posiadaniu państwa, potrzebującego osadników tak dobrych jak nasi, nie mającego pozatem sprzecznych interesów z Polską, drugi warunek natury gospodarczej, by osadnik nasz mógł w tym kraju znaleźć odpowiednie dane klimatyczne, ekonomiczne i życiowe. Pod kątem widzenia tych warunków rozpatrywać będziemy też Angolę.

Portugalja a Angola. — Ongiś i dziś.

Wielki duch bohaterskiego księcia Luzytanów, Henryka Żeglarza, owiewał odkrywcę i zdobywcę portugalskiego, Diego Caô, który za panowania króla Jana II-go zawinął porażkę pierwszy w drodze w dalekie światy do ujścia Kongo w 1482 roku. Rozciągało się tam wtedy potężne i wielkie państwo murzyńskie, które oprócz dzisiejszego Konga Belgijskiego obejmowało także i lenne państewka Loango i Angola. Data ta to początek panowania Portugalskiego na tej bogatej ziemi. W 1490 r. tam, gdzie dziś leży San Salvador powstaje pierwsza misja katolicka. Za mieczem idzie akcja kulturalna. Ale, mimo że papież Aleksander VI w 1493 r. przyznał Portugalji wszystkie jej nowo w Afryce zajęte tereny, odkrycie Indji, a zaraz potem Brazylii odwraca uwagę Portugalji od „czarnego lądu”. Już ani Bartłomiej Diaz ani słynny Vasco da Gama w swych opiewanych podróżach nie zawinęli do portów Angoli. Dopiero od wyprawy Pawła Diaza w 1560 roku rozpoczyna się systematyczny podbój dzisiejszej Angoli i rozszerzanie wpływów portugalskich w tej połaci globu.

Dzieje tych podbojów różne bardzo były. Jedne okresy znaczyły się tryumfami miecza luzytańskiego, ale nie brakło też i klęsk. Niemniej powoli rozszerzało się panowanie Portugalów coraz dalej, coraz szerzej. Już w początkach XIX wieku cały teren dzisiejszej Angoli był zajęty. Kiedy Livingstone w maju 1854 roku ukończył swą pierwszą podróż przez kontynent afrykański zdawało się, że portugalskie terytorja ciągnąć się będą nieprzerwanie od Loandy po Mozambik. Tymczasem powstawała jednakże dla zamierzeń portugalskich groźna konkurencja. Cecil Rhodes wbił klin między Angolę i Mozambik, odbierając tym dwu kolonjom połączenie. Równocześnie apetyty niemieckie poczęły z drugiej strony zagrażać portugalskiemu stanowi posiadania. Ekspansja portugalska znalazła swój kres. Wojna uratowała ją od zachłannych sąsiadów. Ale Portugalja nie powinna zapominać, że dziennik berliński „Post” już po wojnie pisał:

„Jak można zostawiać narodowi niezdolnemu do rządzenia się samym sobą, narodowi, wśród którego panuje barbarzyństwo, opiekę nad kolonizowaniem niezmiernych terytorjów? Portugalja niema prawa do tych krajów; jej prawa historyczne skończyły się. Byłoby to zbawieniem, błogosławieństwem dla okolic

afrykańskich, w których do tej pory powiewa jeszcze sztandar portugalski, jeśli by się one dostały w posiadanie innego rządu". Słowa nad wyraz jasne. Portugalja powinna o nich pamiętać.

I w tej sytuacji, że osadnictwo białych postępuje w Angoli nad wyraz powoli, i jak się wydaje, bez pomocy osadników jakiegś innej narodowości nie posunie się żywiej naprzód, leży spełnienie warunku pierwszego natury politycznej, iż istnieją podstawy dla osadnictwa polskiego, które dla Portugalji przedstawia nie tylko świetny materiał ludzki pod względem pionierskim, ale także pewny lojalny, element polityczny, czego najlepszym dowodem są kolonie polskie w Brazylii.

Obszar i powierzchnia.

Angola to kraj olbrzymi. Obejmuje ona obszar 1.255.775 klm. kw. powierzchni, czyli ponad trzy razy więcej jak ma cały obszar Rzeczypospolitej Polskiej. Leży na wybrzeżu zachodnim Afryki i ciągnie się od ujścia rzeki Zaire t. j. mniej więcej od 5-go st. poł. szerokości geograficznej do ujścia rzeki Kunene t. j. do 18-go st. poł. szer. g. Długość wybrzeża wynosi 1.625 klm. i stanowi dystans dalszy jak od Sztokholmu do Neapolu.

Od północy graniczy Angola z francuskim i belgijskim Kongo, od zachodu z Rhodesią a od południa z dawną Południowo - zachodnią Niemiecką Afryką, obecnie znajdującą się pod mandatem Unji południowo - afrykańskiej.

Wybrzeże ma cały szereg dobrych portów, z których najlepsze są Loanda, Lobito (Benguella) i Mossamedes.

Kraj dzieli się na trzy prowincje: Loanda, Benguella i Mossamedes.

Terytorjum Angoli należy do dorzecza rzek Kongo i Coanza, płynących do Atlantyku na północy oraz Kunene na południu i do dorzecza Zambezi, która wraz ze swymi potężnymi dopływami przeznajacemi zachodnią Angolę spływa do Oceanu Indyjskiego, Kongo i Coanza są spławne od ujścia, natomiast Kunene i inne mniejsze rzeki, wpadające do Atlantyku wysychają w pustynnym pasie nadmorskim w czasie pory suchej i jedynie podczas deszczów koryta ich niosą wody aż do Oceanu. Natomiast na płaskowyżu i te rzeki również mają sporo wody. Wobec tego, że wszystkie rzeki przepływają kraj w tarasach opadający i że

różnice poziomów są kolosalne, źródła rzek bowiem mieszczą się na wysokości z górą 1500 metrów przeto bieg ich obfituje w wodospady, zabezpieczające ogromne zapasy siły wodnej. Z tych samych względów istnieją też możliwości zamykania rzek tamami dla gromadzenia w odpowiednich zbiornikach zapasów wody na okres posuchy, względnie dla nawadniania okolic pustynnych.

Rzeczą charakterystyczną dla Angoli jest jej ukształtowanie powierzchni, które w sposób zasadniczy i to korzystny dla osadnictwa europejskiego wpływa na klimat. Angola rozpada się mianowicie na 3 pasy ciągnące się z południa na północ równolegle mniej więcej do wybrzeża Oceanu. Pierwszy pas nadmorski nie wznosi się wyżej niż 350 metrów nad poziom morza i ma zależnie od okolicy szerokość od 100 do 600 klm. (na północy jest szerszy). Drugi pas to strefa lesistej wyżyny, dochodzącej do 850 metrów nad poziom morza. Pas trzeci to wysoki płaskowyż, który ma od 850 do wyżej niż 1800 metrów nad poziom morza. Najwyższe wzniesienie osiąga on w okolicach Huambo, Lubango i Huilla opadając ku południu, zachodowi i północy łagodnie a przechodząc w pas drugi od strony morza. Ten pas czy lepiej powiedzmy tę strefę rozszerzyć można jeszcze o strefę niejako czwartą, t. j. niższą nieco co do wysokości płaskowyżną w dorzeczu górnej Zambezi i jej dopływów na zachodzie Angoli. Najwyższe wzniesienia znajdują się na południu kraju na terenie Huilli, gdzie góry Lovilli mają 2.370 metrów a Elonga 2.300 metrów wysokości.

Klimat i stan zdrowotny.

Ukształtowanie powierzchni, o którym powyżej piszemy wpływa rzecz prosta bardzo dodatnio na klimat Angoli. Drugim powodem, że klimat Angoli jest chłodniejszy od innych terenów tej szerokości geograficznej jest fakt, że o wybrzeże Angoli ociera się idący od południa od Oceanu Antarktycznego prąd zimny. To też, aczkolwiek cały obszar Angoli leży w tropikach, mówiąc o Angoli należy właściwie traktować ją jako kraj wyraźnie tylko subtropikalny i jako przedłużenie Afryki Południowej.

Rola owego ochładzającego prądu jest tak wyraźna, że kiedy mieszkaniec Mossamedes w poranek październikowy ubiera gruby paltot, to zamieszkały w tej samej szerokości Europejczyk

w Mozambiku chodzić musi tylko w koszuli. Ten wpływ oziębiającego prądu daje się jeszcze bardzo wyraźnie odczuwać w Benguelli, czy położonem obok niej bardzo zdrowem Lobito, a nawet w samej Loandzie, która leży już bardzo blisko równika.

Również korzystnie odbija się na klimacie Angoli jej ukształtowanie powierzchni.

W pasie nadmorskim temperatura średnia waha się od 20 st. C. w Mossamedes do 30 st. C. w Cabinda. Średnia ilość opadów waha się w roku od 75 cm. na północ od Kongo do 2.5 cm. w Mossamedes. Jest to niekorzystny rezultat owego oziębiającego prądu oceanicznego. Okolice Mossamedes są też pustynne, natomiast okolice nadmorskie na północy przedstawiają tropikalny bór o bogatej roślinności.

Drugi pas ma średnią temperaturę taką samą jak pas pierwszy, zato średnie opady wahają się od 1.50 m na północy do 50 cm na południu. Większe opady atmosferyczne sprawiają, że i południowa część Angoli w tej strefie jest już urodzajna.

Nakoniec trzeci pas wysokiego płaskowyżu ma temperaturę średnią od 15 do 25 st. C. zależnie od północy czy południa a opady wahają się od 1.25 m na północy do 75 cm na południu. Zarówno temperatura jak i opady wahają się zależnie od wysokości.

Naturalnie, że zasady te, które można przyjąć jako reguły napotykają liczne odchylenia zależnie od wysokości i od szerokości geograficznej. W każdym razie klimat całego pasa trzeciego w środkowej i południowej Angoli oraz części najwyższej płaskowyżu Melanje w prowincji północnej Loanda jest umiarkowany do subtropikalnego i w zupełności dla białych się nadaje. Ma on dwie ujemne strony. Na południu bardzo małe opady deszczowe, a na płaskowyżu wielkie różnice temperatury dnia i nocy, wpływające ujemnie specjalnie niekorzystnie na plantacje, a odbijające się również czasem źle na zdrowiu ludności. Trzeba dodać, że na płaskowyżu Benguelli czy Mossamedes w zimową porę temperatura opada do 6 st. C. poniżej zera.

Jeszcze parę szczegółowszych danych odnośnie do tych okolic, które specjalnie wchodzi w grę jako tereny nadające się dla osadnictwa europejskiego. A więc:

Płaskowyż Melanje w Loandzie, położony przy linii kolejowej Loandy w głąb kraju ku granicy Konga Belgijskiego do-

sięga 1000 metrów nad poziom morza. Średnia temperatura waha się od 16 do 26 st. C., a średnie opady wynoszą około 90 cm. rocznie. Okolica cała nadaje się dla osadnictwa białych, jedyną jej słabą stroną jest panująca tam malarja. (Jest to zło dające się usunąć).

Największy obszar, nadający się do kolonizacji przez Europejczyków leży na linii kolejowej Beguella (Lobito), idącej do Catangi. Tu na wysokości 1500 m. temperatura waha się od 15 do 28 st. C., a średnie opady wynoszą około 125 cm. dalej zaś około Huambo i Bella Vista, (poziom nad morze wynosi tutaj około 1800 m.), temperatura waha się od 14 do 25 st. C. średnie zaś opady przekraczają 1 m.

Podatny bardzo do osadnictwa i zdrowy okręg to rejon płaskowyżu Huilla w Mossamedes, gdzie koło Lubango, Huilli i Chibia temperatura średnia waha się od 13 do 26 st. C., a opady deszczowe dochodzą 1 m. Te dwa ostatnio wymienione rejony, jak to można skonstatować wśród zamieszkałych tam osadników portugalskich i boerskich, nadają się pierwszorzędnie dla Europejczyków.

Ogólna ocena klimatu w stronach, nadających się dla osadnictwa europejskiego na bardzo wysokim płaskowyżu interioru Angoli, wedle opinii podróżników i samych długoletnich mieszkańców jest jaknajpochlebniejsza. Klimat to typowy wysokogórski, a więc jak długo słońce świeci to temperatura jest wysoka, gdy znika robi się chłodno. Ale słońca jest dużo a równocześnie powietrze jest ożywcze. Klimat ten przypomina klimat stanu Goyaz w Brazylii, dokąd na płaskowyż ma być ze względu na zdrowotność klimatu przeniesiona stolica Brazylii, a który to stan leży na tej samej szerokości właśnie co Angola. Poza typową dla klimatu wysokogórskiego ogromną różnicą między temperaturą dnia i nocy powodującej łatwość zaziębienia się, klimat jest wyraźnie zdrowy. Podobny klimat jest w Paranie i służy osadnikom doskonale.

Inna rzecz, że w Angoli, jako krainie położonej właściwie w tropikach panuje szereg chorób, występujących epidemicznie w dolnych rejonach a występujących także i na płaskowyżu, powodowanych zaś przez moskity, muchę tse-tse, czy różnych przedstawicieli drobnoustrojów.

Moskity, roznoszące malarję, występują niemal wyłącznie

poniżej 1300 metrów nad poziom morza, ale mogą tu i owdzie pojawiać się i ponad tą granicą. Generalnie jednakże można powiedzieć, że centralna i południowa wyżyna Angoli jest wolna od malarji. Z terenów nadających się ze względów klimatycznych na osadnictwo białych jedynie wyżyna Melanje w Loandzie ma malarję. Ale zresztą, jak to widać na wielu przykładach z Europy nawet, nie mówiąc o innych okolicach globu, przy pewnym nakładzie środków i energii można tereny malaryczne uzdrowić. Nie jest to więc zasadnicza przeszkoda dla kolonizacji.

Podobnie przedstawia się sprawa ze śpiączką. Granicą jej jest na ogół jak to stwierdzają wszystkie badania również wzniesienie ponad 1300 metrów, co również nie wyklucza faktów, że mucha ta występująca czasami i w okolicach wyżej położonych. Niemniej można uważać okolice wymienione w centralnej i południowej Angoli za wolne od muchy tse-tse, a temsamem od śpiączki i choroby dziesiątkującej bydło i konie.

Pozatem ma się do czynienia w Angoli jak we wszystkich tropikalnych i subtropikalnych krajach z różnego rodzaju chorobami skórnymi czy plagami w rodzaju pchły ziemnej lub t. p. Ale to wszystko nie może w żadnej mierze poważniej zagrażać, już nie tylko życiu ale wprost zdrowiu osadnika jak nie zagraża np. w Brazylii, gdzie tego rodzaju przypadłości nie brak a mimo tego osadnictwo europejskie kwitnie.

Fauna i flora.

Zanim przystąpię do ustępu o ludności pragnę jeszcze zapoznać czytelnika z florą i fauną Angoli, są to bowiem ważne czynniki, dopełniające tła obrazu danej krainy.

W przeciwstawieniu do Brazylii, gdzie flora dominuje nad fauną, w Angoli na pierwszy plan wybija się fauna. Angola jeszcze niedawno była istnym rajem dla myśliwych, dzięki zarówno ogromnie rozmaitej jak i bogatej faunie, specjalnie zaś dzięki olbrzymiej ilości grubego zwierzca. Opisy wszystkich podróżników, którzy przemierzali bory i stepy Angoli, jak Cavazzi, Livingstone, Cameron, Capello i Ivens, Serpa Pinto, Carvalho czy Joaô de Almeida, zgadzają się co do tego, że fauna wogóle a zwierzostan myśliwski specjalnie były niedawno jeszcze wprost przebogate.

Niestety z jednej strony niszczycielski sposób polowania, uprawiany przez Boerów, którzy w Angoli osiedli, z drugiej strony zaś słaba ochrona zwierzośtanu ze strony władz, które bardzo łatwo i za niską cenę dają prawo odstrzału grubego zwierza sprawiły, że obecnie jest już dużo gorzej ze zwierzośtanem i że o ile nie zajdzie reforma tego stanu rzeczy to niedługo całe gatunki zwierza zostaną wyniszczone. W każdym razie dziś jeszcze Angola ma wszelkiego rodzaju zwierza od najgrubszego począwszy we wielkich ilościach. Oto najbardziej znamienni przedstawiciele fauny angolańskiej:

Na pierwszym miejscu idzie naturalnie słoń, dalej hipopotam, oraz wszelkiego rodzaju dziki, z których cztery rodzaje na specjalną zasługują uwagę. Dalej idzie bawół afrykański, dziki okazały kuzyn naszego żubra oraz drobniejsze jego odmiany jak krowa kaferska itp. Ma Angola naturalnie i nosorożca i żyrafę i zeburę, która występuje w dwu odmianach. Na bogatych stepach hoduje się nieprzeliczona moc antylop od olbrzymiego ich reprezentanta, którego rogi w kształcie szabel kawaleryjskich w tył odgiętych dochodzą półtora metra długości (*Hippotragus niger variani*), do odmiany malutkiej gazelli - skoczka (*Antidor cas euchore*). Tu należą: oryksy, gnu, kudu, elandy, kozły rzeczne i t. p.

Nie brak i drapieżników. Lew, lampart, dwie odmiany hieny, dziki pies, szakal i szereg odmian wilków oraz kotów, oto przedstawiciele tej gałęzi fauny.

Z małp na pierwsze miejsce wysuwają się goryle i szimpansy, nie brak też mandryli i całego szeregu małp mniejszego gatunku. Są dwa gatunki mrówkojadów, oraz sporo drobniejszej zwierzyny, jak zające, króliki skalne, dwa rodzaje jeżatki i t. p.

Ptaków opisał Bocage ponad 700 gatunków, z tego 200 w pasie nadmorskim, 257 na niższym płaskowyżu i 386 w głębi kraju. Jest tu ogromna różnorodność, od strusia począwszy do malutkich śpiewaków i od potężnego orła do malutkiego „wskaźniacza”, który siada na zwierzynie i płoszy ją, zwracając uwagę na myśliwego.

Licznie reprezentowane są płazy. Na czele idzie krokodyl, oraz szereg jaszczurów mniejszych i większych, kamelony czy t. p. Wężów jest około 100 gatunków, z czego połowa jadowitych.

Najniebezpieczniejszy to wąż zwany Mamba. Ryb, zarówno morskich jak i rzecznych jest wielka obfitość i różnorodność.

Tu jeszcze parę zdań o owadach, które, niestety, grają w Angoli, jak we wszystkich krajach tropikalnych, rolę ujemną. Najgorszym wrogiem są komary, roznoszące zarazki malarji, oraz mucha tse - tse, powodująca śpiączkę. Oba te owady nie są jednakże, jak to podkreśliłem w ustępie o stanie zdrowotnym rejonu, nadającego się na osadnictwo, t. j. położonym ponad 1300 metrów wysokości, groźne i o ile tam występują, to tylko sporadycznie.

Natomiast bardzo przykrą jest plaga termitów. Owad ten, podobny z trybu życia do mrówek, poważnie zagraża życiu osadnika, niszczy budowle, a nawet podkłady z drzewa, nie mówiąc już o zasiewach oraz plantacjach. Poza to jest w Angoli kilka gatunków mrówek, w tem najgorszy znany pod nazwą rabusi wędrownych, które niszczą wszystko, co spotkają na drodze swego pochodzenia, oraz kilka gatunków drobnych mróweczek, które specjalnie wążą do pokarmów i zapasów. Nie brak różnych much, os i t. p., które uprzykrzają życie podróżnika i stałego mieszkańca. Do takich dokuczliwych insektów należy znana pchła ziemna, występująca także i w Brazylii. Wszystko to jednakże razem nie umila może wprawdzie, ale nie może powstrzymać rozwoju normalnego życia.

Jeśli przejdziemy do flory, to przedstawia się ona może nie tak wspaniale jak fauna, ale niemniej bardzo okazała.

Słynny podróżnik, botanik Welwitsch, którego prace o flory Angoli nic po dziś dzień nie straciły na wartości, dzieli Angolę na 3 strefy botaniczne: pustynny na południu i w centrum kraju, a lesisty na północy pas nadmorski, lesisty pierwszy płaskowyż dosięgający 850 metrów nad poziom i stepową wyżynę w głębi kraju, gdzie lasy występują tylko w dolinach rzek. Naturalnie, że na północy, gdzie opadów jest znacznie więcej, wegetacja wogóle jest bujniejsza i lasy potężniejsze.

Różnorodność drzewostanu jest w Angoli ogromna. Od potężnych baobabów do drobnych, karłowatych odmian akacyj, rosnących po stepach, od twardych gatunków drzew, służących do wyrobu mebli i budowy okrętów, których nawet wszystko niszczące termyty uszkodzić nie potrafią, do kruchych i nic nie wartych bujnych olbrzymów — w Angoli rośnie paręset nagminnie

występujących gatunków. Dla botanika jest tych gatunków znacznie więcej.

Sporo gatunków drzew ma specjalne zastosowanie czy to dla wyrobu lekarstw, czy do wydobywania garbników, czy na koniec do sporządzania cennych rodzajów włókien.

Pełno naturalnie jest wszelkiego rodzaju kwiatów, barwnych i oczy zachwycających, nie brak też rzecz prosta roślin trujących, niebezpiecznych zarówno dla ludzi, jak zwłaszcza dla bydła.

Eksploatacja bogactw flory stoi jeszcze w Angoli bardzo nisko, aczkolwiek warunki po temu są bardzo dobre, o ile chodzi o materiał, natomiast inne względy sprawiają, że przemysł tej branży się nie rozwija.

Rolnictwo oraz hodowla i możliwości w tej dziedzinie.

W tym ustępie chciałbym zwrócić uwagę na możliwości, jakie w Angoli istnieją w dziedzinie rolnictwa i hodowli, jako że wiążą się one z poprzednimi uwagami, a równocześnie pozwalają na sprecyzowanie szans osadnictwa.

Rolnictwo i produkcja plantacyjna są główną podstawą gospodarczego życia kolonji. Zaznaczyć tu należy, że możliwości już stwierdzone są na tem polu daleko większe, niż do tej pory zdołano osiągnąć faktyczne rezultaty, głównie z powodu braku prawdziwego rolniczego elementu osadniczego.

Przejdźmy po kolei całą tę dziedzinę:

Kawa. Północna część Angoli ma specjalnie podatne warunki dla kawy, rośnie tam nawet dziko krzew kawowy. To też plantacje kawy w tej części kraju mają warunki przyrodzone i udają się. Stosuje się tam trzy gatunki kawy, ale z tych tylko dwa wchodzi w grę, a to odmiana arabska (*Coffea arabica*), mająca specjalne walory, jak lepszy smak i większy procent cukru, oraz miejscowy afrykański gatunek (*Coffea liberica*), mający większe ziarna i bardziej odporny na zarazy. W roku 1926 wywieziono z Angoli za 56.633.000 milrejsów portugalskich kawy, co stanowiło około 30% ogólnej wartości eksportu z kolonji. Grunta, klimat i wzniesienie nad poziom w północnej Angoli dają wszelkie warunki do plantacji kawy, to też kultura ta rośnie, a możliwości są tu bardzo wielkie. Jedynie ilość opadów atmosferycznych jest nieco zamała.

Kakao. Północna Angola ma warunki doskonale do plantacji kakao. Jest to produkcja, wymagająca wielkiego nakładu kapitału, ale bardzo rentowna. Bogactwo wyspy S. Thome, Złotego Wybrzeża, czy Wenezueli, ma swe źródło w tej kulturze. Początki w Angoli już są zrobione.

Kauczuk. Jak w tej chwili plantacje kauczuku są jeszcze mało zaprowadzone, ale doświadczenia z brazylijską odmianą kauczuku dały na stacji doświadczalnej w Cazengo rezultaty bardzo dobre. Możliwości w tej dziedzinie są duże. Obecnie eksploatuje się jedynie przez krajowców krajową odmianę mało-wartościowego kauczuku, wydobywaną z korzenia metodami bardzo rabunkowymi, ta gałąź eksploatacji upada jednakże bardzo szybko.

Bawełna. Plantacje bawełny są prowadzone na bardzo niską skalę. Ale zarówno grunta jak i klimat są bardzo dla tej kultury podatne. Specjalnie w okręgu Melanje i południowym Coanza są dobre wyniki z próbami.

Tytoń. W tej chwili tubylcy produkują sporo tytoniu dla własnego użytku, ale jest to tytoń niskich gatunków. Próby jednakże z kulturą gatunków wysokich były robione z rezultatami zadawalniającymi.

Rośliny włókniste. Cały szereg roślin daje dobre włókno, między innymi pewien rodzaj dzikiego ananasu. Pozatem kulturuje się sisal i rodzaj agawy, której plantacje nawet w bardzo bezwodnych okolicach dają dobre wyniki.

Palmy i rośliny oleiste. Jest tu już sporo plantacji palmy kokosowej i pewnego rodzaju palmy krajowej, dającej doskonały olej. Tereny nadające się na plantacje palmy kokosowej obliczają na tysiące hektarów. Jest pozatem możność wprowadzenia plantacji innych specjalnie nadających się dla produkcji oleju roślin.

Barwikłi, garbniki i rośliny aptekarskie. Istnieje cały szereg roślin, krzewów i drzew, dających już to barwikłi, już to garbniki, już to wreszcie jak Cola czy chinina środki lecznicze.

Przejdźmy od działu plantacyjnego, mającego na celu wydobywanie czy produkowanie pierwszorzędnych surowców, co może mieć zasadnicze znaczenie dla Polski w dalszej perspektywie, jako jeden z atutów gospodarczej samostarczalności, do go-

spodarki rolnej, interesującej w pierwszej mierze osadnika samego, daje mu bowiem ona „chleb powszedni”.

Mandjoka. Jednym z głównych produktów rolniczych jest mandjoka, stanowiąca podstawowe pożywienie krajowców. Kultura mandjoki udaje się świetnie.

Orzeszek ziemny. Drugim takim popularnym produktem jest rodzaj orzeszka ziemnego, którego tubylcy używają do pożywienia, a który nadaje się również do wyrobu oleju.

Fasole. Kulturyje się masowo szereg gatunków fasoli, w tem także znany w Brazylii gatunek drobny, czarny, słynny fizon (feijaô).

Kukurydza. Jest to główny produkt rolniczy Angoli. Kukurydza udaje się doskonale. W 1926 roku wywieziono z Angoli 36.753 ton kukurydzy, wartości 22.589.000 milrejsów portugalskich. Kukurydza daje się plantować dwa razy do roku, w czasie pory deszczowej na wzgórzach, w czasie pory suchej w dolinach rzek. Średni zbiór z hektara wedle danych angielskich przy kulturze dosyć lichej daje lekko 8 centnarów. Jest to rezultat przy ekstensywnej gospodarce zadawalniający. Niestety, produkt eksportowany do Lizbony był bardzo niedbale przygotowany, niedostatecznie wysuszony i dlatego duży procent jego zmarnował się zupełnie, a wogóle ceny kukurydzy z Angoli na rynku w Lizbonie były bardzo niskie. Na wyżynie, na stepach są doskonałe warunki do kultury kukurydzy systemem maszynowym.

Ziemniaki. Grunta w szeregu punktów kraju nadają się dla uprawy ziemniaków. Dane angielskiego podróżnika Stathama wskazują na to, że na gruntach dobrych przy wględnie starannej uprawie osiągnano z hektara zbiór 180 centnarów. Naturalnie, że mowa tu o ziemniakach europejskich. Kultura ta może być dla osadników źródłem bardzo dużych zarobków, gdyż cała centralna Afryka importuje ziemniaki z Europy. Pozatem naturalnie świetnie udają się krajowe ziemniaki słodkie, tak zwane bataty.

Pszenica. Spore połacie kraju nadają się na kulturę pszenicy. Średni zbiór na gruntach nienadzwyczajnych wynosi około 8 centnarów z hektara, ale na gruntach dobrych, przy starannej kulturze, jak np. na farmie doświadczałnej Cuito, osiągnano do 16 centnarów z hektara. Jest to również ważny czynnik w życiu osadnika. Przedewszystkiem doświadczenie wykazuje, że tam, gdzie się

udaje pszenica, tam doskonale prosperuje nasz osadnik polski, pozatem zaś produkcja pszenicy z jednej strony uniezależni kolonję od importu chlebowych zbóż, z drugiej zaś strony stwarza warunki dla eksportu pszenicy do terenów centralnej Afryki, importującej mąkę z Europy.

Żyto, owies i jęczmień. Kultury tych zbóż nie są prowadzone na większą skalę, ale udają się zupełnie dobrze. To samo odnosi się do kultury pasz zarówno gatunków krajowych, jak i importowanych. Ma to znaczenie przy hodowli pierwszorzędne.

Trzcina cukrowa i ryż. Plantacje trzciny cukrowej dają bardzo dobre rezultaty. W kraju jest szereg fabryk cukru, niektóre są nawet wyposażone w najlepsze maszyny nowoczesne. W roku 1926 wywieziono z Angoli za 10.122.000 milr. port. cukru (5.4% ogólnej wartości eksportu z kolonji). W północnej części Angoli ryż udaje się w kilku odmianach zupełnie dobrze.

Sadownictwo. Sadownictwo ma wszelkie warunki rozwoju. zarówno plantacje bananów, pomarańcz, czy innych owoców południowych, jak nawet owoców importowanych ze strefy umiarkowanej udają się bardzo dobrze.

Bydło. Możliwości w dziedzinie hodowli są bardzo poważne. Sam kraj przedstawia typowy teren hodowlany. Niestety, jak do tej pory stan liczebny bydła w Angoli nie odpowiada zupełnie warunkom. Składały się na to liczne względy, jak to walki między plemionami, ofiary z bydła po śmierci szefów plemion, nakoniec bardzo groźny wróg hodowli w postaci muchy tse - tse. Pierwsze przyczyny zostały już w poważnej mierze usunięte, a nawet z działaniem muchy tse - tse walczy się przy pomocy różnych serum niemieckiego czy angielskiego wynalazku. W każdym razie centralny i południowo - wschodni płaskowyż nadaje się doskonale do hodowli bydła, gdyż muchy tse - tse tam niema.

Rasa miejscowego bydła nie jest wielka, dochodzi średnio wagi 350 funtów, ale budowę ma ładną i krzyżowana z materiałem importowanym daje rezultaty zarówno dobre na mięso, jak i na mleko. W tej chwili w rękę tubylców i osadników europejskich są już wielkie stada bydła. Przemysł mięsny ma wszelkie szanse powodzenia.

Konie. Koni jest w Angoli bardzo mało, prawie wyłącznie należą do Boerów. Ale mucha tse - tse i choroba końska nie

pozwalają rozwinąć się tej hodowli. To samo, może trochę w mniejszym stopniu, odnosi się do mułów.

Nierogaczna. Natomiast świetne warunki ma hodowla nierogaczna. Jak to stwierdzają wszyscy podróżnicy, między innymi Anglik Statham, rasa miejscowa świń odznacza się bardzo okazałymi rozmiarami i krzyżowana z odpowiednimi gatunkami importowanymi daje doskonałe wyniki. Przyszłość tej hodowli jest tem większa, że miejscowe świny nie podpadają żadnym chorobom.

Kozy i owce. Hodowla kóz i owiec udaje się dobrze, tylko, że owce nie dają wełny niemal wcale, albo tylko bardzo mało wartościową.

Bardzo dobre są warunki dla jedwabnictwa i pszczelarstwa.

Dobrze udaje się też drób, tylko, że rasa drobiu miejscowego jest bardzo drobna.

Wyliczone powyżej możliwości w zakresie hodowli i rolnictwa wykazują, że Angola ma warunki, by z jednej strony stać się gospodarczo samostarczalną, by dalej móc wytwarzać surowce cenne dla Polski, że ma z drugiej strony warunki do przyjęcia wielkiej ilości osadników europejskich, przystosowanych do życia w rejonie zbóż chlebowych.

Nie tu koniec możliwości Angoli.

(C. d. n.)

K. Głuchowski.

Prawne podstawy nauczania języka ojczystego dzieci polskich we Francji.

Podstawy prawne francuskiego szkolnictwa prywatnego wogóle, a w szczególności nauczania języka ojczystego dzieci polskich robotników, są we Francji niezmiernie skomplikowane. Francuskie ustawodawstwo szkolne w odniesieniu do publicznego szkolnictwa powszechnego, jest wyrazem ogólnej tendencji prawodawstwa, starającego się wyeliminować ze szkoły publicznej wpływy kleru.

Szkolnictwo prywatne, istniejące dzisiaj na terytorjum republiki na mocy całego szeregu rozporządzeń i dekretów rządowych, miało w pierwszym rzędzie umożliwić naukę religii dzieciom katolickiej części społeczeństwa Francji. Ponieważ francuskie prawodawstwo szkolne zasadniczo wogóle nie pozwala na zakładanie we Francji szkół prywatnych, a tembardziej szkół z obcym językiem wykładowym, przeto istniejące już szkolnictwo prywatne jest pozbawione niemal wszelkiej kontroli rządowej i reglamentacji prawnej, jak co do jego form organizacyjnych, tak i co do sposobu lub systemu nauczania.

Francuska publiczna szkoła powszechna jest bezwyznaniowa i kler do niej dostępu nie posiada. Ta zasada jest we Francji tak ściśle przeprowadzona i przestrzegana, że administracja szkolna zwraca nawet uwagę, aby dzieci i poza szkołą nie chodziły do kościoła na naukę katechizmu. Jednak chcąc zaspokoić potrzeby religijne, bądź co bądź znacznego odłamu katolickiej ludności kraju, ustawodawstwo francuskie wprowadziło dwoiste powszechne nauczanie, t. zw. l'enseignement laïque (publiczne szkolnictwo powszechne), będące w zarządzie państwa i l'enseignement libre (prywatne szkolnictwo powszechne), utrzymywane, zarządzane i nawet pozostające pod kontrolą pedagogiczną djecejalnych władz biskupich. Choć formalnie władza państwowa

rozciąga kontrolę i nadzór nad l'enseignement libre, jednak praktycznie państwowi inspektorowie szkolni pozostawiają zupełną swobodę szkołom prywatnym tak pod względem zastosowywania tego lub innego systemu pedagogicznego, jak i doboru pomocy naukowych, lub nauczania tych albo innych przedmiotów. Oczywiście nauka w takich szkołach winna się odbywać w języku francuskim. Z tych względów francuskie szkolnictwo prywatne z biegiem lat wytworzyło swe własne swoiste i specyficzne ramy, daleko odbiegające zresztą od normalnego typu nowoczesnej szkoły powszechnej. We Francji wprawdzie istnieje ustawa z dn. 28 marca 1882 r., która wprowadza przymus powszechnego nauczania, jednak z powodu ustanowienia dwoistego nauczania niższego, sama zasada powszechnego nauczania została w republice podważona.

Praktycznie biorąc, rodzice mają prawo wyboru tej lub innej szkoły, lub też mogą wogóle dziecka do szkoły nie posyłać.

W szkole prywatnej nie ma jeszcze oczywiście możliwości nauczania w języku obcym, tembardziej, że francuskie ustawodawstwo szkolne jest tak skonstruowane, że wogóle możliwość tę wyklucza.

Dopiero prawo z dn. 30 października 1886 r. wprowadza, wprawdzie częściowo i zresztą bardzo oględnie, możliwość nauczania dzieci cudzoziemskich w ich języku ojczystym. Prawo to zezwala na zakładanie szkół z obcym językiem wykładowym w miejscowościach kąpielowych i kuracyjnych.

Jest rzeczą jasną, że prawo z roku 1886 wywołane było względami wyłącznie fiskalnemi. We Francji rok rocznie przebywa setki tysięcy cudzoziemców, którzy przyjeżdżają tutaj specjalnie w celach leczniczych. Ludzie ci w wielu wypadkach przybywają tu na dłuższy okres czasu wraz z rodzinami. Dochody zaś z racji przebywania na ziemi francuskiej turystów i kuracjuszków wykazują bardzo poważną pozycję w budżecie państwowym. Jest rzeczą oczywistą, że ustawodawcy z r. 1886 chodzili w pierwszym rządzie o zagwarantowanie skarbowi tych dochodów przez ułatwienie bogatym cudzoziemcom bytowania we Francji.

Jeżeli weźmiemy teraz pod uwagę wyszczególnione wyżej dwa momenty, a mianowicie szkolnictwo prywatne (l'enseignement libre) i prawo z roku 1886, to widzimy, że tu jest ta furтка,

przez którą można było wejść do nauczania polskiego we Francji. I właśnie w ramach francuskiego szkolnictwa prywatnego przy zastosowaniu prawa z r. 1886 wytworzono wprawdzie na razie tylko pozory szkolnictwa polskiego we Francji. Mówię pozory, ponieważ dzisiaj jeszcze na terenie republiki niema szkół z językiem wykładowym polskim, są natomiast prywatne szkoły francuskie, do których uczęszczają dzieci polskie i gdzie jest wykładany język polski, jako jeden z poszczególnych przedmiotów.

Widzieliśmy, że prawo z roku 1886 zezwala na zakładanie szkół z obcym językiem wykładowym tylko w miejscowościach kąpielowych i kuracyjnych.

Delegacje, rokujące kilkakrotnie nad polsko - francuskimi układami emigracyjnymi, unikały zapewne celowo dyskusji w sprawie szkolnej, nie chcąc stwarzać sobie trudności ze względu na formalne brzmienie ustawodawstwa w tej kwestji. Chciano pozostawić w tej materji swobodę działania inicjatywie prywatnej.

Dla tych względów w konwencji sprawa nauczania dzieci polskich we Francji jest zupełnie pominięta. Konwencja jedynie stwierdza, że władze francuskie biorą na siebie obowiązek rozciągnięcia przymusu szkolnego i na dzieci polskie, co zresztą nie jest wykonywane.

To też już w dniu podpisania protokołu do konwencji z dnia 17 kwietnia 1924 r. zjawia się list prezesa Komitetu kopalń francuskich do Delegacji Polskiej, w którym prezes w imieniu reprezentowanych przez siebie przedsiębiorstw zobowiązuje się do utworzenia na terenie każdej kopalni szkoły prywatnej dla dzieci robotników polskich, w których język polski będzie wykładany przez nauczycieli polskich, jako przedmiot dodatkowy.

Szkoły takie powstały i dziś już funkcjonują.

Na mocy listu prezesa Komitetu kopalń na każde 65 dzieci polskich, uczących się w szkole kopalnianej, winien przypadać jeden nauczyciel - polak. Zasada ta nie jest przestrzegana, ponieważ zarządy kopalń opierają się wprowadzaniu nauczycieli polskich do swych szkół. Na tem tle wyrastają konflikty między polskimi przedstawicielstwami we Francji, a zarządami przedsiębiorstw kopalnianych.

Pozatem szkoła kopalniana, jak już to zauważyłem, pozbawiona jest jakiegokolwiek reglamentacji oraz kontroli rządowych władz inspekcyjnych. Brak kontroli i reglamentacji sprawia, że

nauka polska w szkole francuskiej odbywa się dorywczo i właściwie zależy w każdym poszczególnym wypadku od dobrej woli francuskiego kierownika szkoły.

Z powyższego zarysu widzimy, że w gruncie rzeczy nauczanie polskie we Francji oparte jest na bardzo kruchych podstawach prawnych. Nie posiada ono absolutnie żadnej reglamentacji prawnej. Wyłączone jest z zakresu działania konwencji emigracyjnej. Francuskie szkolnictwo prywatne, jak również i prawo z r. 1886 nie są zdolne wytworzyć ram dla właściwej szkoły polskiej we Francji.

Potrzebna i niezbędna jest tutaj interwencja prawodawcy francuskiego, lub ujęcie tych spraw w ramy choćby nawet specjalnej konwencji szkolnej.

Jan Rozwadowski.

Kryzys polskiej polityki migracyjnej.

C Z Ę Ś Ć I.

W S T Ę P.

Przed kilkoma miesiącami powziąłem plan napisania pracy obrazującej obecny stan polskiego problemu migracyjnego. Tytuł jaki dla pracy tej obrałem brzmi: *Kryzys polskiej polityki migracyjnej*. Słowo kryzys nie zostało bynajmniej przezemnie użyte przypadkowo. Nie chciałem też bynajmniej tem słowem wyrazić jakiegoś pesymizmu w poglądzie na tę sprawę. Przeciwnie w pracy niniejszej daję wyraz pogładowi, że choć dziedzina naszej migracji mocno jest ciągle schorzała, że od naszej tylko woli zależeć będzie jej regeneracja i to regeneracja szybka.

Omawiana praca obejmować będzie następujące rozdziały:

- I. Dobrowolne organizacje macierzy jako czynniki opieki nad wychodźcą polskim.
- II. Zagraniczna polityka migracyjna Państwa polskiego w świetle tendencji społeczeństwa macierzy, wychodźstwa oraz obcej nam narodowo zagranicy.
- III. Towarzystwa kolonizacji zamorskiej.
- IV. Naukowy Instytut emigracyjny i jego linje rozwojowe.
- V. Problem rewizji naszego programu polskiej polityki migracyjnej.

Z pracy powyższej publikuję dziś jej część I. Będę szczęśliwy, jeśli krytyczne uwagi jakie w tej drażliwej kwestji pozwoliłem sobie li tylko w imię Sprawy wysunąć — będą przyjęte sine ira et studio przez tych nieraz b. zasłużonych działaczy i te organizacje których działalność poddałem bliższej analizie.

I.

Dobrowolne organizacje macierzy jako czynnik opieki nad wychodźcą polskim.

S P I S R Z E C Z Y.

§ 1. Kryzys współczesnej polityki emigracyjnej i kryzys organizacji społecznych. — § 2. Inteligencja, jej pojęcie i rola w organizacjach społecznych Polski niewolnej i wolnej. — § 3. Potrzeba ogólnie - narodowych organizacji społecznych. — § 4. Uwagi na temat niemożliwości stworzenia w macierzy organizacji opieki nad emigrantami, prowadzonej przez emigrantów. — § 5. Współczesna eksploatacja wychodźstwa przez macierz w świetle paru przykładów. — § 6. Typy macierzystych społecznych organizacji opieki nad wychodźstwem. — § 7. Trudności opieki kulturalnej. — § 8. Główne zasady zdrowej opieki kulturalnej macierzy nad wychodźstwem. (Stosunek organizacji społecznych do Państwa, stosunek i organizacja prasy macierzystej wobec wychodźstwa, organizacja prasy polskiej na wychodźstwie, problem partij macierzystych i wychodźczych, nasilanie wychodźstwa odpowiednim materiałem kulturalno - kierowniczym). — § 9. Analiza kulturalno - narodowej wartości inteligencji polskiej, zrodzonej na wychodźstwie oraz inteligencji zrodzonej i ukształconej w macierzy. — § 10. Gospodarce wykwalifikowanie inteligenta polskiego, idącego na wychodźstwo. — § 11. Problem kwalifikacji emigrujących nieinteligentów. — § 12. Fatalne wyniki niedbałości macierzy o wysoki poziom kwalifikacyj technicznych emigranta polskiego, w świetle stosunków parańskich. — § 13. Istota organizacji państwowych i społecznych oraz wzajemny ich stosunek w państwie demokratycznym. — § 14. Szkodliwość fikcyjności wzajemnej niezależności jednej lub drugiej formy organizacyjno - społecznej. — § 15. Partjokratyzm jako główne źródło tej fikcyjności. — § 16. Wyrobiona opinia społeczna jako zdrowa tama partjokratyzmu. — § 17. Państwo a opinia społeczna. — § 18. Właściwie, najgłębszym źródłem kryzysu polskiej polityki emigracyjnej jest brak urobionej w tej materji opinii społecznej, która byłaby podstawą tak państwowej polityki, jak i polityki organizacji społecznych. — § 19. Dzisiejsze nasze organizacje społecznej opieki nad wychodźstwem obracają się ciągle jeszcze w granicach prymitywów organizacyjnych okresu niewoli. — § 20. Istota ekonomicznej opieki nad wychodźstwem. — § 21. Organizacja pośrednictwa pracy na wychodźstwie. — § 22. Organizacja pośrednictwa pracy dla reemigranta polskiego. — § 23. Pośrednictwo pracy a kursa wykształcenia technicznego dla wychodźstwa. — § 24. Tow. Kolonizacyjne i jego stosunek do problemu rekrutacji wychodźstwa. — § 25. Sprawa towarzystw wzajemnej asekuracji na wychodźstwie polskim. — § 26. Bank emigracyjny. — § 27. Jego dzisiejsze surrogaty. — § 28. Wnioski ogólne. — § 29. Samorządy, Kościół i organizacje zawodowe, a problem ich przyszłego stosunku do kwestji opieki nad emigrantem. — § 30. Zakończenie.

§ 1.

Kryzys współczesnej polskiej polityki emigracyjnej wynika głównie z braku właściwej organizacji naszych sił społecznych. Naogół wszystkie prawie organizacje społeczne z dziedziny emigracyjnej toną w mniejszym lub większym marazmie. Marazmu tego nie można tłumaczyć jakimś zanikiem myśli społeczno - narodowej w społeczeństwie polskim, należącym niewątpliwie do społeczeństw najbardziej żywotnych, o coraz silniej przejawiających się aspiracjach do potęgi narodowej. Dowodem tego głodu potęgi narodowej jest szukanie nowych, a opartych o kulturę naszą form życia zbiorowego. Przyczyny wspomnianego organizacyjnego marazmu społeczeństwa polskiego leżą z jednej strony w lichych gospodarczych warunkach ogółu prawie inteligencji polskiej, z drugiej jednak strony pozorny marazm, a czasem i istotny marazm wytwarza na fałszywych podstawach oparta organizacja prac społecznych.

§ 2.

Ciężki stan ekonomiczny t. zw. zawodowej inteligencji polskiej, naogół na niektórych połaciach kraju zbyt jednostronnie urobionej i dalekiej od fachowego zróżnicowania, jakie widzimy w rozwiniętych krajach zachodnio - europejskich, jest niewątpliwie poważną zaporą w zdobyciu sił do pracy społecznej. Niemniej fałszywym byłoby, gdyby ktoś w zapatrzeniu na pierwociny polskich prac społecznych z końca 19 wieku i dowojennych początków 20 wieku chciał tylko w zawodowej inteligencji widzieć działaczy społecznych. Zawodowa inteligencja to tylko część inteligencji Narodu. Nowoczesne pojęcie inteligencji obejmuje ogół obywateli, umiających w myśleniu, odczuwaniu swem oraz w aktach woli wyjść poza granice nabytego szablonu i chcących żyć świadomie pełnią form cywilizacyjnych i wogóle kulturalnych, wytwarzających się w nieprzerwanym procesie zbiorowego życia własnego narodu. Współczesna inteligencja w ten sposób pojęta obejmuje w praktyce zupełnie inny zakres ludzi, niż t. zw. inteligencja zawodowa. Do tej ostatniej należy dziś i elita duchowa warstwy przemysłowej i kupieckiej, elita robotnicza, chłopska, w pierwszej zaś linii i prawdziwa inteligencja urzędnicza oraz elita inteligenckich zawodów wolnych. Zawodowa inteligencja

polska bynajmniej nie straciła swoich wartości dla ogólnonarodowej pracy społecznej, niemniej dziś, w okresie rozwoju demokratycznych form życia zbiorowego, form wydobywających coraz silniej na jaw żywe tempo przenajrozmaitszych, a przebogatych zjawisk społecznych, wymagających ujęcia ich w mocne acz sprężyste łożyska — dziś „inteligencja zawodowa” staje przed nowymi zadaniami i to zadaniami, których techniczne opanowanie z każdym dniem staje się coraz trudniejszym.

W zdrowym, kulturalnie bogato rozwijającym się społeczeństwie, do opanowywania zjawisk społecznych nie wystarczy ogólna kultura duchowa, zdobyta na ławach uczelni średnich lub wyższych. Opanowywanie zjawisk społecznych wymaga specjalizacji, a ta ostatnia jest z reguły bardzo ciężkim i długotrwałym procesem szkoleniowym. Specjalizacja w poszczególnych typach prac społecznych, to problem, z którym z trudem pora się jeszcze ciągle u nas Państwo. Trudności, jakie w tej dziedzinie napotykają organizacje społeczne, są w naszych warunkach dużo większe, a to tem bardziej, że naogół biedne finansowo organizacje społeczne nie są w stanie pokryć kosztów społecznego szkolenia pracowników społecznych, rekrutujących się głównie z pomiędzy t. zw. inteligencji zawodowej, na którą zresztą, jako na rezerwoar siły, bardzo zaborczo patrzy młoda nasza organizująca się państwowość, coraz bardziej stawiana przed koniecznością zabezpieczenia sobie do swych inteligenckich funkcji, prawdziwej inteligencji. T. zw. zawodowa inteligencja ujawniała przed wojną dużą skłonność do brania szczytnego udziału w pracach ogólnonarodowych. Tradycja ta niewątpliwie i dziś w odpowiednich warunkach działa jako pozytywna siła społeczna, warunki te jednak należy stworzyć, gdyż inaczej inteligencja zawodowa, nieprzygotowana do roli kierowniczej społeczeństwa, nie może odegrać roli kitu, czy też cementu społecznego, w następstwie czego cofać się ona musi ze zdobytych dawniej placówek znaczenia społecznego.

§ 3.

W Polsce dzisiejszej spotykamy coraz więcej objawów likwidacji znaczenia inteligencji zawodowej jako głównego czynnika życia narodowego. Przechodzimy natomiast okres silnych i szybkich wzrostów wszelkiego typu organizacyj zawodowych

i to głównie nieinteligentnych, dobierających sobie do ról służebnych i płatnych nieznaczną $0/00$ t. z. inteligencji zawodowej. Tak więc przeżywamy bardzo ciekawe zjawisko społeczne w Polsce, a mianowicie w okresie najwyższego w dziejach naszych rozkwitu idei narodowej polskiej, widzimy ciągle naprzód postępujący upadek ogólno - narodowych organizacyj. Obok organizacyj zawodowych rozwijają się jeszcze ciągle dość silnie partie polityczne jawne i tajne. Powodem wzrostu siły partyj, aż po dzień dzisiejszy jest niewątpliwie ten socjologiczny moment, że partie polityczne dają możliwość wywierania nacisku na najsilniejszą organizację Narodu naszego t. j. na Państwo polskie.

Nie jest zadaniem mojem oceniać tu znaczenie narodowe przeżywanych do niedawna i dziś form partjokratycznych. Refleksje na powyższy temat pozwoliłem sobie nakreślić tylko z tego względu iż pozwalają one na należyty wgląd we współczesną strukturę organizacyjną społeczeństwa polskiego, dzięki czemu ogólno - narodowe organizacje społeczne, prowadzone do wojny światowej przez zawodową inteligencję ulegają coraz szybciej istotnej likwidacji.

§ 4.

Jak wyjść z tej ślepej ulicy marazmu ogólno - narodowych prac organizacyjno - społecznych, to bodaj jedno z najważniejszych, najbardziej elementarnych zagadnień naszego życia zbiorowego, któremu w jego dzisiejszych pozapaństwowych warunkach nie mogą wystarczać, ani partie, ani związki zawodowe. Przykładem na zagadnienie społeczne niedające się rozwiązać ani w ramach partji, ani związku zawodowego — jest problem wychodźczy. Istnieją niewątpliwie sprawy migracyjne, które stoją w związku z programami politycznymi partyj politycznych czy też związków zawodowych, problemy te jednakowoż domagają się od tych organizacyj częściowego tylko rozwiązania i uzgodnienia z wysuwaniami przez nie postulatami mniej lub więcej zasadniczymi. Sprawy emigracyjne czy też reemigracyjne cieszą się nawet od czasu do czasu żywym, acz mocno przejściowym zainteresowaniem partyj i związków zawodowych, niemniej stwierdzić można z wszelką ścisłością naukową, że żadne jeszcze stronnictwo, ani też żaden związek zawodowy nie rozwiązał po dzień dzi-

siejszy na całej linii, tych zadań organizacyjnych, które zdrowa polityka migracyjna nakłada na organizacje społeczne, mające współdziałać z organizacją państwową.

Zdawałoby się wobec tego, że najlepszym sposobem rozwiązania sprawy opieki nad migrantem, to stworzenie organizacji społecznej, składającej się z samych migrantów, taki jednak pomysł jaki niejednokrotnie rodzi się w mózgach osób myślących szablonami gospodarczymi t. z. zbieżnych interesów, rozbija się o tę socjologiczną prawdę, że organizacje społeczne jako trwałe formy organizacji społecznej tworzą się wyłącznie w warunkach nietylko zbieżnych ale i trwałych interesów pewnych subjektów ludzkich. Otóż gdy patrzymy na procesy migracyjne, a specjalnie na masę migrantów, to stwierdzić musimy poważne trudności w kształtowaniu się z jednej strony zbieżności interesów, z drugiej zaś trwałości interesów. Zwracam specjalnie uwagę czytelnika na ten moment, że mówię tu tylko o „poważnych trudnościach”, a nie o absolutnej niemożliwości stworzenia łączności i trwałości tych interesów!

Skąd trudności te płyną? Otóż w pierwszej linii zaznaczyć tu należy, że migrant, — którym może być ze stanowiska każdego kraju tak emigrant, jak i imigrant, — że więc migrant to określenie człowieka odrywającego się od obszaru gospodarczego jakiejś społeczności narodowej względnie państwowej celem zdobycia lepszych warunków gospodarczych na innym obszarze narodo- lub też państwowo - gospodarczym. Migrantem jest każdy człowiek ze względów gospodarczych, opuszczający na dłuższy czas dawny narodowy lub państwowy obszar gospodarczy, problemy jednak migracyjne rozmaite przedstawiają wartość dla migranta w poszczególnych fazach procesu migracyjnego. I tak emigrant w pierwszej fazie procesu migracyjnego okazuje główne zainteresowanie dla spraw zupełnej lub częściowej, jego osobistą koniunkturą nakazanej likwidacji spraw jego na terenie emigracji. Oczywista, że likwidacja ta będzie pod względem form bardzo rozmaita i to w zależności nietylko od interesów osobistych emigranta ale i od warunków prawnych, oraz pozaprawnych kraju emigracji, względnie poszczególnych nawet jego połąci.

Po likwidacji wysuwa się z kolei sprawa przejazdu, która emigranta interesuje z punktu widzenia kosztów przejazdu, czasu i technicznych, oraz zdrowotnych warunków przejazdu. Jeszcze

przed likwidacją interesów na terenie emigracji, a dalej w czasie tej likwidacji, oraz w czasie przejazdu interesują emigranta warunki bytu w planowanym przez emigranta kraju imigracji, do którego on zdąża. Rozważania porównawcze odnośnie do warunków bytu w kraju dawnym a w nowym, planowanym terenie rozstrzygają o kierunku jazdy migranta i wogóle w przypadkach prawdziwej emigracji gospodarczej decydują o fakcie decyzji na migrację. Z chwilą gdy migrant przybywa do kraju imigracji wysuwa się dla niego kwestja zaaklimatyzowania się w nowych warunkach, przyczem przyswieca mu myśl zdobycia możliwości wyższej skali życia materialnego i duchowego oraz większego niż ma bogactwa. Dotychczasowy, dość szablonowy szkic wystarcza, by zdać sobie sprawę z faktu, że zbieżność interesów masy migranckiej różną jest w pierwszym rzędzie u poszczególnych migrantów ze względu na to, że biorąc pod uwagę ogół migrantów jako jedną masę stwierdzić musimy, że poszczególne jej części znajdują się w różnych fazach procesu migracyjnego, różne mają okresowe — że tak powiem — interesa.

Na uwydatnienie się różnic interesów w masie migranckiej w niemałej mierze wpływają również i różnice poziomu kulturalnego, zawodu, a dalej i sprawa różnych, nieraz niezbyt wyraźnie zarysowanych programów odnośnie do powrotu do kraju emigracji. Wiadomo jest wszak powszechnie, że decyzje odnoszące się do czasu trwania emigracji są w dużym bardzo stopniu w psychice migrantów nieustalone i ulegają częstym, nagłym, nieraz z najrozmaitszych powodów powstającym zmianom. Do sfery bardzo poważnych interesów migranta należy sprawa choćby luźnego związku gospodarczego, uczuciowego i politycznego z krajem emigracji, będącym zwykle macierzą migranta. Te powyżej wspomniane związki emigranta z krajem emigracji, związki niejednokrotnie poprzez pokolenia trwające, różne mają u różnych migrantów nasilenie tak w czasie, jak i intensywności. — A nie wolno nam i o tem zapomnieć, że emigranci w pewnych warunkach przerywają swój kontakt polityczny i uczuciowy z macierzą i że zjawisko to stwierdzić możemy nietylko w tych przypadkach, gdy emigrant wpadając w obcą masę kulturalną asymiluje się zupełnie, ale i wówczas, gdy — jak w przypadku kolonizacji Australji — emigrant zachowując język i kulturę nabywa poczucia stałego wrośnięcia w nowy grunt, na którym wraz z masą

sobie podobnych stwarza nową ojczyznę polityczną, rywalizującą z ojczyzną swego pochodzenia.

Czyż możliwym jest w świetle tych uwag powiedzieć, że migranci to materiał zdolny do wytworzenia własnej organizacji migracyjnej, broniącej interesów migracyjnych? Czyż pozytywnie na pytanie to odpowiemy zdając sobie sprawę z tego, że migranci jednej nawet narodowości tak są rozrzućeni, na wielkich przestrzeniach w kraju choćby takim jak Polska, że trudno jest im się nawzajem skomunikować i że à la fin, gdyby się nawet skomunikowali to w niedługim stosunkowo czasokresie przejściowa ich organizacja w kraju emigracji zlikwidowałaby się automatycznie przez sam wyjazd emigrantów! Fakty powyższe zmuszają nas do odpowiedzi negatywnej. Jeśli jednak organizacja migrantów w kraju emigracji nie ma cech i warunków trwałości, to wyciąganie wniosków z tego faktu odnośnie do możliwości organizacji migrantów na terenie imigracji byłoby nie do darowania błędem socjologicznym i organizacyjnym. — Jeśli organizacja emigrantów w kraju emigracji jest pracą beznadziejną, to jednak organizacja migrantów w kraju imigracji jest z reguły koniecznością realną i zrealizować się normalnie dającą. Zanim jednak zastanowimy się nad formami organizacji imigrantów w kraju imigracji niezbędnem jest zastanowić się nad pozapaństwową organizacją społecznej opieki nad emigracją w kraju emigracji.

Pierwsza wysuwająca się tu kwestja, to sprawa, kto ma tę organizację opieki nad emigrantami wytworzyć w kraju emigracji, jeśli sami emigranci nie mogą tej organizacji stworzyć choćby i chcieli.

§ 5.

Odpowiedź na to pytanie wypadnie jednomyślnie i w związku z poprzednimi uwagami — jedynie logicznie, jeśli powiemy, że organizację opieki nad emigrantem w kraju emigracji mogą stworzyć tylko ci, którzy sami przez dłuższy stosunkowo czas nie mają zamiaru emigrować, a którym takie lub inne momenty nakazują opiekę tę w myśl w macierzy odczuwanych interesów — nad emigrantami roztoczyć. Wspomniane interesa w macierzy odczuwane bynajmniej nie muszą pokrywać się z ciasno ujętymi interesami macierzy. Wszak interesa macierzy mogą być sprzeczne z intere-

sami emigracji. Macierz może chcieć emigrację w swoim własnym interesie eksploatować, przyczem eksploatacja ta jest czasem mniej lub więcej u eksploatatorów świadoma, jak to miało i ma miejsce w Polsce, mogącej poszczycić się klasycznym dla teorii przykładem nieświadomej eksploatacji emigracji przez macierz (vide sprawa niektórych pożyczek polskich w Ameryce oraz sprawa waloryzacji przesyłek pieniężnych do Polski w okresie naszej gospodarki inflacyjno - pieniężnej). W przykładzie powyższym półświadoma eksploatacja emigracji dokonana została przez organizację państwową. Przykład ten jednak w teorii bardzo łatwo może zostać przeplantonowanym na teren działalności towarzystw prywatnych, w kraju macierzystym organizujących pomoc dla emigracji. Wszak to co robiły niektóre banki prywatne trudniące się przesyłką pieniędzy w okresie inflacji, to mogły robić i banki przy towarzystwach opieki nad emigrantem założone. Historycznie fakt ten w Polsce nie zaszedł w dziedzinie przesyłek pieniężnych, gdyż w okresie inflacji polskie towarzystwa opieki nad emigrantami były dużo słabsze niż dziś, a i dziś nie potrafiłyby przy obecnych swych podstawach organizacyjnych funkcji bankowych pełnić. Eksploatacja emigracji ma miejsce jeśli np. ceny w hotelu emigracyjnym i koszty opieki hotelowej są kalkulowane w mało gospodarczy sposób, a to choćby emigrant płacił t. z. cenę kosztu. Bardzo poważnym źródłem eksploatacji emigracji przez macierz jest popieranie wysokich cen oględzin lekarskich, przejazdu zamorskiego dla emigrantów, udających się za morze okrętami macierzystych lub też nawpół, względnie ćwierć macierzystych linii okrętowych. Obok wypadków eksploatacji emigranta przez macierz mogą w macierzy zdarzać się i wypadki obojętności macierzy na eksploatację macierzy przez czynniki pozamacierzyste. Oba wypadki eksploatacji są społecznie szkodliwe, oba wymagają likwidacji.

Naprowadziłem celowo kilka typowych ważniejszych przypadków możliwości eksploatacji emigranta przez macierz i sądzę, że choćby pobieżne przypatrzenie się skutkom polityki pieniężnej skarbu i prywatnych banków polskich wobec wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, uprzytomni następstwa eksploatacji mogącej być dokonana przez towarzystwa opieki.

Naród nowoczesny, chcący mieć możliwość życia moralnie zdrowego, musi wykluczyć z zakresu swoich poczynań wszelkie

przypadki rozluźniające węzły łączące członków jednego Narodu. Emigrant nowoczesny nie przestaje być członkiem Narodu swego choćby wyemigrował na teren Narodowi swemu politycznie obcy, a w każdym razie nigdy niewolno Narodowi wysyłającemu emigrację lekceważyć interesów jego emigrantów. Największe może obowiązki ma macierz wobec emigracji idącej z braku chleba w kraju — na obczyznę.

Zdawałoby się, że w naszych warunkach zbędnem jest zasadę tę stawiać i poświęcać jej miejsce w pracy niniejszej. Tak jednak nie jest, a o potrzebie jej świadczy brak moralności społecznej wobec emigranta i reemigranta, brak jaki spotykamy w codziennem, szarem życiu naszym, w stosunkach pomiędzy t. z. osobami prywatnemi. Co jest możliwem w t. z. życiu prywatnem, to jest i możliwem w życiu społeczno-organizacyjnem, gdyż organizacje społeczne składają się w dużej mierze z ludzi t. z. prywatnych.

Pozatem przy sposobności warto podnieść i ten moment, że nawet u niektórych działaczy społecznych emigracyjnych spotyka się niejednokrotnie po dziś dzień koncepcję, zgodnie z którą ta gałąź emigracji, której nie można wykorzystać dla celów polityczno - kolonialnych, a która nie rokuje nadziei powrotu do Macierzy, że ta gałąź winna być do ostatecznych granic wyeksploatowaną przez Macierz, zanim gałąź ta nie utonie w morzu obcej kultury. Nieprzemysłenie tej koncepcji i to nieprzemysłenie nawet z punktu widzenia ciasno ujętego przywiązania do Macierzy, bije aż w oczy. Pogląd taki jak powyższy wypowiadać mogą ci tylko, którzy nie zdają sobie sprawy z roli Polaków, Niemców i Irlandczyków amerykańskich, choćby w czasie ostatniej wielkiej wojny światowej.

Nie wolno również zapominać i o tem, że nigdy nie można przewidzieć jaki % wychodźstwa takiej beznadziejnej, prawie przepadłej gałęzi emigracji, pozostanie na obczyźnie, a jaki wróci. Przekonanie o eksploatacji macierzy odsuwa emigrację od Macierzy, zabija do niej sentyment i to nawet u tych, którzy do Macierzy swej w pewnych warunkach chcieli wrócić lub nawet niewracając —służyć jej na wychodźtwie.

Pomimo to jednak, że zasada walki z eksploatacją wychodźstwa przez macierz jest nawet uświęconą u nas na całej, oficjalnej linii społecznych prac naszych, to niemniej zastanowić

się nam wypada jakiego typu społeczna organizacja opieki nad wychodźstwem odpowie zadaniem swym. Sprawa typu społecznej organizacji opieki nad wychodźstwem nie znalazła po dziś dzień w Polsce żadnego teoretyka, a jest to tem ciekawsze, że organizacja państwowej opieki nad emigrantem tonie już od samego zarania swego w tak olbrzymiej powodzi krytyk, że czynniki łase na krytykę mogłyby słusznie pozazdrościć naszym władzom emigracyjnym tego sui generis sukcesu. Z drugiej strony charakterystycznym jest, że nasze słabiuchne w porównaniu z Zachodem organizacje społeczne opieki nad emigrantem ani w monografiach naukowych ani w prasie nigdy nie były przedmiotem krytycznych badań z punktu widzenia celowości takiego lub innego ich typu.

§ 6.

Jakież można rozróżnić typy wśród organizacji społecznej opieki nad migrantem? Podstawą podziału mogą być rozmaite momenty, zasadniczo jednak rozróżnić możemy organizacje opieki „kulturalnej” i gospodarczej. Niejednokrotnie organizacje te łączą swe cele w jedną całość, niejednokrotnie zaś organizacje opieki jeden tylko lub kilka celów kulturalnych czy też gospodarczych włączają do swego programu. Taki lub inny podział pracy towarzystw emigracyjnych może być uznany za społecznie korzystny, o ile spełnia on zadania z danym działem życia społecznego związane.

§ 7.

Opieka kulturalna nad wychodźstwem jest jednym z najtrudniejszych problemów jakie dla macierzy wyłaniają się w związku z momentem odległościowym, oraz z nierzadkim momentem dość znacznego zatimizowania emigracji. Szkoły jako ośrodki, centra rozwoju kulturalnego, wymagają większych skupisk materiału uczniowskiego. Na analogiczne trudności natrafiają również wszelkiego rodzaju domy ludowe i inne lokalne towarzystwa. Poza tem w rozmaitych krajach ruchomość mas wychodźczych, przesuwających się nieraz b. szybko, w krótkich odstępach czasu z jednych terenów na drugie, powstrzymuje od trwalszych inwestycji budynkowych i nakazuje szukać pomieszczeń tymczasowych. Wielkie trudności sprawia sprawa doboru sił nauczyciel-

skich, których sprowadzenie z kraju wymaga wraz ze szkolnym aparatem kontrolnym wielkich stosunkowo sum. Niemniej kłopotów powoduje problem rozbieżności interesów macierzy i interesów młodzieży, która bardzo często przygotowuje się już do stałego pobytu w kraju imigracji i szuka nieraz wraz z rodzicami najlepszych warunków aklimatyzacji na nowym terenie. W pewnych wypadkach silniejsza liczebnie masa wychodźcza sama przejmuje na siebie część lub ogół kosztów narodowej opieki kulturalnej, autonomiczny charakter jednak tych instytucji wychodźczo - społecznych przesądza nieraz ujemnie poziom i charakter tych organizmów. Podnoszenie tych instytucji na wyższy poziom przy pomocy z macierzy nadesłanego aparatu kontrolnego uznać należy najwyżej za paliatyw. Im większą jest atomizacja i ruchliwość masy wychodźczej tem trudniejsze jest tworzenie szkół i kursów, domów ludowych, towarzystw lokalnych, tem większy nacisk kłaść należy na ruchome biblioteki i na znaczenie prasy (lokalnej - polskiej i macierzystej - polskiej). Zbędnym jest tu jednak dodawać, że prasa i biblioteka nie rozwiązują problemu wychowania narodowego dzieci oraz młodzieży. Stąd też duże znaczenie dla zatimizowanej emigracji posiadają te wszystkie organizacyjne formy, które pozwalają na możliwie najczęstszy przyjazd do macierzy oraz na kształcenie w Polsce dzieci wychodźców zatimizowanych.

Oto kilka głównych wyjaśnień i zasad, których stosowanie narzuca się opiece kulturalnej nad wychodźstwem. Zastanówmy się obecnie nad tem, jaka w tej sprawie przypada rola organizacjom społecznym Macierzy. Zdaje mi się, że społeczne organizacje Macierzy muszą postawić sobie następujące zasady:

§ 8.

a) Praca macierzystych organizacji społecznych winna w granicach możliwości wspomagać kulturalno - oświatową pracę Rządu polskiego i rozwijać swą działalność oświatową w ścisłym porozumieniu i w uzgodnieniu z poczynaniami rządowymi. Współpraca ta jest tem potrzebniejszą, że na niektórych terenach wychodźczych władze polskie nie mogą oficjalnie prowadzić pewnych prac kulturalnych bez narażenia siebie lub akcji swej na poważne trudności. Stąd rodzi się konieczność stworzenia

wspólnej platformy porozumiewawczej pomiędzy Rządem, a społecznymi organizacjami opieki kulturalnej. O konkretnych formach tej współpracy rozstrzygać winny konkretne warunki danego terenu wychodźczego.

b) Organizacje społeczne macierzyste winny stale propagować w społeczeństwie macierzystym ideę łączności kulturalnej macierzy z wychodźstwem. Jednym z ważnych środków tej propagandy jest odpowiednie nastawianie prasy macierzystej, której pośredni lub bezpośredni wpływ zaznacza się z reguły bardzo silnie na wychodźstwie. Prasa macierzysta winna wprowadzić stałą rubrykę poświęconą sprawom wychodźstwa, a poza tym winna dbać o to by poziom jej, forma i treść artykułów nie budziły niechęci do Macierzy na skutek niechętnego lub obojętnego stanowiska wobec wychodźstwa lub też na skutek zbyt gwałtownie ujawniających się waśni domowych, najczęściej na tle partyjnym prowadzonych.

Wyругowanie z prasy polskiej tonu zbyt gwałtownej polemiki partyjnej, czyniącej w duszach wychodźstwa poważne spustoszenia moralne, jest procesem stosunkowo ciężkim, choć nie beznadziejnym. Można wprawdzie powiedzieć, że prasa każdego społeczeństwa przystosowuje się do niveau donego społeczeństwa, niemniej prawdziwą jest jednak i zasada wręcz odwrotna. Rząd i poważne stronnictwa oraz kulturalne instytucje polskie winny w tej materji porozumieć się co do wspólnej, planowej i celowej akcji, niemniej ważnej niż akcja w dziedzinie problemów gospodarczych. W pierwszej linii należałoby unikać w miarę możliwości wszelkich informacji i artykułów bezpośrednio godzących w prestige kulturalny Narodu i Państwa, jako Jego emanacji. Najważniejszą jednak rzeczą byłoby zorganizowanie w macierzy działów wychodźczych na łamach najbardziej poczytnych pism krajowych i nadanie tym działom zdolności do odegrania roli zdrowego instrumentu informacyjnego oraz propagandowego. Ten ostatnio określony cel da się osiągnąć w ten tylko sposób, że w pierwszej linii po odpowiednio przygotowanej „kampanji” osiągnie się porozumienie z syndykatem dziennikarskim, w drugiej zaś linii należy stworzyć organizację, obejmującą krajowych dziennikarzy emigracyjnych. Organizacja ta byłaby z natury swej bardzo luźna, a głównym jej zadaniem byłoby stworzenie biuletynu, któryby szybko roznosił po redakcjach pism

najważniejsze informacje z dziedziny życia wychodźczego. Poza informacjami bieżącymi, prasa winna zająć się również i artykułami z dziedziny wychodźstwa. Poziom tych ostatnich będzie zależał w każdym wypadku od wykształcenia i specjalizacji poszczególnych pisarzy. Dlatego też obok wydawania biuletynu, wspomniana organizacja dziennikarzy winna obmyśleć formy udostępnienia swym członkom naukowych wydawnictw z dziedziny emigracji, stwarzając własną podręczną, oraz ruchomą bibliotekę, ułatwiając dostęp do odpowiednich instytucji rządowych oraz naukowych, społecznych, rozsyłając członkom swym bezpłatnie pewne niezbędne naukowe wydawnictwa periodyczne krajowe, a nawet obce i t. p.

Obok organizacji działów wychodźczych, w prasie krajowej należałoby zorganizować odpowiednio dział prasowy o Polsce w prasie polskiej na wychodźstwie. Problem ten występuje z całą jaskrawością na tle nietyle europejsko - kontynentalnej prasy polskiej na wychodźstwie, ile w prasie polskiej zamorskiej ¹⁾). Jako naczelne zadanie moralności publicznej wysuwa się w prasie wychodźczej zlikwidowanie w niej wszelkich wpływów partyjnictwa, przeniesionego na grunt wychodźstwa z macierzy. Stawiając to hasło, bynajmniej nie żądam zarzucenia ideologii politycznych przez prasę wychodźczą. Prasa polska na emigracji winna przeżywać w możliwie największej mierze procesy społeczne Macierzy, z której wielka część wychodźstwa, czasem więcej niż połowa, bezpośrednio się rekrutuje. Co innego jednak reprezentować pewne ideały narodowe i społeczne, a co innego wlać w błoto krajowych sporów osobistych, wyrosłych nieraz na niezdrowem tle ambicji i walk partyjno - osobistych. Prasa polska na wychodźstwie winna umieć zdobyć się na wysoki umiar w ocenie spraw macierzy i zamiast wlać w krajowe spory partyjne i być echem ich — stanąć na stanowisku łączności narodowej i gromić na łamach swych, choćby w sposób oględny, wszelkie partyjnictwo macierzyste. Takie stanowisko jest tem bardziej potrzebne, że

1) Problemem stosunku prasy do wychodźstwa oraz sprawą organizacji tego stosunku zajął się od kilku miesięcy z własnej inicjatywy członek kor. Instytutu, red. St. Gąsiorowski, który w jednym z najbliższych numerów kwartalnika przedstawi szkic odpowiedniej organizacji publicystów i dziennikarzy emigracyjnych. Red. St. Gąsiorowski pragnie wspomnianą organizację utworzyć przy Naukowym Instytucie Emigracyjnym.

bez niego trudno wysuwać na wychodźstwie zasadę wspólnego frontu Polaków wobec obcych. Aby cel ten osiągnąć, należałoby zesyndykalizować na każdym terenie wychodźczym pisma i pisarzy, względnie dziennikarzy polskich i warto, sądzę, do tego celu użyć wszelkich środków, tak do dyspozycji rządu stojących, jak i posiadanych przez społeczeństwo macierzyste w macierzy i na wychodźstwie. Z akcją tą wiąże się w pierwszym rzędzie odpowiednia akcja społeczna w macierzy. Celem tej akcji byłoby spowodowanie, by stronnictwa i partje macierzyste uznały za rzecz niepożądaną przerzucanie walk partyjnych na teren wychodźstwa. Należy przypuścić, że dziś tem łatwiej da się cel ten osiągnąć, że wszystkie prawie ugrupowania polityczne w Polsce przekonały się o małych dla siebie korzyściach z partyjnictwa na wychodźstwie. Zauważyć tu przytem należy, że partyjnictwo macierzyste na terenie wychodźstwa rodzi bardzo często wprost paradoksalne zjawiska sporów o cele dla wychodźstwa bezwartościowe, bo związku żadnego z życiem emigracji nieposiadające.

Przed społeczeństwem macierzystym, odnośnie do jego roli na emigracji, wyrasta natomiast zadanie zlikwidowania objawów krańcowego partyjnictwa lokalno - wychodźczego. Jeśli bowiem wychodźstwo w pierwszych stadjach swego rozwoju na wychodźstwie żyje głównie kategorjami ideologicznymi macierzy, to w późniejszych stadjach życie na wychodźstwie rodzi potrzebę ustosunkowania się masy wychodźczej do nowych, zastanych przez siebie warunków kraju imigracyjnego. Poza tem masa emigracyjna zaczyna się z czasem różnicować społecznie na tych nawet terenach emigracyjnych, na których wystąpiła ona początkowo jako społecznie jednolita. Ze względu na to, że życie na obczyźnie zwyczajnie bardzo silnie rozwija instynkty społeczne mas, w większości swojej słabo przygotowanych do życia organizacyjnego, a dalej ze względu na to, że te masy emigracyjne na obczyźnie obejmują cały szereg zadań, z którymi w macierzy bezpośrednio się nie zetknęły, zachodzi zawsze obawa wypaczenia się kierunkowego organizacyj wychodźczych, a co gorsze zubożenia mas wychodźczych dla wszelkich lub większości organizacyj społecznych, polskich. Zapobiec temu można tylko w ten sposób, że macierzyste organizacje społeczne stworzyłyby u siebie w macierzy odpowiedni aparat selekcyjny dla doboru materiału organizatorskiego, przygotowanego do prac techniczno - organizatorskich

oraz owianego duchem zasad jedności narodowej. Sam jednak dobór nie wystarcza. Za nim musi pójść umiejętna praca przeplantowania tych jednostek na teren wychodźczy i gospodarczego ich umocnienia. To gospodarcze przeplantowanie wymaga z natury rzeczy pewnych podstaw finansowych; mylneby jednak było, gdybyśmy sądzili, że wspomniane powyżej przeplantowanie wymaga funduszków na pełne utrzymanie tych jednostek za granicą, na koszt macierzy. Z żalem należy stwierdzić, że w ten sposób najczęściej się u nas rozumuje, uważając przeplantowanie wspomnianego materiału za normalnie możliwe tylko przy pomocy Rządu i Skarbu. Ten jednak sposób daje tylko rozwiązanie paljatywne. Rząd wszakże może zasadniczo wysyłać tylko urzędników lub nauczycieli, a ci, jako element stosunkowo na wychodźstwie nieliczny, przy wielkiej nawet ideowości, małą w pracy społecznej mogą rolę odegrać. Narodowa ideologia na wychodźstwie musi znaleźć swoje oparcie na masach pracowników społecznych wszystkich warstw, gdyż w każdym demokratycznym społeczeństwie, żyjącem własnem życiem narodowem, kapłanami idei narodowej są i winni być ludzie z wszystkich warstw i zawodów. Jeśli chcemy wydobyć ze społeczeństwa naszego na wychodźstwie maximum jego sił żywotnych kulturalnych i dać mu świadomość własnej wartości kulturalnej — bez czego łatwo stosunkowo będzie ono ulegało asymilacji, natychmiast prawie po przełamaniu trudności językowych — to należy szeregi pracowników społecznych na wychodźstwie pomnożyć i tymi, którzy obok omówionych powyżej walorów społecznych potrafią pracą zawodową na obczyźnie, materialny byt swój sami zabezpieczyć. W świetle zorganizowanych odpowiednio biur pośrednictwa pracy w ośrodkach wychodźczych, trudności przeplantowania wspomnianych czynników kulturalnych znakomicie mogą zmniejszyć się z czasem nawet do punktu prawie zerowego.

Praca społeczeństwa w dziedzinie kulturalnej opieki nad wychodźstwem obejmuje również i bardzo ważką dziedzinę zawodowego kształcenia wychodźcy. Przy dobrej i należycie zorganizowanej woli organizacji społecznych wieleby w tej sprawie można zrobić. Zbędnem tu będzie rozводить się nad tym faktem, że wychodźstwo inteligencji polskiej, — cierpiącej w macierzy z powodu sztucznie wytworzonej hiperprodukcji sił inteligenckich i quasi-inteligenckich — przybrałoby zupełnie inne

kształty i dałoby inne, społecznie korzystne wyniki, gdyby inteligent, dostosowany do życia z pracy „inteligenckiej” w kraju macierzystym, a zupełnie niedostosowany do „inteligenckiej” pracy w zamierzonym przez siebie kraju imigracji, przygotowany został przed opuszczeniem kraju do objęcia zawodu praktycznego, niezaliczonego w terminologii życia codziennego do zawodów „inteligenckich”. Jest to problem tem bardziej ważki, że inteligent polski, pragnący znaleźć kawał chleba na wychodźstwie, napotyka obok trudności językowych, z czasem tylko dających się przezwyciężyć, bardzo poważne trudności, wynikające z zorganizowanego oporu inteligencji kraju imigracji, pilnie zabiegającej o to, by podaż obcej pracy inteligenckiej nie popsuka miejscowej inteligencji dobrych konjunktur. W związku z tym problemem warto tu zwrócić uwagę na ustawowy obowiązek nostryfikacji dyplomów europejskich nawet w takiej Brazylii, a więc w kraju gospodarczo młodym. O tem, że kraje gospodarczo stare, czy też dojrzałe, mają normalnie poddostatkim własnej inteligencji, o tem nie trzeba chyba wspominać, ważną jest natomiast rzeczą zdać sobie sprawę z faktu, że kraje gospodarczo młode we względnie szybkim tempie zdążają do punktu nietylko nasycenia, ale wprost hyperprodukcji własnego materiału inteligencckiego. Inteligent polski nawet w Brazylii napotyka na poważne trudności w nostryfikacji swoich dyplomów lekarskich, ba, nawet politechnicznych. Europejskie dyplomy z wydziałów humanistycznych również — mimo szacunku dla nich — specjalnymi względami nie cieszą się. Pozycja prawnika polskiego jest natomiast np. w Brazylii wprost beznadziejną. W tym ostatnim przypadku, ze względu na specjalny charakter przedmiotu, jasnym zresztą jest opór przed próbami nostryfikacji. Mimo wszystko jednak stwierdzić należy, że brak inteligencji zawodowej polskiej na terenach masowej imigracji polskiej fatalnie odbija się na poziomie życia kulturalnego wychodźstwa polskiego, które dopiero z czasem, nieraz dopiero w drugim pokoleniu wychodźczym, zdobywa się na nikłą, cieniuchną warstewkę inteligencji własnej. To pierwsze pokolenie samorodnej — że tak powiem — inteligencji wychodźczej jest nietylko ilościowo słabe, ale, co gorsza, inteligencja ta, urobiona w obcych, niepolskich szkołach, związana z polsnością tylko tradycją pochodzenia oraz zwyczajnie ludowym, często gminnym wprost językiem swych rodziców, niezna-

jącą wspaniałych, czystych krynic starej, a pięknej tą starością i żywotnością kultury polskiej, inteligencja ta nie jest zwyczajnie w stanie dać masie wychodźczej to, czego idea narodowej kultury od niej wymagać musi. Trzeba nam na wychodźstwie polskiej inteligencji, w Polsce wyprodukowanej. Dzieci w Polsce wyprodukowanej inteligencji więcej z domu głębszej kultury polskiej wyniosą, niż dzieci chłopów i robotników, kończące średnie i wyższe zakłady naukowe zagranicą. Trzeba pozatem dla tych młodych pokoleń inteligencji polskiej, pochodzącej z warstw robotniczych i chłopskich, wytworzyć odpowiednie milieu kulturalne polskie, i to polskie milieu, któreby zdolnem było zrównoważyć w dużym stopniu kulturalne wpływy rasy narodowej, panującej na terenie imigracji. To polskie milieu, kulturalnie odporne, w dużej mierze własnem życiem żyjące, wytworzyć może tylko w Polsce wyprodukowana inteligencja i tylko jej dzieci. Na potwierdzenie tezy, którą powyżej stawiam, — a w której, jak sądzę, nikt nie będzie doszukiwał się tendencji klasowych, względnie warstwowych — pozwalam sobie zwrócić uwagę na proces tworzenia się samorodnej inteligencji wychodźczej w Stanach Zjednoczonych i Brazylii.

§ 9.

Do smutnych naogół wyników dochodzimy, patrząc na nowe lecz, coraz groźniejsze procesy wśród wychodźczej inteligencji polskiej w Stanach Zjednoczonych. Z przykrością stwierdzamy, że bardzo, i to bardzo często poza nazwiskiem, nikłą tradycją i słabą znajomością już nie kultury samej, ale nawet jej elementarnego narzędzia — języka, ludzie ci niczem nie są związani z Narodem naszym. Wśród pewnych elementów tej inteligencji kiełkuje z coraz większą siłą ideologia narodowego amerykańizmu „polskiego pochodzenia”. Wśród nich to rodzi się coraz to większa ambicja jeśli nie pełnego zasymilowania się w duchu anglosaskim, to conajwyżej wykazania, że masa wychodźcza polska, z której pochodzą, wniosła do kultury amerykańskiej zdrowe, nowe i żywotne pierwiastki. Dla Polski jednak ważną jest rzeczą, by wśród inteligencji polskiej na wychodźstwie kwitła nie ideologia „amerykanizmu polskiego pochodzenia”, ale ideologia polskości, wzbogaconej o najcenniejsze pierwiastki kultury amerykańskiej.

I tę ostatnią ideologię posiadamy również na wychodźstwie, reprezentantami jej jednak są głównie nie inteligenci zrodzeni na wychodźstwie, ale inteligencja polska w macierzy urobiona i losem wypadków zapędzona za morze. Tej ostatnio wymienionej inteligencji jest tam za mało, a co smutniejsze, kadry jej zmniejszają się. Tak więc, zaczynamy przeżywać okres smutny, w którym polska, samorodna inteligencja wychodźcza zamiast polskość na wychodźstwie wywalczać, coraz to bardziej podświadomie niweluje na emigracji wpływy polskiej, macierzystej kultury i staje się narzędziem kultury anglosaskiej. O tem, że analogiczny proces zaczyna się i w Paranie, o tem bardzo dobrze wiedzą działacze parańscy. Jeśli się o nim zbyt wiele nie mówi, to czyni się to bądź ze względów taktycznych, bądź też ze względu na to, że proces ten małe dotychczas przybiera rozmiary, że dopiero się rodzi.

Uwagi powyższe bynajmniej nie mają na celu poniżania wartości narodowej zrodzonej na wychodźstwie inteligencji naszej, okazującej z reguły wiele patriotyzmu oraz dużo większą odporność narodową niż inteligencja innych narodów imigrujących do Stanów Zjednoczonych lub Brazylii. Chodziło mi tylko o stwierdzenie niebezpieczeństwa wychowania polskiej inteligencji w obcych, niepolskich środowiskach i to środowiskach — jak dotychczas — wszędzie kulturalnie wyższych, niż polskie środowiska imigracyjne.

Dlatego też jednym z najważniejszych nakazów polskiej polityki narodowo - kulturalnej jest stwierdzenie konieczności wytworzenia przeciwwagi wobec środowisk inteligentkich obcych, co bynajmniej zresztą nie kłóci się ze szczerem obywatelskim przywiązaniem do nowej, drugiej ojczyzny. Sądzę, że pogląd, iż tę przeciwwagę może wytworzyć tylko macierz, wysyłając licznych pionierów kultury macierzystej na tereny robotniczej i chłopskiej imigracji polskiej — że pogląd ten w naszych warunkach nie spotyka się z rzeczowym sprzeciwem. Oczywiście, że stanowisko powyższe nie przesądza zupełnie metody infiltracji macierzystej inteligencji, która ma na wychodźstwie odegrać rolę nie „jakiejś I klasy obywateli”, ale kulturalnego pomocnika na wychodźstwie zrodzonej inteligencji, skazanej bez tej pomocy na niezawinioną przez siebie rozłąkę z macierzystą kulturą i własną swą rasą.

§ 10.

Prawdy powyższe są i smutne i przykre i z tego też względu mało nadają się do traktowania ich w publicystyce macierzystej, niemniej z faktów tych polska polityka emigracyjna winna wyciągnąć konsekwencje w formie nie reekryminacji pod adresem wychodźstwa i nie w formie samego bicia się w piersi za grzech dopuszczenia do tego stanu rzeczy. Chodzi tu o spokojny, przemyślany, męski czyn. Z analizy omówionych powyżej zjawisk wynika jasno, że uleczenie tej ciężkiej z polskiego stanowiska choroby kulturalnej naszych ośrodków wychodźczych dawnych i nowych da się przeprowadzić tylko przez wznowienie dopływu macierzystej inteligencji do ośrodków masowego wychodźstwa zagranicą. To wzmocnienie dopływu jest do pomyslenia tylko przez ukwalifikowanie inteligencji polskiej do życia na wychodźstwie. Jak ten proces ukwalifikowywania ma się dokonać? Oczywiście jest rzeczą, że zawodowy inteligent o uniwersyteckiem wykształceniu może tylko w kraju imigracji zdobyć warunki niezbędne do nostryfikacji jego dyplomów. Warunki intelektualne i prawne musi on w pierwszej linii zdobyć sam i to własnymi zasadniczo siłami, aby to jednak było możliwem inteligent w macierzy zdobyć musi przez dłuższy czas punkt gospodarczego oparcia, o ile nie posiada — a to jest regułą u emigrującego inteligenta — własnego kapitału, wystarczającego na dłuższy, nieraz kilkoletni okres czasu. W tym to przejściowem okresie inteligent polski winien mieć możność zdobywania środków do życia przy pomocy „praktycznego” zawodu, do którego należy go w granicach możności w kraju już ukwalifikować. W obecnych warunkach nic się w tej sprawie nie robi, a miarodajne czynniki tak społeczne jak i rządowe zadowolają się wydawaniem ostrzeżeń, że inteligent w obecnych warunkach nie powinien ryzykować szukania inteligenckich posad za morzem.

Niewątpliwie, z osobistego stanowiska emigrującego inteligenta szukanie w obecnych warunkach zajęcia zagranicą jest wprost tragedją. Jeśli mu się nie umie pomóc w znalezieniu pracy, to należy przynajmniej uświadomić go o niebezpieczeństwach gospodarczych wyjazdu. Z drugiej jednak strony najwyższy czas zerwać z metodą bierności, ograniczającej się do ostrzeżeń. Najwyższy czas zastanowić się nad tem, jak emigru-

jącemu inteligentowi pomoc przez ukwalifikowanie go do życia w nowych, obcych mu warunkach.

Zapytajmy obecnie kto ma zająć się problemem kwalifikowania inteligencji do zawodów praktycznych, Rząd czy Społeczeństwo? Na pytanie to trudno znaleźć inną odpowiedź jak tą, że Rząd i Społeczeństwo łącznie akcję tę winny przeprowadzić z tem jednakowoż, że gros akcji winno spoczywać na barkach organizacji społecznych, działających przy życzliwym poparciu czynników rządowych. Zadaniem organizacji społecznych byłoby w pierwszej linii dokładnie rejestrować nietylko nazwiska mających zamiar wyjechać inteligentów, nietylko operować później w prasie cyframi bezrobotnej, chcącej emigrować inteligencji, ale co najważniejsza zanalizować możliwie szczegółowo kwalifikacje tych ludzi oraz ich upodobania. Następnie należałoby na podstawie informacji specjalnych, polskich instytucyj, zajętych pośrednictwem pracy na wychodźstwie (o których później jeszcze szczegółowo pomówimy) zorganizować bądźto bezpłatnie bądź też możliwie tanio odpowiednie kursy praktyczne, poświęcone tym zawodom praktycznym, które na konkretnych, z góry ustalonych terenach rokują najpoważniejsze i najtrwalsze szanse zarobkowe. W niejednym wypadku nie zajdzie potrzeba stwarzania odpowiednich kursów i wystarczy pomoc w umieszczeniu inteligenta mającego zamiar emigrować na jednym z kursów istniejących już w kraju dla kształcenia pracowników w praktycznych zawodach w macierzy. Pierwszorzędnej wagi rzeczą jest następnie rozmieszczanie tych tylko teoretycznie lub nawpół praktycznie do zawodu przygotowanych uczniów po przedsiębiorstwach krajowych na krótkiej choćby praktyce. Bardzo pożądanem będzie również zapoznanie takiego inteligenta choćby z początkami języka kraju zamierzonej przez niego imigracji, a co najważniejsze z terminologją fachową obcą, działu nowej jego specjalizacji. Doświadczenia zebrane nietylko zagranicą, przez obce społeczeństwa, ale i przez nas samych pouczają nas, że bardzo często na wychodźstwie zdarza się, iż ukwalifikowany w jakimś konkretnym fachu pracownik nie znajduje zajęcia w swoim fachu i musi niejednokrotnie przetrzucić się do nowego fachu, który w miarę tego im jest odleglejszy jakościowo od zawodu dawnego, naraża na tem przykrzejsze początki danego pracownika, a czasem i na bezrobocie. Zawodowe przetrzucanie się z zawodu do za-

wodu jest zjawiskiem ekonomicznym b. często wszędzie, w krajach o kulturze kapitalistycznej spotykanem i z życiem tego ustroju społecznego nierozzerwalnie związanem. Dlatego też sądzę, że pożądanemby było, by praktycznie kwalifikować nie w jednym zawodzie, lecz conajmniej w 2 zawodach. Pozatem należy dbać o to, by z reguły obciążony rodziną inteligent zabierał ze sobą na początek tylko tych dojrzałych członków swej rodziny, którzy również praktycznie jako tako są przygotowani do życia na zamierzonym terenie wychodźczym. Zwykle zagranicę wybierają się młode bezdzietne lub małodzietne małżeństwa. W związku z tym faktem należy dbać o to, by tak mąż jak i żona praktyczne przygotowanie do samodzielnego życia gospodarczego przed wyjazdem posiadli i to o ile możliwości w dwóch różnych zawodach. Dobrze przemyślana akcja praktycznego kwalifikowania naszych inteligentkich emigrantów daje większą rękojmię i zabezpieczenie bytu gospodarczego na wychodźstwie, niż poważne nawet fundusze zapomogowe dla zbłąkanych zagranicą i nieraz losem złamanych inteligentów.

Omówiony powyżej proces kwalifikacyj do praktycznych zawodów pomoże naszej emigrującej inteligencji nietylko przetrzymać trudne i ciężkie nieraz czasy poprzedzające znalezienie zagranicą inteligentkich zajęć, ale w niejednym wypadku zrodzi przy szczęśliwych nieraz koniunkturach zdrowe przedsiębiorstwa na poziomie przedsiębiorstw rzemieślniczych, drobno, a z czasem wielko fabrycznych. Ze stanowiska narodowego będzie to tem ważniejsze, że przedsiębiorstwa te dadzą kulturze naszej pewną zdolność oporu, gdyż kultury swojej przed naciskiem z zewnątrz bronić umięją w masie tylko jednostki i społeczeństwa zamożne. Tylko przez forsowanie emigracji inteligencji polskiej i to nietylko zresztą uniwersyteckiej, będzie można opanowywać kulturalnie masy wychodźcze. Tylko tą metodą będzie można zapobiec tak smutnym procesom jak np. zalew miasteczek parańskich, w pierwszej zaś linii samej Kurytyby przez elementy niepolskie, co przy masowej nawet kolonizacji rolnej tego kraju przez Polaków przesądzić musi kulturalny i polityczny los tego kraju. Nie wolno bowiem nikomu zapominać o tem, że w dobie współczesnej miasta są ośrodkami kultury i wpływów politycznych. Forsowanie kolonizacji wyłącznie rolniczej na pewnych terenach, bez daleko idącej dbałości o ośrodki miejskie, musi w niedługim

czasie zaciążyć fatalnie na powodzeniu narodowej akcji kolonizacyjnej.

§ 11.

Jeśli mówiłem szerzej o opiece kulturalnej nad wychodźstwem i o związku tego problemu ze sprawą kwalifikowania do praktycznych zawodów chcącej emigrować inteligencji polskiej, to uczyniłem to z całą świadomością poto tylko, aby dać teoretyczny wyraz moim poglądom odnośnie do kwestji, z niezrozumiałych powodów przemilczanej nawet w publicystyce emigracyjnej, polskiej. Niemniej zdaję sobie sprawę i z zadań jakie czekają polskie organizacje społeczne w związku z problemem kwalifikowania emigrujących nieinteligentów zawodowych. W tej dziedzinie jest istotnie bardzo wiele do zrobienia nawet odnośnie do osób praktycznie ukwalifikowanych i wyjeżdżających na zakontraktowaną z góry pracę w swoim zawodzie. Chodzi tu nie tylko o praktyczne słowniki obcojęzyczne oraz o popularne przewodniki po krajach masowej imigracji polskiej, ale o techniczne przygotowanie do całego szeregu prac, których niejednokrotnie w kraju emigrant wogóle nie wykonywał, lub też które wykonywał w sposób zagrząca niewystarczający. Koniecznym jest tu zaznaczyć, że niezawsze techniczne ukwalifikowanie emigranta daje się przeprowadzić na terenie macierzy. Trudności te wyłaniają się w pierwszym rzędzie w dziedzinie zawodów rolniczych i są tem większe im większą jest różnica warunków przyrodniczych i społecznych, w pierwszej linii ekonomicznych pomiędzy macierzą, a terenem imigracji. Niemniejsze jednak trudności wyłaniają się nieraz, chociaż już rzadziej w dziedzinie przemysłowej i handlowej. Trudno emigranta do São - Paulo praktycznie w Polsce pouczyć o uprawie kawy, bawełny czy też choćby zbóż, albo fizonu w S. Paulo, mimo to nietrudno będzie teoretycznie przy pomocy ilustracji, filmów i specjalnych wykładów oraz broszurek sprawę tę wyjaśnić mu. Pozatem macierzyste organizacje społeczne winny rozciągnąć swoje działanie szkoleniowe i na tereny samej imigracji. Japończycy przygotowali w ojczyźnie swej — jak informował Dyr. U. Emigr. St. Gawroński, w referacie swym wygłoszonym w Instytucie nauk. do badań emigracji i kolonizacji — pierwsze fale robotników kawowych jadących do São - Paulo. Dla Polski, ze względów klimatycznych jest to

niemożliwe, choć nie mniej ważne. Dlatego też sądzę, że ważną byłoby rzeczą by w możliwie najbliższym czasie wyłowić z pierwszej fali emigracyjnej najinteligentniejszych i najlepszych robotników kawowych i przydzielić ich z czasem jako instruktorów i zarazem przodowników w grupach robotniczych, później na plantacje napływających. Ukwalifikowanie rolnika wyjeżdżającego na obczyznę wymaga specjalnej troski nie tylko w wypadkach wielkich różnic klimatycznych między krajem wychodźstwa, a krajem przychodźstwa. Nawet wówczas gdy różnice te są nikłe lub też prawie żadne, sprawa wyszkolenia specjalnego nakazuje rozwinąć specjalną troskliwość. Aby przekonać się, jak brak tej troskliwości fatalnie odbija się na wychodźstwie, tego przykładem jest choćby przed oczyma naszymi rozwijający się proces odsuwania się rolnictwa polskiego z pod Kurytyby. (Patrz artykuły p. M. Pankiewicza w „Wychodźcy”). Niewątpliwie należy cieszyć się z faktu, że Polacy parańscy zdobywają coraz to większy obszar ziemi w Paranie, niemniej smutnem jest, że ziemia dawniej przez Polaków zajęta przechodzi, choć za dobre pieniądze i z zyskiem w ilości ziemi osiągniętym — w obce ręce. Tłumaczenie tego procesu wyłącznie głodem ziemi oraz fantazją pionierską jak to czynią niektórzy poważni nawet znawcy, nie wytrzymuje krytyki naukowej, gdyż wyjaśnia zjawisko jednostronnie. Wspomniana interpretacja zapoznaje drugą grupę momentów na proces ten wpływających, a mianowicie niezdolność techniczną i niechęć do intensywniejszej kultury rolniczej i to nawet w warunkach dużej ich opłacalności.

§ 12.

Ucieczka chłopów naszych z pod Kurytyby to wynik niskiej kultury gospodarczej chłopu naszego, ustępującego miejsca Włochom, Hiszpanom i Niemcom. Gdyby nie żywotność gospodarcza jego, nie brak strachu przed puszczą, to niewątpliwie chłop nasz zmarniałby pod Kurytybą, siedząc na wyczerpanej z czasem ziemi, wzięty w dwa lub trzy ognie gospodarcze, w pierwszej linii otworzone przez ludy romańskie. Tężyzna gospodarcza naszego chłopu ma dużą wartość kolonizacyjną, smutnem jest jednak, że tężyzna ta jest wyrazem stosunkowo pierwotnej kultury i że ustępuje przed kulturą wyższą technicznie. Aby Parana była polską, aby przynajmniej zaakcentować się

w niej mogła kultura polska, na to między innymi czynnikami niezbędnym jest i opanowanie gospodarcze bezpośrednich okolic Kurytyby i innych miejskich ośrodków życia tamtejszego. Czem tłumaczyć się przyczyny tego procesu ucieczki z pod Kurytyby? Mojem zdaniem brakiem kultury gospodarczej naszego chłopca. Szczęśliwym jest naród kolonizatorski, który umie zahaczyć się gospodarczo o pierwotne, dzikie nawet warunki, nieszczęściem jest jednak jeśli naród jakiś tylko w pierwotnych warunkach żyć potrafi, nie umiejąc zdobytych placówek gospodarczo utrzymać w swem ręku. Dlatego też dalsze fale osadnictwa rolnego w Paranie, czy też na innych podobnych terenach winny reprezentować materiał rolniczo wysoko z punktu widzenia techniki postawiony, a uczynić to winny organizacje społeczne macierzy, wyszkalając odpowiednio wysyłany materiał ludzki, choć jasnym jest, że samo wyszkolenie problemu omawianego w całej pełni jeszcze nie rozwiązuje. Aby rolnik polski jadący np. do Parany, Peru czy też do Kanady umiał na nowych terenach intensywnie pracować i nie był zmuszony do cofania się przed wyższą techniką rolniczą, na którą z reguły i jemu pozwalają się warunki ekonomiczne zdobyć, należy w pierwszym rzędzie wytworzyć odpowiednią literaturę naukową polską, rolniczo - techniczną, a następnie dbać o możliwe najlepsze spopularyzowanie tej wiedzy. Pierwszą część tego zadania winien spełnić przed rokiem powstały Instytut naukowy do badań emigracji i kolonizacji, druga część spada na organizacje rolnicze. Społeczne organizacje robotnicze i rzemieślnicze i handlowe winny w analogiczny sposób rozwiązać problem wyszkolenia i poinformowania swoich członków udających się na wychodźstwo. Daleki jestem od prób rzucania w tym szkicu zbyt szczegółowo opracowanych, konkretnych projektów proponowanych w rozdziale tym urzędów organizacyjnych. Stawiając przed oczyma czytelnika problem konieczności zajęcia się opieką kulturalną nad wychodźstwem, opieką nie tylko nad językiem i tradycją narodową ale i nad gospodarczą jego kulturą, miałem zamiar wykazać tylko jak rozległe są te zadania, jak wielu ramion i mózgow praca ta wymaga. Uświadomienie sobie tej prawdy pozwoli nam zdać sobie sprawę z konieczności krytycznej oceny obecnego społecznego aparatu kulturalnej opieki społecznej nad wychodźstwem i pozwoli nam zarazem ustalić podstawy pod taką reorganizację tego aparatu, aby sprostał on bodaj

elementarnym wymogom życia emigracyjnego. Uwagi jakim dałem wyraz bynajmniej nie roszczą sobie pretensji do wyczerpania tematu. Realna praca nad realizacją nakreślonego powyżej programu da podstawy do dalszej, konkretniejszej i bogatszej jego rozbudowy. Jeśli zgodzimy się, że program nakreślony powyżej ramowo jest minimalny, to przykrem będzie stwierdzić, jak dalecy jesteśmy dziś jeszcze choćby od zaczątków realnej kulturalnej opieki społecznej nad naszym wychodźstwem. Kulturalna opieka społeczna nad wychodźcą polskim nie weszła podzień dzisiejszy nawet w stadium poważnej dyskusji publicznej.

Zestawiając realne wyniki ostatniego dwulecia społecznej pracy opiekuńczo kulturalnej nad naszym wychodźstwem, a specjalnie analizując pracę macierzy, musimy dojść do przekonania, że dysproporcja pomiędzy pożądanymi elementarnymi wynikami, a wynikami osiągniętymi jest wprost rażąca. Przypisywanie tej ujemności bilansu prac tego działu opieki społecznej wyłącznie lub głównie błędnym posunięciom nielicznego zresztą sztabu pracowników społecznych byłoby nieściśłem, choć niewątpliwie i ten moment wiele tłumaczy. Należy tu odrazu na samym wstępie stwierdzić, że niektóre z tych błędnych posunięć nie wynikały z braku wiedzy fachowej u pracowników społecznych emigracyjnych, ile były one wynikiem następstw błędnej organizacji społecznej aparatu tej dziedziny. Błędy te były wprost koniecznościami chwili, paliatywami, które musiały się zemścić i będą się mścić w świetle dłuższych wycinków czasu, po których społeczeństwo będzie miało pełne prawo zażądać od organizacyj tych ostatecznych rozrachunków. Praca społeczna wymaga niewątpliwie czystych rąk, czyste jednak ręce, to tylko jeden choć zasadniczy wymóg zdrowej pracy społecznej. Wódz i sztab, kampanję wojenną przegrywający nie mogą na obronę swą przytaczać wyłącznie argumentów dowodzących dobrej woli i czystości rąk swoich. Wódz i sztab, którzy kampanję przegrywają mimo uczciwości swej, odpowiadają gardłem za wszystko co nieda się istotnie przypisać siłom wyższym, za wszystko co leży w granicach fachowej wiedzy i organizacji. Polska kampanja o polską kulturę wychodźstwa toczy się już od długich dziesiątków lat. Toczy się ona już i w okresie poprzedzającym restaurację państwowości naszej, toczy się ona i przez 9 lat II Rzeczypos-

spolitej. Nikłe i nietrwałe były formy naszego aparatu społecznego w okresie niewoli. Zjawisko to łatwo sobie wytłumaczyć, smutnem jest tylko, że w odrodzonej Rzeczypospolitej aparat ten organizacyjnie prawie że nie wyszedł poza swoje przedwojenne ramy, pod wielu zaś względami cofnął się w stosunku do czasów przedwojennych.

§ 13.

Zanim jednak przystąpimy do analizy choroby dzisiejszej społecznej organizacji opieki kulturalnej nad wychodźstwem, niezbędnem staje się dla nas wyjaśnić sobie socjologicznie stosunek t. z. organizacji społecznej do organizacji państwowej, gdyż bez jasności pod tym względem zrodzić się muszą poważne nieporozumienia, sprowadzające rozumowanie nasze na błędne tory. Otóż tak zwane organizacje społeczne są takim samym tworem społeczeństwa jak i państwo demokratyczne, mimo to jednak różnią się te organizacje wzajemnie tak co do formy swej jak i środków, przy pomocy których zadania swe rozwiązują one. Organizacje społeczne w ściślejszem tego słowa znaczeniu przedstawiają te formy życia społecznego, które pozbawione są w całości momentów przymusu prawnego odnośnie do przynależności do nich podmiotów osobowych, skład organizacyj tych tworzących. Cechą charakterystyczną organizacyj państwowych jest przymus należenia do nich i to przymus na prawie oparty. Wszystkie więc związki nieoparte o prawny przymus przynależności tworzą t. z. grupę organizacyj w ściślejszem tego słowa znaczeniu społecznych. Każdy podmiot osobowy może być członkiem tak organizacji państwowej, jak i organizacyj w ściślejszem tego słowa znaczeniu społecznych, gdyż przynależność do takiej lub innej organizacji nie oznacza nic innego, jak uznanie wspólnych z innymi podmiotami osobowymi lub prawnymi wspólnych celów, potrzeby realizacji tych celów oraz zgody na to, by cele te realizować pod kierunkiem pewnych, uznanych kierowników. Obojętną jest rzeczą czy cele te i kierownicy ci uznani są dobrowolnie, czy też pod wpływem takich lub innych form przymusu, z reguły jednak obywatele nowoczesnych państw, o ile nie czują się politycznie ujarzmionymi uznają organizację państwową, mimo jej przymusowego zasadniczo charakteru również i dobrowolnie. Współczesna organizacja państwowa stwarza prawo, organizacje w ściślejszym znaczeniu społeczne żyją w granicach prawa pań-

stwowego lub też wbrew niemu, prawa jednak nie stwarzają. Podczas gdy zasadniczym środkiem działania organizacji państwowej jest jej własne, przez nią samą stworzone prawo, organizacje t. z. społeczne środkiem tym jako własnym nie dysponują. Dalsza różnica pomiędzy organizacją państwową a tak zw. organizacjami społecznymi polega na tem, że pierwsza jest zawsze terytorjalną, druga może lecz nie musi być terytorjalną.

Każde społeczeństwo nowoczesne wytwarza normalnie i jedne i drugie formy organizacyjne dla różnych, a nieraz i dla jednakich nawet celów. Państwo, które dławi t. z. organizacje społeczne we wszystkich bez wyjątku dziedzinach jest w dzisiejszych warunkach prawie nie do pomyslenia. Są niewątpliwie cele społeczne nieznoszące konkurencji lub też kooperacji obu typów organizacyj, niemniej stwierdzić należy, że tendencją życia nowoczesnego jest coraz to większa kooperacja organizacji państwowej oraz organizacji społecznych. Kooperacja ta staje się tem konieczniejszą, że państwo dzisiejsze obejmując coraz to szersze dziedziny życia społecznego, mimo gwałtownego rozrastania się swego aparatu urzędniczego corazto mniej liczyć może na przymus jako wyłączny środek kontrolny oraz egzekucyjny. Z drugiej strony zaznaczyć należy, że pogłębianie się ideologii państwowej w społeczeństwach wolnych pozwala na coraz to większe harmonizowanie państwa demokratycznego oraz innych również dobru całości służących organizacyj t. z. społecznych. Jedną z najbardziej istotnych cech współczesnej demokracji jest ta właśnie harmonijna współpraca organizacyj przymusowych i dobrowolnych jednym lub pokrewnym, względnie nawzajem zązębionym celom służących, przyczem z reguły przymusowa organizacja ustępuje wszędzie tam, gdzie problem ten z korzyścią większą da się rozwiązać po linii organizacji dobrowolnej oraz naodwrot. Demokracja więc jak widzimy odwołuje się do dobrowolności organizacyjnej tylko tam i tylko wówczas, gdy dobrowolność organizacji większe zabezpiecza społeczeństwu korzyści niż przymusowość organizacyjna. Gdzie kończą się i gdzie zaczynają się granice dobrowolności organizacyjnej w społeczeństwach demokratycznych, to kwestje nie dające się szablonowo załatwić. To co na jednym społeczeństwie daje cudowne wprost wyniki w ramach organizacji przymusowej, w drugim społeczeństwie da te same wyniki tylko w ramach organizacji dobrowolnej. Znale-

zienie właściwej formy organizacyjnej należy do sztuki rządzenia t. j. dopasowywania form organizacyjnych do całokształtu kultury konkretnego społeczeństwa, celem wydobycia z niego maximum jego sił i zdolności.

§ 14.

Przeciwstawianie wzajemne Państwa i Narodu w społeczeństwach wolnych jest nonsensem i przeżytkiem pojęciowym okresu niewoli narodowo - politycznej. Państwowa organizacja jest wszakże tylko jedną z wielu funkcji Narodu. Przeciwstawić można sobie tylko organizacje państwowe i t. z. społeczne w ściślejszym tego słowa znaczeniu. W praktyce ostatnio wspomniana przeciwstawność ginie bardzo często choćby dzięki temu, że jedne i te same podmioty wchodzą w skład aparatu organizacji przymusowych i dobrowolnych, pozatem organizacje dobrowolne i przymusowe w ustroju demokratycznym, a specjalnie w ustroju demokratyczno - parlamentarnym mają bardzo duże wzajemne pole styczności i wzajemnego na się wpływania. W związku właśnie z tem wzajemnem wpływaniem i przenikaniem się instytucyj państwowych oraz instytucyj, względnie organizacji dobrowolnych powstaje bardzo poważny problem ustalenia granic dopuszczalności wpływów jednego i drugiego elementu. Jeśli dojdziemy do tego przekonania, że w takich a takich granicach działanie jakiegoś ze wspomnianych elementów jest pożądanem, to szkodliwem jest gdy element ten działa lub istnieje tylko fikcyjnie. Jeśli np. t. zw. organizacje społeczne opierają się wyłącznie lub prawie wyłącznie o subwencje państwowe, i to subwencje pochodzące z zainteresowanych resortów wówczas z reguły samodzielność działań takiej instytucji społecznej należy postawić pod znakiem zapytania. Samodzielność taka jest fikcją. Prawda, czasami przyznanie subwencji przez zainteresowany resort jest wynikiem strachu przed wpływami kierowników organizacji żądającej subwencji. Wtedy fikcją staje się niezależność Rządu, z reguły słabego w okresie systemu partjokratycznego.

§ 15.

Zwyczajnym biegiem wypadków w okresie partjokratyzmu po dłuższem lub krótszem zmaganiu się zainteresowanych resortów z taką nieliczną zwyczajnie grupą ludzi reprezentujących

jakąs organizację społeczną, ta ostatnia albo upada albo wytwarza odpowiadający jej siłom *modus vivendi* z Rządem. Siły niezbędne do wytworzenia tego *modus vivendi* organizacje społeczne z reguły czerpią przez prawie że średniowieczne komendowanie się stojącym u steru partjom politycznym i to tak jawnym jak i tajnym. Organizacja społeczna związana z jakąs partją lub kilku pokrewnymi partjami przez pewien czas w szybkim a nerwowem tempie rozwija się pod skrzydłami swoich wpływowych panów, przy załamaniu się zaś tych ostatnich wraz z nimi grzebie się pod tymi samymi co oni gruzami. Równocześnie pada i dany program społeczny, choćby nosił wszelkie cechy pełnej apartyjności.

§ 16.

Partjokratyzm jest zjawiskiem społecznym występującem na tle nietylko parlamentarnego i nietylko quasi — parlamentarnego ustroju. Chorobliwość tego zjawiska zaczyna się dopiero u pewnych granic. Śmieszno by było postawić twierdzenie, że partje polityczne są zbędne. Przeciwnie stosunkowo łatwo byłoby wykazać wielkie i pozytywne ich walory dla życia zbiorowego i to niejednokrotnie i wówczas, gdy nawet tylko negatywnie formułują swój program. Chodzi tu tylko o stwierdzenie, że polityka partyjna musi mieć swoje granice. Partje nie powinny zapominać o tem, że ponad partjami istnieje Naród i Państwo, którym nie wystarcza w programie poczesne zostawiać miejsca, ale którym należy czynnie służyć. Wbrew powyżej postawionej zasadzie należy stwierdzić, że partje polityczne współczesne z trudem utrzymują się w granicach swej społecznie zdrowej działalności. Ten stan rzeczy wynika nietylko z bardzo ogólnikowo nakreślonych zwyczajnie programów ale w pierwszej linii z braku oporu przed rozszerzaniem swej działalności i taktyki umacniania się na zdobytych chwilowo pozycjach. Aby stworzyć opór przeciw nadmiernej partjokracji, na to trzeba w danem społeczeństwie silnej i wyrobionej opinii społecznej o najważniejszych zadaniach życia zbiorowego. Tam gdzie tej opinii niema, tam partjokracja bez najmniejszego oporu wciska się w dziedzinę tych prac zbiorowych i to tak państwowych jak i t. z. społecznych, w których obecność jej jest nieraz zbędna a nieraz i bardzo szkodliwa.

Używając powyżej wyrażenia opinia publiczna chciałem powiedzieć, że pod tym wyrazem rozumiem *communis* lub prawie

communis opinio wszystkich miarodajnych czynników społeczeństwa, bez względu na zabarwienie polityczne. Opinia publiczna w znaczeniu przymiotnym podanem to twór, światopogląd narodu, a nie partyj. Te ostatnie uznają ją lecz nie rodzą jej. Im więcej powszechnie uznawanych prawd w życiu danego narodu istnieje, im innemi słowy powiedzawszy bogatszą jest opinia społeczna, tem mniejsze jest pole tarć partyjnych i tem samem mniejsze jest pole partjokratyzmu.

Kryzys polityczny współczesnej Polski, a przeżywamy ten kryzys bezspornie na całej linii jest nie tylko kryzysem parlamentaryzmu. Dzisiejszy kryzys to brak bogatej i silnej opinii społecznej, bez której żadna forma życia zbiorowego nie nada naszej masie narodowej siły i żywotności.

Stwierdziliśmy powyżej, że podstawą partjokratyzmu jest niedorozwój, anemia polskiej opinii publicznej. Z kolei warto zastanowić się nad tem czy choroba ta jest uleczalna, czy też nieuleczalna. Nieuleczalnym chorobom należy poddać się fatalistycznie, uleczalne choroby leczyć.

Anemja opinii publicznej jest chorobą z reguły uleczalną jeśli umie się postawić odpowiednią ddiagnozę co do ilości i jakości ciałek krwi i jeśli zna się normalny a pożądany stan i jeśli brakującą ilość ciałek krwi umie się doprodukować. Urabianie i do-rabianie opinii społecznej jest procesem długim ale bynajmniej nie beznadziejnym. Anemja opinii społecznej w dziedzinie takich lub innych poglądów społecznych daje się zwyczajnie usunąć. Doprodukowanie brakujących do normale ciałek krwi odbywa się według znanych socjologom i praktykom politycznym recept do urabiania opinii publicznych. Jakże brzmi ta recepta?

Otóż każda idea społeczna, która ma przejść do rzędu prawd społecznych pewnej choćby grupy musi odpowiadać pewnym interesom. Interes ten niekoniecznie materialny musi być dla grupy tej jasny i istotny i mający choćby odległe szanse trwałości.

To jedna strona problemu urabiania opinii. Druga strona obejmuje technikę propagandy. Tu nie należy zapominać, że najpiękniejsza idea wymaga — o ile ma się ona szybko przyjąć — realizacji, a dalej musi ona przedstawiać pewien charakter w danej mniejszej lub większej grupie — by propaganda tej idei podjętą została przez podmiot jeśli nie cieszący się już znacznym

poprzednio urobionym autorytetem w tej grupie, to bodaj przez podmiot jeszcze z autorytetu niezdartą. Pozatem idea dana musi być szeroko oraz intensywnie propagowana, oddziałując na najsilniejsze rozumowe uczuciowe i woluntarystyczne momenty życia grupy wśród której propaganda jest szerzoną.

Im większą jest grupa mająca być ideologicznie urobioną, tem większy aparat musi propaganda posiadać, na wielkie zaś aparaty zdobywają się tylko wielkie, a sprężyste organizacje. Stąd też pochodzi to obserwowane powszechnie zjawisko, że organizacja państwowa, jako na określonym terytorjum najsilniejsza, najsilniej — o ile jest zdrową — urabia opinię publiczną. Stąd też wszystkie partie wszystkich ustrojów dążą do opanowania aparatu państwowego przy pomocy przenajrozmaitszych środków.

§ 17.

Jeśli tak jest między innymi i w Polsce, w której państwo w szybkim tempie wsącza w siebie od samego swego zarania coraz to więcej aparat opiniotwórczy i to nawet kosztem partyj politycznych, ciężki na skutek tego kryzys przechodzących, to należy zapytać, czy leży w interesie Państwa przy pomocy stojącego mu do dyspozycji aparatu wytworzyć opinię, tym dopuścić do wytworzenia opinii w całym szeregu spraw społecznie ważnych. Czyż nie lepiej społeczeństwo własne stale prowadzić jak trzodę z jednego przez siebie wybranego pastwiska na drugie? Wszak ta opinia publiczna raz urobiona staje się później zawadą w stosowaniu zasady swobody rąk w wewnętrznej polityce! — Doświadczenia narodów starych, posiadających długą kulturę polityczną pouczającą nas, że w interesie państwa pragnącego ostać się trwale leży niewątpliwie wytworzenie zdrowej opinii społecznej, która jest poza wszystkim w pierwszej linii podstawą życia i siły samej organizacji państwowej z reguły rozpadającej się tam wszędzie, gdzie nie czerpie ona podstaw w opinii rządzonego społeczeństwa. Polska szlachecka nie upadła dla czego innego, jak dlatego, że nie leżała ona na linii opinii społecznej ówczesnych Polaków. Państwa powstają nieraz wbrew opinii mas, które im zostają podporządkowywane, biada im jednak jeśli w szybkim tempie idea ich nie wżera się w mózgi rządzonych. Ale dla życia państw nietylko ważnem jest by ich idea państwowa

wzarała się w mózgi rządzonych. Państwo współczesne stoi przed ogromem zadań społecznych, które musi spełnić, a realizacja tych zadań nie jest możliwą bez pomocy opinii publicznej i opartych o ideę organizacji dobrowolnych.

§ 18.

Takim wielkim współczesnym problemem polskim, chorym na brak opinii, to problemat emigracji. Kryzys tego problemu w dzisiejszej Polsce leży w bardzo dużej mierze po stronie wadliwej naszej organizacji społecznej. Ta ostatnia charakteryzuje się tem, że jest minimalna w świetle cyfr i faktów, wyraźnie niedorastająca do wynogów nietylko najbliższej przyszłości ale nawet do wymogów chwilowych. Zamiast współpracy państwa i organizacji społecznych widzimy w dziwnym kalejdoskopie to fikcyjną pracę państwa, a więc organizacji przymusowej, to organizacji społecznych, dobrowolnych. Oba elementy twórczości społecznej nawzajem się paraliżują zamiast się wspomagać. Chorobliwy ten proces, bynajmniej nie zmonopolizowany w dziedzinie polityki migracyjnej może się dokonywać tylko w atmosferze pozbawionej opinii społecznej w dziedzinie polskich zjawisk migracyjnych.

Z tej zamkniętej zapowietrzonej ulicy, stojącej nieraz pod znakiem ukrytej lub jawnej partjokracji lub klikokracji, czas najwyższy już wyjść. Z ulic zamkniętych wyjść można na otwartą drogę tylko w ten jedyny sposób, że zawraca się z niej. A wrócić z niej trzeba nawet wbrew woli tych, którzy na ślepą ulicę zaprowadzili i sami na nią weszli.

Ciekawą jest rzeczą, że problemat emigracyjny, który przedstawia jeden z najżywotniejszych problemów całej masy narodowej polskiej, który przedstawia żywy i względnie trwały interes związany silnie z rozumowem, uczuciwem i woluntarystycznym życiem mas polskich, że problemat ten tak słabo odbija się w życiu społeczno - organizacyjnem dzisiejszej Polski. Czy nie dowód to oczywisty, że wina tego stanu rzeczy nie w czem innem leży jak w wadliwej organizacji? Postulat i to najważniejszy postulat dzisiejszej polityki emigracyjnej leży w wytworzeniu wielkiej, o narodową opinię opartej organizacji. Wszystkie wielkie narody stwarzały potężne aparaty mocarności własnej w oparciu

o ducha i o opinię własnego narodu. Opinię tę rodziła zawsze najsilniejsza w narodzie organizacja dawniejsza.

§ 19.

Współczesna macierzysta dobrowolna organizacja społecznej opieki kulturalnej nad wychodźstwem obraca się w granicach przedwojennej organizacji niewolnego Narodu polskiego. Są to ciągle, że tak powiem prymitywy organizacyjne w wielu miejscach niepokryte nawet pokostem techniki -organizacyjnej zachodnio europejskiej, techniki posiadającej zresztą już swoją pisaną i bogatą teorię.

Zanim jednak podda się praktycznej rewizji obecną strukturę organizacyj społecznych opiekuńczo - migracyjnych należy naukowo ściśle opracować program właściwej, zdrowej nowej organizacji. Burzyć wolno domy stare, choć młode, ale przedwczesnym grzybem zjedzone, lokatorów należy przeprowadzić jednak w momencie rozpoczętej rozbiórki do domów innych, zdrowszych i lepszych. O tym zdrowszym i lepszym domu naszej społecznej opieki kulturalnej nad polskiem emigrantem pragnę na końcowych kartach niniejszej rozprawki pomówić.

§ 20.

Podczas gdy t. zw. opieka kulturalna nad emigrantem ma za zadanie utrzymanie emigranta w ramach jego dawnego macierzystego kręgu językowego i moralnego, a dalej dokształcić go w kierunku większej jego zdolności zarobkowej na terenie imigracji, — opieka gospodarcza nad emigrantem polega na udzieleniu mu pomocy w dziedzinie bezpośrednich interesów gospodarczych. Treścią tych interesów jest w pierwszej linii zabezpieczenie migrantowi źródeł dochodu, odpowiadającego jego poziomowi potrzeb, potrzeb tak idealnych jak i materialnych. Poza tem opieka gospodarcza wymaga zabezpieczenia emigranta przed wszystkimi ekonomicznymi niebezpieczeństwami z jakimi może on spotykać się w drodze na emigrację, na terenie imigracji oraz w czasie reemigracji do macierzy, aż do ostatecznego, acz względnie umocnienia się na terenie ojczystym.

Zabezpieczenie migrantowi źródeł dochodu na terenie jego imigracji jest problemem w bardzo wysokim stopniu skomplikowa-

nym. Rozwiązanie tego problemu rozwinąć się może w dwóch zasadniczych kierunkach, albo w kierunku znalezienia dla imigranta pracy przy obcym warsztacie pracy, albo też w kierunku wytworzenia dla imigranta samodzielnego warsztatu pracy. Zastanówmy się obecnie nad tym pierwszym problemem, i to specjalnie z tego punktu widzenia, o ile działalność społeczna przyjść może migrantowi z pomocą w znalezieniu pracy przy obcych warsztatach pracy. Jak wiadomo idąc za wzorami włoskimi polskie ustawodawstwo emigracyjne żąda z reguły przy emigracji robotniczej kontraktu służbowego dla emigranta polskiego, dbając o to, by treść kontraktu zabezpieczała emigranta polskiego przed rozmaitego rodzaju formami wyzysku. Nie będziemy w tym miejscu wchodzić w szczegóły zasad zatwierdzonych i uznanych przez nasze władze kontraktów robotniczych. Pozatem robotnik nie stanowi wyłącznego materiału emigracyjnego. Chciałbym w tym miejscu stwierdzić tylko, że zabezpieczenie emigranta przy pomocy kontraktu pracy normalnie nie stanowi pełnego zabezpieczenia jego interesów gospodarczych, aczkolwiek kontrakt — oczywiście dobry kontrakt pracy — jest niewątpliwie fundamentalną podstawą bezpieczeństwa gospodarczego imigranta. Należy tu również podkreślić, że rządowa akcja, rozwijana przez konsulaty, radców emigracyjnych, komisarzy emigracyjnych, wszelakiego typu inspektorów rządowych, mimo niewątpliwie wielkich walorów, niejednokrotnie niedocenianych, nie jest wstanie bez reszty i — to poważnej reszty, problemu gospodarczego bezpieczeństwa wychodźcy zabezpieczyć. Trudności rządowej akcji mają swe dwa źródła główne: primo szczupłość aparatu urzędowego, przeznaczonego do opieki gospodarczej nad emigrantem, sekundo zaś niejednokrotnie występująca trudność oficjalnego, urzędowego załatwienia całego szeregu spraw na terenie politycznie obcym. Z powyższymi momentami wiąże się niejednokrotnie sprawa trudności finansowych i politycznych państwa emigracyjnego.

Są jednak i względy natury społeczno - moralnej, które nakazują tworzyć tak zwaną organizację społeczną poza pomocą państwową i to nieraz w tych nawet dziedzinach, które mogłyby być z pożytkiem technicznie opanowane nawet i przez czynniki państwowe. Chodzi tu mianowicie o zmniejszenie w pewnych granicach w oczach zainteresowanych odpowiedzial-

ności rządu, a tem samem i państwa macierzystego. Zupełnie analogicznie do zasad stosowanych, przez współczesne demokratyczne państwa w ich wewnętrznej polityce, w której starają się one wciągnąć społeczeństwo do prac swoich na platformie dobrowoli oraz współpracy, zupełnie analogiczną zasadę należy stosować odnośnie do stosunku władz emigracyjnych do emigrantów i to tak w kraju, jak i zagranicą. Byłbym źle zrozumianym, gdyby czytelnik rozumiał mnie w ten sposób, iż chodzi mi wyłącznie o samo rozcieńczenie, rozłożenie odpowiedzialności, co jak wiadomo jest z reguły zjawiskiem niepożądanem. Mówiąc o zmniejszeniu, odciążeniu odpowiedzialności, mam na myśli podzielenie i to możliwie daleko idące podzielenie odpowiedzialności, zaczem z reguły idzie i ścisły podział funkcyj. Jednym zaś z najpoważniejszych środków odciążenia odpowiedzialności rządu jest w pierwszej linii ułożenie wspólnego planu pracy między rządem, a organizacjami społecznymi.

Zasady powyższe są w polskiej polityce migracyjnej prawie że od jej zarania niewątpliwie uznawane, realizacja jednak ich ani nie osiągnęła wszystkich terenów wychodźczych, ani też nie doczekała pełnego i właściwego rozwiązania na terenach stosowania tych zasad. Powody tego stanu rzeczy tkwią nietylko po stronie czynników rządowych, ile po stronie społeczeństwa t. j. albo organizacji społecznych, albo nieurobionej odpowiednio opinii publicznej. W następstwie tego rodzi się na wychodźstwie, na którym macierz posługuje się głównie swoim aparatem urzędowym, niezrozumienie roli i funkcyj Państwa odnośnie do emigracji, aparat administracyjny przeciążonym jest stale drobiazgami, które może najwyżej popchnąć, których jednak nie jest wstanie załatwić. Zbędnem będzie dodawać, że ciągle wystawianie na krytykę wychodźstwa aparatu administracyjno-emigracyjnego dla prestyżu Państwa nie może być dogodnem. Współpraca aparatu administracyjnego z samymi organizacjami wychodźstwa na wychodźstwie również rodzi cały szereg trudności, gdyż organizacje te bardzo często stoją na bardzo niskim poziomie, liczebnie są słabe, ulegają licznym fluktuacjom, rządzone są przez materjał często półinteligentki i t. p. Pozatem wytworzenie jakichkolwiek organizacji na wychodźstwie napotyka z reguły na dłuższy czas trwające przeszkody przenajrozmaitszej natury. Z tych więc względów jest rzeczą w najwyższym stopniu pożądaną, by

do współpracy tej, specjalnie w dziedzinie gospodarczej ruszyły organizacje społeczne macierzyste, które oparte o główny pień społeczeństwa naszego, a więc i o główny rezerwoar sił naszych, powinny od samego początku wypełniać na wychodźstwie luki, organizacji gospodarczej. Mówiąc o gospodarczej pracy macierzystych organizacji na wychodźstwie zdają sobie dokładnie sprawę z faktu, że w rozmaitych stadiach rozwoju siły społeczeństwa wychodźczego w poszczególnych krajach imigracji naszej, rola ich wszędzie rozmaitym i ciągłym fluktuacjom będzie ulegała. Oczywiście, że zdrowa tendencja rozwojowa powinna iść po linii corazto intensywniejszego przejmowania funkcji opiekuńczych przez organizacje wychodźcze, co bynajmniej nie powinno nigdy odbywać się kosztem połuznienia stosunków wychodźstwa i macierzy.

§ 21.

Pośrednictwo pracy jest choćby z tego względu pierwszorzędnej wagi czynnikiem opieki gospodarczej, że jak wykazują sprawozdania konsularne, ilość wypadków porzucenia służby, pierwotnie zakontraktowanej w macierzy, pod kontrolą Urzędu Emigracyjnego, bynajmniej nie maleje, a pozatem przedstawia bardzo poważny poziom. Prawda, robotnicy polscy na wychodźstwie bardzo szybko w pewnych krajach zapisywali się do organizacji zawodowych zagranicznych i w tej dziedzinie jednak należy stwierdzić, że proces ten nie daje się zgeneralizować. Olbrzymie gros wychodźców zachowuje się zwyczajnie dość długo opornie wobec obcojęzycznych organizacji zawodowych. Trudno zachwycać się przynależnością naszego robotnika do obcych organizacji zawodowych, które czasem zresztą zamykają, a w każdym razie zamknąć mogą wrota swoje przed imigrantem polskim. Niejednokrotnie, w pewnych specjalnych warunkach, których tu nie będą detalicznie analizować, obce organizacje zawodowe wciągają naszego robociarza usilnie w swoje szeregi, ale i wówczas nasz robotnik nie może liczyć nato, by obca organizacja przy ściśnionym rynku pracy o los jego specjalnie dbała. Zagraniczne organizacje zawodowe niezawsze i nie wszędzie zresztą zajmują się pośrednictwem pracy, niezawsze też one umieją podołać zadaniu. W niektórych krajach, a rzecz można nawet, że w większości krajów imigracji polskiej rozwiniętym

jest silnie aparat lokalnego pośrednictwa państwowego. Sprawność tego aparatu jest różnolita, a jednak tam nawet, gdzie państwowe pośrednictwo pracy funkcjonuje bez zarzutu, nawet tam nie należy przypuszczać jakby obyć się mogło bez pośrednictwa własnej naszej organizacji społecznej. Trzeba tu bowiem wziąć pod uwagę specjalne warunki, w jakich znajdują się nieraz robotnicy nasi, którzy nieznając języka z trudem poruszają się na obcym sobie gruncie. Robotnik nasz musi zresztą liczyć się z tem, że w razie zmniejszenia się popytu na rynku pracy będzie w pierwszej linii wyrzucony poza nawias, jest wszakże oczywiście, iż robotnik krajowy będzie miał w kraju zawsze pierwszeństwo przed obcokrajowcem. Będzie to nietylko sprawą sentymentu administracji krajowej wobec współobywateli własnych ale niejednokrotnie robotnik krajowy wymusi nawet na swej administracji państwowej i na krajowym przedsiębiorcy pewne przywileje, pierwszeństwo dla siebie. Podchodząc do sprawy obiektywnie, przyznać należy że nacjonalizm jako kierownicza zasada przy obsadzaniu wakujących warsztatów pracy, jest nietylko zasadą realnie działającą, ale i zdrową zasadą. Przy sposobności warto jeszcze w tem miejscu bodaj nawiasem zaznaczyć, że niemasz takiego kraju, w którym państwowe pośrednictwo pracy zdołałoby objąć wszelkie wypadki poszukiwania oraz otwierania się posad czy też wogóle stanowisk, najlepszym czego dowodem jest ciągle istnienie, a niejednokrotnie i rozwój prywatnych biur pośrednictwa pracy. Gdybyśmy w krajach do których kieruje się masowo wychodźstwo polskie posiadali własne, polskie biura pośrednictwa pracy, wówczas nietylko udałoby się zapobiec olbrzymiej wprost ilości tragicznych nieraz wypadków związanych z bezrobociem naszych emigrantów, ale co więcej, udałoby się nam w niejednym wypadku podnieść kwestję pracy polskiej na wychodźstwie. Mam tu na myśli częste w niektórych okolicach i wprost epidemicznie występujące wypadki masowego opuszczania pracy przez robotników naszych, łamiących kontrakt. Powody tego oczywiście są rozmaite, przyznać jednak należy, iż w wielu wypadkach przyczyną ucieczki od warsztatu pracy jest nietylko zła wola przedsiębiorcy, ile drobne nieraz nieporozumienia, często zaś nielegalna, na zysk obliczona i niesumienna namowa prywatnych, polskich pośredników pracy. Jasnym jest, że społeczne, polskie biura pośrednictwa pracy na wychodźstwie

w pewnej ilości wypadków nie będą mogły sparaliżować działalności prywatnych pośredników pracy, których akcja wyrabia robotnikowi naszemu niezasłużoną zresztą naogół sławę „łazików”, nie mniej mogą one łatwo uzupełnić lukę powstałą w robociznie przedsiębiorstw kraju imigracji polskiej, a tem samem zmniejszyć lub zniwelować szkody tych przedsiębiorstw obcych, kontraktujących polskich robotników. Rzeczą pierwszorzędnej wagi byłoby nietylko stworzenie sieci biur pośrednictwa prac w poszczególnych okręgach krajów imigracji polskiej, co umożliwiłoby przerzucanie naszych sił roboczych z jednych okręgów do drugich i łatwiejsze przystosowywania, podaży naszej siły roboczej do jej zapotrzebowania, zmniejszając tem samem zbędny, często szkodliwy i gwałtowny napór wychodźstwa na macierz, — ale umożliwiłoby stworzenie również zagranicznej, międzypaństwowej sieci biur pośrednictwa pracy. Centrala tego polskiego, międzypaństwowego biura pracy miałaby za zadania skoordynowanie w jednym ręku przesunąć naszych sił roboczych z jednego kraju do drugiego. Aparat ten oszczędziłby naszemu robotnikowi w wielu wypadkach beznadziejny dla niego powrót do macierzy, z której i tak zmuszonym będzie w pewnych wypadkach wnet wyjechać, zużywszy często lub przed czasem resztki swych funduszków pieniężnych. Poza tem wspomniany aparat będzie mógł w pewnych wypadkach służyć nam jako broń i to skuteczna broń w wytargowaniu lepszych warunków pracy i płacy, a kto wie czy i nie pewnych warunków handlowych. Wdzieliśmy wszak na niektórych przykładach emigracyjnej polityki włoskiej, jak ta ostatnia umiejętnie zdołała dzięki pełnemu opanowaniu i udyscyplinowaniu swojej emigracji wytargować dla narodowego gospodarstwa włoskiego pokaźne nawet plusy w dziedzinie międzynarodowej wymiany towarowej.

§ 22.

Naszkicowana powyżej organizacja pośrednictwa pracy rozciągając się winna odnośnie do wychodźstwa również i na sprawy reemigracji do macierzy, a to tembardziej, że szablonowe traktowanie reemigranta na równi z robotnikami od dłuższego czasu w kraju pracującymi daje z reguły wyniki mało pożądane, w wypadkach zaś reemigracji po dłuższym pobycie zagranicą — nieraz i fatalne.

§ 23.

Nasz własny aparat pośrednictwa pracy na wychodźstwie, zapewni nam pozatem bardzo dużą sprawność polskiego aparatu konsularnego, przyczem warto wspomnieć tu, że i ewentualne polskie, czy też mieszane inspektoraty pracy będą miały dzięki temu aparatowi zadania mocno uproszczone.

Z należytem zorganizowaniem naszych biur pośrednictwa pracy łączy się bezpośrednio sprawa należytej rekrutacji emigrantów w kraju macierzystym i co nieraz najważniejsze, sprawa należytego wyszkolenia tych emigrantów. To ostatnie winno odbywać się w ścisłym związku z kierunkiem wzrostu zapotrzebowania zagranicy na pracę polską. Kraje imigracji niezawsze posiadają sprawnie działający aparat, ustalający zapotrzebowanie sił roboczych. Bardzo często pozatem aparat ten w niektórych państwach okazuje dużą tendencyjność w traktowaniu naszej imigracji, ztąd też rodzi się potrzeba zorganizowania własnych biur pośrednictwa pracy.

Omawiane przez nas biura pośrednictwa pracy objąć winny według naszej koncepcji nietylko bezpośrednio z pośrednictwem związane funkcje, ale co więcej musiałyby one jaknajszybciej zdobyć zdolność badania koniunktur dla pracy polskiej na wychodźstwie. Przykładem na to, jak wielkie znaczenie posiada dzisiaj badanie koniunktury dla pracy wychodźczej jest Anglja i Włochy dzisiejsze. Jeśli wyniki w tej dziedzinie nie są jeszcze w tej chwili wielkie, to niemniej oświadczenia wybitnych znawców, choćby tylko obu tych krajów dobitnie wskazują na to, że tendencje rozwojowe corazto intensywniej pchają problem emigracji ku rozwiązaniu właśnie po tej linii, to jest po linii związania pośrednictwa pracy, ze szkoleniem wychodźstwa i badaniem jego koniunktury. Np. w takich Włoszech, w roku szkolnym 1925/26 ilość zawodowych kursów dla emigrantów wynosiła według *Chronique mensuelle des migrations* (1926 str. 290) — 248 z końcem I półrocza r. 1925, z końcem zaś stycznia 1926 r. cyfra ta doszła już do 288.

W Polsce dzisiejszej wychodźstwo polskie, ani też słowiańskie wogóle w najdrobniejszej nawet części nie przechodzi przez kanał szkolenia pod kątem widzenia zagranicznego zapotrzebowania na pracę polską. Po dzień dzisiejszy niema ani na wy-

chodźtwie ani w macierzy śladu tendencji powiązania pośrednictwa pracy ze szkoleniem zawodowym wychodźcy. Inaczej natomiast przedstawia się ten problem odnośnie do ludności żydowskiej. W sprawozdaniu „Annuaire international des organisations privées pour la protections des migrants” czytamy na str. 46, że Ica (Jewish Colonisation Association) w samej Polsce kształci zawodowo około 2000 osób, w 18 szkołach zawodowych. Stwierdzając brak polskiego szkolnictwa zawodowego dla migrantów, warto uprzytomnić sobie, że fakt ten był możliwy u nas z tego tylko powodu, że znaczna część zagranicę idącej pracy polskiej znajdowała do niedawna potężne ujście dla siebie albo w dziedzinie robót ciężkich i prymitywnych, do których specjalna kwalifikacja była zbędna, albo też zagranica zabierała z Polski wyłącznie odpowiednio kwalifikowane siły. W ostatnich czasach coraz silniej akcentuje się w gospodarstwie światowym, od wieków zresztą istniejąca tendencja rugowania pracy niekwalifikowanej. Specjalizacja pracy ludzkiej czyni coraz to większe postępy, z drugiej zaś strony rosnący maszynizm gwałtownie zmniejsza nietyłe zapotrzebowanie pracy kwalifikowanej, ile pracy niekwalifikowanej. (Inna rzecz, że uzyskanie kwalifikacji w dziedzinie przemysłowej jest dziś w okresie maszynizmu w b. wielu działach produkcji dużo łatwiejszej, niż w okresie przewagi narzędzi ręcznych).

Emigracja polska na zachód była dotychczas w olbrzymim procencie wychodźstwem rolników, którzy szli bądź to do zajęć rolniczych, bądź też do ciężkich prac niekwalifikowanych lub mało kwalifikowanych. Obok rolników szli na zachód górnicy. Emigracja elementu rzemieślniczego i fabryczno-robotniczego, a dalej emigracja inteligencji skierowywała się do restauracji drugiej Rzeczypospolitej na Wschód raczej, niż na Zachód. Dziś wschód odrzucił z powrotem do Polski dużą część wychodźstwa polskiego z 19 w., a poza tem jest dla nas prawie że szczelnie zamknięty, zachód zaś z jednej strony znosi coraz to mniej niekwalifikowanych sił z Polski, z drugiej zaś strony wymaga od imigrantów specjalnego przygotowania zawodowego, dopasowanego do jego kultury gospodarczej i jego specjalnych warunków. Dziś, by móc emigrować na Zachód, nie wystarczy mieć jakieś wogóle kwalifikacje zawodowe, lecz trzeba mieć te kwalifikacje, na które istnieje zapotrzebowanie specjalne. Innemi słowy można

powiedzieć, że zapotrzebowanie zagranicy na siły nawet kwalifikowane nie jest generalne, ale specjalne. Ten moment winien stać się bodaj że naczelną zasadą projektowanego przez nas pośrednictwa pracy oraz związanej z niem rekrutacji i szkolnictwa zawodowego dla wychodźstwa.

§ 24.

Pozostaje nam do omówienia jedna jeszcze ważna kwestja, związana z problemem pośrednictwa pracy, a mianowicie sprawa społecznego charakteru podmiotu organizującego pośrednictwo pracy wychodźczej. Można dziś jeszcze spierać się o to, czy czynnik społeczny, czy też czynnik publiczno - administracyjny może należycie rozwiązać problem pośrednictwa pracy w wypadkach zapotrzebowania, zgłoszonego przez zagranicę naszej macierzystej publicznej administracji. Z punktu widzenia doświadczeń w Polsce poczynionych, choćby w dziedzinie emigracji do Francji i Niemiec, okazuje się niezbicie, że daleko posunięta kontrola i ingerencja administracji państwowej wydaje wyniki niewątpliwie dodatnie, niemniej jest rzeczą pewną, że dodatnia strona działalności naszych władz emigracyjnych, współdziałających planowo z państwowymi urzędami pośrednictwa pracy dałaby wyniki o wiele bardziej pozytywne, niż to ma miejsce obecnie, gdyby i organizacje społeczne mogły bardziej skutecznie w procesie rekrutacji współdziałać. W tym zresztą kierunku idzie obecnie tendencja Towarzystwa Kolonizacyjnego oraz Urzędu Emigracyjnego. Wyrazem tej tendencji częściowo jest powstanie „Société d'expansion Agricole et Coloniale” (skrót „Agricolon”). Jest to towarzystwo polsko - francuskie, z siedzibą w Paryżu. Chociaż organizacja ta nie jest organizacją społeczną, lecz prywatno-kapitalistyczną, mimo to przyznać trzeba, że jest ona organizacją wysuwającą cele społeczne mimo swego prywatno-kapitalistycznego charakteru. Według informacji, które otrzymałem, jednym z pierwszych zadań, które organizacja ta wysuwa w dziedzinie pośrednictwa pracy oraz jej rekrutacji w Polsce, to sprawa poddania rekrutacji pracy polskiej do Francji większej kontroli polskiej. Z braku społecznej organizacji polskiej, któraby mogła wziąć na siebie te zadania, związane z kontrolą rekrutacji i opieki (w drodze), dotychczas dokonywanej przez Francuzów, pod z natury rzeczy luźną kontrolą władz administracyjnych polskich.

Urząd emigracyjny poparł akcję Tow. Kolonizacyjnego, z którego inicjatywy „Agricolon” powstał, i w którym Tow. Kolonizacyjne reprezentuje wspomnianych powyżej 50% udziałów polskich. Z czasem, gdy odpowiednia organizacja społeczna powstanie u nas w Polsce, wówczas albo wejdzie ona do wspomnianego „Agricolonu”, albo też omawiane zadania od niego całkowicie przejmie.

Zadania Towarzystwa Kolonizacyjnego zakreślone są bardzo szeroko, niemniej ograniczają się one wyłącznie do celów rolno - osadniczych, tem samem nie wyczerpują one merytorycznie problemu pośrednictwa pracy wychodźczej, obejmującej choćby w samej Francji dużo większy odsetek pracowników nierolniczych niż rolniczych. Tem samem kwestja społecznego zorganizowania pośrednictwa pracy polskiej, choćby do samej Francji, nie doczekała się jeszcze nawet prób rozwiązania z punktu widzenia całokształtu tego problemu. Nie mamy nawet dotychczas w dziedzinie pracy nierolniczej paliatywu organizacji społecznej w formie prywatno - kapitalistycznej o celach również społecznych. Lukę tę trzeba będzie już w najbliższym czasie stanowczo uzupełnić. Na dowód, że Towarzystwo Kolonizacyjne zajęło się wyłącznie sprawami osadnictwa rolnego, że więc tem samem w obecnych swych kształtach nie może ono spełnić roli czynnika organizującego pośrednictwo pracy wychodźczej na całej linii, pozwolę sobie dla ilustracji przytoczyć dosłowną treść § 2 Statutu Towarzystwa Kolonizacyjnego.

§ 2. Do zadań Towarzystwa Kolonizacyjnego należy:

1. uzyskiwanie czy to w drodze kupna, czy koncesji, czy komisu terenów, nadających się dla osadnictwa; wybór państw, w których uzyskiwane będą tereny, będzie dokonany zgodnie z wytyczną linią polityki emigracyjnej polskich władz państwowych;
2. tworzenie, z uwzględnieniem miejscowych warunków na terenach osadnictwa samowystarczalnych, racjonalnych gospodarstw;
3. przygotowanie fachowców i organizowanie grup osadniczych bądź to z byłych, bądź z teraźniejszych obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, bez różnicy narodowości i wyznania;
4. zabezpieczenie pomocy kredytowej zarówno na zakup

- wydzielonych gruntów, jak i na zagospodarowanie się po ich objęciu przez osadników;
5. uzyskiwanie w drodze odnośnych umów najdogodniejszych warunków transportowych dla umożliwienia osadnikom dojazdu do przeznaczonych dla nich gruntów;
 6. popieranie wszelkimi środkami organizacji rozmaitego typu kooperatyw rolnych, celem zabezpieczenia osadnikom jak największych korzyści;
 7. pośredniczenie w nabywaniu nieruchomości ziemskich, jak również pośredniczenie w zbywaniu i nabywaniu wszelkich produktów i towarów;
 8. dokonywanie wszelkich czynności, związanych z należytym zabezpieczeniem interesów osadnictwa.

Dla zrealizowania tych zadań Towarzystwo może: a) tworzyć nowe spółki parcelacyjno - osadnicze, z uwzględnieniem prawodawstw miejscowych na terenie prac prowadzonych przez Towarzystwo Kolonizacyjne; b) finansować istniejące już w tych krajach spółki, z zabezpieczeniem sobie kontroli ich czynności; c) organizować na terenie prac prowadzonych przez Towarzystwo instytucje bankowe, współdziałające w finansowaniu prywatno-gospodarczych zamierzeń; d) wchodzić w układy z towarzystwami transportowymi, linjami okrętowymi, kolejami żelaznymi i t. p. i wogóle dokonywać wszelkich operacyj natury handlowej, które choćby nie były przewidziane w tem wyszczególnieniu, będą jednak pożyteczne i potrzebne dla osiągnięcia i utrwalenia kolonizacyjnych zadań Towarzystwa”.

W związku z problemem pośrednictwa pracy wynika więc z zacytowanych postanowień statutu wniosek, że Towarzystwo Kolonizacyjne zamierza troszczyć się wyłącznie o rozwiązanie problemu osadnictwa rolnego. Tej trosce o osadnictwo rolne może dać Towarzystwo wyraz, interesując się bądź to bezpośrednio i wyłącznie akcją osadniczą, bądź też uprawiając obok akcji bezpośredniej, również i pośrednią, polegającą na podchowywaniu sobie materiału osadniczego z pomiędzy robotników. Tow. Kol. poszło po tej ostatnio określonej linii, czemu wyraz odnośnie do Francji daje następujący wyjątek ze sprawozdania P. T. E. za rok 1926:

(Str. 13): „Nie naruszając w niczem obowiązującej konwencji polsko - francuskiej, dotyczącej robotników (przemysłowych i rolnych), Towa-

rzystwo Kolonizacyjne zamierza osadników polskich do Francji wysyłać rodzinami, narazie w charakterze maitre - valets lub métayers, przy jednoczesnem polepszeniu warunków pracy i wynagrodzenia, rozmieszczać ich tam grupowo, zapewnić im pomoc fachową (instruktoraty) i opiekę społeczno - kulturalną, któreby umożliwiły im w stosunkowo najkrótszym czasie nabycie ziemi na własność bez konieczności wywozu pieniędzy z kraju”.

W analogiczny sposób należy sobie wyobrazić stanowisko Towarzystwa Kolonizacyjnego odnośnie do parańskiego terenu kolonizacyjnego, na którym Towarzystwo pragnie uzyskać materjał osadniczy z São - Paulo.

Patrząc krytycznie na te poczynania Tow. Kol. w dziedzinie nie bezpośrednio osadniczej, dochodzimy do przekonania, że prace rekrutacji robotniczej oraz polepszenia bytu robotnikawychodźcy, z czem wiązaćby się mogło między innymi i pośrednictwo pracy, jako jeden z najważniejszych środków pośrednictwa pracy, że wszystkie te prace należy uważać za nieorganicznie z normalną organizacją Tow. splecione, aczkolwiek nie da się zaprzeczyć, że dziś, w momencie braku lub prawie braku organizacji społecznych wydatnie o polepszenie bytu robotnika rolnego dbających, imprezy Tow. Kol. mogą dać i zapewne dadzą kolonizacji plusy. Wierząc w to, że imprezy te przetworzą się w stałe działy Tow. Kolonizacyjnego, znaczyłoby naiwnie oceniać prywatno - przedsięwzięczy jej charakter, t. j. moment, który prędzej czy później musi zacząć dominować, o ile Towarzystwo Kolonizacyjne nie wchłonie w swój kapitał w dużej bardzo mierze kapitału państwowego, lub też społecznego, tak jak to już w zaraniu tej organizacji postawił sprawę główny twórca Towarzystwa Kolonizacyjnego, wybitny działacz społeczny, Bolesław Giliczyński. Jeśli uprzytomnimy sobie, że Tow. Kol. opieką nad dobrobytem robotników zajmować się ma w związku z podchowaniem sobie materjału osadniczego, to jasnem się staje, że opieka ta będzie miała kierunek i intensywność ograniczone swemi zdolnościami i swymi pośrednimi lub bezpośrednimi konkretnymi warunkami kolonizacji rolnej, gdy tymczasem ze stanowiska całokształtu problemu wychodźczego punkt widzenia reprezentowany przez Towarzystwo jest — że tak powiem — odcinkowy, tem samem niewyczerpujący kwestji.

Uwaga. Według ostatnich informacyj, otrzymanych z Towarzystwa Kolonizacyjnego, to ostatnie ma zamiar przejść w swe

repcę całokształt rekrutacji naszego wychodźstwa zagranicę. W najbliższym czasie mają być wprowadzone w życie odpowiednie zmiany statutowe. Półoficjalny charakter Tow. Kol. daje niewątpliwie poważne gwarancje solidności tej akcji, której niewątpliwie nie należałoby przeszkadzać przez zezwalanie na rekrutację np. linjcm okrętowym, chcącym działać pod przykrywką rozmaitych organizacji społecznych, nieemigracyjnych. Stwarzanie takiej wielości ośrodków rekrutacyjnych nietylko utrudnia i podraża kontrolę rządową czy też społeczną, ale zwiększa anormalnie koszta rekrutacji, co odbić się musi na wychodźtwie. Inna rzecz, że organizacja rekrutacji jest rzeczą bardzo kosztowną i że wypada zastanowić się, czy ze względów ogólnie - organizacyjnych i kapitałowych Tow. Kolonizacyjne zadaniom tym zdoła sprostać. Rola czynnika rekrutacyjnego winna zasadniczo przypaść specjalnym organizacjom, stworzonym przez samorządy. W oparciu o samorządy Tow. Kolonizacyjne ma większe niż dziś szanse zadowalającego rozwiązania problemu rekrutacji.

Poświęciłem sprawie roli Tow. Kolonizacyjnego dlatego więcej miejsca, aby dokładnie wyjaśnić stosunek jego organizacji oraz jego poczynañ do problemu poza-państwowego opieki gospodarczej nad robotnikiem - emigrantem. Pozaatem należy niezapominać i o tem, że wspomniane powyżej uboczne imprezy Tow. Kol. żyją w tej chwili bądź to jako koncepcja, bądź też jako ledwo zapoczątkowana praca, którą krytycznie oceniać byłoby stanowczo za wcześnie. Tem samym organizacja społecznej opieki nad emigrantem - robotnikiem jest kwestją, wymagającą na całej linii jak najszybszego rozwiązania. Zacząć te pracę należy od polskiego pośrednictwa pracy na wychodźtwie.

Jeśli w myśleniu o polskiem pośrednictwie pracy dochodzimy do wniosku, że ta część problemu, która głównie daje się rozwiązać w macierzy (w pierwszej linii rekrutacja) może być u nas w dużej mierze rozwiązana przez oficjalną współpracę rozbudowanej należycie administracji publicznej oraz czynników nietylko i nietyle prywatnych, ile społecznych, to druga część problemu, dotyczącego już głównie i bezpośrednio terenu wychodźstwa bezwzględnie już wymaga organizacji nieoficjalnej, głównie społecznej. Przyznać należy, że obok organizacji społecznej w dziedzinie pośrednictwa pracy duże usługi oddać mogą i prywatnie - gospodarcze organizacje pośrednictwa, te ostatnie jednak

o tyle dadzą z reguły społecznie korzystne warunki, o ile organizacje społeczne będą umiały wywrzeć na nie odpowiedni nacisk.

Postawienie żądania, by organizacja społecznego pośrednictwa pracy oparła się wyłącznie o społeczne siły polskiego wychodźstwa — krytyki nie wytrzymuje, a dzieje się to w pierwszej linii z tychże samych zasadniczych względów, jakie naprowadziliśmy w naszym myśleniu o roli wychodźstwa w dziedzinie opieki kulturalnej.

§ 25.

Następnym z kolei ważkim problemem macierzystej polityki gospodarczej na terenie wychodźstwa — to sprawa utworzenia w charakterze „społecznym” odpowiednich organizacyj asekuracyjnych, których prototypem zasadniczym mogą być olbrzymie towarzystwa wzajemnej asekuracji Polonji północno - amerykańskiej. Obok prasy będą takie towarzystwa asekuracyjne potężnym łącznikiem pomiędzy zatimizowanymi niejednokrotnie częściami naszej emigracji. Trudno przesądzać jest z góry formy i cele wspomnianych tu powyżej towarzystw asekuracyjnych. Będą one zależały zasadniczo od lokalnych tak faktycznych jak i prawnych warunków poszczególnych terenów imigracji polskiej oraz od struktury naszego wychodźstwa w poszczególnych krajach. Jedno jest tylko pewne, a mianowicie, że na terenach młodej, nieskrystalizowanej w sobie emigracji polskiej rola organizatora takich imprez winna przypaść macierzy, która ze względu na trudności polityczne nie będzie mogła występować w szatach państwowych, lecz szatach wolnych organizacyj społecznych. Na ten ostatni moment pozwałam sobie zwrócić tem bacniejszą uwagę czytelnika, że polska (macierzysta) polityka asekuracyjno - społeczna przejawia od zarania państwowości naszej zbyt wiele tendencji etatystycznych, co specjalnie w dziedzinie naszej polityki asekuracyjnej na wychodźstwie w 99% wypadków musiałoby doprowadzić jeśli nie do katastrofalnych wyników, to w każdym razie do dużych niepowodzeń. Będąc przeciwnikiem etatyzacji asekuracji naszego wychodźstwa, bynajmniej nie mam zamiaru zwalniać państwa od współpracy oraz współodpowiedzialności. Przeciwnie, wzamian za prawo kontroli tych instytucyj prywatnych państwo polskie winno przez odpowiednie organa swoje przejść nawet pewną *sui generis*, odpowiednio urobioną odpo-

wiedzialność majątkową za działalność wspomnianych towarzystw asekuracyjnych. Ideałem organizacyjnym imprez asekuracyjnych naszego wychodźstwa winno być scentralizowanie ich organizacyjne oraz zgodne z celami polskiej polityki wychodźczej ulokowanie wolnych, leżących kapitałów tych towarzystw. Tak jak dziś sprawy stoją, droga do tej centralizacji jest daleką, zaś miliony dolarów naszych polsko-amerykańskich towarzystw asekuracyjnych szukają z reguły tylko pewnych lokat, a nie lokat pewnych, ale i odpowiednią polityką migracyjną podyktowanych.

Nakreślony powyżej program jest niewątpliwie trudny do natychmiastowej realizacji. Wina w tem duża macierzy, która dotychczas nie umiała stać się centrum myśli wychodźstwa i o wychodźtwie. Nie mniejsze trudności idea ta napotyka i na samem wychodźtwie i to tak ze względu na pewne trudności prawne, jak i ze względu na — że tak powiem — „lokalizującą” się myśl polityczną naszego wychodźstwa, słusznie zrażonego do początkowych, nieraz bardzo nieszczęśliwych pociągnięć macierzy wobec wychodźstwa. Niemniej nie tracę wiary w to, że najbliższa już przyszłość zmieni na korzyść przedstawionej powyżej koncepcji warunki psychiczne jej udania się. Przypuścić należy, że powstanie poważnego banku emigracyjnego i kolonizacyjnego (zamorskiego) pozwoli już przy odpowiednich warunkach gwarancji państwowej wykorzystać długoterminowy kredyt hipoteczny, jakimby w poważnych sumach mogły mu służyć nasze wychodźcze towarzystwa asekuracyjne.

Pozatem podkreślić tu należy, że dochody wspomnianych towarzystw asekuracyjnych mogłyby być częściowo — tak, jak się to już zresztą dzieje — obracane na cele kulturalne i społeczne i to na cele głównie wychodźstwa. Kto sumy te zna, ten z pewnością i nad tym problemem do porządku dziennego nie przejdzie.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć w tem miejscu o nowych formach asekuracji, jakie w związku z emigracją coraz to silniej rozwijają się na zachodzie. Nowością sui generis jest problem asekuracji emigranta w czasie przejazdu i to tak lądowego, jak i nie mniej niebezpiecznego przejazdu morskiego. Nowością jest również wysuwana przez Włochów — w formie projektu w układach ze São - Paulo — asekuracja z jednej strony robotnika,

a z drugiej pracodawcy. Pierwszy byłby asekurowany od nie-
szczęśliwych wypadków oraz niezdolności do pracy, drugi od
skutków przedterminowego porzucenia pracy. Wszystko to są
formy, doskonale dające się pomieścić w granicach nie państwo-
wych, lecz społecznych towarzystw asekuracyjnych.

§ 26.

Koroną społecznej organizacji gospodarczej opieki macierzy
nad wychodźstwem jest stworzenie i to już w możliwie najbliż-
szym czasie, wielkiego banku emigracyjnego i kolonizacyjnego.
Potrzeba tego banku daje się nam coraz bardziej odczuwać i dal-
sza zwłoka z utworzeniem tej instytucji jest prawie że nie do
pomyślenia, o ile nasza migracyjno - ludnościowa polityka ma wy-
dać jakie takie, choćby skromne wyniki.

Jakie zadania będzie miał Bank emigracyjny i koloniza-
cyjny?

Zadaniem jego w pierwszej linii będzie gromadzić oszczęd-
ności wychodźstwa, które składając się w bardzo dużej mierze
z elementów robotniczo - chłopskich, a więc słabo stosunkowo eko-
nomicznie zorientowanych, bądź to oszczędności swoich wogóle
nie lokuje, bądź też lokuje je w sposób niewłaściwy, lub też
mało rentowny. Poważne szczyby w sile ekonomicznej naszego
wychodźstwa czynią agenci, namawiający do kupna spekulacyj-
nych papierów. Nie mniejsze straty wynikają z pokątnego udzie-
lania kredytu osobom prywatnym, bardzo często nieodpowiedzial-
nym lichwiarzom. Wspomniane tu zjawiska mnożą się ostatnio
specjalnie na tych terenach naszego wychodźstwa, na których dały
się zaobserwować bankructwa polskich macierzystych firm banko-
wych (vide Francja). Gromadzenie oszczędności emigranckich
jest wskazanem nietylko ze względu na politykę walutową pań-
stwa polskiego, dla którego obcowalutowe oszczędności wychodź-
stwa naszego przedstawiają nie do pogardzenia fundusz rezerwo-
wy i pożyczkowy. Momentem nie mniej ważnym, a bodaj jeszcze
ważniejszym od powyżej wspomnianego, jest sprawa stworzenia
funduszy w możliwie najwyższym stopniu wzmacniających
ekonomiczną podstawę wychodźstwa i to tak tych, którzy oszczęd-
ności składają, jak i tych, którzy skazani są na pożyczki. Czas
już najwyższy jako jeden z najwyższych i najświętszych postu-

latów naszej ekonomicznej polityki migracyjnej postawić zasadę oddawania wychodźtwa maximum tych sił gospodarczych, jakie celem jest oddać mu nie z punktu widzenia interesów matczy, lecz z punktu widzenia interesów całego narodu, jako jedyne go uprawnionego podmiotu nowoczesnej polityki ludnościowej.

Nie będę wchodził tu w szczegóły problemu polityki kredytowej projektowanego banku emigracyjnego i kolonizacyjnego. Odpowiednie szczegółowe rozważania i projekty wyjdą już zapewne niedługo z pod pióra znakomitego klasyka współczesnej ekonomii politycznej w Polsce, Prezesa Instytutu, Profesora D-ra Stanisława Głabińskiego, który podjął się napisania monografji o polskim banku emigracyjno - kolonizacyjnym. Pozwolę sobie — zresztą w myśl kilkakrotnie wyrażonych poglądów Prof. Głabińskiego — tylko zaznaczyć, że polski bank emigracyjny będzie miał do rozwiązania nietyle sprawy kredytu konsumcyjnego naszego wychodźtwa, ile sprawy sfinansowania choćby częściowego naszego rzemiosła, handlu drobnego, a w pierwszej linii drobnego i średniego rolnictwa na obczyźnie. Finansowanie to odbywać się będzie nietylko bezpośrednio, pomiędzy bankiem a zainteresowanymi ostatnimi kredytobiorcami, ale i pośrednio poprzez rozmaitego typu kooperatywy i zrzeszenia, względnie towarzystwa prywatne. W dziedzinie polityki masowej polskiej kolonizacji na terenach politycznie Polsce obcych bank emigracyjny i kolonizacyjny, odpowiednio zorganizowany i ufundowany, będzie mógł być znakomitym regulatorem polskiej polityki kolonizacyjnej, nie mogącej na terenach politycznie niepolskich posługiwać się inną bronią, niż broń ekonomiczna. Ołbrzymią i owocną rolę będzie mógł bank ten odegrać również i w dziedzinie problemu reemigracji. Nie będę w tym miejscu wspominał znowu o kardynalnych grzechach polskiej polityki reemigracyjnej, czy też imigracyjnej. Sprawa ta, przykra i brzemenna w dziesiątki tysięcy indywidualnych krzywd głównie naszych amerykańskich reemigrantów, po dzień dzisiejszy nie doczekała się należytego rozwiązania mimo to, iż problem reemigracji zamożnego i wyższą stosunkowo kulturę posiadającego wychodźtwa polskiego — jest jednym z najważniejszych problemów polskiego gospodarstwa narodowego tak na polskim obszarze etnograficznym, jak i na kresach.

Przyszły bank emigracyjny i kolonizacyjny winien być instytucją prywatną ze względu na — w dużej mierze — zagra-

niczny teren swej działalności. Filje jego będą musiały być rejestrowane za granicą jako „krajowe” instytucje, co bynajmniej nie przesądza zależności filij tych od macierzystej centrali oraz współpracy tej ostatniej z bankami państwowymi polskimi. Krajowy kapitał prywatny winien być dopuszczony do udziału w tem przedsiębiorstwie, choć większość akcji czy też udziałów winna leżeć w rękach instytucyj społecznych o charakterze publicznym lub prywatnym.

§ 27.

Surogat przyszłego banku emigracyjnego zaczyna się już dziś wytwarzać i to — rzecz charakterystyczna — w bankach państwowych polskich. P. K. O. (Pocztowa Kasa Oszczędności) organizuje gwałtownie i to w sposób istotnie poważny dział oszczędności wychodźczych.

Bank Gospodarstwa Krajowego przygotowuje się do sfinansowania zamorskich imprez kolonizacyjnych, przedstawionych przez Syndykat polsko - amerykański oraz firmę Warchałowskiego. Tak wspomniany Syndykat jak i firma Warchałowskiego posiadają koncesje firmowe we wschodnim Peru. Polskie towarzystwo kolonizacyjne, kolonizujące Francję (macierz i kolonie) oraz planujące kolonizację Brazylii, Paragwaju i Boliwji, pozostałe również w kontakcie z Bankiem Gosp. Krajowego. Kontakt ten będzie jeszcze silniejszy, gdy rząd polski od dziś za rok, po ukończeniu prac przygotowawczych tegoż towarzystwa, zaaprobuje jego plany kolonizacyjne.

Bank rolny coraz to większą okazuje skłonność do rozwiązania finansowania rolnych emigrantów oraz reemigrantów.

Jeśli nawet wszystkie te poczynania dadzą efektywne wyniki w najbliższej nawet przyszłości, to niemniej pewnem jest, że w krótkim czasie wszystkie wspomniane instytucje zgodzą się na scalenie swych funkcyj w jednym banku, bez czego trudno sobie wyobrazić należytą politykę bankową emigracyjną, reemigracyjną i kolonizacyjną. Zadania tej polityki tak są skomplikowane, że trudno będzie obyć się bez instytucji specjalnej.

§ 28.

Tak więc w zarysie przedstawiają się sprawy programu organizacyjnego odnośnie do roli niepaństwowych macierzystych orga-

nizacji pomocy kulturalnej i ekonomicznej dla polskiego wychodźstwa.

Z programu powyższego niewiele, prawie że nic dotychczas w Polsce nie zrealizowano. Faktu powyższego bynajmniej nie należy przypisać złej woli macierzy, lub też brakowi dobrej woli w stosunku do wychodźstwa. Przeciwnie! Z każdym dniem mnożą się oznaki coraz to bardziej żywszego i serdeczniejszego zainteresowania sprawami tak dawnego, jak i nowego wychodźstwa. Fakty te są gwarancją, że społeczeństwo macierzyste zechce i rozwiąże należycie już w najbliższym czasie problem społecznej, kulturalnej i materialnej opieki nad emigracją polską. Rozwiązania tych problemów należy się tem bardziej spodziewać, że sprawa wychodźstwa w świadomości wszystkich polskich polityków staje się z każdym dniem coraz to bardziej ważkim problemem i to problemem nie tylko macierzy, ale całego Narodu.

Dotychczasową małą aktywność macierzy w dziedzinie opieki nad wychodźstwem tłumaczyć należy w pierwszej linii nawałem prac organizacyjnych, związanych z organizacją odrestaurowanej Rzeczypospolitej.

Budowa państwa trwa jeszcze ciągle i dopiero od lat kilku struktura jego zaczyna krzepnąć. Im państwowość polska będzie bardziej solidną, na im silniejszych fundamentach stanie ona, tem więcej macierz będzie mogła zrobić i zrobić dla swego wychodźstwa.

Drugą ważną przyczyną małej aktywności nie państwa, ale tak zwanych organizacyj społecznych, był brak dostosowania się typu naszych organizacyj społecznych (poza państwowych) do powojennych warunków i zadań. Społeczne organizacje opieki nad emigrantem polskim ani się spostrzegły, jak wartkim nurtem płynące życie przeszło formy i łóżyska ich statutów i organizacyj. Dziś już nie „komitety”, mniej lub więcej trwałe, mogą rozwiązywać żmudne i ciężkie zadania poza państwowej polityki migracyjnej. Dziś trzeba wielkich, wyposażonych w kapitały organizacyj. Tych ostatnich nie wytworzy w macierzy ani paręset, ani parę tysięcy luźnie powiązanych z sobą inteligentów zawodowych. A zresztą tych tysięcy jeszcze niema. Nie wiem, czy efektywnie 1000 członków przenajrozmaitszych naszych towarzystw emigracyjnych płaci wkładki, a nie wiem również, czy

dzisiaj więcej niż setka społeczników efektywnie nad opieką wychodzącą pracuje.

Przyczyny tego zjawiska leżą w ciężkich warunkach ekonomicznych inteligencji polskiej oraz w fałszywej na wielu odcinkach organizacji tej opieki, co nie pozwala nawet odpowiednio wykorzystać rozporządzalnych sił indywidualnych.

Jedną z zasadniczych przyczyn chorób i słabizny naszej społecznej poza państwowej opieki nad emigrantem, jest dalej partjokratyzm, szerzący spustoszenia we wszystkich prawie organizacjach tej opieki. Partjokratyzm ten istnieje nieraz w formie ukrytej, niemniej toczy on organizm tych instytucyj. Wspomniany partjokratyzm utrzymuje się jeszcze ciągle dzięki temu, że wszystkie instytucje opieki nad emigrantem żyją i żyły od zarania II Rzeczypospolitej z subwencyj państwowych oraz z koncesyj państwowych, raz wypraszanym, a raz prawie że wydzielanym. Ta etatyzacja towarzystw społecznych była może dotychczas konieczną, niemniej sądzę, iż już najwyższy czas, aby z nią zerwać, jako regułą. Primo, państwo ma stosunkowo szczupłe fundusze na pomoc dla towarzystw prywatnych, a secundo, wyłączne czerpanie pomocy finansowej z funduszy ministerstw, a w 80% z funduszy dyspozycyjnych zainteresowanego resortu, wytwarza stan anormalny i niezdrowy. Z faktu tego zdają sobie dzisiaj już sprawę i same ministerstwa, czego wyrazem jest choćby bardzo słuszne stanowisko tak Ministra Pracy i Opieki Społ., jak M. S. Z. Oba ministerstwa odnośnie np. do Kwartalnika Instytutu oraz odnośnie kosztów biura Instytutu zajęły stanowisko, aby „finansowo twory te podchować, a potem puścić samopas! Niech Instytut żyje o własnych siłach”. Stanowisko słuszne, choć może surowe wobec instytucji rok dopiero żyjącej. Nie należy poza tem zapominać, że Naukowy Instytut emigracyjny jest instytucją naukową, a nie organizacją bezpośredniej opieki społecznej i że w obecnych warunkach oraz zgodnie ze zwyczajami państw demokratycznych naukę finansuje zasadniczo Państwo.

Najwyższy czas zerwać z tą „etatyzacją”, a raczej zależnością finansową od centralnych władz, organizacji opieki społecznej nad wychodźstwem. Wspomniana etatyzacja mechanizuje te organizacje, nagina je do szablonu prawie że urzędowego i pozbawia możliwości krytyki. A właśnie ta swoboda i możliwość lojalnej, rzeczowej i twórczej krytyki prac Rządu jest bodaj jednym

z największych walorów współpracy „społeczeństwa” z rządem. Rząd demokratyczny, oparty na zdrowych podstawach, szukać winien w społeczeństwie nie zawsze echa swych słów, ale i rzeczowej, interesem ogólnym podyktowanej, krytyki. Krytyka ta jest sprawdzianem wartości poczynań jego.

§ 29.

Któż jednak utrzyma i podtrzyma finansowo cały ten aparat poza państwowej opieki społecznej nad wychodźstwem? Ważkie to pytanie. Brak odpowiedzi rzetelnej na to pytanie przesądziłby negatywnie cały powyżej zamierzony wywód krytyczny.

Finansowy ciężar, oraz ciężar organizacyjny tych poczynań — choćby wedle zakreślonego przezemnie planu — winien spocząć na organizacjach już u nas istniejących, choćby były one jeszcze dziś dalekie od bezpośrednich zainteresowań migracyjnymi problemami. Muszą to być organizacje finansowo silne i cieszące się autorytetem w społeczeństwie. Nieodzownym warunkiem jest dalej apartyjna platforma jej prac oraz realny, żywy i naturalny związek z polskimi procesami migracyjnymi.

Czynnikiem wyposażonym we wszystkie wyżej wspomniane warunki są nasze samorządy ziemskie i miejskie. One to, jako najbardziej bliskie ziemi i ludziom, najwięcej o procesy migracyjno - gospodarcze ocierają się, one tylko posiadają aparat rozległy, one wszędzie w kraju być mogą i świadkami i organizatorami społecznej pracy nad wychodźstwem i dla wychodźstwa. Czyż długo będziemy czekać jeszcze na to, aby każda gmina zorjentowała się jak ważnem dla niej wyzbyć się nadwyżek bezrobotnych czy to miejskich, czy to rolnych?! Czyż mało ważną jest rzeczą, by do gmin miejskich i wiejskich reemigrował zasobny w pieniądze i zachodnią kulturę robotnik, chłop i rzemieślnik?! Badania statystyczne nad migracją z powiatów i miast, to wiele, ale jednak nie wszystko. Z cyfr tych trzeba wyciągnąć praktyczne wnioski i wnioski te przy pomocy odpowiedniego aparatu zrealizować. Aparatu powyższego i nie może i nie powinien w granicach przez nas powyżej wskazanych wytwarzać Rząd centralny. Aparatu tego nie można spodziewać się jako daru żadnej z istniejących społecznych (poza państwowych) organizacji! Aparat ten muszą wytworzyć same samorządy, stwarza-

jąc czy to nową organizację odrębną, czy też organizując odpowiednie działy w jednym lub kilku z istniejących już towarzystw, których statuty i co za tem idzie organizacja odpowiedniej ulec winny zmianie.

Uwaga. W tem miejscu pozwolę sobie zaznaczyć, że akcja P. T. E. (Polskiego Tow. Emigr.), wciągającego do finansowania niektórych kół prowincjonalnych samorządy, nie jest identyczną z programem przezemnie tutaj nakreślonym. Co innego stosunkowo nieznacznymi sumami, przydzielonymi przez samorządy, finansować prowincjonalne koła P. T. E., z trudem podtrzymujące na małych odcinkach działające biura informacyjne i starające się wybudować, czy też zorganizować hoteliki emigracyjne, a ewentualnie i kursa techniczne, a co innego wziąć na swe barki organizacyjną i moralną odpowiedzialność, czy też współodpowiedzialność za omawiany dział dobrowolnie organizowanej opieki społecznej. Powyższą akcją wszczęło P. T. E. prawie że przed rokiem dzięki inicjatywie red. Malessy. Akcja ta, prowadzona z całym rozmachem, już dziś ujawnia braki organizacyjne na skutek decentralizacji źródeł subwencyjnych, w następstwie czego poszczególne filje, jak np. filja katowicka, oparta zdaje się wyłącznie o subwencje samorządów lokalnych, zdobyła się na secesję i usamodzielnienie od centrali. Gdyby samorządy, jako całość, chwyciły w swe ręce opiekę nad wychodźcą tak, jak to proponuję, wówczas incydenty takie, jak z katowicką filją P.T.E. byłyby nie do pomyslenia.

Tylko samorządy w obecnych naszych warunkach mogą zagadnienie powyższe odpowiednio, tak finansowo, jak i organizacyjnie, rozwiązać. Tylko samorządy mogą dać dziś — poza państwem — odpowiednie fundusze na akcję społeczną, związaną z opieką kulturalną, tylko one mogą organizować służbę informacyjną dla wychodźcy i to służbę docierającą do każdej najmniejszej choćby gminy. Bez pomocy samorządów trudno sobie wyobrazić zdrową społecznie rekrutację wychodźstwa, bez nich trudno zrozumieć możliwość finansowego ujęcia pośrednictwa pracy i ekonomicznej pomocy na wychodźstwie oraz w kraju dla reemigranta. Sądzę również, że w polskim banku emigracyjnym i kolonizacyjnym samorządy ziemskie i miejskie najlepiej będą reprezentowały interesa emigranta i wydatnie przyczynią się do stworzenia kapitału zakładowego tegoż banku.

Jeśli w ten sposób pozwoliłem sobie nakreślić znaczenie samorządów dla sprawy społecznej opieki nad wychodźstwem, to bynajmniej przez to nie chciałem pomniejszyć znaczenia innych poza państwowych elementów społecznych. Bez ideowej pracy

inteligencji polskiej, czy to płatnie, czy to bezpłatnie zaangażowanej do pracy nad wychodźstwem, samorzady niewiele zrobią. Najwyższy też czas wciągnąć masowo do społecznej pracy opiekuńczej nad wychodźcą naszym kler, i to w pierwszej linii kler katolicki, liczny i narodowo wyrobiony. Znaczenie pomocy, jaką w Polsce Kościół katolicki może oddać sprawie wychodźczej, było dotychczas dziwnym zbiegiem zapoznawane mimo nadzwyczajnych wprost wyników, osiągniętych przez kler na Zachodzie Europy, a specjalnie w Niemczech, Włoszech, Hiszpanji i Anglii. Wielkiej wagi jest sprawa wchłonięcia przez samorzady specjalnie nielicznego sztabu pracowników społecznych emigracyjnych, bez których emigracyjne prace samorządów drogoby okupywały swe pierwsze doświadczenia. Chciałem tylko wykazać, że bez samorządów uleczenie naszych macierzystych, społecznych organizacji emigracyjnych jest prawie że nie do pomyślenia.

§ 30.

Realizacja przedstawionego programu nie napotka, zdaje się, na większe trudności. Na to zdają się wskazywać w każdym razie ostatnie pociągnięcia Biura Zjazdów samorządów ziemskich, które w dziedzinie polityki emigracyjnej postanowiło przejść na wniosek Dyr. Biura, b. podsekr. stanu J. Becka, do aktywnej polityki społeczno - emigracyjnej. W ciągu paru najbliższych miesięcy planowanem jest zorganizowanie dokładnej służby informacyjnej dla wychodźców. Będzie to krok pierwszy. Za nim pójdą inne.

We Włoszech pomoc samorządów okazała się bardzo owocną dla emigracji. U nas pomoc ta wyda napewno owoce jeszcze poważniejsze.

Trudno już dziś przesądzić, jakie formy organizacyjne przybierze akcja samorządów. Jedno jest tylko pewne, że samorzady, wchodząc na linję czynu w dziedzinie dobrowolnej społecznej opieki nad wychodźstwem, wniosą w tę zatęchłą trochę dziedzinę i świeży rozmach i nowe siły i dużo, dużo ciepła oraz zrozumienia interesów „dołu” emigracyjnego.

Pewnem jest również, że samorzady nasze, chwytając w swoje ręce sprawę poza państwowej opieki nad wychodźstwem, potrafią w opinji społecznej macierzy odpowiednio silnie postawić

ważne postulaty naszej polityki opiekuńczej nad wychodźcą i że w ten sposób wkońcu Państwo, t. j. władze centralne, doczekają się tego, co jest niezbędnym warunkiem zdrowej polityki społecznej — urobionej, silnej i zwartej opinji społecznej.

Gustaw Załęcki.

Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych.

SEJM ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO W CHICAGO.

Na dzień 19-go września 1927 r. zwołany został do Chicago „sejm”, czyli zjazd delegatów Związku Narodowego Polskiego, w liczbie 471 delegatów.

Zjazdy takie odbywają się w okresach trzechletnich, w celu poczynienia zmian w metodach administracyjnych, wyboru nowego zarządu i t. p., nie tylko w myśl „konstytucji” danej organizacji, ale także na mocy odpowiedniej ustawy stanowej amerykańskiej, regulującej byt i rozwój organizacji bratniej pomocy i ubezpieczeń, do której kategorii Z. N. P. należy.

Z. N. P. liczy obecnie 250.000 członków, a majątek jego, włączając w to fundusz asekuracyjny, dom emigracyjny w New Yorku, dom organizacyjny w Chicago, gmach szkoły średniej i instytutu rzemieślniczego w Cambridge, Springs, oraz pisma Z. N. P. — wynosi około 17.000.000 dolarów.

Stosownie do praw stanowych, wezwanie na zjazd ogłoszone musi być na 30 dni naprzód, z podaniem dnia, godziny i adresu sali. Według zaś „konstytucji” Związku, zjazd otwiera cenzor, powołuje komisję mandatów do złożenia referatu, poczem następuje zaprzysiężenie niekwestjonowanych delegatów, wybór zjazdowych urzędników i na stół przychodzi sprawa kwestjonowanych przez komisję mandatową lub wprost przez członków izby mandatów zgłoszonych delegatów.

Wedle relacji naocznego świadka, przebieg sejmu był następujący:

Cenzor Z. N. P. otworzył zjazd 19 września przed południem, lecz do godziny 5-ej po południu zwolennicy zarządu centralnego, t. zw. stara gwardja, urządzili tak hałaśliwą obstrukcję, że formalnie nikt nie mógł dojść do słowa.

Powodem obstrukcji był fakt zakwestjonowania przez komisję mandatów kilkunastu delegatów, zwolenników „starej gwardji”. Sesja wieczorna miała podobny przebieg, jak popołudniowa.

Dopiero na drugi dzień udało się cenzorowi większość delegatów zaprzysiąc, poczem nastąpiły wybory prezydium izby. Lecz wtedy nastąpiło to, co zarząd centralny, czyli stara gwardja, przygotowywała od kilku tygodni, a mianowicie, mniej niż połowa delegatów, oraz rozmaici nieprawnie wybrani delegaci, opuścili właściwą salę zjazdu w hotelu Sherman, i przenieśli się do hotelu La Salle, otwierając tam „swój” zjazd.

Próby porozumienia spełzły na niczem. Między obu zjazdami wymieniono korespondencje — bez skutku. W końcu jedna i druga grupa delegatów nawzajem potępiły się i wybrały swoje zarządy.

Obradujący w hotelu Sherman, stanowiący właściwą reprezentację większości Związku, wybrali władze naczelne organizacji w następującym składzie: Sypniewski — cenzor, Cytacki — wicecenzor, Romaszkiwicz — prezes, Synowiec — wiceprezes, Milewska — wiceprezeska, Kowalski — sekretarz generalny, Hencel — skarbnik, Wietrzyński — lekarz.

Po wyborze władz naczelných Związku, uchwalił sejm rezolucję, która brzmi:

„My, posłowie i posełki 25-go sejmiku Związku Narodowego Polskiego, zebrani na sejmie w hotelu Sherman, w mieście Chicago, w stanie Illinois, uchwalamy jak następuje:

Stwierdzamy naszą lojalność dla Stanów Zjednoczonych i wdzięczność naszą za wszystko, co naród i rząd Stanów Zjednoczonych zrobili dobrego dla Polski, bądź w czasie wojny światowej, bądź na konferencji pokojowej w Wersalu, bądź po wojnie, pomagając wycieńczonej przez wojnę Polsce w dźwiganiu się z wojennego zniszczenia, lecząc chorych, żywiąc głodnych i na wszelki inny sposób okazując Polsce swoją życzliwość.

Składamy hołd starej Ojczyźnie naszej, Polsce i życzymy Państwu Polskiemu dalszego rozwoju na polach gospodarczym i politycznym, a przyrzekamy pomagać Najjaśniejszej Rzeczypospolitej z całych sił naszych we wszystkich jej przedsięwzięciach, zmierzających ku utrwaleniu i rozwojowi mocarstwowego stanowiska Polski w rodzinie narodów.

Przyrzekamy Polsce i wychodźtwa polskiemu w Ameryce stać na straży polskości i wpajać w młode pokolenie wychodźtwa miłość dla Polski i zrozumienie Jej posłannictwa dziejowego, Jej roli w życiu zbiorowem ludzkości, Jej ideałów i Jej prac w celu urzeczywistnienia tych ideałów.

Rozumiejąc olbrzymią wartość dla Polski i dla Europy objęcia w ro-

ku zesłym rządów w Polsce przez wielkiego człowieka narodu polskiego — wskrzesiciela niepodległej Polski, zwycięskiego obrońcy ojczyzny przed wschodnim zalewem, marszałka i premiera Józefa Piłsudskiego, przesyłamy Mu gorące wyrazy czci i wdzięczności i przyrzekamy, za pomocą prasy naszej, szkół naszych i wszelkich innych środków oświatowych, szerzyć wśród wychodźstwa, a nadeszysztko wśród naszej młodzieży Prawdę o Nim i jego działalności.

Wierzymy mocno, że pod Jego kierownictwem Polska będzie szła drogą prostą i trafią ku wielkiej przyszłości, jaka się Jej należy, jako najpotężniejszemu z państw słowiańskich w Europie. Wierzymy, że za Jego przewodem wróci Polska do dawnej swej wielkości, jednocząc ponownie w bratniej unji równych z równymi i wolnych z wolnymi trzy bratnie narody: polski, litewski i ruski, dając ludom Europy ponowny przykład możliwości i pożyteczności wspólnego pożycia ze sobą narodów na podstawie pokoju wieczystego.

Zwracamy się teraz do naszej własnej, a tak drogiej nam organizacji, ku Związkowi Narodowemu Polskiemu, wyrażamy nasze zadowolenie z przebiegu obrad sejmu 25-go i z uchwał przez niego powziętych.

Wyrażamy nasze zaufanie do wybranych przez sejm urzędników i obiecujemy pomagać im w ich ciężkiej i odpowiedzialnej pracy, przez zgodę wewnątrz gmin, grup naszych, przez życzliwy stosunek do ich poczynań i przez pracę gorliwą nad pozyskaniem nowych członków dla Związku.

Ubolewamy przy tej sposobności nad zaślepieniem pewnej części przedstawicieli, wysłanych przez związkowców na sejm, który ulegając wpływom kilku osobników, niezastługujących na posłuch i zaufanie, nie chcieli brać razem z nami udziału w pracach Sejmu 25-go i zmarnowali drogi czas na bezpłodne konwentykle poza izbą sejmową, tracąc przez to swe prawa do godności posłów i posełek sejmu. Chcemy wierzyć, że działali oni w dobrej wierze z wyjątkiem małej garści swoich przywódców i że zrozumiawszy swój błąd, postarają się go naprawić przez posłuszeństwo prawnie obranym na sejmie władzom związkowym i przez gorliwą pracę dla dobra Związku.

Stwierdzamy, że Związek Narodowy Polski z racji swej struktury, nie jest ani partją, ani obozem, a jest zrzeczeniem dobrych polaków i polek, nieraz różniących się między sobą w poglądach i przekonaniach, lecz złączonych ściśle ze sobą miłością dla Polski i dla ludu polskiego na wychodźstwie, a poświęconych pracy nad szerzeniem wśród milionów tego ludu zasad czystej polskiej i amerykańskiej demokracji, zasad postępu, czystości i uczciwości obywatelskiej i bratniej miłości.

Odpieramy i potępiamy dzielenie nas, Związkowców, na takich lub owakich, na białych, lub czerwonych i uważamy ze wysoce szkodliwą działalność pism związkowych pod tym względem za ostatnich kilkanaście lat, co zresztą sejm stwierdził osobną uchwałą.

Polecamy i żądamy, aby nadal nie powtarzały się w pismach naszych żadne wybryki, mające na celu dzielenie nas i kłócenie. Rozwój naszej

organizacji wymaga zgody i wzajemnego poszanowania uczuć i przekonań każdego członka i każdej członkini. Wierzmy, że nowy nasz zarząd z cenzorem na czele, potrafi pokierować prasą Związkową tak, aby stała się ona wzorem dla całej prasy polskiej na wychodźstwie i zasłużyła na uznanie ludu polskiego w Rzeczypospolitej Polskiej. Mając na względzie szerzenie oświaty i wiedzy w szeregach naszych, polecamy gorąco popieranie szkół i szkółek polskich, zakładanych przez gminy, albo przez inne jakie uczciwe zrzeszenia, oraz Wyższej Szkoły Związkowej, a także Fundacji Kościuszkowskiej, która dąży do wymiany sił naukowych między Polską i Ameryką, kładąc przez to podstawę do bardziej ścisłego zrozumienia się wzajemnego tych dwóch wielkich, a tak szczerze zaprzyjaźnionych ze sobą narodów.

Wzywamy gminy związkowe, aby korzystały z Fundacji Uobywatelnienia, pozostawiając im wolną wolę, aby tam, gdzie uważają to za wskazane i potrzebne, korzystały z tego funduszu na prowadzenie szkółek języka polskiego, prowadzenia innej pracy oświatowej, lub zakładania bibliotek i t. p.

Zastanawiając się na rolę Związku w życiu wychodźstwa, stwierdzamy, że Związek Narodowy Polski, jako całość, nie może i nie powinien stawać się częścią jakiegobądź centralnej organizacji, wszystko jedno, pod jakimby ona hasłem się zjawiała, ale natomiast może i powinien prowadzić za sobą całe wychodźstwo ku wysokim celom i szlachetnym ideałom, dając mu przykład cnót obywatelskich i rozumu politycznego.

Uważamy za wskazane, aby Związek w osobach swych przedstawicieli brał udział w naradach z przedstawicielami innych zrzeszeń nad doborem powszechnem Polski i wychodźstwa, ale ten udział ma być zawsze na podstawie zupełnej samodzielności. Patrzymy na Związek N. P., jako na ośrodek, dokoła, którego mogą i powinny skupiać się inne mniejsze zrzeszenia Polaków na wychodźstwie i iść razem pod przewodem Związku ku celom wskazanym przez potrzeby i interesy ludu polskiego w Polsce i na wychodźstwie.

Uznając pożyteczność wydawnictwa „Poland”, polecamy braciom naszym i siostrom popieranie tego pięknego miesięcznika, który szerzy wśród amerykańków znajomość polskiej kultury, sztuki i literatury.

Polecamy usilnie popieranie uchwalonej przez sejm 25-ty na rok 1928 wycieczki do Polski w celu złożenia hołdu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Niech żyje Polska wielka, mocarna, bogata i szczęśliwa!

Niech żyje prezydent Ignacy Mościcki!

Niech żyje premier marszałek Piłsudski!

Niech żyją Stany Zjednoczone!”.

Uchwała Secesjonistów.

Secesjoniści sejmowi wybrali również nowy zarząd Związku i ogłosili następującą rezolucję:

„Zwołani na 25-ty Sejm Związku Narodowego Polskiego do Hotelu Sherman, miasta Chicago, Stanu Illinois Północnej Ameryki legalnie

i prawnie wybrani Posłowie — jako przedstawiciele naszych mocodawców z grup i gmin Związkowych, przybyliśmy z najlepszymi chęciami służenia dobru i rozwojowi Z. N. P.

Tymczasem stała się rzecz niesłychana. Przewodniczący Komitet Mandatów i Kontroli, naznaczony przez cenzora C. W. Sypniewskiego, włączył samowolnie i bezprawnie w poczet legalnie wybranych posłów takich, których mandaty były kontestowane i zakwestjonowane, i takich, których mandaty były uzyskane pod fałszywymi pozorami od ciał do tego nieuprawnionych.

Stwierdzamy, że w żadnej procedurze parlamentarnej, ani w prawach, przepisach i regułach Z. N. P., ani też w REGULACH Parlamentarnych Romersta nie dozwolono jest, aby przy organizowaniu Izby włączać i zaprzysięgać takich posłów, których mandaty są kontestowane i zakwestjonowane, a które podlegają dyskusji i rozpatrzeniu przez legalnie zorganizowaną i zaprzysiężoną Izbę.

Wobec powyższych stwierdzonych faktów i wobec tego, że Przewodniczący Komitet mandatów i kontroli w sprawozdaniu Izbie przedłożonym włączył do swojego raportu mandaty, o jakich powyżej mowa, oraz samowolnie a bezprawnie zadecydował o legalności kwestjonowanych mandatów.

I wobec tego, że tymczasowy przewodniczący Sejmu 25-go Z. N. P., cenzor C. W. Sypniewski samowolnie, a z pogwałceniem wszelkich reguł parlamentarnych nie dopuścił do wyjaśnienia tej sprawy, czego sprawiedliwie i słusznie domagała się większość legalnie wybranych i przez przewodniczącego Komitet Mandatów i Kontroli uprawnionych do zasiadania w Izbie Posłów.

Przeto widząc to bezprawie tymczasowego przewodniczącego, który wbrew naszym protestom, żądaniom i domaganiom się sprawiedliwości, zaprzysięgł niektórych Posłów wśród protestu większości —

Oraz wobec dalszych protestów z naszej strony przystąpił w dniu 20-go września 1927 r., przed południem do organizowania Izby z mniejszości legalnie wybranych delegatów, świadomi tego bezprawia i widząc, że dalsze nasze protesty są bezskuteczne, zniewoleni zostaliśmy do opuszczenia sali Hotelu Sherman i przeniesienia obrad do Hotelu La Salle, aby prawnie i formalnie zorganizować Izbę Sejmu 25-go Z. N. P.

Stwierdzając i wyjaśniając ten smutny, a w dziejach naszej Organizacji nieznan fakt rozłamu sejmowego, powstały wskutek samowoli i bezprawia cenzora C. W. Sypniewskiego, który celowo i podstępnie dążył do utworzenia sztucznej większości, a przez to zupełnie opanowania Sejmu, aby przeprowadzić następnie swoje plany, oświadczamy uroczystie, że od początku aż do końca Sejmu dążyliśmy do zgody i sprawiedliwego załatwienia spraw. Wystaliśmy Komisje i komunikaty nawołujące do upamiętania i podtrzymania w szeregach naszych idei zgody, miłości bratniej, a nade wszystko sprawiedliwości dla wszystkich, ale bezskutecznie.

Stojąc na straży sprawiedliwości i przestrzegając godności Związku Narodowego Polskiego, zwracamy się niniejszem do ogółu Braci i Sióstr

Związkowych z gorącą prośbą, aby w tych chwilach dla Związku ciężkich i przełomowych zachowali godny sobie spokój i powagę, wierząc usilnie, że wybrany na tym Sejmie Zarząd potrafi podtrzymać ład i porządek naszego Związku.

Jako obywatele tego kraju wyrażamy niniejszem swój głęboki hołd dla Sztandaru Gwiazdzystego Stanów Zjednoczonych, lojalność dla naszych instytucji i szczerą podziękę najwyższemu urzędnikowi tegoż kraju Prezydentowi Calvin Coolidge za jego łaskawą pamięć i życzenia pod adresem naszego Sejmu.

Nie mniej za wyrazy szczerych życzeń ślemy dzięki Sekretarzowi Handlu i Przemysłu, a szczeremu przyjacielowi narodu polskiego, p. Herbert Hoover.

Jako wierni synowie i córki naszej matki Polski, choć tysiące mil od niej oddaleni, zasyłamy pozdrowienia i serdeczne życzenia jak najpomyślniejszego rozwoju politycznego i gospodarczego, zapewniając rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i Braci naszych o swem synowskiem przywiązaniu i miłości, które będziemy mogli stwierdzić naocznie, jadąc z zapewnioną już wycieczką Związkowców do Polski.

Stroskani i zasmuceni wieścią o śmierci drogiego nam i długoletniego prezesa Związku ś. p. Kazimierza Zychlińskiego, wyrażamy nasz żal i ból z powodu tak wielkiej straty, jaką poniósł nie tylko Związek ale całe Wychodźstwo, wzywając Brac naszą do podtrzymania haseł i ideałów narodowych, głoszonych przez tyle lat przez ś. p. Kazimierza Zychlińskiego.

Ponieważ zbliża się chwila złotego jubileuszu Związku Narodowego Polskiego, który za lat trzy obchodzić uroczystość będziemy, przeto polecamy Zarządowi Centralnemu przygotowanie odpowiednich uroczystości i wydanie z tej okazji Historji Z. N. P. Grupy zaś i gminy wzywamy, aby u siebie odpowiednio tę wielką chwilę obchodziły.

Biorją pod uwagę fakt, że od wychowania i wykształcenia młodzieży naszej zależeć będzie w wielkiej mierze przyszłość nasza i stanowisko w tym kraju, apelujemy gorąco do Braci i Sióstr Związkowych, by posyłali jak najliczniej synów swoich do Kolegium i Instytutu Rzemieślniczego Z. N. P. w Cambridge Springs, Pa.

Świadomi tego, że tylko wspólnym wysiłkiem wszystkich organizacji i zrzeczeń polskich na Wychodźtwie potrafimy jak najlepiej i najskuteczniej podnieść znacznie, wpływ i powagę naszą, a odeprzeć silne już zakusy wrogich nam czynników, które starają się rozbić naszą jedność i solidarność narodową, deklarujemy niniejszem swą gotowość do wspólnej pracy w tym kierunku.

Prasie Polskiej, która w ostatnich latach broniła podstawowych zasad Z. N. P., a która również na Sejmie z nami się znajduje, wyrażamy gorące uznanie i podziękę, a jednocześnie prośbę, by nadal stać raczyła na stanowisku słuszności, prawdy i sprawiedliwości odnośnie Związku Narodowego Polskiego i Jego spraw.

Prezydjum Sejmu 25-go Z. N. P. z prezesem F. X. Świetlikiem na czele za bezstronne i sprawiedliwe prowadzenie obrad sejmowych wy-

rażamy swe dzięki, jak również wszystkim urzędnikom i pracownikom Związku za ich mozolną pracę dla naszej ukochanej Organizacji.

Niech żyje Związek Narodowy Polski!

Niech żyją Stany Zjednoczone Północnej Ameryki!

Niech żyje Wolna i Niepodległa Polska”.

Pozatem powzięli secesjoniści następującą uchwałę:

My, delegaci sejmku 25-go Z. N. P., zebrani w hotelu La Salle, w mieście Chicago, w stanie Illinois, w tygodniu od 20 września 1927 r., stwierdzamy, że wobec nielegalnej organizacji, nieprawego nadużycia władzy, jakoteż i braku należytego quorum prawnie wybranych posłów, rzekomy sejm Z. N. P., odbywający się w hotelu Sherman, jest nielegalnym, nieprawnym i nieobowiązującym ani członków, ani urzędników Z. N. P.

W myśl powyższego: cenzora, C. W. Sypniewskiego, wicecenzora W. Cytackiego, komitet mandatów i kontroli, prezydium rzekomego sejmku, zarząd komitetu przedsejmowego, jakoteż osoby, które radzą i czynem współpracują z wyżej wymienionymi i zamachu na całość Z. N. P., stawiamy w stan oskarżenia, wyłączając jednak tych posłów i posełki, których w błąd wprowadzono i nie dano im sposobności poznania faktycznego stanu rzeczy; przyczem polecamy Radzie Nadzorczej z cenzorem lub lub wicecenzorem na czele, do powzięcia odpowiednich kroków, celem ukarania winnych.

Stwierdzamy dalej niepodległość ciała obradującego w hotelu Sherman dla przyczyn już wyżej podanych i przechodzimy do porządku dziennego nad wyborami rzekomych urzędników, oraz oświadczamy, że rzekome wybory przeprowadzone w hotelu Shermana są nieprawne i tym samym organizację naszą nieobowiązującą.

Odracamy się sine die i upoważniamy cenzora, wicecenzora i zarząd centralny Z. N. P., obrany na sejmie 25 Z. N. P., w hotelu La Salle, mieście Chicago, stanie Illinois, do prowadzenia dalszej akcji w naszym imieniu”.

Nie wdając się w analizę perturbacji w łonie tej największej polskiej organizacji na wychodźstwie i wstrzymując się z komentarzami na temat sytuacji, jaka się wytworzyła po tygodniowych burzliwych obradach sejmku, przytoczymy tylko opinię poważnego organu Ks. Zmartwychwstańców, „Dziennika Chicagowskiego”, który podkreślając nielegalność postępowania secesjonistów pisze:

„Zasadniczo tylko sąd może sprawę rozstrzygnąć i Związkowcy muszą się do niego udać, chyba, że zechcą skorzystać z przykładów i załatwić sprawę między sobą, jak zrobiło to Zjednoczenie w 1917 roku. Ten ostatni sposób należy polecać jak najgorzej, albowiem oszczędzi on Polonji wstydu i niesławnego włóczenia się po sądach, a przedewszystkiem uratuje poważny grosz związkowy od utonięcia w kieszeniach adwokatów”.

Sprawę zatargu sejmowego w Związku oddały obie strony do rozstrzygnięcia sądowi w Chicago.

Ostatnio piszą na ten temat w prasie polsko - amerykańskiej:

„Dowiadujemy się, że sprawa związkowa w sądzie nie zakończy się w grudniu, jak to przewidywano. Jak stwierdza adwokat Danisz, strona oskarżona, odpowiedziawszy na wniesioną przez p. Maksymiljana Hencla skargę „Quo warranto”, pozostaje obecnie w stanie oczekiwania dalszych kroków strony skarżącej.

Według reguły prawnej — jak dowodzi pan Danisz — prawnicy obu stron obecnie ściągają będą świadectwa osób takich, które mogą świadczyć o różnych zajściach w czasie głosowania na posłów, liczenia balotów, kompetencji osób, wybranych na posłów, o procedurze wyborczej, czynnościach komitetu mandatów, komitetu przedsejmowego i t. d., i t. d.

A ponieważ świadkowie zamieszkują w innych miastach, więc będą prawdopodobnie wysłane kwestionariusze do notariuszów w miejscowościach, gdzie świadkowie będą zeznawać pod przysięgą przed notariuszami, a ci dopiero odesłają w zapieczętowanych kopertach zeznania świadków do sądu w Chicago.

Procedura ta, zdaniem adwokata Danisza, może potrwać kilka tygodni, albo też i kilka miesięcy, więc sprawa zatargu w Związku Narodowym Polskim nie tak prędko się zakończy.

Nadzieja, że wyrok sędziego w sprawie związkowej usłyszymy łąda chwila, wobec tego upada.

Zeznania świadków mogą trwać do nieskończoności”.

Z NIWY PRASOWEJ.

Z okresu sprawozdawczego przytaczamy bez komentarzy niektóre ważniejsze tematy, poruszone w prasie polsko - amerykańskiej:

Odpowiedź ks. Kruszkł.

„Przegląd Katolicki” pisze, że w Milwaukee utworzyła się grupa Związku Narodowego Polskiego t. zw. „Milwaukee Society Progress”. Zaprosiła ona na bankiet i ks. Wacława Kruszkę, znanego autora „Historji wychodźstwa polskiego w Ameryce”, który tak odpowiedział na zaproszenie:

„Otrzymałem dziś od panów „amerykanów polskiego pochodzenia” zaproszenie na bankiet do hotelu Pfistra. Niestety, to zaproszenie od panów, szczytujących się polskiem pochodzeniem, napisane jest w języku angielskim.

Jeżeli chcemy być i pozostać amerykańkami polskiego pochodzenia, nie z nazwy tylko, lecz w duchu i prawdzie, to musimy to nasze pochodzenie zachować niezatarte. A nie zachowamy go niezatartego, jeśli nie zachowamy języka polskiego, tej najdroższej po wierze spuścizny ojców naszych. A nie zachowamy języka polskiego, jeśli między sobą używać go nie będziemy. Bo jeżeli nawet między sobą używać go nie będziemy, to gdzie i kiedy wogóle używać go możemy?

Dlatego smuci to Polaka każdego, że rodacy, zapraszając swoich rodaków księży polskich na bankiet, posługują się językiem niepolskim. I posługują się nie polską nazwą „Milwaukee Society Progress”. To nie postęp,

a jeśli jest, to raczkowy postęp. I rak, cofając się, robi postępy, ale w tył. I Polacy, posługując się między sobą niepolskim językiem, wcale nie postępują naprzód, lecz owszem cofają się i kapitulują przed wrogiem polszczyzny. Tacy nawet imiona polskie, jak np. „Ignacy”, zamieniają już na angielskie „Ignace”, albo na niemieckie „Ignatz”, jak to widać z listu „Milwaukee Society”, tacy nawet swoich imion polskich na chrzcie otrzymanych się wypierają, a przyjmują imiona zupełnie obce i odrębne, zamieniając np. „Władysław” na „Walter”. Tymczasem angielskim wyrazem na „Władysław” jest „Ladislaus”, a nie „Walter” (zobacz angielskie żywoty świętych). „Walter”, jest to imię zupełnie innego świętego, nie polaka.

Tacy jednak w nadesłanym angielskim liście śmiało twierdzić, że ten ich polski dziwołag, nazwany „Milwaukee Society”, ma za cel zjednoczenie amerykańców. W tem tkwi ich kardynalny błąd. Tacy ani u swoich, ani u obcych nie zdobędą poważania. Albowiem przez nieuszanowanie swojej mowy i nazwy, jeszcze żadna narodowość nie zdobyła poważania, zdobyła raczej lekceważenie i pogardę. Jakże drudzy mają szanować naszą mowę i nazwę, jeśli my sami jej nie szanujemy; owszem wycofujemy ją z użycia, jak gdybyśmy jej się wstydzili.

Panowie amerykańskie polskiego pochodzenia, nie tędy droga do zdobycia szacunku i poważania w społeczeństwie amerykańskim! Jeżeli chcecie żeby drudzy was szanowali, to szanujcie mowę waszych przodków, mówcie i piszcie do siebie po polsku. Dlaczego angielska narodowość jest tak szanowana na świecie? Bo Anglik, czy w Ameryce, czy w Afryce, czy w Anglii, czy w Australji, wszędzie i zawsze trzyma się swojej mowy i nazwy i za nic w świecie nie wyparłby się mowy ojców swoich, choćby się wszyscy śmieli z dziwacznej mowy i nazwy angielskiej. Żaden szanujący się człowiek, gdziekolwiekby w świecie był, nie wstydzi się używać mowy przodków swoich i pisać do siebie po polsku. Powinniśmy się wstydzić kłać, kłamać, kraść, a nie mowy polskiej”.

O kwestarzach i kwestach.

W „Dzienniku chicagowskim” czytamy następujące słuszne uwagi:
 „W swoim czasie pisaliśmy, iż rząd polski przedsięwziął kroki w celu ukrócenia kwest w St. Zjednoczonych, przeprowadzanych tutaj przez najrozmaitsze osobistości przyjezdne z Polski pod najrozmaitszemi pozorami. Każdy z wybierających się w podróż do Ameryki musi oznajmić przy otrzymaniu paszportu, po co tu jedzie, oraz złożyć jednocześnie oświadczenie, że nie będzie urządził żadnej kolekty (zbiórki) na jakikolwiek cel, chyba, że ma na to odpowiednie upoważnienie odnośnych władz. Wykonanie tego żądania polecono placówkom konsularnym.

Mimo istnienia rozporządzenia, dążącego do usunięcia zebrania na cele nieraz mocno wątpliwe, zdarzają się jeszcze wypadki kwestowania i raz wraz ktoś na coś zbiera, choć przy przyjeździe z Polski obiecał tego nie robić. Różnica jest tylko taka, że gdy dawniej zwracano się do prasy z prośbą o poparcie kolekty, dzisiaj prowadzi się ją pocichu, aby nie doszło do wiadomości władz polskich.

Jeździć czy tylko chodzić po kweście wolno każdemu, tak samo, jak

wolno każdemu dać lub nie dać jakiegoś datku kwestarzowi. Jest to sprawa czysto osobista, ale tak długo, jak długo nie wciąga się w nią społeczeństwa. Zdarza się jednak, że ktoś da jakąś ofiarę takiemu kwestarzowi, a po pewnym czasie dowiaduje się, że go „naciągnięto”. Wówczas zgorzony zaczyna wymyślać na wszystkich w Polsce i po jednym takim „naciągaczu” sądzi wszystkich. Rozumie się, że jest to wielka niesprawiedliwość, której dopuszczać się nie wolno. Jest ona tem przykrejszą, że ostudza ofiarności na cele prawdziwie godne poparcia.

Żeby więc tego uniknąć, należy koniecznie żądać od każdego kwestarza, czy kwestarki, wylegitymowania się, czy ma prawo urządzać kolekty i na jaki cel. Otrzymane informacje sprawdzić w miejscowym konsulacie polskim, a potem dopiero albo poprzeć akcję, albo też rozstać się z kolektującym. Jeżeli w ten sposób będziemy postępowali, mniej będzie naciągania łatwowiernych, a potem przykrości”.

Uwagi na temat udziału wychodźstwa w Powszechnej Wystawie w Poznaniu.

P. Tomasz Kozak pisze w „Dzienniku dla Wszystkich”:

„Przygotowania do udziału wychodźstwa w Powszechnej Wystawie w Poznaniu w 1929 roku idą „w całej pełni”. Tak przynajmniej dowiadujemy się z prasy w Polsce, bo tu na miejscu ani przez mikroskop nie można znaleźć żadnego ruchu w tym kierunku. Za pracę wystawową znawcy w kraju uważają przychylnie stanowisko zajęte wobec Wystawy przez emigracyjne pisma; dalej „czynną inicjatywę” poselstwa w Waszyngtonie, szczególnie handlowego radcy Wańkowicza, który — dosłownie — „poruszył czynniki kompetentne (?!) i zyskał współpracę najszerszych (!) warstw obywatelskich w Nowym Świecie”; wreszcie zainteresowanie wystawą Polskiej Izby Handlowo - Przemysłowej w New Yorku aż do tego stopnia, że sekretarz Izby, p. Lord, ma wkrótce stworzyć Komitet Obywatelski emigracyjny dla udziału w Wystawie.

Miło jest słyszeć o tem wszystkim ze źródeł krajowych, bo — powtarzamy — nikt tu na miejscu o niczem nie wie. Szczególnie zajmujący jest ów projekt Komitetu Obywatelskiego, na którym cała rzecz ma polegać. Jeśli bowiem komitet będzie tak dyskretnie działać, jak dzisiejsze „czynniki kompetentne”, wystawa przejdzie, a wychodźstwo taki współudział w jej pracach będzie mieć, jak obecnie, to znaczy — żaden współudział.

Dla wyjaśnienia sytuacji ludziom interesowanym w kraju musimy stwierdzić, że nie można się ludzi wpływać i środkami owej Izby w New Yorku. Jest to instytucja rdzennie papierowa i dyletancko teoretyczna. Specjalizuje się w statystycznych studjach i wymianie korespondencji z równie „aktualną” Izbą Polsko - Amerykańską w Warszawie. Jedynym widocznym owocem „prac” jej było uzyskanie co tuzina polskich orderów dla „zasłużonych mężów”. A dla faktycznej działalności to trochę za mało.

Naszem zdaniem współudział wychodźstwa w Wystawie nie tyle polega na przedstawieniu tabel, wykresów i rysunków z jego dorobku — co Poselstwo z Konsulatami może w miesiąc skutecznie — ile na masowych emigracyjnych wycieczkach na Wystawę. Jest już zapewniona potężna wy-

cieczka Związku N. P. Do podobnych przygotowań niech się wezmą inne organizacje. Obecność jakich 10.000 Polaków z Ameryki na Wystawie będzie lepszym pokazem naszego stanu posiadania, niż całe pawilony papierowych „wykresów”.

Akcja prasy na rzecz Fundacji Kościuszkowskiej.

Kierownik zbiórki na Fundację Kościuszkowską, prof. S. Mierzwa, komunikuje:

„Jeżeli Fundacja Kościuszkowska „robi” dobrą „robotę”, a wierzymy, że tak — to lwia część zasługi należy się prasie polskiej w Ameryce, co w swoim czasie będę się starał stwierdzić w odpowiedni sposób. Prasa polska, za małymi tylko wyjątkami (a nawet i te nieliczne wyjątki w lepszych chwilach udzielają swego poparcia), od samego początku usilnie poparła myśl stworzenia tej Fundacji i dzięki przedewszystkiem tej prasie można było do pewnego stopnia przywrócić zaufanie u naszego wychodźstwa do poczynań społecznych tego kraju.

Piszę to bez żadnego cienia pochlebstwa. Wszyscy przecież pamiętają, jak trudne były początki, jak trudno było wybrnąć z tej ciężkiej atmosfery zniechęcenia, niedowierzania, a nawet jakiegoś podejrzenia.

To szczerze i usilne poparcie prasy polskiej w pracy wśród Polonji było dla wszystkich pracowników bodźcem do dalszych i wydatniejszych wysiłków.

Dalsze poparcie prasy jest konieczne, aby doprowadzić rozpoczęte dzieło do skutku. Wytężmy przeto wszyscy nasze siły, aby polską kwotę zebrać z końcem następnego roku, a potem zabrać się do amerykańków. Nie będzie to również łatwy orzech do zgryzienia, ponieważ brak tam było polskiej propagandy konstrukcyjnej”.

Dziennikarz polsko-amerykański o Młodzieży.

Stary dziennikarz, redaktor pisma „Czas”, organu Zjednoczenia Polsko Narodowego w Brooklynie, p. Czesław Kozłowski, który niedawno ustąpił z zajmowanego dotąd stanowiska, w artykule „Młodzież — przyszłość nasza” pisze:

„Zwykły to porządek na tym świecie, starsi ustąpić muszą miejsca innym, swoim następcom. Dlatego słusznem jest twierdzenie, że przyszłość każdego zrzeszenia, każdej organizacji zależy od młodzieży. Każdy więc, komu dobro organizacji na sercu leży — stara się wynaleźć jakiś sposób, za pomocą którego możnaby młodzież wciągać w szeregi tej organizacji. Nie jest to sprawa zbyt łatwa, ale możebna. Zbadać tylko należy przyczyny, dla których młodzież dotychczas niezbyt chętnie garnie się w szeregi nasze — a następnie starać się przyczyny te usunąć.

Jedną z przyczyn, które tamują przystęp młodzieży polskiej do naszych organizacji, to nasze walki partyjne.

Walki partyjne na tle stosunków w Polsce namiętne, bezsensowne dyskusje, których młodzież nie rozumie i pojąć nie może — zrażają ją tylko do nas.

Na wychodźstwie ludzie rozumni nie chcą zajmować się partyjniactwem

w Polsce, tem bardziej, że wychodźstwo nie posiada najmniejszego wpływu na bieg wypadków w Polsce, natomiast nasze walki partyjne szkodzą niezmiernie życiu samego wychodźstwa, stale rozbijanego waśniami partyjnemi.

Sprawa Polski obchodzi nas, gdyż jesteśmy Polakami, ale jesteśmy wychodźstwem, zatem nie mamy prawa mieszać się w wewnętrzne waśnie partyjne w Polsce.

Należy również pamiętać o naszej młodzieży w naszej pracy społecznej, wciągając ją do tej pracy, oraz stawiać jej przedstawicieli na czele organizacji — o ile to tylko możebne.

Starać się też należy, aby młodzież brała udział w życiu politycznem. aby interesowała się sprawami polityki tutejszej.

A przedewszystkiem należy wystrzegać się krytyki, nieraz niesłusznej, należy okazywać młodzieży jak największą życzliwość i poparcie we wszystkim, co ją interesuje i co jej wychodzi na użytek.

Dla nas, dla sokolstwa, pociąganie młodzieży w szeregi nasze nie jest trudnem, gdyż podczas gdy inne organizacje muszą obmyśleć dopiero sposoby przyciągania tej młodzieży w swe szeregi, my te sposoby mamy i to już dobrze wypraktykowane, a program pracy naszej stary, wypróbowany i piękny.

Jedynie odmienne warunki zmuszają nas w niektórych wypadkach do zmodyfikowania naszych systemów pracy i nad tem powinniśmy się głęboko zastanawiać i stosować do okoliczności i warunków miejscowych ulepszeń.

Gniazda sokole powinny czynić wszystko, co w ich mocy, by młodzież obojga płci tutaj zrodzoną pociągać w szeregi nasze, gdyż tak, jak naglek powiada — w młodzieży jest przyszłość nasza.

Lecz pociągnąć młodzież polską w nasze szeregi to nie wszystko. Po pociągnięciu jej w szeregi nasze, trzeba starać się ją zrozumieć i otoczyć opieką najtroskliwszą.

Głównem naszym dążeniem, głównym naszym celem jest obecnie i będzie w przyszłości praca nad młodzieżą i działwą tutaj urodzoną. Każde przeto gniazdo powinno mieć liczne zastępy młodzieży i troskliwie je wychowywać. Gniazda, które tego nie czynią, nie pojmują sokolich zasad i ideałów sokolej pracy”.

Sprawa Teatrów Polskich.

W „Dzienniku dla Wszystkich” czytamy:

„Ciągłe słyszymy narzekania na obojętność publiczności polsko - amerykańskiej dla sztuki polskiej. „Zbrodnią jest — wołają ludzie — że takie liczne wychodźstwo nie jest w stanie utrzymać polskiego teatru w większych środowiskach!”

Aby choć w części wykazać przyczyny, dla których upadają polskie teatry na wychodźstwie — podajemy smutny fakt, jaki zdarzył się w Cleveland.

Prasa lokalna clevelandzka ogłasza, że w ubiegłym tygodniu teatr polski, który mieścił się w Domu Związku Polaków w Ameryce, wskutek

małego uczęszczania publiczności — zamknął swoje podwoje. Ale było to do przewidzenia, bo dwa teatry polskie, to za dużo na Cleveland.

W Cleveland założono polski teatr i byznes szedł jako tako.

Ale natychmiast drugie grono aktorów wykorzystało sytuację i założyło teatr konkurencyjny.

Dwa teatry polskie nie mogą się w Cleveland utrzymać, więc jeden musiał upaść. Daj Boże, aby ten teatr, co pozostał, utrzymał się jak najdłużej. Tak bywa ciągle. Jeśli jakaś grupa aktorów zacznie mieć powodzenie, natychmiast powstaje konkurencja, grupa rozdrabnia się i tworzy się kilka grup, które robią sobie na złość, biedują i wreszcie wszyscy upadają. Zazdrość i nienawiść, brak solidarności — oto główne przyczyny upadku i poniżenia sceny polskiej.

Mamy tu niezłe siły, tylko brak solidarnej i silnej ręki, któraby te rozproszone, skłócone żywioły umiała połączyć w artystyczną całość, odpowiednio wykorzystywała zdolności poszczególnych jednostek i dobierała interesujący repertuar.

Dotychczas taki Mojżesz teatralny jeszcze się nie zjawił. Bo trudną jest rzeczą wziąć w karby to całe bractwo artystyczne na wychodźtwie. Każdy ciągnie w inną stronę.

Najlepszym rozwiązaniem sprawy teatru polskiego na wychodźtwie naszym byłoby utworzenie teatru objazdowego w New Yorku, któryby cztery razy do roku objeżdżał polskie osiedla, z dobrymi przedstawieniami, z dobrymi aktorami i solidarnymi kierownikami. Taki teatr powinien być dostępny dla ogółu, to znaczy, powinien brać małe ceny, a dawać dużo rozrywki i dobrej rozrywki. To są kardynalne zasady. Potrzeba pamiętać o cenach w amerykańskich teatrach w śródmieściu, gdzie za pół dolara przeciętnie ludzie mają i obrazki i wodewil i cudną wystawę i śpiew i muzykę i tańce”.

Wynarodowienie.

Wychodzący w Pittsburgu „Sokół Polski” pisze z goryczą:

„Nas nikt w Ameryce nie wynaradawia. Wynaradawiamy się sami. Dowodów mamy pełno.

W pewnej parafji polskiej, liczącej 150 rodzin, sami parafjanie zażądali wyrzucenia polskiego języka ze szkoły parafjalnej. Ksiądz proboszcz zaprotestował i obstawał za tem, aby dzieci uczono po polsku i po angielsku. Zarządzono głosowanie. Za wyrzuceniem polskiego języka głosowało 57 parafjan, za zatrzymaniem 74. Reszta nie głosowała. Język polski narazie zatrzymano. Ksiądz oświadczył, że dopóki będzie proboszczem tej parafji, nie dopuści do wyrzucenia polskiego języka, a gdyby go do tego zmuszono — zrezygnuje.

W Stevens Point, Wis., w parafji św. Piotra, Polacy domagali się kazania po angielsku i ksiądz musiał się zastosować do tego żądania.

W innym miejscu towarzystwo polskie, do którego nikt nie wstępował, przeprowadziło spis rodaków, czytających polskie gazety. Okazało się, że mało kto z Polaków czyta polskie gazety, co znaczy, że nie dbają o polskość.

Z powyższego widzimy, że sami i tylko sami się wynaradawiamy. Niewola stuletnia wżarła się nam w dusze i nie posiadamy godności narodowej, któraby nam wskazywała poszanowanie dla języka i kultury naszych przodków. Gdyby nas batem pędzono do amerykanizacji, możebyśmy potrafi utrzymać te skarby. Ale nikt się naszą polskością nie interesuje, więc jak marnotrawcy gubimy to, co otrzymaliśmy najdroższego w spuściznie od ojców naszych”.

Detroicki „Dziennik Polski” nie wierzy w zanik polskości i twierdzi: „A że jednak tak źle jeszcze nie jest. Tu można przystosować słowa Mistrza z Nazaretu, powiadającego: „Nie umarła dziewczeczka (polskość), ale śpi”. Tak, polskość śpi narazie... Jest to jednakże sen letargiczny, trochę za... spokojny, nienormalny! A przyczyna? Zupełnie prosta i jasna! Kilka wstrząsów, jakich doznało wychodźtwa, spowodowały ten sen letargiczny. Nerwy wychodźtwa odmówiły posłuszeństwa. Co innego bowiem pracować dla utrzymania polskości, a co innego ratować zanikającą polskość!”

Na to nowojorski „Nowy Świat”:

„Błogosławieni, którzy są optymistami. Ale jest kwestja, jak długo ma ten sen letargiczny trwać i kiedy nerwy wychodźtwa zaczną normalnie czuć i działać.

Bo zanim słońce wszędzie, rosa oczy wyje...”

„Trybuna” z New Betford. Mass. nie podziela pesymizmu publicystów, bijących na alarm z powodu wynaradawiania się Polonji amerykańskiej i pyta:

„Kto się wynaradawia? Gdzie? Kiedy? Polacy? Nonsens!

Polacy się nie wynaradawiają, a tylko plewy, odpadki społeczeństwa polskiego idą na żer ulicznej nierogacizny, tworzącej społeczeństwo lekkoduchów, nie mających nic wspólnego ze społeczeństwem amerykańskim, którego wielkie idee mogą służyć za wzór do naśladowania dla całego świata. Wynaradawiają się szumowiny społeczne, z których Polska nigdy pożytku nie miała i Ameryka z takich iskarjotów pociechy mieć nie będzie — ale Polak prawdziwy, Polak, czujący i wiedzący, że ma duszę polską i krew polska w nim płynie, Polak rozumny, który pamięta o tem, że polskość, to niezatarty stygmat na jego czole, po którym poznają go obcy zdaleka, chociażby się pokrył nordycką skórą nie wiem jak szczelnie — taki Polak nigdy nie zaprze się swej narodowości, nigdy nie sprzeda swej pierworodnej mowy za miskę soczewicy tym, którzy tylko czyhają by zrobić z niego ofiarnego kozła dla swego bożka szyderstwa i obłudy. Nie płaczcie za tymi, co odeszli. Niech idą ci marnotrawni synowie, na zatracenie!

Od dłuższego już czasu tu i owdzie odzywają się głosy w prasie polskiej na wychodźtwie w sprawie tego nieszczęsnego wynaradawiania, ale komuż te pisma tłumaczą potrzebę trzymania się polskości, skoro zaprzęnci gazet polskich nie czytają? Komuż te pisma mówią o tem? Przecie ci, którzy czytają polskie pisma, ci, co należą do polskich organizacyj, ci nie wypierają się swej przynależności narodowej i ani myślą to robić, wiedząc, że odstępstwem, zaparciem się zburzyliby za sobą wszystkie mosty, zamknę-

liby zdrajców, nie przyjęli, a obcy i tak gardzić nimi będą. Czyż więc nie szkoda papieru i atramentu na pisanie o rzeczach nieużytecznych?"

Powyższe wywody „Trybuny” zaopatruje „Dziennik dla Wszystkich” następującą uwagą:

„Miło czytać takie męskie słowa, ale pamiętajmy o tem, że tu o Polaków — wychodźców nie chodzi. Tu idzie o pokolenia młodzieży w Ameryce urodzonej, która ze szkół elementarnych wychodzi bez żadnego uświadomienia o swoim pochodzeniu i bez najprymitywniejszych wiadomości o Polsce”.

Hojny dar polskiego patrioty w Ameryce.

Wydawca nowojorskiego „Kurjera Narodowego”, znany z ofiarności na cele społeczno - narodowe, p. Brykczyński, na bankiecie powitalnym, urządzonym 30 września w New Yorku na cześć wracającej z Polski wycieczki Stowarzyszenia Weteranów Armji Polskiej, ofiarował pięć tysięcy dolarów na schronisko dla weteranów, które ma powstać pod nazwą: „Domu żołnierza polskiego w Ameryce”.

Wieczór żołnierski w Cleveland.

Dnia 9-go października 1927 r. w Cleveland, staraniem Placówki Weteranów Armji Polskiej urządzono śliczny obchód dziesiątej rocznicy rozpoczęcia w Ameryce rekrutacji do Armji Polskiej we Francji. Na obchodzie urządzonym w Domu Związku Polaków przemawiali: konsul Kozłowski, w zastępstwie pośła Ciechanowskiego, Wacław Gąsiorowski, twórca Armji Polskiej we Francji, dr. Starzyński, prezes Stowarzyszenia Weteranów, Clarence H. Dawson, redaktor „Poland”, Emilja Napieralska, prezeska Związku Polek i inni. Placówka otrzymała znaczną liczbę telegramów i listów od osobistości polskich i amerykańskich. Po obchodzie odbył się raut.

Z działalności Fundacji Kościuszkowskiej.

Prof. Stefan Mierzwa ogłasza, że Polonja amerykańska złożyła już na rzecz Fundacji Kościuszkowskiej sumę 67.715. 17 dolarów.

Polak otrzymał katedrę uniwersytecką w Chicago.

Na stanowisko profesora w klinice Chicago Medical School powołano doktora Aureljusza Siemianowskiego z South Chicago.

Biblioteka im. Bronisława Kułakowskiego w Nowym Jorku.

Dnia 27 listopada 1927 r. otwarto w Domu Narodowym w Nowym Jorku bibliotekę imienia Bronisława Kułakowskiego, zmarłego przed paru laty, działacza społecznego i znakomitego publicyście polsko - amerykańskiego.

Wolna Uczelnia polska w Buffalo.

Polonja w Buffalo przy pomocy „Dziennika dla Wszystkich” i grona nauczycielskiego Kolegium św. Franciszka w Athol Springs przystąpiła do otwarcia wolnej uczelni wyższego typu, ze specjalnem uwzględnieniem nauki języka polskiego, literatury, historii, geografji i kultury polskiej.

Na ten temat pisze p. Tomasz Kozak w swoich „Mieszanimach Wy-

chodzących (tygodniowy przegląd refleksyjno polemiczny w „Dzienniku dla Wszystkich”).

„Uczelnia jest o tyle wolną, że wstęp na kursy wolny jest dla każdego Polaka lub Polki, którzy skończyli szkołę pospolitą lub zdali równorzędny z nią egzamin. Inicjatorzy zastrzegają, że ze szkoły wykluczone będą wszelkie religijne, polityczne lub społeczne zabarwienia. Nauka polskości, nic mniej i nic więcej — oto program pedagogiczny. Opłata za kurs trwający 32 tygodnie, razem 96 godzin wykładowych, wynosi 22 dol. od ucznia, na pokrycie kosztów lokalu, urzędzenia, książek i honorarja nauczycieli. Są widoki, że większość studentów otrzyma stypendja na uiszczenie opłaty, więc dla najuboższego nawet nauka stanie otworem. Wiek dopuszczalny studentów — lat 14 do 30.

Jak widać z dotychczasowych referatów, odezw i programów, inicjatorzy są zwolennikami pracy realnej i szybkiej, a z otwartym wstrętem odnoszą się do emigracyjnych sporów na temat „polityki starokrajskiej”, pod którym to lapidarnym określeniem zmieścić można wszystko, co Polonję amerykańską łączy jeszcze ze „starym krajem”. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że jeżeli ma trwać żywe i serdeczne uczucie między wychodźstwem i Polską, muszą także trwać sympatje polityczne i społeczne, oraz równoległe z nimi biegnące antypatje. Inaczej nie będzie „realizmu”, tak trafnie podniesionego przez inicjatorów tej wielkiej polskiej uczelni.

Słyszymy także wzmiankę, że z tak udatnych początków może kiedyś wyrosnąć Uniwersytet Ludowy, i to nie taki sobie „na papierze”, lecz prawdziwy, nawet „realny”, co pozwalamy sobie tłumaczyć nadzieją założenia Wolnej Wszechnicy Ludowej, na wzór warszawskiej”.

Zwycięstwo polskich kawalerzystów w Ameryce.

Zwycięski udział polskiej ekipy w listopadowych zawodach hippicznych w Madison Square Garden w Nowym Jorku, zelektryzował wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych i podzielał ożywczo na wzrost poczucia dumy narodowej wśród młodego pokolenia, nie znającego kraju ojców.

Z powodzi radosnych artykułów na temat tego zwycięstwa przytoczamy artykułek, pod tytułem: „Polska zwycięża!”, rozesłany do prasy przez wydawnictwo „Poland”.

„Gdy na popisach międzynarodowych w Madison Square drużyna polska odnosiła zwycięstwa — zakończone tryumfalnym zdobyciem Międzynarodowego Pucharu, gdy wzrok 12.000 widzów śledził wśród bicia serc i westchnień żywiołowych tłumu tych wspaniałych jeźdźców z dalekiej — a tak dla nas wielu bliskiej — krainy, gdy amfiteatr, jak za czasów cesarów, drżał i huczał od oklasków, a za chwilę cichł, jak łąn zboża, by w skupieniu wysłuchać narodowego hymnu ojców naszych, to ci niedościgli jeźdźcy uosabiali wówczas majestat Polski, to Orzeł Biały odnosił zwycięstwa na polu chwały, to świat chylił czoła przed Polską, to Ona podbijała serca obcych.

Uważano nas za kraj marzycieli i poetów. A oto przekonano się naocznie, że Polska potrafi wydawać również pierwszorzędnych sportsme-

nów, którzy bez trudu i z gracją zdobywają dzisiaj największe przeszkody w zawodach konnych, a jutro z równą elegancją i pewnością siebie będą będą przeszkody w życiu codziennem.

Powodzenie i siła imponuje wszędzie.

Jeżeli taki był skutek poznania nas na arenie, to o ileż donioślejsze byłyby wyniki, gdyby mogli poznać nasze zalety (bo o wadach stale od nieprzyjaciół naszych słyszą) na innych polach. Musimy więc dawać się poznać. Musimy odsłonić przed oczami społeczeństw obcych cudowną panoramę naszej kultury i wiekowej tradycji, naszych zdobyczy w dziedzinie cywilizacji materialnej, bagactw naszej ziemi i zalet naszego ludu. Trzeba dać się poznać obcym, bo tylko wówczas potrafią nas należycie ocenić i nabrać dla nas respektu. Innemi słowy, mówiąc językiem utylitarnym, powinniśmy się reklamować, jako naród .

Im bardziej ceniona będzie Polska, tembardziej liczyć się z nami będą indywidualnie. Dzisiaj nawet w społeczeństwie amerykańskim, szcycącym się z zasady „Equal chance for all” — Polak niema tych samych szans wybicia się w walce życiowej, co członkowie innych grup etnicznych. Dzieje się to nie dlatego koniecznie, że Polak jest mniej wykształcony lub zdolny, ale dlatego, że należy do grupy narodowościowej, która nie wyrobiła sobie tutaj odpowiedniego stanowiska, która nie jest znaną, a zatem nie jest należycie cenioną.

W interesie każdego z nas leży, by Polskę znano jaknajszerzej i ceniono”.

Na cześć zwycięskich jeźdźców pojawiły się nawet wiersze. Poetka emigracyjna, wysiępująca pod pseudonimem „Maryla”, pisała:

Huragan dumy szalał w nas,
 że przybył znów Ojczyźnie
 do wieńca sławy nowy liść,
 zdobyty na obczyźnie.

Oklasków huk, wiewatów grzmot
 z tysięcy dusz się walił!
 Rwały się serca — polski duch
 płomieniem w nas się palił!

Był ci to dzień, godowy dzień!
 Któż go zapomnieć zdoła?
 Wdzięcznością były serca nam,
 jaśniały szczęściem czoła!

I wszystkich smutki, wszystek ból
 I brzemień szarej doli,
 Odeszły precz — a w piersiach grał
 weselny ton dowoli...

Na bankiecie, wydanym przez Polonję nowojorską na cześć kawalerzystów, redaktor C. Łukaszkiewicz zaimprovizował wiersz, którego końcowe strofki brzmiały:

Do Ameryki przyszło trzech
Kochane żołnierzyki —
Witały ich tu łyż przez śmiech
I serce rwące krzyki:

Zwycięstwo! Pierwsi! Pierwsi znów!
Świat cały im się kłania —
A Polska Sława z dawnych snów
Na jawie się wyłania.

Amerikanin ściska dłoń:
„We salute Poland”! krzyczy —
I Francuz woła: „Vive la Pologne”!
A tłum szaleje, ryczy.

Dzięki Wam, dzięki za ten szal,
Za to, że w jednej chwili
Znów jeździec polski Polsce dał
To, żeśmy zwyciężyli.

Z tej obcej ziemi, gdzie Was zmóc
Nie zdołał nikt, głos leci:
„Niech żyje Dziadek, stary wódz
I Jego dzielne dzieci!”

Jak powstała książka moja „Emigracja polska we Francji“.

Książka moja „Emigracja Polska we Francji” sprawiła niemało hałasu wśród polskiego społeczeństwa wychodźczego we Francji, wywołała ona gwałtowną polemikę na łamach polskiej prasy emigracyjnej, pogłębiła i uwypukliła rozdzźwięk, panujący w łonie wychodźstwa już do jej ukazania się. Polemika dookoła mej książki obiegnęła niemal całą prasę krajową, już jednak jako echo wtórne.

Od czasu ukazania się książki na światło dzienne ubiegło cztery miesiące. Przez ten czas z wielką skrupulatnością i uwagą zbierałem notatki dziennikarskie oraz zdania poszczególnych osób, dotyczące mej pracy.

W niniejszym artykule, na łamach naukowego kwartalnika emigracyjnego zabieram głos, aby nietylko zreasumować polemikę, jaka odbyła się dookoła książki, ale również, aby jako autor wypowiedzieć swe własne zdanie i sąd o pracy, która wyszła z pod mego pióra.

Książka moja została napisana we Francji, po kilkuletnim pobycie zagranicą, kiedy to siłą konieczności rozluźnia się związek człowieka z krajem, kiedy zatracą się poniekąd wyczucie tętna życia społecznego, pulsującego w kraju.

Książka nie była moją rozprawą doktorską na uniwersytecie francuskim, jak to mi stale zarzuca, pomimo mych kilkakrotnych sprostowań, pewien odłam prasy emigracyjnej we Francji.

Moja teza doktorska, zawierająca suche szczegóły o emigracji polskiej we Francji nigdy nie była na półkach księgarskich, ponieważ już od lat kilku powziąłem zamiar napisania pracy o emigracji dla czytającej publiczności polskiej w języku polskim. Zamiar mój był umotywowany zupełnym brakiem takiej pracy w polskiej literaturze emigracyjnej.

Miałem i bliższe podstawy, na których opierała się moja chęć napisania książki o wychodźstwie.

Przez trzy lata byłem u steru pracy społeczno - organizacyjnej wśród naszych mas wychodźczych we Francji.

Z ramienia Polskiego Uniwersytetu Robotniczego prowadziłem w kolonjach robotniczych czynną akcję kulturalno - oświatową.

Z emigracją stykałem się stale w życiu praktycznym. Emigracja była terenem mych działań i obserwacji, które wynikały z racji czy to mego stanowiska, jako urzędnika konsularnego, czy też pozycji społecznika.

Pracę, której zadaniem powinno było być przekształcenie się w książkę naukową, pisałem sam, bez niczyjej pomocy. Obok mnie nie było nikogo, czy to z ludzi, znających gruntownie praktyczne zagadnienia emigracji, czy też teoretyków danej dziedziny, kto chciał i mógłby swemi radami skierować na właściwe tory me myśli i ideje. Jako początkującemu autorowi brakło mi fachowego kierownictwa.

Przebywałem często wśród polskich działaczy społecznych, znajdujących się na emigracji. Niestety, ludzie ci niewiele mogli mi dać ze siebie, ponieważ w nich samych zbyt silnie biło tętno życia emigracji. Byli oni sami odbiciem wrogich często nastrojów i zwalczających się w łonie wychodźstwa prądów.

Zresztą sam należałem do rzędu działaczy społecznych na emigracji. W samym sobie stwierdzałem obecność niekiedy sprzecznych i nieskrystalizowanych poglądów na sprawy emigracyjne.

Pisząc książkę naukową należało stanąć na platformie zupełnie obiektywnej. Trudno jest walczyć o pewien kierunek, o pewną ideję i w tym samym czasie wyszukać i uznać bez zastrzeżeń wartości zawarte w kierunku i idei, które się zwalczą. Taka bezstronność jest najwyższą zaletą pisarza. Ja, jako autor początkujący nie potrafiłem w sobie tej bezstronności wyrobić.

Dlatego też książka moja w wykończonej swej formie otrzymała charakter nieco polemiczny.

Nastąpiły pierwsze gwałtowne ataki pewnego odłamu prasy polskiej na emigracji, skierowane przeciwko mej pracy. Ataki te w gruncie rzeczy mało mnie dotykały, ponieważ były utrzymane w tonie wysoce nierzeczowym i niepoważnym. Była to zwykła, pozbawiona elementarnych form przyzwoitości dziennikarskiej, naganka na mnie i na moją pracę. Naganka ta bynajmniej nie była wywołana koniecznością potępienia książki, jako szkodliwej, ale chęcią walki z przeciwnym kierunkiem, jaki się zarysował już oddawna w naszej polityce emigracyjnej na terenie Francji. Reprezentantem tego przeciwnego kierunku byłem ja w mej pracy — i oto książka moja przez mych przeciwników była użyta, jako pocisk, mający zwalczyć wrogów politycznych. W danym wypadku odłamowi prasy, napadającej na mnie chodziło o walkę z sekcjami polskimi, znajdującymi się przy francuskich syndykatach zawodowych.

Ta sprawa jest najbardziej delikatną na emigracji ze względu na ustawę francuską, zabraniającą cudzoziemcom zakładania na terytorjum Francji własnych związków zawodowych. Cała walka, jaka się od lat kilku toczy w łonie emigracji przebiega pod hasłem należenia lub nienależenia do syndykalnych sekcji polskich.

Polemika dookoła mojej książki miała odrazu i posiada do dnia dzisiejszego podłoże wyłącznie polityczne.

Pisząc pracę tego właśnie chciałem najbardziej uniknąć.

Dziś muszę stwierdzić, że uniknięcie konsekwencji polemiki politycznej było niemal niemożliwe. Po pierwsze książka moja jest rezultatem badań

praktycznego działacza emigracyjnego i jako taka zawiera w sobie pewne momenty tendencyjności, po drugie samo wychodźstwo jest jeszcze dzisiaj żywym ciałem, na którym poszczególni działacze dokonywują eksperymentów z dziedziny zastosowywania tej lub innej polityki emigracyjnej.

Jest rzeczą dziwną, że dotąd nie spotykałem nigdzie (poza „Słowem” wileńskim) i poza dyskusjami z członkami Nauk Instytutu Emigracyjnego rzeczowej krytyki mej pracy. Wszystkie recenzje prasowe przychyłne, jak również nieprzychyłne miały za tło walki polityczne, odbywające się na emigracji.

Nierzeczowe ataki prasy nie dotyczyły mnie, jednak pod ich wpływem dokonałem gruntownej rewizji myśli zawartych w mej pracy. Stwierdziłem, że niektóre zdania były formułowane zbyt ostro. Już w dniu 1 sierpnia r. b., to jest na drugi dzień po ukazaniu się książki wystosowałem do mego wydawcy pismo, żądające wstrzymania sprzedaży książki. Żądanie moje było spełnione i sprzedaż książki wstrzymana. W ciągu miesiąca dokonałem korekty dwóch najbardziej atakowanych stron książki, a mianowicie str. 193, 194 i 251. Stronice te zostały wycięte na ich zaś miejsce wklejono inne w nowej redakcji. Muszę tu stwierdzić z przykrością, że nie wszyscy księgarze warszawscy wywiązują się należycie ze swych zobowiązań względem autorów. Kartki z dokonaną korektą były dane księgarzom z wyraźnym zastrzeżeniem, że znajdujące się przedtem w książce należy wyciąć. Pomimo to jednak na półkach księgarskich widziałem egzemplarze książki, gotowe do sprzedaży, do których wprawdzie nowe kartki były luźno dołączone, jednak starych nie wycięto.

Po powrocie do Polski przeprowadziłem cały szereg rozmów z ludźmi ze świata naukowego. Tu stwierdziłem, że książka moja nie uwzględniła bardzo wielu prądów, nurtujących w naszej polityce emigracyjnej, że nie wykreśla ona zasadniczej linii, że problemy najbardziej żywo obchodzące emigrację, choć poruszone, jednak nie zostały pozytywnie rozwiązane. Kiedy znalazłem się znowu w nurcie polskiego życia uświadomiłem sobie dokładnie błędy i braki mej pracy.

Stwierdziłem równocześnie, że już nie potrafiłbym bronić zasadniczych myśli, które zawarłem w książce, pisanej w momencie i pod wpływem walki o kierunek w działaniach wychodźstwa.

Stwierdziłem, że myśli te nie znalazłyby miejsca w mej książce, gdyby nie była ona pisana na gorącym gruncie emigracyjnym.

Doszedłem do przekonania, że korekta trzech stron nie rozwiązuje zasadniczo sprawy. Powstała we mnie myśl wycofania wogóle książki ze sprzedaży. Myśl moją wyraziłem komu należy. Niestety, brak pieniędzy nie pozwolił mi na urzeczywistnienie mych zamiarów.

Książka była już wydrukowana i za druk trzeba było płacić. To wszystko co chciałem powiedzieć w kwestji powstania mej książki „Emigracja Polska we Francji”.

Nie chciałem aby mnie źle rozumiano.

W mych działaniach i zamierzeniach w sprawie książki już po jej

wydrukowaniu nie kierowałem się chęcią jakiegokolwiek rehabilitacji autorskiej, lub osłabienia ataków skierowanych w mą stronę.

Artykułu niniejszego nie traktuje, jako przyznawania się do winy, bo nie przypuszczam, aby można było poczytać człowiekowi za winę napisanie książki.

Wszystko to co napisałem wyżej jest głębokiem uświadomieniem sobie błędów popełnionych przy wykonaniu pracy naukowej.

Do tych błędów miałem odwagę cywilną się przyznać.

Obecnie znalazzsy się w Polsce, przystępuje do napisania ponownie książki o emigracji polskiej we Francji. Przy pracy mej posiłkować się będę nie tylko praktyczną znajomością przedmiotu, wyniesioną bezpośrednio z terenu emigracyjnego, ale również źródłami i materiałami naukowymi znajdującymi się w kraju, oraz wskazówkami i radami ludzi bądź to stojącymi u steru polskiej polityki emigracyjnej, bądź traktującymi sprawy wychodźstwa z punktu widzenia naukowego.

Dr. Jan Rozwadowski.

Warszawa, 20 listopada 1927 r.

Recenzja.

Streszczenie książki *Jorge'a Salis'a* p. t. „*A FORMAÇÃO DO RIO GRANDE DO SUL*” (Livraria do Globo - Barcellos, Bertaso & Cia, Pelotas).

Autor postawił sobie jako cel zbadanie wpływów, jakie wywarły na powstanie stanu brazylijskiego *Rio Grande do Sul* z jednej strony warunki przyrodzone, geograficzne, z drugiej pierwiastki rasowe i społeczne. Ponieważ czynniki psychologiczne nie działały w sposób zasadniczo wrogi w stosunku do czynnika geograficznego, przeto osiągnięty przez ewolucję produkt wykazuje wpływy obydwóch powyżej wymienionych czynników.

Pierwszy rozdział p. t. „*Zaludnienie*” mówi o warunkach geograficznych, o kolonizacji azorjańskiej i niemieckiej, o trzech pasach zaludnienia: lasach, stepach i wybrzeżu morskiem, wreszcie o tych pasach geograficznych i związanych z nimi klasach społecznych: rolników i fazenderów. Wbrew temu, co spostrzegamy gdzieindziej, *Rio Grande do Sul* nie wytwarzało osiedli ludzkich na brzegu morskiem z powodu jego ujemnych właściwości klimatycznych, lecz w głębi kraju, nad brzegami rzeki Jacuhy, skąd biegł szlak najwięcej uczęszczany rzekami i kanałami aż do portu *Rio Grande*.

Innym czynnikiem, wywierającym wpływ na zaludnienie było osiedlanie się wielkich właścicieli ziemskich na stepach, a drobnych rolników w okolicach lesistych. Pierwsi — to krajowcy, drudzy — to osadnicy europejscy, wystawieni na ciężką pracę przy karczowaniu dziewiczego lasu, na walkę z dzikim zwierzem i tubylczą ludnością indyjską, a ponieważ północna część stanu obfituje w lasy, więc tam powstają osady europejskie rolnicze, na południu rozwija się hodowla bydła. Ten fakt nadał krajowi charakter rolniczy, a nadto spowodował, że okolice rolnicze były bardziej zaludnione, niż pasterskie.

Drugi rozdział p. t. „*Demokracja*” traktuje o ustroju gospodarczym, jako o podstawie budowy społecznej i źródle porządku politycznego. Ludność nie знаła przewagi bądź rasy, bądź klasy, to też wolność i demokracja stanowiły życiowe konieczności gauzów (ludności stanu *Rio Grande do Sul*), ale pojęcia w tym kierunku różniły się zasadniczo od pojęć europejskich. Wolność nie została dopiero wywalczoną, lecz istniała od zarania powstania stanu, ugruntowana na ustroju rolnym, na charakterze fazendy, stanowiącej jakoby komórkę ustroju społecznego, dającego się porównać do klanu lub do organizacji patriarcalnej. Właściciel fazendy nie odznaczał się samolubstwem ani względem swych podwładnych, ani względem innych

fazenderów, zarówno jak i całego stanu oraz jego potrzeb. To dało silną podstawę do pracy dla dobra ogółu. To też rządy stanu zwracały się zawsze po radę i pomoc do pojedynczych fazenderów, poczuciem obowiązku wobec sprawy publicznej przejętych, gdyż duch wspólnoty prowincjonalnej przewyższał zmysł klanowy i jednoczył wszystkich we wspólnym celu. Tutaj brała też swe źródło organizacja wojskowa. Między właścicielem fazendy i podwładnym panowało poczucie wzajemnej potrzeby i sympatii. Wszyscy mieszkańcy wielkiej fazendy tworzyli jakby jedną rodzinę. Metody stosowane na fazendzie, stosowano też do całego stanu. Stosunki pomiędzy rodzicami i dziećmi były prawdziwie patryarchalne, na szczerem uczuciu rodzinnem oparte. A więc solidarność i konsolidacja były zarazem wynikami i podwalinami tego ładu społecznego i ustroju politycznego. Do osiągnięcia powyższego celu nie trzeba było mieszkania pod jednym dachem, ani osobistej zależności, gdyż węzły rodzinne i afekt wzajemny były tu zupełnie wystarczające. Wszystko to razem wzięte, wytworzyło cywilizację wybitnie rolniczą z uprawą roli, oraz bezpośrednio z nią związaną hodowlą bydła na wielką skalę. Miasta wobec słabego rozwoju handlu i przemysłu nie zdobywają wielkiego znaczenia. Dobrobyt materialny charakteryzował tę wybitnie rolniczą cywilizację. Życie w takich warunkach było bardzo skromne, nawet prymitywne. Ustrój demokratyczny i duch wolnościowy sprawiły pomiędzy innymi, że położenie czarnych niewolników było daleko lepsze, aniżeli w innych stanach brazylijskich.

W trzecim rozdziale p. t. „*Sentyment religijny i religja*” autor rozważa fakt osłabienia sentymentu religijnego i brak fanatyzmu wskutek małej powagi księdza wobec warstwy wojskowej. Riograndeńczycy są wprost pomawiani o brak religijności, nawet o niereligijność, tymczasem oziębłość w sprawach religijnych przypisać należy w pierwszym rzędzie warunkom geograficznym i wielkim przestrzeniom, dzięki którym korzystanie z kościoła i jego usług było bardzo utrudnione. Aby wysłuchać mszy św. trzeba było przebyć wiele mil, to też nieliczna tylko garstka korzystała z kościoła i posług kościelnych. Do tego stanu małej religijności przyczynił się również fakt, że *Rio Grande* zwalczało misje jezuickie, będące przedstawicielkami zniechęcającej polityki hiszpańskiej. Fakt ten przyczynił się w wysokim stopniu do powstania i wzrostu niechęci odczuwanej względem księży, którzy nawracali i uzbrajali Indian przeciwko Riograndeńczykom, walczącym o swą wolność.

Czwarty rozdział p. t. „*Teatralność*” zastanawia się nad rolą społeczną, jaką w *Rio Grande do Sul* odegrał koń. Lud pasterski stale siedział w siodle, uzależniony w swej pracy od konia. W konsekwencji tego, Riograndeńczycy byli urodzonymi kawalerzystami. Nieposiadanie własnego konia stanowiło oznakę największego ubóstwa. Zamiłowanie konia dochodziło do tego stopnia, że stawiano go prawie na równi z kobietą. To też rzędy na koniach były piękne i kosztowne. Tym stosunkiem uczuciowym do konia tłumaczy się fakt, że piechotę musiano tworzyć z czarnych niewolników, gdyż ochotnicy riograndeńscy nie dostarczali dostatecznej liczby żołnierza pieszego. Co się zaś tyczy artylerji, to i tutaj trzeba było tworzyć artylerję

konną, do innej bowiem ochotnicy by się nie znaleźli. Historia stanu *Rio Grande do Sul* jest pełna bitew i utarczek konnych w otwartym polu, w których broń stanowiły: lanca i szabla. Wojowano tu pierś o pierś, co wymagało odwagi i rycerskości, charakteryzujących Riograndeńczyków.

Rozdział piąty p. t. „*Towarzystwość i indywidualizm*” rozciąga przed nami obraz życia towarzyskiego w *Rio Grande do Sul*, które charakteryzują: gościnność, wesołość i wielkoduszność. Pomimo rzadkości zaludnienia i wynikającej stąd trudności komunikowania się, organizacja wojskowa ułatwiała życie towarzyskie i ustrój społeczny. Pogarda życia, tak właściwa żołnierzowi, powoduje ducha ofiarności i poświęcenia dla dobra ogółu, rodząc uczucia altruistyczne. Służba wojskowa wyrabia solidarność, która w *Rio Grande do Sul* obejmowała nie tylko białych, ale również Indian i Murzynów. Uczucie zaciętości i zemsty było tym ludziom zupełnie obce, a jest to wszak jeden z największych wrogów ustroju społecznego. Wspólna walka z wrogiem w obronie własnej niepodległości rodzi zmysł gromadnej wspólnoty i przyczynia się do wytworzenia poczucia solidarności, tego fundamentu budowy społecznej. Wszyscy niemal przechodzili przez życie obozowe, a dzięki temu mieszkańcy najdalszych nawet kątów kraju poznawali się i zawierali bliższe stosunki, rodzące uczucie braterstwa. Wesołość, wywoływana zarówno przez piękną przyrodę, jak i przez sposób życia, wreszcie prawdomówność, stanowią poważne czynniki towarzyskości i życia społecznego Riograndeńczyków. Z powodu dostatku i wielkiej ilości środków pożywienia walka o byt nie przybierała form ostrych, tworzeniu się życia społecznego wrogich. Tu też bierze źródło tradycyjna gościnność Riograndeńczyków.

W rozdziale szóstym p. t. „*Formowanie się Stanu*” autor rozważa ten proces szczegółowo, podkreślając zasadniczą różnicę między portugalskim charakterem Riograndeńczyków, a hiszpańskim ich sąsiadów. Wyższość Riograndeńczyków widzi autor w czystości krwi białej i małej przymieszce krwi indiańskiej, której duży procent znajduje się w żyłach ludności krajów sąsiednich pochodzenia hiszpańskiego. Różnica wpływa zarówno ze źródeł społecznych, jak i etnicznych. Te ostatnie wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się charakterów. Ludność pochodzenia hiszpańskiego odznaczała się nieokiełznanem okrucieństwem w najbardziej wyrafinowanych formach, łączących wspomnienia inkwizycji hiszpańskiej i na wół zwierzęcych instynktów Indian. Autor przeprowadza porównanie głównie między mieszkańcami *Argentyny* z jednej a *Rio Grande do Sul* z drugiej strony, między metysami zamieszkującymi pierwszą, a wyższym rasowo elementem drugiego. W całym wywodzie autor podkreśla wyższość Portugalczyków nad Hiszpanami, a więc i wyższość Riograndeńczyków, będących wybitnie portugalskiego pochodzenia. Riograndeńczycy są patryjotami i dobrymi organizatorami. To też Argentyńczycy mieli zawsze na oku własne korzyści, gdy Riograndeńczycy byli zawsze gotowi do osobistych poświęceń. Pierwsi odznaczeni się nieuleczalnym nomadyzmem, gdy drudzy stanowili element osiadły. Autor omawia szczegółowo zwyczaje i obyczaje obydwóch tak odmiennych od siebie społeczności, podkreślając istnie-

jące wybitne różnice. Różnice te zaznaczały się również w budowie domów i miast, podlegającej w Argentynie wpływow hiszpańskiemu, w Rio Grande do Sul zaś portugalskim. Gauszowie pochodzenia hiszpańskiego żyli w anarchji i bezładzie, gdy przeciwnie, Riograndeńscy uznawali ład, porządek i autorytet. Wszystko to odnosi się oczywiście do okresu tworzenia się tych krajów, a nie do chwili bieżącej. Autor zastanawia się obszerniej i szczegółowo nad cechami geograficznymi stanu Rio Grande do Sul, znajdując w nich część uzasadnienia takiego a nie innego charakteru jego mieszkańców.

W rozdziale p. t. „*Synteza polityczna społeczności riograndeńskiej*” mówi o sentymencie republikańskim i federalnym, o powstaniu partji: liberalnej, konserwatywnej i t. d. Już sam ustrój społeczny nastrajał demokratycznie, stanowiąc podstawę republikańskiej formy w życiu politycznym, której sprzyjały podświadome dążności całej ludności stanu. Wszakże militarny ustrój kraju wytworzył silną władzę wykonawczą, co przygotowało grunt dla urzędu prezydenta, ale w duchu organizacji autonomicznej. Do jakiego stopnia Riograndeńscy przeciwstawili się władzy centralnej, wychodzącej z *Rio de Janeiro*, dążącej do stłumienia ducha autonomji, świadczy fakt, że w jednym z pamfletów politycznych, wydanych w 1866 r., nazwano *Rio Grande do Sul brazylijską Polską*. Partja liberalna, występująca w obronie autonomji, była wyrazicielem ducha *stanu Rio Grande do Sul*. Riograndeńscy byli bardzo tolerancyjni, pod względem religijnym uznając równość wszystkich wyznań. Działacze riograndeńscy odznaczali się wielką uczciwością i czystością rąk. Autor przedstawia walkę z władzą centralną o zachowanie autonomji w duchu demokracji i republikanizmu. Rio Grande było ostoją demokracji i republikanizmu w Brazyliji z chwilą, w której od monarchji przeszła do utworzenia tej wielkiej Rzeczypospolitej.

Ostatnia część książki p. t. „*Przyszłość Rio Grande do Sul*” zawiera dwa rozdziały: 1) Zagadnienie ras, 2) Zmierzch Rewolucji.

Pierwszy z nich mówi o współczynniku Murzynów, Indian i białych w składzie ludnościowym w Rio Grande do Sul, dalej o cechach somatycznych Niemców i Włochów, o sile rozrodczej Niemców, Włochów i Riograndeńczyków, o wcieleniu przybyszów w życie stanu, wreszcie o jego przyszłości. Element biały, wynoszący 70 — 85%, przeważa zarówno nad Indianami na północy, jak i nad Murzynami w centrum. Co do Indian, to najwięcej przymieszki dało plemię Guarany, inne zaś w ilości znacznie bardziej ograniczonej. Zarówno przewaga białych nad kolorowymi, jak łagodny, umiarkowany, zdrowy klimat sprzyjają rozwojowi cywilizacji i postępowi we wszystkich dziedzinach życia państwowego. Jednym z przejawów postępu jest zanik życia pasterskiego, a rozwój rolnictwa, znaczne osłabienie ducha awanturniczości, upadek roli konia, jaką w życiu ludności i historii stanu odgrywał ten sojusznik w walkach rewolucyjnych.

W. S.

Recenzja.

MARCEL PAON. L'IMMIGRATION EN FRANCE.
BIBLIOTHEQUE POLITIQUE ET ECONOMIQUE,

PAYOT, PARIS, 1926. str. 216.

P. Marcel Paon stwierdza, że kwestja imigracyjna, będąca dla Francji jednym z najważniejszych społeczno-gospodarczych zagadnień doby obecnej nie została jeszcze należycie rozważona i oceniona zarówno przez opinię publiczną, jakoteż i przez czynniki rządowe. Francja, zmuszona do zasilania swego organizmu gospodarczego obcokrajowcami, powinna dążyć do stworzenia specjalnej polityki imigracyjnej, opartej na odpowiednim prawodawstwie i przeprowadzonej według ściśle sprecyzowanego i obliczonego na przyszłość programu. Dotychczasowe prawa, dotyczące cudzoziemców, ustanawianie przeważnie w okresie, kiedy nie odczuwano potrzeby dopływu obcych rąk roboczych, nie odpowiadają obecnemu stanowi rzeczy. Mają one na widoku jedynie kontrolę elementu napływowego, wykonywaną z myślą bądź o zabezpieczeniu się od osobników niepożądanych i szkodliwych dla państwa i społeczeństwa, bądź uchronienia robotnika francuskiego przed konkurencją. Coprawda niektóre z tych praw zostały albo zawieszane albo zmodyfikowane, lecz nawet mimo te zmiany i ustanowienie kilku nowych praw, wprowadzających zrównanie robotników zagranicznych z krajowymi pod względem warunków płacy, pracy, życia, opieki społecznej i prawa do zrzeczenia się, nie uczyniono znacniejszego wyłomu w całości. Autor, poświęcając obszerny rozdział swej pracy analizie wszystkich odnośnych postanowień, daje czytelnikowi przez skrupulatne i umiejętne ugrupowanie materiału oraz jasne ujęcie tematu doskonały obraz tego prawodawstwa. Wykazując niezbitą dysharmonję poszczególnych ustaw i niemożność oparcia na tej mozaice praw racjonalnej polityki imigracyjnej dochodzi p. Marcel Paon do wniosku, iż należy zastąpić nowymi, stwarzając jakgdyby specjalny „*code des immigrants*”. Jako przykłady właściwego rozwiązania tego zagadnienia przytaczam w specjalnym rozdziale odnośne zarządzenia i rozporządzenia Stanów Zjednoczonych A. P., Kanady, Argentyny i Australji, poczem przystępuje do skreślenia swego zarysu polityki, która według jego zdania byłaby najodpowiedniejszą dla Francji. Zarys ten, któremu autor poświęca przeszło 1/3 część książki stanowi dla czytelnika polskiego najbardziej ciekawą i godną uwagi część pracy.

Omawiając pokrótce zasady międzynarodowej polityki imigra-

cyjnej, zastanawia się p. Marcel Paon nad powstaniem „w pewnych krajach emigracyjnych tendencji do zwaloryzowania swej emigracji i uczynienia z niej pewnego rodzaju środka wymiany” 1). Skoro jednak się uważa, że praca ludzka jest towarem, który może stanowić obiekt zamiany na surowce to, według jego zdania, nic nie może usprawiedliwić „le droit de suite”, któreby kraje emigracyjne pragnęły wykonywać w stosunku do swych obywateli (nationaux) po ich osiedleniu się w innym kraju, a prawo to nie będzie nigdy uznane przez żadne państwo 2). Konsekwencje podobnej polityki, uprawianej nawet w dobrej wierze, mogą być zgubne, ponieważ przez stwarzanie mniejszości narodowych na obcym terytorjum, usiłowanie przotoczenia nad nimi opieki i t. p. dążenia, mogące czasami uwłaczać suwerenności państwa emigracyjnego, stwarza się stan, któryby mógł doprowadzić do poważniejszych nieporozumień, a nawet stać się pracą „przeciwko pokojowi świata, przywróconemu z trudnością” 3). Jakkolwiek pozornie autor roztrząsa omawianą kwestję tylko zasadniczo i zdaje się kierować w swych rozumowaniach zupełną bezstronnością, to jednak takie rozwiązanie sprawy jest raczej zgodne z dążeniami każdego państwa emigracyjnego, niż z interesami obiektywnie ujętej polityki migracyjnej i utrzymaniem pokoju światowego. Zresztą jest to jeden z drażliwych punktów spotkania się przeciwnych dążeń państw zainteresowanych, a rozstrząsający go autorowie nie mogą przeważnie pozbyć się subiektywizmu.

Przechodząc do zadań narodowej polityki emigracyjnej uważa p. Marcel Paon, że główną jej wytyczną winno być dążenie do asymilacji imigrantów: „Pozostawiając sobie prawo rozsądnego i poważnego wyboru powinna Francja przyjmować przychylnie te elementy obco krajowe, które są jej niezbędne, opiekować się nimi i zapewnić normalne warunki bytu, mając na widoku ich asymilację w najkrótszym przeciągu czasu i w możliwie największych granicach. Ta asymilacja powinna się odbywać bez przymusu, gdyż mogłaby się stać bezskuteczną, a imigrantowi należy pozostawić wolny wybór pomiędzy swą rzeczywistą narodowością, a narodowością środowiska, w którym mieszka” 4). To też zasadniczo należy popierać imigrację elementów, należących do grup narodowościowych, najbardziej zbliżonych swojemi cechami charakterystycznymi do narodu francuskiego i posiadających wystarczającą skłonność do asymilacji 5), jak np. grupa łacińska. Wobec tego jednak, że wszystkie reprezentowane w niej narodowości dostarczają tylko imigrantów sezonowych, a w najlepszym razie zatrzymujących się we Francji zaledwie na parę lat, przeto autor uważa, że dążenia do ich zasymilowania będą bezskuteczne. Należy więc traktować tę imigrację jedynie, jako środek do utrzymania równowagi francuskiego rynku pracy w okresach nadwyżki popytu rąk roboczych nad ich podażą.

1) Str. 108.

2) Str. 110.

3) Str. 109.

4) Str. 112/113.

5) Str. 193.

Grupa słowiańska posiada, według zdania autora, również elementy, nadające się do asymilacji. Rozpatrując na pierwszym miejscu imigrację polską, wygłasza p. Marcel Paon następujące ciekawe myśli, nie potrzebujące zresztą żadnych komentarzy: „Uwzględniając więzy przyjaźni, łączące Francję i Polskę, możemy sobie powinszować tego napływu (apport), jakkolwiek dającego najlepsze gwarancje, to jednak będącego zbyt świeżym aby mógł się definitywnie wykazać. Można się trochę obawiać, że tendencją Polaków, nabytą w ciągu długich lat, będzie skłonność do izolowania się i tworzenia ugrupowań „allogènes”. To byłoby nadzwyczaj przykre dla obu krajów, toteż należy gorąco życzyć, aby ten szkopał został usunięty (évité) 6).

Nadawaliiby się również do asymilacji obywatele Czechosłowacji, wykazujący nawet chęć osiedlenia się we Francji, chociaż trudno jest jeszcze przepowiedzieć cośkolwiek na ten temat.

Element rosyjski wydaje się autorowi godnym przyjęcia ze względu na przypuszczalną łatwość przystosowania się i asymilacji, zaś reszty narodów słowiańskich nie można brać pod uwagę, ponieważ stanowią one niły odsetek imigrantów, podobnie, jak i narody anglo-saskie.

Poza tym warunkiem narodowościowym należy za przykładem innych państw imigracyjnych, a w szczególności Stanów Zjednoczonych A. P., ustalić przede wszystkim szczegółowe warunki dopuszczania imigrantów na terytorjum francuskie, celem umożliwienia dokładnej selekcji kandydatów i wybrania z pośród nich tylko takich, którzyby mogli udo-
wodnić:

1. niekaralność sądową i moralność, stwierdzone zaświadczeniami odpowiednich władz kraju pochodzenia, gwarantującą dopływ uczciwego alementu;
2. pewne minimum wykształcenia, dające rękojmię możności zorientowania się kandydata w stosunkach miejscowych i łatwiejszego zastosowania się do nich;
3. odpowiedni stan zdrowia;
4. posiadanie pewnego minimum środków, dającego gwarancję, że w razie ewentualnego braku zarobków kandydat nie zwiększy szeregow nędzarzy i nie stanie się ciężarem dla społeczeństwa;
5. wyspecjalizowanie się w pewnym zawodzie, ponieważ napływ robotników niewykwalifikowanych mógłby ujemnie wpłynąć na ukształtowanie się rynku pracy;
6. ważność podpisanej umowy najmu, to znaczy zgodność jej postanowień z francuskim prawodawstwem pracy i zasadniczymi postulatami polityki imigracyjnej.

Celem uchronienia imigranta przed ryzykiem strat materialnych, ponoszonych w razie niedopuszczenia do Francji, oraz zabezpieczeniem kraju imigracyjnego przed całym szeregiem niedogodności i kłopotów, związanych z usunięciem nieprzyjętych kandydatów, należy zastosować badanie kandydatów pod tym względem nie we Francji lub na granicy, lecz jeszcze

6) Str. 199.

przed ich wyjazdem z kraju pochodzenia. W ten sposób zostałyby dokonany wybór odpowiedniego elementu migracyjnego i rozwiązane pierwsze zadanie polityki.

Drugie zadanie — asymilacja — winna rozpocząć się od natychmiastowego roztoczenia opieki przez władze francuskie, dokonywanej przez specjalnie stworzone organa opiekuńczo - kontrolne, których zadaniem byłaby nie tylko piecza nad przestrzeganiem przez pracodawców postanowień umów najmu, łagodzenie i rozstrzygnięcie kwestyj spornych i pomoc, niesiona imigrantom, lecz również i dostarczanie odpowiednim władzom wszelkich materiałów, mogących ułatwić te lub inne posunięcia polityki migracyjnej. W związku z powyższym należałoby nie rozszerzać tradycyjnych praw konsulów państw emigracyjnych celem ułatwienia wykonania opieki nad imigrantami i sprowadzić rolę attachés emigracyjnych tylko do badań kwestji pracy i warunków bytu wychodźców, wyłączając wszelką ich interwencję w stosunkach pracodawców z pracownikami - obcokrajowcami⁷⁾. Jak widzimy, wprowadzenie w życie tego postulatu stworzyłoby jedną nić, wiążącą imigranta z władzą francuską, w którejby widział jedyne opiekuna i przychylnego obrońcę swych interesów.

Dalszym krokiem na drodze do asymilacji byłoby prawne unormowanie stałości pobytu imigranta na miejscu pracy, uskutecznione przedłużeniem umów najmu na dalszy okres czasu, kary za ich zrywanie i przenoszenie się do innego pracodawcy, podniesienie i ulepszenie warunków bytu i t. p. Najłatwiej dałoby się to uskutecznić w rolnictwie. Zresztą zawód rolnika ma to do siebie, że przywiązuje pracownika do roli, a że we Francji występuje jaskrawo wyludnienie wsi na korzyść miasta, przeto najlepiej byłoby sprowadzać właśnie rolników, co z jednej strony pokryłoby niedobór ludności wiejskiej, zaś z drugiej — ułatwiłoby zasymilowanie tego elementu, rozproszonego nieznacznie skupieniami wśród Francuzów.

Pozatem należałoby według autora uczynić cały szereg ułatwień w dziedzinie naturalizacji, znieść przebrzmiałe przepisy i formalistykę, zmniejszyć związane z niemi opłaty, nie obciążać imigrantów specjalnymi „opłatami od cudzoziemców” i, stwarzając możliwie najdogodniejsze warunki pracy, płacy i życia, przyciągać nimi imigranta stopniowo i bez przymusu do Francji.

Celem usunięcia lub sparaliżowania wpływu szkół obcych na dzieci i młodzież należy zmienić obecnie obowiązujące prawo szkolne w sensie wzbronienia zakładania tych szkół⁸⁾, obojętne pod jaką formą, gdyż one stanowią poważną przeszkodę do wynarodowienia się wychodźców, podtrzymując w dorastającym pokoleniu ich poczucie narodowe i będące pośrednio czynnikiem, ułatwiającym utrzymanie się lub powstanie owych niebezpiecznych dla państwa migracyjnego mniejszości narodowych.

Dopiero po ustaleniu tych zasadniczych postulatów polityki migracyjnej i ustanowieniu odpowiednich praw należy, według autora, stworzyć

7) Str. 113/114.

8) Str. 149.

specjalny Urząd Immigracyjny o rozległych pełnomocnictwach, któryby się zajmował całokształtem zagadnienia i wprowadzał to wszystko w życie.

W ostatnim rozdziale swej książki omawia p. Marcel Paon względnie pobieżnie wpływ migracji na stosunki demograficzne oraz maluje jej konsekwencje polityczno - ekonomiczne i etniczne i kończy swą pracę krótkim resumé swego programu .

Ogólnie biorąc, książka p. Marcel Paona, dająca doskonały źródłowy materiał do zapoznania się z kwestją migracyjną we Francji, zasługuje na wyjątkową uwagę ze względu na zawarte w niej myśli, uwypuklające dążenia wybitnego działacza francuskiego, którego zdanie, jako specjalisty do spraw migracyjnych może odegrać niepoślednią rolę przy wprowadzeniu w życie programu francuskiej polityki migracyjnej.

Ludomir Krzywicki.

Kolonizacja polska w Brazylii.

Nowa książka b. konsula p. Kazimierza Głuchowskiego o emigracji polskiej w Brazylii.

Świeżo wyszła z druku książka p. Kazimierza Głuchowskiego ujmująca całokształt polskich zagadnień emigracyjnych, a w pierwszym rzędzie osadniczych w Brazylii. Książka zawiera 360 stron druku i jest wszechstronnie wyczerpującą monografią o naszym wychodźstwie w Brazylii. Dotychczasowe badania emigracji polskiej w Brazylii dawały tylko częściowe oświetlenie problemów osadnictwa polskiego, lub fragmentaryczne opisy życia i bytu tamtejszych polskich emigrantów. Książka p. Głuchowskiego jest dziełem, które poraz pierwszy ujmuje zagadnienie gruntownie i z zadziwiająco wprost prawdziwością kreśli oblicze tej ziemi tajemniczej, nieznaney u nas w kraju niemal zupełnie, a jednak owianej w dniu niewoli i ucisku narodowego, legendą rodzącej się pod wpływem t. zw. „gorączki brazylijskiej”, „Nowej Polski”. Praca nosi skromny tytuł „Materiały do problemu osadnictwa polskiego w Brazylii”. Książkę czyta się ze zdumieniem. Jakim sposobem jeden człowiek mógł zebrać taką kolosalną ilość materiałów i równocześnie tak skrzętnie je posegregować i umiejętnie wykorzystać? Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest sama osoba autora. Duży szmat życia przeżył wogóle na drugiej półkuli. Był konsulem Rzeczypospolitej w sercu osadnictwa polskiego w Brazylii, w Kurytybie. Po opuszczeniu stanowiska pozostał przez lat kilka w Brazylii. Przez ten czas pędził żywot koczowniczy. Na koniu, częściej pieszo darł się przez dżungle i lasy dziewicze szlakiem naszych „pionierów”. Szedł od fermy do fermy, od kolonji do kolonji. Patrzył, badał, obserwował. Obserwacje te trwały 5 lat, a wynikiem ich jest przedziwna w swem ujęciu i formie praca — bezsprzecznie jedyna w naszej skromnej dotychczas literaturze emigracyjnej i zaraz wytlomacze, dlaczego. Nowa praca jest podstawą i źródłem do wszelkich dalszych badań nad emigracją w Brazylii. Tu nie ma nic pożytecznego, „wziętego od kogoś”. Wszystko jest oparte na tem co autor sam widział sam obliczył, sam przemyślał. Na stronicy 13-tej i innych mamy nawet nazwiska pierwszych osadników, pierwszych „pionierów” polskich w Brazylii. Jeżeli chodzi o materiał statystyczny — to wystarczy przeczytać książkę, aby odnieść wrażenie, że pod tym względem z papierem i piórem niewiele miało się do czynienia, że autor chodził sam od domu do domu i liczył. I te „wędrowki” autorskie pozostawiły niezatarty ślad niemal na każdej stronicy książki, w postaci prześlicznie kre-

ślonych pejzaży tej ziemi, jeszcze tak niedawno „obiecanej” dla chłopu polskiego, na której „pan Balcer” z „pioruna swej dłoni” wykrzesał europejską kulturę i cywilizację. Po raz pierwszy pisarz emigracyjny, dotychczas suchy statystyk i ekonomista, wprowadza do swej pracy obok pierwiastka ekonomiczno - statystycznego, moment estetyki i piękna. Połączenie tych dwóch pierwiastków czyni z książki p. Głuchowskiego harmonijną całość, i właśnie dlatego nazwałem ją przedziwną.

Książka jest apoteozą energii, niespożytej siły żywotnej i hartu ducha chłopu polskiego — tego chłopu, który „pożerany głodem ziemi” ze straszliwym uporem wrywał przyrodzie, pięć po pięci jej nieprzebyte bory i lasy. Ale dajmy tu głos samemu autorowi: „z krainy bananów i pinjora strzelistego trzeba się przenieść tam, gdzie dopiero polskiej pracy pomnik wzniosł chłop polski i gdzie piorun rąk mazurskich wytrzebił puszcze” (str. 34).

Ten zwycięski, cywilizacyjny pochód chłopu polskiego to najczystsza poezja w nowej książce: *Dzieci i wnuki idą dalej, podbijając coraz to nowe tereny. Mimo to, że kolonistów coraz na kolonji mniej ziemia zostaje w rękach polskich. Jest to najbardziej czyste polskie osiedle. Obcych tu niema i nie wejdą. Mazur ich nie puści. Swojsko tu jak w Polsce* (str. 46).

Z nowu dalej: *Na tem można zakończyć uwagi o ściślejszym terenie, na którym Mazury pisały dzieje kolonizacji polskiej w Paranie, udowadniając aż nad wyraz dokumentalnie, że „piorun ich dłoni” zdolny jest do pokonania wszelkich trudności, jakże na drodze napotkają, że nienasycony głód ziemi, jaki ich trawi to fundament pod kolonje od granitu mocniejszy* (str. 50).

A taki Polak Bendaszewski, marzy nawet „o polskim do morza w Paranie dostępie”, zakupując grunta ciągnące ku morzu. To nie jest romantyzm — to krwawy znoj i trud „pioruna” który budował „Nową Polskę”, zapatrzony jednak ciągle w lazurową dal Atlantyku, a przymglone tęsknotą oczy jego usiłowały napróżno wypatrzeć z tamtej strony kontury ukochanej ziemi.

Za tą mękę, za tą tęsknotę społeczeństwo niezawsze pamiętało o tych, co musieli szukać chleba na dalekiej obczyźnie, bo jak czytamy na str. 26 rola społeczeństwa w tej budowie „Nowej Polski” była tylko „przypadkowa”. *I tylko polski chłop, robił swoje, jak umiał, podbijał tereny, szedł ławą sam, własnej podświadomej zdany inicjatywie* (str. 26).

Praca p. Głuchowskiego rozpada się na dwa zasadnicze działy. Dział pierwszy opisowo - historyczny, drugi zaś daje dokładną charakterystykę stanu i pozycji emigracji polskiej w Brazylii w dobie powojennej. W rozdziale pierwszym autor sięga roku 1629; kiedy to na Antypodach po raz pierwszy postawił swą stopę Polak. Był to admirał króla hiszpańskiego Imci pan Krzysztof Arciszewski, przybywający tu na podbój Nowych Światów. Niestety, jak zauważa z pewnym żalem p. Głuchowski „nie polska bandera wiozła do brzegów Nowego Łądu trzykrotnie Krz. Arc..... obrońcę Lwowa od hord Chmielnickiego”. Wogóle pierwsi Polacy, którzy przybywali do Brazylii, poczynając już od średniowiecza — to ludzie, wnoszący wraz z sobą wysokie wartości moralne i intelektualne —

ludzie, którzy wywarli niemały wpływ na tworzenie się samego państwa brazylijskiego. Dowódcy okrętów, inżynierowie wojskowi, architekci, uczeni profesorowie — to pierwsi emigranci polscy, którzy przyczyniają się znacząco do kulturalno - cywilizacyjnego rozwoju Brazylii. O emigracji osadniczo - włościańskiej nie ma jeszcze mowy, aż do czasu, kiedy w połowie ubiegłego stulecia wylądował na ziemi brazylijskiej Edmund Saporski, „ojciec” kolonizacji polskiej na tamtejszym terenie. Saporski, żyjący do dnia dzisiejszego emigrant, tworzy w Brazylii w Brusque pierwszą kolonję osadników polskich. Odtąd do Brazylii płyną rok rocznie fale emigrantów polskich. Widocznie praca i zasługi p. Saporskiego przy kolonizacji Brazylii przez osadników polskich były wielkie, skoro autor jemu właśnie poświęca swą pracę, — Książka zyskuje ogromnie przez wprowadzenie do niej pierwiastka historycznego. Jednym z najciekawszych rozdziałów pracy, jest ujęcie emigrantów w ramy statystyki. Liczbowe dane podane są w dwóch tabelach. Pierwsza z nich wykazuje dopływ emigrantów w poszczególnych latach, począwszy od r. 1871 i do poszczególnych kolonji, druga daje nam faktyczny stan liczebny z osiedli polskich według rodzin i ilości dusz, oraz zamieszkania w lasach, na fermach i miastach. Dopływ emigrantów do roku 1914 jest ujęty według porozbiorowych dzielnic polskich, co daje możność stwierdzenia, w jakich częściach Polski prądy wychodźcze były najsilniejsze.

Zgodnie ze statystyką p. Głuchowskiego w Paranie znajduje się Polaków:

w Stanie Sta Catharina	119.092
w Stanie Rio Grande do Sul	61.200
	<hr/>
Razem	180.292

Z tej statystyki dowiadujemy się rzeczy bardzo ciekawych. Na przykład ogólna liczba ludności stanu Parana wynosi 685.000. A więc Polacy stanowią tutaj szóstą część ogólnego zaludnienia.

Jak widzimy autor dał sobie radę z ustaleniem danych statystycznych, na tych terenach, gdzie przeprowadzenie jakichkolwiek, nawet niedokładnych obliczeń napotyka na nieprzewidywane trudności.

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że ma się do czynienia z terenami, na których ludność mieszka przeważnie w niedostępnych lasach i dżunglach i że sfery czy to oficjalne czy społeczne, lub naukowe brazylijskie posiadają zapewne nikle materiały, na jakich możnaby było oprzeć badania statystyczne - naukowe.

W rozdziale 3-im autor charakteryzuje działalność kleru polskiego w Brazylii. Na podstawie materiałów zawartych w książce, księża należy podzielić na dwie kategorie. Do pierwszej będą należeli księża przybyli na teren emigracyjny z kraju, do drugiej zaś — urodzeni i wykształceni, lub tylko wykształceni w seminarjach brazylijskich. O ile element pierwszy wnosi do swej pracy niezaprzeczone wartości narodowe, o tyle na klerze polskim pochodzenia brazylijskiego wiele budować nie można. Autor uznaje pracę kleru mającą na celu narodowe uświadczenie emigranta,

stwierdza jednak, że walka księży o wpływy wprowadza niekiedy zamęt do życia emigracji. Z rozdziału tego dowiadujemy się, że w Brazylii jest 46-ciu księży polskich, a kościoły polskie posiadają niekiedy o znacznej wartości materialnej majątki nieruchomości. Charakterystyka stosunków szkolnych jest w książce znakomicie przeprowadzona. Ta największa bolączka niemal każdej naszej emigracji daje się boleśnie we znaki i wychodźtwa w Brazylii. Jest tam 144 szkoły polskie i uczęszcza do nich około 6.000 dzieci. Nauczycieli polskich 153. Jak widać liczba szkół jest nawet dostateczna. Jednak nauczyciele są płatni tak mizernie, że nie potrafią utrzymać się na swych stanowiskach. Stąd i dobór sił nauczycielskich pozostawia wiele do życzenia. Były momenty, kiedy szkoła polska w Brazylii nie wypełniała swego zadania. Dopiero w ostatniej chwili stworzone organizacje, jak na przykład, Związek nauczycieli polskich ratują pozycje szkoły — tej pierwszorzędnej placówki, jeżeli chodzi o utrzymanie w wychodźcy jego wartości narodowych.

Rozdział 4-ty omawia formy i życie organizacyjne wychodźtwa. Ten kto był na jakiejkolwiek emigracji, wie najlepiej, jaką kolosalną ilość energii zużywa wewnętrzna, społeczna organizacja wychodźcza na tarcia i waśnie, jakie odbywają się stale w jej łonie. Trudno. Ten niepożądany objaw żyje razem z każdą emigracją. Z nią się rodzi, z nią też umiera. Przypomnijmy sobie te ciągłe walki jakie istniały w łonie wielkiej Emigracji Politycznej. Polskiej we Francji — walki, w których był zaangażowany nawet sam wielki Mickiewicz. Na emigracji w Brazylii mamy to samo. Walki potentatów finansowych, skupiających jedne pisma po to aby walczyć z innymi. I tu współzawodnictwo i konflikty kleru z instytucjami i działaczami świeckimi. Czy należy to bezwzględnie potępić — nie, bo przecież współzawodnictwo przyczynia się do postępu. To też autor nie potępia kategorycznie walk na emigracji, a w wielu wypadkach, szczególnie jeżeli chodzi o rozwój szkolnictwa polskiego Brazylii, stwierdza iż właśnie konkurencja poszczególnych ugrupowań wychodźtwa przyczyniła się do jego rozwoju. Mamy w Brazylii 142 związki i stowarzyszenia polskie, grupujące około 2500 członków.

Autor jest zdania, że Brazylija może być brana jedynie pod uwagę, jako teren osadniczy dla rolników polskich.

Dla inteligencji i ludzi zamożnych nie ma tu żadnych widoków. Stwierdzenie to jest ważne. Przypomnijmy sobie, że w okresach „gorączki brazylijskiej” opuszczali kraj ludzie dobrze się mający w Polsce. Jechali inteligenci, kupcy, zamożni rzemieślnicy i mieszcianie. Jechali za Atlantyck po złote runo, a znaleźli tam nędzę i głód.

A wzajemne stosunki emigracji i gospodarzy, to jest społeczeństwa i rządu brazylijskiego?

Z książki p. Głuchowskiego wynika, że wzajemne współżycie obydwóch grup nie jest sielanką. W łonie brazylijskiego społeczeństwa jest dużo szowinizmu. Zresztą Brazylija sprowadzała z za oceanu emigrantów tej czy innej narodowości, nie gwarantując im rozwoju ich własnej kultury oraz cech narodowych. Jedynym prawem emigranta według pojęć brazylijskich było prawo do pracy. To też, jak powiada autor: *Pod szumnym,*

pięknym frazesem o Brazylii, która pod swe skrzydła opiekuńcze przygarnęła biednych wygnańców, dając im swobodę i chleb, kryje się szara i twarda rzeczywistość (str. 339).

Dalej autor daje nam dokładny, obliczony w gotówce i hektarach stan posiadania polskiego w Brazylii. Szkolnictwo, struktura organizacyjna emigracji, sposób jej życia, widoki rozwoju, widoki wogóle przyszłej kolonizacji polskiej na drugiej półkuli — wszystko to jest ujęte niezwykle ściśle i z punktu widzenia naukowego.

Pozatem autor wykreśla program planowej kolonizacji i osadnictwa polskiego — program dostosowany do wymogów gospodarczych i populacyjnych dzisiejszej Polski niepodległej. Książkę p. Głuchowskiego należy czytać, trzeba ją czytać: aby ci, co jutro się będą tem zagadnieniem zajmować, zrozumieli, gdzie była ta słaba strona, która nie dała nam wyzyskać owoców zwycięskiego boju naszego chłopa.

Jesteśmy narodem, który posiada jedną z najliczniejszych emigracji w świecie. Emigracyjne zagadnienia wysuwają się w Polsce niepodległej na jedno z naczelných miejsc w polityce państwowej! Książka p. Głuchowskiego przychodzi w samą porę. Rzuca ona bajecznie bogaty materiał dla dalszych badań problematów kolonizacyjnych i emigracyjnych, daje pierwszą i wyczerpującą monografię emigracji w Brazylii oraz szkicuje program przyszłej polityki osadniczej.

Jan Rozwadowski.

Kronika Instytutu.

LISTA CZŁONKÓW NAUKOWEGO INSTYTUTU EMIGRACYJNEGO.

CZŁONKOWIE RZECZYWIŚCI.

1. Alter Leon.
2. Bator Bolesław, b. Poseł na Sejm.
3. Bujak Franciszek, prof.
4. Buzek, Prof.
5. Daszyńska - Goliński, Prof.
6. Erlich Ludwik, Prof.
7. Giliczyński B., Dyr. T-wa Kolon.
8. Gliwic Hipolit.
9. Głabiński Stanisław, Prof.
10. Husarski Julian, Prez. Pol. Tow. Em.
11. Jezierski Waław.
12. Krzeczowski Konstanty, Prof.
13. Krzywicki Ludwik, Prof.
14. Ludkiewicz Zdzisław, Prof.
15. Lulek Tomasz, Profesor.
16. Pazdro Zbigniew.
17. Piekalkiewicz Jan, Dr.
18. Romer Eugenjusz, Prof.
19. Rybarski Roman, Prof.
20. Simon Gustaw.
21. Sujkowski Antoni, Prof.
22. Szawleski Mieczysław, Dr.
23. Taylor M., Prof.
24. Wasutyński Bohdan, Prof.
25. Załęcki Gustaw, Dr.
26. Zawadzki Władysław, Prof.
27. Staniewicz Witold, Minister.
28. Ludkiewicz Seweryn, Prof.
29. Bryła Stefan, Prof.
30. Winiarski Bogdan, Prof.
31. Czekanowski Jan, Prof.
32. Grabski Władysław, Prof.
33. Jurkiewicz Stanisław, Minister.
34. Gadomski Feliks, Inż.
35. Gawroński Stanisław, Dyr. Urzędu Emigracyjnego.
36. Balsigerowa Marja, Dr.
37. Iwanowski Sergjusz.
38. Lisiewicz Adam, Radca Emigracyjny.
39. Dalbor Tadeusz, Radca Emigracyjny.
40. Targowski Józef, Prezes T-wa kolonizacyjnego.
41. Iwaszko Iwan.
42. Gruszka Sylwester dr., Konsul.
43. Kaleński Edmund, Vice - Konsul.
44. Lubaczewski Tadeusz Dr., Konsul.
45. Babiński Waław, Dyr. Dep. Kons.
46. Pankiewicz Michał, Redaktor.
47. Osiniński Saturnin, b. Senator.
48. Głuchowski Kazimierz.
49. Łyp Franciszek, Konsul.
50. Mazurkiewicz Roman, Vice - Konsul.
51. Ciechanowski Jan, Poseł R. P.
52. Dąbkowski Władysław, prof.
53. Starzyński Tadeusz, prof.
54. Anusz Józef.
55. Mierzwa Piotr Stefan, Prof.
56. Siemiradzki Tomasz, Prof.
57. Kruszka Waław ks.
58. Szebekówna Anna.

CZŁONKOWIE KORESPONDENCI.

1. Kutylowski Roman.
2. Durkacz Piotr.
3. Langrod Witold Dr.
4. Ziemięcki Andrzej.
5. Drecki Jerzy.
6. Mańkowski Franciszek.
7. Latocha Stanisław.
8. Puzynianka Irena.
9. Holdigerowa Marja.
10. Zamorski Jan, b. Poseł na Sejm.
11. Kościalkowski M. b. Poseł na Sejm.
12. Dębski Jan, b. Poseł na Sejm.
13. Posner Stanisław, b. Senator.

15. Malessa Stanisław.
16. Gąsiorowski Stanisław.
17. Kosydarski Władysław.
18. Brzeziński Tadeusz, Dr.
19. Zieleniewski Kazimierz.
20. Lutosławski Jan dr.
21. Arct Stanisław.
22. Hilchen Feliks Dr.
23. Kulczycki Ludwik, Profesor.
24. Szukiewicz Tadeusz.
25. Szukiewicz Wojciech.
26. Dzieduszycki Aleksander.
27. Röhr Stanisław.
28. Biskupska Marja.
29. Zdrojewski Eugenjusz Dr.
30. Freyt Aleksander Dr.
31. Nowicki B. Dr.
32. Wincens Stanisław.
33. Boguszewski Stefan.
34. Szymbor Tadeusz ks.
35. Przegaliński Bolesław.
36. Arnecker E.
37. Hierominko.
38. Golik B. Dr.
39. Skórkowska Wera.
40. Lepecki M .B. por.
41. Fularski Mieczysław, kap.
42. Zarychta Apolonjusz, por.
43. Klimowicz St.
44. Kipa Emil Dr.
45. Kipowa Łucja.
46. Pawłowicz Bohdan.
47. Ziętkiewicz Ignacy, Konsul.
48. Przybyszewski Seweryn.
49. Warchałowski Kazimierz.
50. Kozuchowski Józef, Dyr. Dep. M-stwa Przemysłu i Handlu.
51. Rozwadowski Jan Dr.

Biblijografja artykułów o emigracji w czaso- piśmiennictwie krajowem z okresu drugiego półrocza 1927 r.

LIPIEC.

ał. Dola naszej reemigracji. „Kurjer Poznański”, nr. 330, 22 lipca.
AKA. Krzywdząca Polaków ustawa we Francji. „Ilustrowany Kurjer
Codzienny”, nr. 208, 30 lipca.

Al-ski, dr. Jak Niemcy chcą zgnieść Polaków? „Gazeta Warszaw-
ska Poranna”, nr. 188, 11 lipca.

Antypolska propaganda na Śląsku Opolskim. „Kurjer Poznański”,
nr. 298, 5 lipca.

B., F. Czy warto studjować na Politechnice gdańskiej? „Gazeta
Gdańska”, nr. 171, 30 lipca.

Bator, B. Żywa siła Ameryki. „Gazeta Warszawska Poranna”.
nr. 191, 14 lipca.

Bator, B. Nasze pozycje zagraniczne. „Kurjer Poznański”, nr. 324,
20 lipca.

Bator, B. Wychodźstwo polskie w Ameryce. „Kurjer Poznański”,
nr. 326, 21 lipca.

Bator, B. Obrachunek amerykański. „Słowo Polskie”, nr. 198
i 199, 20 i 21 lipca.

Bator, B. Emigracja wielkopolska w Ameryce. „Kurjer Poznań-
ski”, nr. 330, 23 lipca.

Bator, B. Emigracja z ziem polskich w Ameryce. „Kurjer Po-
znański”, nr. 328, 22 lipca.

Budzyński, W. Nasza polityka emigracyjna w oświetleniu socjalisty,
deputowanego Evrard. „Epoka”, nr. 180, 3 lipca.

C., W. O poprawienie losu naszych handlowców w Gdańsku. „Ga-
zeta Gdańska”, nr. 171, 30 lipca.

C., W. Kampanja wiecowa. „Gazeta Gdańska”, nr. 158, 15 lipca.

Cieszynski, Wł. Rodakom z Ameryki na powitanie. „Gazeta Gdań-
ska”, nr. 161, 19 lipca.

Czarnochi, N. Profesor Tomasz Siemiradzki. „Słowo”, nr. 166,
24 lipca.

Czesi zapowiadają urzędowo zmianę polityki wobec Polaków. „Ilus-
trowany Kurjer Codzienny”, nr. 192, 14 lipca.

D., L. Weterani polscy z Ameryki na łonie Ojczyzny. „Polak-Katolik”, nr. 151, 9 lipca.

Dębczyński, L. Na przyjazd weteranów polskich z Ameryki. „Kurjer Warszawski”, nr. 183, 6 lipca.

Dwie wycieczki. „Polska Zbrojna”, nr. 189, 13 lipca.

Działalność Polaka na Ceylonie. „Kurjer Poznański”, nr. 322, 19 lipca.

Emigracja policji gdańskiej. „Gazeta Gdańska”, nr. 171, 30 lipca.

Emigracja polska w Ameryce a Powszechna Wystawa Krajowa. „Kurjer Poznański”, nr. 325, 21 lipca.

Emigranci polscy w Kanadzie skarżą się na trudne warunki bytu. „Głos Narodu”, nr. 201, 27 lipca.

Emigrantom do Kanady pod uwagę. „Gazeta Gdańska”, nr. 164, 22 lipca.

Ewangelicy Polacy na Śląsku Cieszyńskim grożą odwołaniem się do Ligi Narodów. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 206, 28 lipca.

Fularski, M. Żydowskie kolonje rolnicze w Argentynie. „Epoka”, nr. 179, 2 lipca.

G - ę. Przelot dzieci polskich przez stolicę, z obcych krajów i ciasnych izdebek na ojczyste pola. „Epoka”, nr. 192, 15 lipca.

G - ę. Rodacy z Ameryki. „Epoka”, nr. 198, 21 lipca.

Gostomska, Z. Nad jeziorem Shobogama. List z Kanady. „Słowo Polskie”, nr. 191, 13 lipca.

Gostomska, Z. Kanada i jej mieszkańcy. „Słowo Polskie”, nr. 188 i 189, 10 i 11 lipca.

Goście z za oceanu a zjazd sierpniowy. „Polska Zbrojna”, nr. 196, 20 lipca.

Holder - Eggerowa, M. Z rady międzynarodowej kobiet. „Gazeta Warszawska Poranna”, nr. 204, 27 lipca.

Jak „bratnie” Czechy pojmują dotrzymanie obietnic. „Głos Prawdy”, nr. 204, 27 lipca.

Jak Komendant przyjmował rodaków z Ameryki. „Głos Prawdy”, nr. 198, 21 lipca.

Jętkiewiczowa, Z. Z dziejów pracy oświatowej na emigracji. „Gazeta Warszawska Poranna”, nr. 198, 199 i 200; 21, 22 i 23 lipca.

ę. Harcerze berlińscy w Poznaniu. „Kurjer Poznański”, nr. 315 i 319, 15 i 17 lipca.

K. Weterani Armji Polskiej z Ameryki. „Kurjer Poznański”, nr. 309, 310 i 311; 12 i 13 lipca.

K., Z. W nowym lokalu polskiego Konsulatu Generalnego w Paryżu. „Epoka”, nr. 190, 13 lipca.

K., Z. W paryskim Konsulacie Polskim. „Czas”, 14 lipca.

Kanada i jej polscy mieszkańcy. Odczyt prof. Caldwell'a. „Epoka”, nr. 197, 20 lipca.

Kiedacz, dr. Przyjazd Stowarzyszenia Weteranów Armji Polskiej z Ameryki. „Kurjer Poznański”, nr. 304, 3 lipca.

- Kleczkowski, S.* Nowy gmach konsulatu w Paryżu. „Dzień Polski”, nr. 161, 11 lipca.
- Kneblewski, W.*, ks. Dziennikarstwo polskie w Ameryce. „Rzeczpospolita”, nr. 207, 30 lipca.
- Kneblewski, W.*, ks. O informowanie wychodźstwa. „Rzeczpospolita”, nr. 205, 28 lipca.
- Koniec samodzielności Śląska czeskiego! „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 180, 2 lipca.
- Konwencja polsko - niemiecka w sprawie świadczeń dla bezrobotnych. „Przegląd Wieczorny”, nr. 159, 15 lipca.
- Koźmiński, X.* Konsulat polski w nowym lokalu. „Polska Zbrojna”, nr. 191, 15 lipca.
- Kronika Emigracyjna. „Robotnik”, nr. 189, 12 lipca.
- Lepecki, M. B.* Wśród brazylijskich mohikanów. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 196, 18 lipca.
- List Amerykanina do Polski. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 189, 11 lipca.
- Los mniejszości polskiej na Ukrainie Sowieckiej. „Epoka”, nr. 185, 8 lipca.
- Lutostawski, J.* Myśli o wychodźstwie naszym do Stanów Zjednoczonych. „Dzień Polski”, nr. 169 i 170, 19 i 20 lipca.
- M., A.* Postulaty ludności polskiej w m. Gdańska. „Rzeczpospolita”, nr. 185, 8 lipca.
- M., R.* Szkolnictwo polskie w Niemczech. „Dzień Polski”, nr. 166, 16 lipca.
- Manifestacja Polaków na Litwie Kowieńskiej. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 198, 20 lipca.
- Melcer - Rutkowska, W.* Nasza emigracja w Ameryce Południowej. „Kurjer Wileński”, nr. 167, 26 lipca.
- Na czeskim Śląsku Cieszyńskim. „Gazeta Warszawska Poranna”, nr. 208, 31 lipca.
- Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Związku Zjednoczenia Zawodowego na W. M. Gdańsk. „Gazeta Gdańska”, 14 lipca.
- Narady w sprawie emigracji. „Epoka”, nr. 196, 19 lipca.
- Nasza służba konsularna we Francji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 189, 11 lipca.
- Nieporozumienie wśród towarzystw polskich. „Gazeta Gdańska”, nr. 154, 10 lipca.
- Nowy gmach konsulatu polskiego w Paryżu. „Kurjer Poranny”, nr. 207, 28 lipca.
- Nowy lokal konsulatu paryskiego. „Kurjer Warszawski”, nr. 184, 7 lipca.
- O. Stosunek kupiectwa polsko - amerykańskiego do macierzy. „Kurjer Poznański”, nr. 324, 20 lipca.
- O pomoc żołnierzom legji cudzoziemskiej. Apel „Rodziny Wojskowej”. „Polska Zbrojna”, nr. 197, 21 lipca; „Epoka”, nr. 197, 20 lipca.

- Odczyt prof. Caldwell'a. „Kurjer Warszawski”, nr. 197, 20 lipca.
- Ojciec Polaków (L. Biernawski). „Polska Zbrojna”, nr. 177, 1 lipca.
- Opuszczenie Polaków w Ekwadorze. Korespondencja z Guyaquil. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 206, 28 lipca.
- Otwarcie pierwszej szkółki polskiej w Bukareszcie. „Epoka”, nr. 185, 8 lipca.
- P., inż. Polak z Polski — do Polaków z Ameryki. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 207, 29 lipca.
- P., S. Towarzysz dr. Gierszyński w Sejmie. „Robotnik”, nr. 179, 2 lipca.
- Pawłowicz, B. Najpiękniejsze miasto świata — Rio de Janeiro. „Głos Prawdy”, nr. 194, 17 lipca.
- Pawłowicz, B. Stolica kawy. „Głos Prawdy”, nr. 201, 24 lipca.
- Perspektywy emigracji żydowskiej do Brazylii. „Nasz Przegląd”, nr. 194, 16 lipca.
- Polacy pod rządami czechosłowackimi. „Kurjer Warszawski”, nr. 187, 10 lipca.
- Polacy rumuńscy kandydują do parlamentu. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 181, 3 lipca.
- Polonia amerykańska. „Dzień Polski”, nr. 164, 14 lipca.
- Polska Macierz Szkolna w Gdańsku. „Gazeta Gdańska”, nr. 148, 3 lipca.
- Polska Macierz Szkolna w Czechosłowacji. „Epoka”, nr. 208, 31 lipca.
- Polska misja katolicka w Belgji, Holandji i Danji. „Kurjer Poznański”, nr. 304, 8 lipca.
- Profesor Tomasz Siemiradzki. „Gazeta Gdańska”, nr. 170, 29 lipca.
- Profesor T. Siemiradzki o swej pracy wśród Polonji amerykańskiej. „Kurjer Poranny”, nr. 200, 21 lipca.
- Prześladowanie szkolnictwa w Niemczech. „Dzień Polski”, nr. 161, 11 lipca; „Epoka”, nr. 187, 10 lipca.
- Przyjazd dzieci ze Śląska. „Kurjer Warszawski”, nr. 178, 1 lipca.
- Robotnicy polscy w kopalniach francuskich. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 193, 15 lipca.
- Rola, J. Żerowisko agentów emigracyjnych. „Rzeczpospolita”, nr. 183, 6 lipca.
- S., A. Na wychodźstwie w Rosji. „Gazeta Warszawska Poranna”, nr. 208, 31 lipca.
- Schaefer, dr. Rozwój handlu i kolejnictwa polskiego w Gdańsku. „Gazeta Gdańska”, nr. 147, 2 lipca.
- Skuteczna nauczka. „Epoka”, nr. 186, 9 lipca.
- Smogorzewski, K. Wśród rodaków Zachodniej Francji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 203, 25 lipca.
- Spis firm polskich w Wolnem Mieście Gdańsku. „Gazeta Gdańska”, nr. 171, 30 lipca.

- Stroński, S.* Za Cieszynem. „Warszawianka”, nr. 199, 22 lipca.
- Sulima, J.* Okradanie i wyzysk polskiego wychodźstwa w Kanadzie. „Rzeczpospolita”, nr. 204, 27 lipca.
- Szkolnictwo Polskie w Łotwie. „Epoka”, nr. 198, 21 lipca.
- Szkolnictwo polskie w Rzeszy Niemieckiej. „Gazeta Gdańska”, nr. 147, 2 lipca.
- Szkoły polskie w Dyneburgu. „Gazeta Warszawska Poranna”, nr. 203, 26 lipca.
- Szkoły powszechne na terenie w. m. Gdańska. „Gazeta Gdańska”, nr. 147, 2 lipca.
- Szum.* My w Belgji. „Słowo Polskie”, nr. 186, 8 lipca.
- Szymański, K.* Akademia ku czci J. Słowackiego w Gdańsku. „Gazeta Gdańska”, nr. 146, 1 lipca.
- Szymański, K.* Życie kulturalno - oświatowe w Gdańsku. „Gazeta Gdańska”, nr. 147, 2 lipca.
- Teodorski, S.* Jak formowano Armję Błękitną. „Dziennik Poznański”, 13 lipca.
- Trzaska.* Z życia Polaków na Łotwie. „Słowo”, 12 lipca.
- W paryskim konsulacie polskim. „Czas”, nr. 157, 14 lipca.
- W., B.* Goście z dalekich stron... „Kurjer Wileński”, nr. 167, 26 lipca.
- Walka Sowietów z polsnością na terenie Ukrainy Sowieckiej. „Głos Prawdy”, nr. 206, 29 lipca.
- Widz.* Oryginalne egzaminy. „Epoka”, nr. 189, 12 lipca.
- Więzienie na Butyrkach. „Warszawianka”, nr. 208, 31 lipca.
- Wohnout, W.* Mniej księży — więcej prawników! Korespondencja z Paryża. „Robotnik”, nr. 208, 31 lipca.
- Wolman - Sierączkówna, M.* Listy z Palestyny. „Nasz Przegląd”, nr. 181 i 187; 3 i 9 lipca.
- Wstrętna zebrana. Listy o wsparcie do milionerów i Polonji Amerykańskiej. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 180, 2 lipca.
- Wube.* Jak organizowano armję polską w Ameryce? „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 192, 14 lipca.
- Wycieczka złączonych Komitetów Piłsudskiego z Ameryki. „Głos Prawdy”, nr. 195, 18 lipca.
- Z., Z.* Walne zebranie T-wa im. A. Mickiewicza. „Kurjer Warszawski”, nr. 183, 6 lipca.
- Z., Z.* Z życia polskiego w Brazylii. „Kurjer Warszawski”, nr. 192, 15 lipca.
- Z Litwy.* „Gazeta Warszawska Poranna”, nr. 200, 23 lipca.
- Z życia Polonji w Czechosłowacji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 196, 18 lipca.
- Z życia studentów polskich w Gdańsku. „Kurjer Poznański”, nr. 295, 3 lipca.
- Zaleska, Z.* Dzieci polskie w Niemczech. „Kurjer Warszawski”, nr. 202, 25 lipca.

Zgon dziennikarza amerykańskiego, E. Banasika. „Kurjer Warszawski”, nr. 207, 30 lipca.

Zniszczenie Sowietu polskiego. „Epoka”, nr. 193, 16 lipca.

Ż., K. Polacy z za Oceanu — o Polsce. „Dziennik Poznański”, 15 lipca.

Życie polskie w Rio de Janeiro. „Kurjer Warszawski”, nr. 186, 9 lipca.

SIERPIEŃ.

Agitacja sowiecka wśród Polaków na Ukrainie. „Przegląd Wieczorny”, nr. 177, 5 sierpnia.

Alderman m. Chicago p. Adamkiewicz w redakcji „Dziennika Bydgoskiego”. „Dziennik Bydgoski”, nr. 188, 19 sierpnia.

Asten. Emigranci. „Epoka”, nr. 219, 11 sierpnia.

B., S. Handel polski w Chinach. „Kurjer Warszawski”, nr. 237, 30 sierpnia.

b - i, h - k. Decentralizacja państwa czeskosłowackiego. „Słowo Polskie”, nr. 214, 5 sierpnia.

Balticus. Postępy niemieckiej akcji kolonizacyjnej w Prusach Wschodnich. „Kurjer Poznański”, nr. 376, 20 sierpnia.

Balticus. Położenie bankowości polskiej w Prusach Wschodnich. „Kurjer Poznański”, nr. 348, 3 sierpnia.

Budowa Domu Polskiego w Paryżu. „Kurjer Poznański”, nr. 232, 22 sierpnia.

C., S. Wycieczka weteranów z Ameryki. „Epoka”, nr. 211, 3 sierpnia.

C., W. Ludność polsko - gdańska a wybory. „Gazeta Gdańska”. nr. 197, 31 sierpnia.

Charap L. Do Anglii obcym wstęp uzbrojony. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 220, 11 sierpnia.

C - sęki, St. Akademia w ratuszu. 10-lecie rekrutacji Armji Polskiej w Ameryce. „Epoka”, nr. 212, 4 sierpnia.

C - sęki, St. Kolonja letnia dla dzieci z G. Śląska w Radzyminie. „Epoka”, nr. 215, 7 sierpnia.

Cieszkowski, St. Wycieczka do Zajezerza. „Epoka”, nr. 231, 24 sierpnia.

Czego potrzebuje polska oświata we Francji. Korespondencja z Lille. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 239, 31 sierpnia.

D., K. Polacy w Japonji. „Dzień Polski”, nr. 191, 10 sierpnia.

Dąbrowski, W. Naturalizacja we Francji. „Warszawianka”, nr. 230, 23 sierpnia.

Dębicki, Z. „Bóg i Ojczyzna”. „Kurjer Warszawski”, nr. 212, 4 sierpnia.

Downar, K. Sprawy szkolnictwa polskiego na Litwie. „Kurjer Warszawski”, nr. 211, 3 sierpnia.

El. Weterani polscy z Ameryki. „Głos Prawdy”, nr. 211 i 212, 3 i 4 sierpnia.

Emigracja polskich robotników do Sao - Paulo w Brazylii. „Polska Zbrojna”, nr. 234, 28 sierpnia.

Filmowanie kolonij polskich w Paranie. „Kurjer Poznański”, nr. 388, 27 sierpnia.

Gdańsk pod znakiem wyborów. Wywiad z dr. Moczyńskim. „Głos Prawdy”, nr. 229, 22 sierpnia.

Grzybowski, F. Ciężkie warunki dla emigrantów w Brazylii. „Robotnik”, nr. 222, 14 sierpnia.

H., E. Z życia polskich studentów w Gdańsku. „Dziennik Poznański”, nr. 186, 17 sierpnia.

H., S. Francja ułatwia naturalizację. „Nasz Przegląd”, nr. 212, 3 sierpnia.

Helle, K. Lekkomysłne oskarżenie Polaków o karygodne wybryki. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 217, 8 sierpnia.

Hernicz, R. Listy wiedeńskie. „Polonia”, nr. 217, 9 sierpnia.

Hernicz, R. Ropiące bolączki emigracyjne. „Kurjer Łódzki”, nr. 231, 24 sierpnia.

Holder - Eggerowa, M. Współpraca kobiet z Ligą Narodów. „Kurjer Warszawski”, nr. 211, 3 sierpnia.

Inflacyjny. Łotwa przeciw Polsce i polskości. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 230, 22 sierpnia.

Inspekcja w amerykańskim konsulacie. „Przegląd Wieczorny”, nr. 194, 26 sierpnia.

Jak żyje pół miliona Polaków we Francji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 229, 21 sierpnia.

K., Al. Obrona mniejszości w zetknięciu z imperjalizmem niemieckim. „Przegląd Wieczorny”, nr. 197, 30 sierpnia.

K., P. Skandaliczna książka o wychodźstwie polskim we Francji. „Kurjer Poznański”, nr. 378, 22 sierpnia.

K., P. Europejskie „bydełko”. „Słowo Polskie”, nr. 234, 25-go sierpnia.

Kawczyński, A. Wizyta na duńskiej wyspie. „Kurjer Poznański”, nr. 386, 26 sierpnia.

Kneblewski, W., ks. Weterani armji polskiej z Ameryki. „Kurjer Warszawski”, nr. 212, 4 sierpnia.

Kolonizacja Marokka. „Dzień Polski”, nr. 190, 9 sierpnia.

Kolonje dla dzieci polskich z Niemiec. „Robotnik”, nr. 210, 2 sierpnia.

Kronika Emigracyjna. „Robotnik”, nr. 210, 224 i 237; 2, 17 i 30 sierpnia.

L., Z. Muzeum Mazurskie. „Kurjer Poranny”, nr. 240, 30 sierpnia.

Lasocki, Z. Częściowe spełnienie polskich postulatów szkolnych w Czechosłowacji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 232, 24 sierpnia.

Lepecki, M. B. O polskie okręgi narodowościowe na emigracji. „Epoka”, nr. 228, 21 sierpnia.

Lepecki, M. B. San Paulo — kraina kawy. „Kurjer Warszawski”, nr. 228, 21 sierpnia.

m. Wrażenia Dynaburskie. „Słowo”, nr. 176, 5 sierpnia.

M. Polacy w Inflantach. „Dzień Polski”, nr. 204, 24 sierpnia.

m. b. ł. W hotelu emigracyjnym. „Kurjer Warszawski”, nr. 216, 8 sierpnia.

Mało znana lecz historyczna kolonja polska na zachodzie Francji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 215, 6 sierpnia.

Miljonerzy polsko - amerykańscy w Warszawie. „Kurjer Warszawski”, nr. 216, 8 sierpnia.

M....t, M. Nasze credo. „Gazeta Gdańska”, nr. 190, 23 sierpnia.

Mussolini wobec wychodźstwa. „Warszawianka”, nr. 229, 22-go sierpnia.

Na wychodźtwie w Rosji. W 10-tą rocznicę zjazdu w Moskwie. „Słowo Polskie”, nr. 213, 4 sierpnia.

Nasi emigranci w Kanadzie. „Rzeczpospolita”, nr. 224, 17 sierpnia.

Nasi wychodźcy w Kanadzie. „Warszawianka”, nr. 224, 17 sierpnia.

Nasza polityka emigracyjna. „Czas”, nr. 178, 7 sierpnia.

O solidarność narodową polonji amerykańskiej. „Kurjer Poznański”, nr. 346, 2 sierpnia.

O szkołę polską w Karwinie. „Kurjer Warszawski”, nr. 234, 27-go sierpnia.

Obraz kultury szowinistów czeskich na Śląsku. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 228, 20 sierpnia.

Ochronki polskie we Francji. „Rzeczpospolita”, nr. 214, 6 sierpnia.

Ograniczenia kolonizacyjne mniejszości polskiej na Śląsku. „Epoka”, nr. 218, 10 sierpnia; „Kurjer Poznański”, nr. 362, 11 sierpnia.

Opiola, T. Polacy na Śląsku czeskim. „Słowo Polskie”, nr. 231, 233, 235 i 236; 22, 23, 26 i 27 sierpnia.

Panaś, J., łs. Ciężkie oskarżenia emigracji polskiej pod adresem Francji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 229, 21 sierpnia.

Piasecki, St., łs. Emigracja polska w Brazylii i zagadnienia z nią związane. „Czas”, nr. 184, 14 sierpnia.

Pieśń polska na obczyźnie. „Kurjer Poznański”, nr. 371, 16 sierpnia.

Pochmarzki, B. Wśród Piłsudczyków z Ameryki. „Nowa Reforma”, nr. 188, 20 sierpnia.

Polacy na Ukrainie sowieckiej. „Polak Katolik”, nr. 186, 20-go sierpnia.

Polacy w Brazylii. „Dziennik Bydgoski”, nr. 192, 24 sierpnia.

Polacy w Inflantach. „Czas”, nr. 194, 27 sierpnia.

Polacy w Kraju Wschodzącego Słońca. „Głos Narodu”, nr. 218, 13 sierpnia.

Polska diecezja na Dalekim Wschodzie. „Głos Narodu”, nr. 230, 26 sierpnia.

Polska Karwina apeluje do Pragi. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 233, 25 sierpnia.

Polska Macierz Szkolna w Czechosłowacji. „Gazeta Gdańska”, nr. 175, 3 sierpnia; „Słowo Polskie”, nr. 213, 4 sierpnia.

Polskie mniejszości narodowe na kongresie w Genewie. „Polak Katolik”, nr. 189, 24 sierpnia.

Posłanka Ładzina we Francji. „Polak Katolik”, nr. 192, 27 sierpnia.

Prześladowanie Kościoła w Bolszewji. „Kurjer Warszawski”, nr. 229, 22 sierpnia.

Redivivus. Nieopatrność. „Kurjer Warszawski”, nr. 216, 8 sierpnia.

Rozłam wśród Polaków w Gdańsku. „Dziennik Bydgoski”, nr. 187, 18 sierpnia.

Rynek pracy w Brazylii. Ruch reemigracyjny do Polski. „Kurjer Poznański”, nr. 388, 27 sierpnia.

Rząd i społeczeństwo muszą pomyśleć o Polakach w Rumunji. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 217, 8 sierpnia.

S., St. Zjazd nauczycielstwa polskiego we Francji. „Nowa Reforma”, nr. 183, 13 sierpnia.

Schummer, E. M. Z działalności Związku Obrony Kresów Zachodnich. „Dzień Polski”, nr. 192, 11 sierpnia.

Smogorzewski, K. Hałas o książkę. „Słowo”, nr. 182, 12 sierpnia.

Smogorzewski, K. O wychodźtwie polskim we Francji. „Gazeta Gdańska”, nr. 183, 13 sierpnia.

Smogorzewski, K. Nasze konsulaty we Francji. „Kurjer Łódzki”. nr. 225, 18 sierpnia.

Smogorzewski, K. Ilu jest Polaków w Francji i jak są rozmieszczeni? „Gazeta Gdańska”, nr. 188, 20 sierpnia; „Gazeta Poranna”, nr. 8237, 21 sierpnia.

Sytuacja mniejszości polskiej na Śląsku Opolskim. „Epoka”, nr. 219, 11 sierpnia.

Sytuacja Polaków na Łotwie. „Rzeczpospolita”, nr. 214, 6 sierpnia.

Sytuacja robotników polskich w Niemczech. „Dzień Polski”, nr. 204, 24 sierpnia.

Szathin, J. List z Australji. „Nasz Przegląd”, nr. 235, 26 sierpnia.

Szkolnictwo polskie w Budapeszcie. „Nowa Reforma”, nr. 194, 27 sierpnia.

Szkolnictwo polskie w Rydze. „Kurjer Poznański”, nr. 371, 18-go sierpnia.

Szykanowanie Polaków w Westfalji. „Epoka”, nr. 227, 20 sierpnia.

Szykany pruskie na Mazurach. „Polak Katolik”, nr. 189, 24-go sierpnia.

T., K. Wychodźstwo do Kanady. „Epoka”, nr. 224, 17 sierpnia.

Teem. Stosunki polsko - tatarskie. „Kurjer Warszawski”, nr. 218, 10 sierpnia.

Then, Al. Nowyżyskane skarby. „Czas”, nr. 177, 6 sierpnia.

Then, Al. Obrona Francji przed depopulacją. „Czas”, nr. 193, 26 sierpnia.

Tragiczne dokumenty. Jak działa czeska szkolna biurokracja? „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 225, 17 sierpnia.

Ucisk mniejszości polskiej na Śląsku niemieckim. „Polak Katolik”, nr. 178, 10 sierpnia.

Ucisk niemiecki jak za dawnych czasów. „Słowo Polskie”, nr. 222, 13 sierpnia.

Usunięcie profesorów - Polaków z gimnazjum polskiego w Kownie. „Kurjer Warszawski”, nr. 213, 5 sierpnia.

w., j. Polskość bije żywym tętnem wśród wychodźstwa polskiego w Brazylii. „Głos Narodu”, nr. 209, 4 sierpnia.

w., j. Szkolnictwo polskie w Brazylii. „Głos Narodu”, nr. 210, 5 sierpnia.

W., St. Katolicy pod panowaniem sowieckim. „Polak Katolik”, nr. 193, 29 sierpnia.

W., S. Z życia Mińska Litewskiego. „Polak Katolik”, nr. 176, 8 sierpnia.

W., W. Niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. „Kurjer Warszawski”, nr. 238, 31 sierpnia.

W ojczyźnie Manco Capac'a. Wywiad z inż. T. Oxińskim. „Głos Prawdy”, nr. 221, 13 sierpnia.

W sprawie wyjazdu do Brazylii. „Kurjer Poznański”, nr. 360, 10 sierpnia.

Wakacje dziennikarza polskiego w więzieniu pruskim. „Kurjer Poranny”, nr. 234, 24 sierpnia.

Więźniowie polscy we Francji. Wywiad z tow. Hieronimko. „Robotnik”, nr. 233, 26 sierpnia.

Wolman - Sieraczkowa, M. Listy z Palestyny. „Nasz Przegląd”, nr. 222, 13 sierpnia.

Wywiad z red. W. Błażewiczem. „Głos Prawdy”, nr. 234, 27-go sierpnia.

Z dziejów wychodźstwa polskiego w Brazylii. „Nowa Reforma”, nr. 177, 6 sierpnia.

Z Litwy Kowieńskiej. „Nowa Reforma”, nr. 173, 1 sierpnia.

Z życia Polaków w Ziemi Złotowskiej, odciętej od Macierzy. „Kurjer Poznański”, nr. 372, 18 sierpnia.

Z życia polskich studentów w Gdańsku. „Czas”, nr. 188, 20 sierpnia.

Zanik polskiego życia gospodarczego na obszarze gdańskim. „Dziennik Bydgoski”, nr. 197, 30 sierpnia.

Zbierzchowski, H. Sztuka polska w Ameryce. „Gazeta Poranna”, nr. 8219, 3 sierpnia.

Zbierzchowski, H. Ameryka we Lwowie. „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr. 217, 8 sierpnia.

Zjazd nauczycielstwa polskiego we Francji. „Polak Katolik”, nr. 172, 3 sierpnia.

Zjazd polskiej młodzieży na Litwie. „Kurjer Warszawski”, nr. 237 i 238, 30 i 31 sierpnia.

Z-ki. Emigranci polscy w Kanadzie. „Kurjer Warszawski”, nr. 224, 17 sierpnia.

(Dokończenie nastąpi)

K. Zieleniewski.

SPIS RZECZY.



I. ARTYKUŁY MONOGRAFICZNE.

Str.

<i>Dr. Bolesław Bator.</i> — Metamorfozy polskie	5
<i>Dr. S. Gruszka.</i> — Ostatnia reforma am. służby zagranicznej.	65
<i>Podbipięta.</i> — Sprawa biskupów polskich i polskich majątków parafjalnych w Stanach Zjednoczonych.	88
* * * — Śląsk Cieszyński.	111
<i>Prof. L. Kulczycki.</i> — Nowy układ emigracyjny polsko - niemiecki.	144
<i>B. Senator S. Osinśki.</i> — Kilka uwag w sprawie wystawy „Praca polska na obczyźnie”.	149
<i>W. Szukiewicz.</i> — Zagadnienie rolne w Meksyku.	154
<i>K. Głuchowski.</i> — Angola jako teren ewentualnej kolonizacji.	167
<i>Dr. J. Rozwadowski.</i> — Prawne podstawy nauczania języka ojczystego dzieci polskich we Francji.	181
<i>Doc. Uniw. G. Załęcki.</i> — Kryzys polskiej polityki emigracyjnej. część I.	185

II. KRONIKA ZAGRANICZNA.

<i>St. Gqsiorowski.</i> — Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych	244
---	-----

III. RECENZJE.

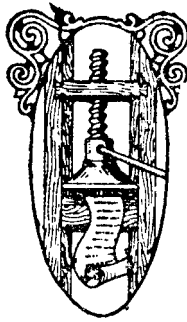
<i>Dr. J. Rozwadowski.</i> — Jak powstała książka moja „Emigracja polska we Francji”.	262
<i>W. S.</i> — Streszczenie książki Jorge'a Salis'a „A formação do Rio Grande do Sul”.	266
<i>Ludomir Krzywiczki.</i> — M. Paon'a: L'immigration en France.	270
<i>Dr. Jan Rozwadowski.</i> — K. Głuchowskiego: Kolonizacja polska w Brazylii	275

V. KRONIKA INSTYTUTU.

Lista Członków Nauk. Instyt. Emigracyjnego.	280
---	-----

IV. BIBLIJOGRAFJA.

<i>K. Zieleniewski.</i> — Biblijografja artykułów o emigracji w czasopiśmiennictwie krajowem. II półr. 1927 r.	282
--	-----



SALEZJAŃSKA SZKOŁA RZEMIOŁ
(DZIAŁ GRAFICZNY)
WARSZAWA, LIPOWA 14.